

KEN FOLLETT

Klucz do Rebeki

Przełożył Hieronim Mistrzycki

Dla Robin McGibbon

“Największym bohaterem ze wszystkich jest nasz kairski szpieg.”

- Erwin Rommel,

wrzesień, 1942

(cytat wg Anthony Cave Brown Bodyguard of Lies)

Część pierwsza
Tobruk

Ostatni wielbłąd padł w południe.

Był to pięcioletni biały samiec, którego mężczyzna kupił w Gialo, najmłodszy i najsilniejszy z trzech wielbłądów, również najłagodniejszy. Lubił go, tak jak człowiek może lubić wielbłąda, to znaczy tylko trochę go nienawidził.

Wspinali się na wzgórek od zawietrznej, grzęznąć nieporadnie w miękkim piasku. Stanęli na wierzchołku, z którego spojrzeli przed siebie, tylko po to, by zobaczyć następny wzgórek i tysiąc innych do pokonania. Na ten widok wielbłąda jakby ogarnęła rozpacz - ugięły mu się przednie nogi, zad się opuścił i zwierzę osiadło na szczycie pagórka niby posąg, wpatrzone w przestrzeń pustyni obojętnym wzrokiem konających.

Mężczyzna pociągnął za uzdę w nozdrzach wielbłąda - łeb pochylił się naprzód, szyja wyciągnęła, lecz zwierzę nie wstało. Mężczyzna podszedł od tyłu i kopnął je mocno ze cztery razy w zadnie nogi. W końcu wyjął zakrzywiony nóż beduiński, ostry jak brzytwa, spiczasto zakończony, i wbił go w zad. Z rany pociekła krew, zwierzę jednak nawet nie odwróciło łba.

Mężczyzna zrozumiał, co się stało - po prostu nie odżywione mięśnie wielbłąda przestały funkcjonować, podobnie jak maszyna, której zabrakło paliwa. Widział już wielbłądy padłe na skraju oazy, mimo że dookoła miały życiodajną zieleń - nie starczało im sił na to, by nią się pożywić.

Mógłby spróbować jeszcze ze dwóch sposobów, na przykład nalać wody do nozdrza zwierzęcia, aż zaczęłoby się dusić, albo rozpać ogień za jego zadnimi nogami. Nie stać go jednak było ani na stratę wody, ani drewna, poza tym żadna z metod nie wróżyła wielkiego powodzenia. Zresztą i tak nadszedł czas postoju. Słońce stało wysoko, rozżarzone. Zaczynało się długie saharyjskie lato, temperatura sięgała w południe 43/0 C w cieniu.

Nie zdejmując bagażu z grzbietu wielbłąda mężczyzna otworzył jeden z worków i wyjął namiot. Ponownie rozejrzał się odruchowo dookoła - w polu widzenia nie było ani cienia, ani żadnej kryjówki, właściwie wszędzie było tak samo źle. Rozbił namiot przy zdychającym wielbłądzie, na wierzchołku wzgórką.

Usiadł po turecku w wejściu do namiotu, by przyrzadzić herbatę. Uklepał kwadrat piasku przed sobą, ustawił bezcenne suche gałązki w stożek i rozpać ogień. Kiedy woda w czajniku się zagotowała, zaparzył herbatę w taki sposób, w jaki parzą ją koczownicy, to znaczy nalał z dzbanka do kubka, dodał cukru, znów przelał do dzbanka, by bardziej naciągnęła, i tak kilka razy. Ostatecznie herbata zrobiła się tak mocna i jakby melasowata, że stanowiła najbardziej orzeźwiający napój na świecie.

Czekając, aż słońce opuści się niżej, zjadł kilka daktyli i patrzył na zdychającego wielbłąda. Potrafił zachować spokój. Przewędrował ogromny szmat pustyni, ponad półtora tysiąca kilometrów. Przed dwoma miesiącami wyruszył z El Agela na wybrzeżu Morza Śródziemnego w Libii i udał się na południe przemierzając siedemset kilometrów przez Gialo i Kufra w samo puste serce Sahary. Potem skręcił na wschód i przekroczył granicę Egiptu, nie zauważony ani przez ludzi, ani przez zwierzęta. Przeciął skaliste pustkowie na Pustyni Zachodniej i w pobliżu Kharga ruszył na północ. Teraz był już blisko celu. Znał pustynię, ale bał się jej - podobnie jak wszyscy inteligentni ludzie, nawet koczownicy, którzy spędzili na pustyni całe życie. Nigdy jednak nie dopuszczał, by ten strach nim zawładnął, wpędził go w panikę czy też sparaliżował. Przecież zawsze może dojść do katastrofy: popełnia się błędy w nawigacji, które powodują ominięcie studni o kilka kilometrów, bywa że bukłaki z wodą pękają lub ciekną, bywa że po kilku dniach zaczyna chorować absolutnie zdrowy wielbłąd. Jedyną odpowiedzią na to jest słowo Inshallah - to znaczy: Taka była wola boska.

W końcu słońce zaczęło zapadać na zachodzie. Spojrzał na juki wielbłąda, zastanawiając się, ile sam mógłby unieść. Były tam trzy małe europejskie walizki - dwie z nich ciężkie, jedna lekka, ale wszystkie trzy jednakowo ważne. Miał też małą torbę z ubraniem, sekstant, mapy, żywność i bukłak z wodą. To już i tak za dużo - będzie musiał pozostawić namiot, naczynia do herbaty, garnek, almanach i siodło.

Połączył trzy walizki razem, na nich umieścił ubrania, żywność i sekstant, po czym związał to wszystko kawałem szmaty. Włożył prowizoryczne szelki na ramiona i dźwignął bagaż tak jak plecak. Z przodu powiesił sobie na szyi bukłak z koziej skóry napełniony wodą.

Bagaż był ciężki.

Trzy miesiące wcześniej mógłby dźwigać podobny przez cały dzień, a potem wieczorem grać w tenisa, był bowiem silnym mężczyzną. Pustynia jednak wyssała z niego siły. Jelita odmawiały mu posłuszeństwa, skóra była jedną wielką raną, schudł z dziesięć, piętnaście kilogramów. Bez wielbłąda nie ujdzie daleko.

Ruszył marszem, z kompasem w dłoni.

Szedł zgodnie ze wskazanym kierunkiem, opierając się pokusie, by zboczyć i okrążyć wzgórze, przez ostatnie kilometry określał bowiem swoje położenie według kursu i logu, toteż najdrobniejsza pomyłka mogła go kosztować kilkaset metrów i mogła się skończyć śmiercią. Szedł miarowo, powoli, wyciągniętym krokiem. Nie miał w sobie nadziei ani

strachu, skupiał się na kompasie i piasku. Zdołał zapomnieć o bólu zmęczonego ciała, stawiał nogę za nogą automatycznie, machinalnie, a więc bez wysiłku.

Czuło się już chłód wieczoru. Bukłak wiszący na szyi robił się coraz lżejszy, w miarę jak mężczyzna wypijał z niego wodę. Nie chciał myśleć o tym, ile jeszcze wody mu pozostało - jak obliczył, wypijał trzy litry dziennie, wiadomo więc, że nazajutrz wody zabraknie. Nad głową przefrunęło z głośnym gwizdem stado ptaków. Spojrzał w górę osłaniając oczy ręką i stwierdził, że to stado stepówek, ptaków pustynnych podobnych do brązowych gołębi, które co rano i wieczór szukały wody. Leciały w tym samym kierunku, w którym on zmierzał, co oznaczało, że jest to kierunek właściwy. Niemniej wiedział, że ptaki te potrafią przebyć w poszukiwaniu wody nawet siedemdziesiąt kilometrów, a to nie dodawało mu wiele otuchy.

Na pustyni zapanował chłód, co spowodowało, że nad horyzontem zebrały się chmury. Za jego plecami słońce zapadło się jeszcze niżej, zamieniło w duży, żółty balon. Trochę później na fiołkowym niebie pojawił się biały księżyc.

Pomyślał, że urządzi sobie postój. Nikt nie da rady iść przez całą noc. Nie miał jednak namiotu ani koca, ani ryżu, ani herbaty. Był pewien, że znajduje się blisko studni, z obliczeń wynikało, że powinien już do niej dotrzeć.

Szedł dalej. Spokój już go powoli opuszczał. Chciał zwyciężyć bezwzględna pustynię siłą i doświadczeniem, ale zaczynało wyglądać na to, że pustynia jego zwycięży. Pomyślał znów o wielbłądzie, którego zostawił, o tym, jak zwierzę ułożyło się na wierzchołku wzgórza, spokojne, wyczerpane, czekając na śmierć. Pomyślał, że on nie będzie czekał na śmierć, lecz kiedy nie da jej się uniknąć, popędzi na jej spotkanie. Nie dla niego kilkugodzinna agonია i wszechogarniające szaleństwo - byłoby to niegodne. Ma przecież nóż.

Ta myśl sprawiła, że zaczęła ogarniać go rozpacz, nie potrafił już przezwyciężyć strachu. Księżyc zaszedł, ale gwiazdy jasno oświetlały okolicę. W oddali zobaczył swoją matkę, która powiedziała: "Tylko nie mów, że nigdy cię nie ostrzegałam!" Słyszał pociąg turkoczący w rytm jego serca, powolny. Szlakiem sunęły kamienie niby galopujące szczury. Czuł zapach pieczonego jagnięcia. Wspiął się na wzgórek i ujrzał za nim czerwony blask ognia, na którym pieczono mięso. Mały chłopiec siedział i ogryzał kości. Wokół ogniska stały namioty, spętane wielbłądy skubały rzadko rosnące krzewy cierniste, w oddali widać było studnię. Zaczęły się halucynacje. Ludzie w tych zwidach spojrzeli na niego, zdumieni. Wysoki mężczyzna wstał i przemówił. Wędrowiec sięgnął do swojego zawoju i odsłonił część twarzy.

Wysoki mężczyzna postąpił krok naprzód.

- Przecież to mój kuzyn! - zawołał zdumiony.

Wędrowiec zrozumiał, że nie jest to jednak złudzenie, uśmiechnął się blado i upadł.

Kiedy oprzytomniał, przez chwilę zdawało mu się, że jest kilkunastoletnim chłopcem, że jego dorosłe życie to tylko sen.

Ktoś dotknął jego ramienia i powiedział w języku pustyni:

- Obudź się, Achmedzie.

Od lat nikt nie nazywał go Achmedem. Zdał sobie sprawę, że zawinięty jest w szorstki koc i leży na zimnym piasku, na głowie ma zawój. Otworzył oczy i ujrzał wspaniały wschód słońca podobny do tęczy wyciągniętej w linię prostą na tle płaskiego czarnego horyzontu. Wiał mu w twarz lodowaty poranny wiatr. W chwili tej znów przypomniał sobie, jaki człowiek może się czuć zagubiony i niespokojny w wieku piętnastu lat.

Kiedy po raz pierwszy wówczas obudził się na pustyni, czuł się całkiem zagubiony. Pomyślał wtedy: "Ojciec nie żyje", a potem: "Mam nowego ojca". Przez głowę przemknęły mu urywki sur Koranu, pomieszane z fragmentami wyznania wiary, którego matka nauczyła go w tajemnicy po niemiecku. Przypomniał mu się ból obrzezania, a potem wiwaty i wystrzały z karabinów - to mężczyźni gratulowali mu w ten sposób tego, że przystał do nich, stał się prawdziwym mężczyzną. Potem była długa podróż pociągiem, ciekawość, jacy okażą się ci żyjący na pustyni kuzyni, i pytanie, czy nie będą się wyśmiewać z jego bladego ciała i miejskiego stylu bycia. Wyszedł szybko z dworca i zobaczył dwóch Arabów siedzących w piachu przy wielbłądach, na placu przed budynkiem, zawiniętych od stóp do głów w tradycyjne stroje - tylko przez szparę w zawoju na głowie było coś widać: ich ciemne, nieprzeniknione oczy. Zabrali go do studni. Wszystko było przerażające - nikt się do niego nie odzywał, porozumiewano się z nim gestami. Wieczorem zdał sobie sprawę, że u tych ludzi nie ma "toalet", co niezwykle go stropiło. W końcu musiał o to zapytać. Po chwili milczenia wszyscy wybuchnęli śmiechem. Okazało się, że byli przekonani, iż nie zna ich języka, i dlatego usiłowali z nim rozmawiać językiem gestów. Ponadto pytając o toaletę użył na nią dziecinnego określenia, przez co sytuacja stała się jeszcze zabawniejsza. Ktoś mu wyjaśnił, że należy wyjść poza koło namiotów i kucnąć na pisaku. Po tym zajściu już się tak nie bał, bo wprawdzie byli to twardzi ludzie, lecz nie okazali się nieprzyjemni.

Wszystkie te myśli powróciły, kiedy patrzył na swój pierwszy wschód słońca na pustyni, pojawiły się też teraz, dwadzieścia lat później, tak samo świeże i bolesne jak wczorajsze złe wspomnienia, wywołane słowami: "Obudź się, Achmedzie".

Usiadł raptownie, myśli przejaśniały nagle jak poranne niebo. Przeszedł przez pustynię mając do wypełnienia niezwykle ważną misję. Trafił do studni, nie była ona złudzeniem - kuzyni koczowali tu jak co roku o tej porze. Zasłabł z wyczerpania, owinęli go w koce i pozwolili spać przy ognisku. Kiedy pomyślał o swoim cennym bagażu, ogarnęła go nagła panika - czy przydźwigał go tu na miejsce? Lecz w tej samej chwili zobaczył, że bagaż leży u jego nóg.

Obok siedział w kucki Ismail. Zawsze tak było - przez rok, który obaj chłopcy spędzili razem na pustyni, Ismail zawsze budził się pierwszy rano. Teraz powiedział:

- Masz jakieś ciężkie zmartwienie, kuzynie.

- Jest wojna - jakby potwierdził Achmed.

Ismail przysunął malutką, wysadzaną klejnotami czarę z wodą. Achmed zanurzył w niej palce i przemył oczy. Ismail odszedł. Achmed wstał.

Jedna z kobiet, cicha, służalczą w zachowaniu, podała mu herbatę. Wziął ją nie dziękując i szybko wypił. Zjadł trochę zimnego gotowanego ryżu. W obozowisku panowała powolna krzątania. Ta gałąź rodziny chyba nadal była bogata - kilku służących, dużo dzieci i ponad dwadzieścia wielbłądów. Owce z namiotami były tylko częścią stada, którego reszta wypasała się parę kilometrów dalej. Podobnie rzecz się miała z wielbłądami. W nocy oddalały się one w poszukiwaniu roślinności i chociaż były spętane, czasami znikwały z oczu. Teraz chłopcy będą je zaganiać, podobnie jak kiedyś robił to on z Ismailem. Zwierzęta nie miały imion, lecz Ismail każde z nich i ich historię znał z osobna. Mówił, na przykład: "To jest samiec podarowany przez mojego ojca jego bratu Abdelowi w roku, w którym zmarło wiele kobiet. Samiec okulał, ojciec więc dał Abdelowi innego, a tego zabrał z powrotem, i widzisz, ten wielbłąd nadal kuleje." Achmed dobrze znał się na wielbłądach, nigdy jednak nie miał do nich takiego stosunku jak koczownicy - przypomniał sobie, że nie rozpalili wczoraj ognia za zadnimi nogami swojego białego samca, który zdychał. Ismail to by zrobił.

Achmed skończył śniadanie i zabrał się do bagażu. Walizki nie były zamknięte na kluczyki. Otworzył teraz małą skórzaną i jego oczom ukazały się przełączniki i gałki nadajnika radiowego w prostokątnej obudowie. To wywołało wspomnienie jakby ze znanego filmu: wrące życie, szalone miasto Berlin, trzypasmowa ulica Tirpitzufer, czteropiętrowy budynek z piaskowca, labirynt korytarzy i schodów, od frontu biuro z dwiema sekretarkami, głębokie drugie biuro, w którym stały: biurko, kanapa, regał, małe łóżko, a na ścianie wisiał japoński obraz przedstawiający uśmiechniętego demona, oraz podpisana fotografia Franco. Na balkonie zaś, wychodzącym na Landwehr Canal,

widywało się parę jamników i przedwcześnie osiwiałego admirała, który mówił: “Rommel chce, bym wyznaczył naszego agenta w Kairze.”

W walizce była też książka, powieść napisana po angielsku. Achmed odruchowo przeczytał pierwszą linijkę: “Śniło mi się tej nocy, że znów jestem w Manderley.” Spomiędzy stronice książki wypadła złożona kartka papieru. Podniósł ją z uwagą i włożył z powrotem między stronice. Zamknął książkę, wsunął do walizeczki i ją też zamknął.

Obok stanął Ismail.

- Długą odbyłeś podróż? - spytał.

Achmed skinął głową.

- Wyruszyłem z El Agela w Libii. - Nazwy te nic nie znaczyły dla jego kuzyna. -
Przywędrowałem znad morza.

- Znad morza!

- Tak.

- Sam?

- Na początku miałem kilka wielbłądów.

Ismail był przerażony i pełen podziwu; nawet koczownicy nie odbywają tak długich wędrówek, poza tym nigdy nie widział morza.

- Ale dlaczego?

- Bo jest wojna.

- Jedna gromada Europejczyków walczy z drugą o to, kto będzie panował w Kairze...
jakie to ma znaczenie dla synów pustyni?

- Ale w tej wojnie bierze udział naród mojej matki - powiedział Achmed.

- Mężczyzna powinien iść za ojcem.

- A jeśli ma dwóch ojców?

Ismail wzruszył ramionami. Rozumiał, co to znaczy mieć dylemat.

Achmed podniósł zamkniętą walizkę.

- Przechowasz mi ją?

- Tak. Kto zwycięża w tej wojnie?

- Naród mojej matki. Podobny jest do ludu koczowniczego... dumny, okrutny i silny.
Ma zapanować nad światem.

- Achmedzie - uśmiechnął się Ismail - zawsze wierzyłeś w lwa pustyni.

Achmed przypomniał sobie, jak to w szkole go uczono, że kiedyś na pustyni żyły lwy i że prawdopodobnie niektóre z nich nadal tam żyją w górskich kryjówkach, żywiąc się

jeleniami, lisami pustyni i dzikimi owocami. Ismail nie chciał mu wierzyć, a problem wydawał im się wtedy niezwykle ważny i prawie się pokłócili.

- Nadal wierzę w lwa pustyni - powiedział Achmed z uśmiechem.

Spojrzeli na siebie. Nie widzieli się przez pięć lat. Świat się zmienił. Achmed zastanawiał się, o czym mógłby opowiedzieć kuzynowi: o decydującym spotkaniu w Bejrucie w 1938 roku, o swojej podróży do Berlina, o wielkim mistrzowskim posunięciu w Istambule... Kuzyn nic by z tego nie zrozumiał, podobnie jak on nie rozumiałby spraw Ismaila. Odkąd jako chłopcy odbyli razem pielgrzymkę do Mekki, to chociaż kochali się żarliwie, nie mieli sobie nic do powiedzenia.

Po chwili Ismail odszedł zabierając walizeczkę do swojego namiotu. Achmed przyniósł trochę wody w misce. Otworzył torbę, wyjął małą kostkę mydła, pędzel, lusterko i brzytwę. Wetknął lusterko w piach, odpowiednio je ustawił i zaczął rozwijać swój zawój.

Przeraził go widok własnej twarzy w lustrze.

Wypukłe, zazwyczaj gładkie czoło teraz pokryte miał ranami. W oczach taił się ból, w ich kącikach rysowały się zmarszczki. Na twarzy o delikatnych rysach wyrosła mu zmierzwiona broda, skóra na długim orlim nosie była zaczerwieniona i spękana. Rozchylił pokryte bąblami wargi i zobaczył, że ładne, równe zęby ma brudne, poplamione.

Nabrał mydła na pędzel i zaczął się golić.

Twarz stopniowo upodabniała się do tej, którą znał. Jej wyraz sugerował silny charakter, nie była przystojna. Na ogół malowało się na niej coś, co w chwilach, kiedy Achmed przyglądał się sobie bezstronnie, uważał za oznaki rozpusty, lecz teraz była po prostu zniszczona. Miał ze sobą małą fiolkę pachnącego olejku, którą niósł setki kilometrów przez pustynię z myślą o tej chwili, ale nie użył ani kropli, gdyż uznał, że skóra zacznie go piec nie do zniesienia. Dał fiolkę przyglądającej mu się dziewczynce. Odbiegła, zachwycona podarkiem.

Zaniósł torbę do namiotu Ismaila, skąd wypędził kobiety. Zdjął pustynną odzież i ubrał się w białą angielską koszulę, krawat w paski, szare skarpetki i garnitur w brązową kratę. Usiłując włożyć buty stwierdził, że stopy mu spuchły - wciskanie ich w nowe skórzane buty było niezwykle bolesne. Nie mógł jednak włożyć do europejskiego garnituru prymitywnych gumowych sandałów. W końcu naciął buty zakrzywionym nożem i wsunął je bez trudu.

Chciałby się znaleźć w bardziej luksusowych warunkach: wykapać się w gorącej wodzie, ostrzyć, nasmarować rany uśmierzającą maścią, włożyć jedwabną koszulę, złotą

bransoletę, napić się zimnego szampana i mieć ciepłą, pulchną kobietę. Musiał na to poczekać.

Kiedy wyszedł z namiotu, koczownicy patrzyli na niego, jak gdyby był obcy. Chwytał kapelusz i podniósł dwie pozostałe walizy - jedną ciężką, drugą lekką. Ismail podszedł z bukłakiem z koziej skóry. Kuzyni się objęli.

Achmed wyjął portfel z kieszeni marynarki, żeby sprawdzić dokumenty. Patrząc na paszport ponownie sobie uświadomił, że jest Alexandrem Wolffem, ma trzydzieści cztery lata, mieszka w Villa les Oliviers, w Garden City, w Kairze, jest biznesmenem, Europejczykiem.

Włożył kapelusz, chwycił walizki i ruszył w chłodnym zmierzchu do miasta, od którego dzieliło go jeszcze kilka kilometrów pustyni.

Wielki pradawny szlak karawan, którym Wolff wędrował od oazy do oazy przez ogrom pustyni, prowadził przez przełęcz w łańcuchu górskim i w końcu łączył się z normalną nowoczesną drogą. Przypominała ona linię narysowaną na mapie przez Boga, po jej jednej stronie bowiem ciągnęły się żółte, piaszczyste, nagie wzgórza, a po przeciwnej żyzne pola bawełny, podzielone na prostokąty kanałami irygacyjnymi. Wieśniacy, pochyleni nad uprawami, ubrani byli w proste galabije z pasiastej bawełny, zastępujące kłopotliwe stroje koczowników. Wędrując drogą na północ, czując chłodny wilgotny powiew od pobliskiego Nilu, rejestrując coraz to więcej oznak, że zbliża się do rejonów cywilizowanych, Wolff poczuł, że znów stał się człowiekiem. Wieśniacy pracujący to tu, to tam na polu już przestali w jego pojęciu być osaczającym go tłumem. W końcu usłyszał silnik samochodu - wiedział, że jest bezpieczny.

Pojazd nadjeżdżał od strony miasta Asjut. Kiedy wyjechał z zakrętu, Wolff zobaczył, że to wojskowy jeep. Po chwili dostrzegł w nim mężczyznę w mundurach armii brytyjskiej i uświadomił sobie, że przestało mu zagrażać jedno niebezpieczeństwo, a zaczęło drugie.

Zmusił się do zachowania spokoju. Pomyślał, że ma prawo tu przebywać. Przecież urodził się w Aleksandrii. Jest narodowości egipskiej. Ma dom w Kairze. Wszystkie dokumenty ma w porządku. Jest bogatym człowiekiem, Europejczykiem, szpiegiem niemieckim za liniami wroga...

Koła jeepa zapiszczały hamując w chmurze kurzu. Wyskoczył jeden mężczyzna. Na bluzie munduru miał na obu ramionach po trzy belki - był kapitanem. Wyglądał strasznie młodo, lekko utykał.

- Skąd idziecie, do diabła? - spytał kapitan.

Wolff postawił walizki i wykonał nad ramieniem ruch kciukiem do tyłu.

- Samochód mi nawalił na pustynnej drodze.

Kapitan skinął głową, przyjmując natychmiast wyjaśnienie - nigdy by mu nie przyszło do głowy ani też nikomu innemu, że Europejczyk mógłby przywędrować tu pieszo z Libii.

- Proszę pokazać mi dokumenty - powiedział.

Wolff spełnił polecenie. Kapitan sprawdził dokumenty, po czym spojrzał na Wolffa, który pomyślał: "Był przeciek z Berlina, szukają mnie teraz wszyscy oficerowie w Egipcie, a może od mojego ostatniego tu pobytu zmieniono dokumenty i mam nieaktualne..."

- Wygląda pan na wykończonego - powiedział kapitan. - Jak długo idzie pan pieszo?

Wolff zdał sobie sprawę, że jego wygląd może wzbudzić w Europejczyku współczucie, co miałyby praktyczne skutki.

- Od wczoraj wieczorem - odpowiedział z wyrazem znużenia które nie było całkiem udawane. - Trochę błędziłem.

- Spędził pan tu całą noc? - Kapitan przyjrzał się bliżej twarzy Wolffa. - Dobry Boże, rzeczywiście, to widać. Lepiej niech pan z nami się zabierze. - Zwrócił się w stronę jeepa. - Kapralu, weźcie pana walizki.

Wolff otworzył usta, by zaprotestować, lecz raptownie znów je zamknął. Człowiek, który szedł pieszo przez całą noc, powinien być tylko zachwycony tym, że ktoś ma pomóc mu przenieść bagaż. Wyrażenie sprzeciwu nie tylko by sprawiło, że jego opowieść stałaby się podejrzana, lecz także zwróciłoby uwagę na bagaż. Kiedy kapral układał walizki z tyłu jeepa, Wolff uświadomił sobie ze zgrozą, że nawet nie zamknął ich na kluczyk. Jak mogłem być taki głupi? - pomyślał. Wiedział, dlaczego tak się stało - przez cały czas zachowywał się zgodnie z tym, co narzucała mu pustynia, gdzie ludzi widywało się raz na tydzień i ostatnią rzeczą, jaką mieliby ochotę ukraść, był nadajnik radiowy, który działa dopiero po włączeniu do prądu. Zmysły wyczulone miał na wszystko, co teraz nie przedstawiało już żadnej wartości: na wędrówkę słońca po niebie, na zapach wody, obliczanie odległości, na lustrowanie horyzontu, jak gdyby w poszukiwaniu samotnego drzewa, w którego cieniu znalazłby schronienie przed żarem dnia. Teraz musiał przestać pamiętać o tym wszystkim i zacząć myśleć o policjantach, dokumentach, zamkach i kłamstwach.

Postanowił, że będzie ostrożniejszy i wszedł do jeepa.

Kapitan zajął miejsce obok niego i rzucił do kierowcy:

- Z powrotem do miasta.

Wolff postanowił rozwinąć swoją opowieść, żeby stała się jeszcze bardziej prawdopodobna. Kiedy jeep skręcił w piaszczystą drogę, spytał:

- Czy macie wodę?

- Oczywiście.

Kapitan sięgnął pod siedzenie i wyciągnął blaszaną manierkę w wołoku, podobną do dużej butelki whisky. Zdjął zakrętkę i podał manierkę Wolffowi.

Ten dorwał się łapczywie do wody i wypił prawie pół litra.

- Dziękuję - powiedział i oddał manierkę.

- Chciało się panu pić. Nic dziwnego. Hm... może się poznamy... jestem kapitan Newman. - Wyciągnął rękę. Wolff uściśnął ją i przyjrzał się bliżej kapitanowi. Był on młody, tuż po dwudziestce, miał świeżą cerę, chłopięcą grzywkę i uśmiech na twarzy, ale było też w nim coś ze znużonego dojrzałego mężczyzny, coś, czego szybko nabywa się w czasie wojny.

- Widział pan bezpośrednio jakąś bitwę?

- Chyba tak. - Newman dotknął kolana. - Załatwiłem sobie nogę w Cyrenajce, dlatego też odesłali mnie do tej dziury. - Uśmiechnął się. - Nie powiem, żebym znów miał ochotę natychmiast popędzić na pustynię, ale chciałbym robić coś ważniejszego niż to, co robię, setki kilometrów od prawdziwej wojny. Jedyne walki, jakie oglądamy, to starcia między chrześcijanami i muzułmanami w miasteczku. Skąd pan pochodzi, nie mogę rozpoznać po akcencie?

Niespodziewane pytanie, nie związane z dotychczasowym tematem rozmowy, zaskoczyło Wolffa. Pomyślał, że na pewno nie jest przypadkowe - kapitan Newman był bystrym młodym człowiekiem. Na szczęście Wolff miał gotową odpowiedź.

- Moi rodzice byli Burami przybyłymi z Afryki Południowej do Egiptu. Uczono mnie mówić językiem Burów i po arabsku. - Zawahał się w obawie, by nie przesadzić z wyjaśnieniami i nie wzbudzić tym podejrzeń. - Nazwisko Wolff jest holenderskie, na chrzcie dano mi imię Alex, od nazwy miasta, w którym się urodziłem.

Newman okazał uprzejme zainteresowanie.

- Co pana tu sprowadza?

Wolff i na to był przygotowany.

- Prowadzę interesy w kilku miastach w Górnym Egipcie. - Uśmiechnął się. - Muszę w nich złożyć niespodziewane wizyty.

Wjeżdżali do Asjut. Jak na warunki egipskie, było to duże miasto, z fabrykami, szpitalami, uniwersytetem dla muzułmanów, słynnym klasztorem i jakimiś

sześćdziesięcioma tysiącami mieszkańców. Wolff już miał prosić, żeby wysadzili go na dworcu kolejowym, kiedy nagle Newman uratował go przed popełnieniem tego błędu.

- Musi pan znaleźć warsztat samochodowy - powiedział. - zawieziemy pana do Nasifa, on ma ciężarówkę do holowania.

- Dziękuję. - Wolff zmusił się do powiedzenia tego słowa. Miał sucho w gardle. Jeszcze nie zaczął prawidłowo ani szybko myśleć. Lepiej, żebym się pozbierał do kupy, pomyślał. To przez tę cholerną pustynię, zupełnie pozbawiła mnie refleksu. Spojrzał na zegarek - miał dość czasu, by rozwiązać łamigłówkę w warsztacie i jeszcze zdążyć na jedyny pociąg do Kairu. Zastanawiał się, co zrobić. Musi wejść do warsztatu, bo Newman będzie go obserwował. Potem wojskowi odjadą. Będzie musiał udawać, że chodzi mu o jakieś części zapasowe do samochodu czy coś w tym rodzaju, po czym po prostu wyjdzie stamtąd i pójdzie na dworzec.

Jeśli dopisze mu szczęście, nigdy może nie dojść do tego, by Newman z Nasifem wymienili spostrzeżenia na temat Alexa Wolffa.

Jeep jechał ruchliwymi wąskimi ulicami. Znajomy widok egipskiego miasta sprawił Wolffowi przyjemność - barwne bawełniane stroje, kobiety z tobołkami na głowach, nadmiernie gorliwy policjant, faceci w okularach przeciwsłonecznych, małe sklepiki wychodzące z towarem na ulicę, stragany, poobtłukiwane samochody, objuczone osły. Zatrzymali się przed rzędem niskich glinianych budynków. Droga była na wpół zatarasowana przez starą ciężarówkę i resztki rozszabrowanego fiata. Mały chłopiec siedział na ziemi przed wejściem do domu i majstrował przy przekładni kluczem maszynowym.

- Niestety, muszę pana tutaj zostawić. Wzywają mnie obowiązki - powiedział kapitan.

- Jest pan bardzo uprzejmy. - Wolff uścisnął mu rękę.

- Wolałbym pana tak tu nie wysadzać - mówił Newman. - Już i tak miał pan dość kłopotów. - Zmarszczył brwi, ale nagle twarz mu się rozjaśniła. - Wie pan co... zostawię tu panu kaprala Coxa, może się przyda.

- To naprawdę bardzo uprzejme z pana strony, ale...

Newman nie słuchał.

- Wyjmijcie pana bagaże, Cox, i bacznie uważajcie. Opiekujcie się panem... i żebyście niczego nie pozostawili tym brudasom, rozumiecie?

- Tak jest, panie kapitanie.

Wolff jęknął bezgłośnie. Pozbycie się kaprała zabierze mu trochę czasu. Newman ze swoją uprzejmością zrobił się natrętny - a może to celowe?

Wysiedli, jeep odjechał. Wolff wszedł do warsztatu Nasifa, Cox za nim niosąc walizki.

Nasif był uśmiechniętym młodym człowiekiem w brudnej galabii, reperował akumulator przy świetle lampy naftowej. Odezwał się do nich po angielsku.

- Chcecie panowie wynająć piękny samochód? Mój brat mieć bentleya...

Wolff przerwał mu, szybko odpowiadając po arabsku.

- Nawalił mi samochód. Podobno jest tu ciężarówka do holowania.

- Tak, możemy jechać w tej chwili. Gdzie jest ten samochód?

- Na pustyni, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kilometrów stąd. To ford. Ale my nie pojedziemy z wami. - Wyjął portfel i dał Nasifowi angielskiego funta. - Kiedy wrócicie, znajdziecie mnie w Grand Hotelu przy dworcu.

- Już się robi. Jedziemy natychmiast. - Nasif skwapliwie chwycił pieniądze.

Wolff skinął głową i odwrócił się. Wychodząc z warsztatu z Coxem zaczął rozpatrywać, jakie następstwa może mieć jego krótka rozmowa z Nasifem. Pojedzie on ciężarówką holowniczą na pustynię i będzie szukał drogi, gdzie utknął samochód. W końcu wróci do Grand Hotelu, by powiedzieć, że nie udało mu się jej znaleźć. Ale Wolffa już nie zastanie. Uzna, że zapłacono mu godziwie za stracony dzień, lecz nie powstrzyma go to przed barwnymi opowieściami o zaginionym fordzie i jego zaginionym kierowcy. Prawdopodobnie wcześniej czy później opowieść dotrze do Newmana. Ten nie będzie wiedział, co to wszystko dokładnie oznacza, na pewno jednak się domyśli, że kryje się za tym jakaś tajemnica, którą należy zbadać.

Kiedy Wolff uświadomił sobie, że plan przemknięcia się do Egiptu tak, by nikt tego nie zauważył, może mu się nie udać, nastrój jego uległ pogorszeniu.

Będzie musiał użyć wszelkich sposobów, żeby plan się powiódł. Spojrzał na zegarek. Nadal miał jeszcze szanse zdążyć na pociąg. Coxa pozbędzie się w hallu hotelowym, a potem, jeśli się pośpieszy, zdąży coś zjeść i wypić.

Cox był niskim, ciemnowłosym mężczyzną mówiącym dialektem jakiegoś regionu Wielkiej Brytanii, którego Wolff nie potrafił rozpoznać. Liczył sobie mniej więcej tyle lat co on sam, lecz nadal miał tylko stopień kaprała, a więc pewnie nie był specjalnie inteligentny. Idąc za Wolffem przez Midan el-Mahatta, zapytał:

- Zna pan to miasto?

- Tak, byłem tu kiedyś - odparł Wolff.

Weszli do Grand Hotelu. Był to drugi co do wielkości hotel w mieście, dysponował dwudziestoma sześcioma pokojami.

- Dziękuję, kapralu - Wolff zwrócił się do Coxa. - Może pan wrócić do swoich obowiązków.

- Ale mnie się nie śpieszy, proszę pana - odparł wesoło Cox. - Zaniosę panu walizki na górę.

- Na pewno mają tu boyów...

- Na pana miejscu nie miałbym do "gorszych" zaufania.

Sytuacja coraz mocniej przypominała senny koszmar czy farsę, w której ludzie dobrej woli zmuszali go do coraz bardziej bezsensownego zachowania. I wszystko to było konsekwencją jednego, drobnego kłamstwa. Zaczął się od nowa zastanawiać, czy to wyłącznie przypadek, i przyszło mu do głowy coś strasznego i zarazem absurdalnego, że może oni wszystko wiedzą i tylko nim się bawią.

Odsunął tę myśl i odezwał się do Coxa z największą godnością, na jaką mógł się zdobyć:

- Dobrze. Dziękuję.

Podszedł do recepcjonisty i poprosił o pokój. Spojrzał na zegarek - pozostało mu piętnaście minut. Szybko wypełnił formularz podając wymyślony adres w Kairze - istniała szansa, że Newman nie zapamiętał prawdziwego adresu figurującego w dokumentach. Nie chciał zostawić za sobą żadnych śladów, które można by wykorzystać.

Boy, Nubijczyk, poprowadził go na górę do pokoju. Wolff dał mu przy drzwiach napiwek. Cox położył walizki na łóżku.

Wolff wyjął portfel; może Cox też spodziewał się, że otrzyma napiwek.

- No cóż, kapralu - zaczął - bardzo mi pomogliście...

- Chciałbym panu pomóc się rozpakować - przerwał mu tamten - kapitan mówił, żebym niczego nie zostawiał dla brudasów.

- Nie, dziękuję - powiedział stanowczo Wolff. - Chcę się od razu położyć.

- To proszę się kłaść - nalegał pełen dobrej woli Cox - a ja szybciotko...

- Nie otwierajcie tego!

Cox otwierał wieko walizki. Wolff sięgnął do marynarki, przeklinając w duchu: "Do diabła z nim. Jestem skończony. Powinienem ją zamknąć. Czy uda mi się zrobić to po cichu?" Niski kapral patrzył na porządnie ułożone w walizce paczki nowych angielskich banknotów funtowych.

- Jezu Chryste! - jęknął. - Ale pan naładowany!

Wolffowi przemknęło przez myśl, że Cox nigdy w życiu nie widział takiej forsy. Zbliżył się do niego.

- Co pan chce z tym wszystkim... - zaczął Cox odwracając się.

Wolff wyciągnął okrutny zakrzywiony nóż beduiński. Spojrzenia ich się spotkały. Nóż błysnął w dłoni Wolffa. Cox cofnął się otwierając usta do krzyku. Ostre jak brzytwa ostrze weszło głęboko w miękkie ciało jego szyi. Zamiast wydać okrzyk przerażenia, Cox zacharczał bulgocąc krwią. Upadł martwy. Wolff nie czuł nic, jedynie rozczarowanie.

Był maj, wiał chamsin, gorący, sypiący piaskiem wiatr z południa. Stojąc pod prysznicem William Vandam myślał przygnębiony, że prawdopodobnie przez cały dzień nie zazna już chłodu. Zakręcił kran i wytarł się szybko. Całe ciało miał obolałe. Poprzedniego dnia po raz pierwszy od wielu lat grał w krykieta. Sztab Generalny Wywiadu Wojskowego zorganizował drużynę, która miała grać przeciwko lekarzom ze szpitala polowego - szpiedzy przeciwko szarlatanom, jak to nazwali - i Vandam grając w środku nieźle dostał w skórę, przeganiany przez medyków po całym boisku. Musiał teraz przyznać, że nie ma kondycji. Dżin odebrał mu siły, papierosy skróciły oddech, a ponadto liczne zmartwienia nie pozwalały mu się skoncentrować na grze w takim stopniu, w jakim tego wymagała.

Zapałił papierosa, odkaszlnął i zaczął się golić. Zawsze palił przy goleniu - tylko dzięki temu nie odczuwał tak dotkliwie nudy przy tym codziennym zajęciu. Piętnaście lat temu przysiągł sobie, że jak tylko wystąpi z wojska, zapuści brodę, nadal jednak był w wojsku.

Ubrał się w zwykły mundur: ciężkie sandały, skarpety, bluzę i szorty khaki z odpinanymi klapami, które można było opuszczać i zapinać pod kolanami, gdyby moskity stały się szczególnie natrętne. Nikt jednak nie używał tych klap, młodzi oficerowie nawet przeważnie je odcinali, bo wyglądały śmiesznie. Na podłodze stała przy łóżku pusta butelka po dżinie. Vandam spojrzał na nią i jednocześnie poczuł do siebie odrazę - kładąc się do łóżka po raz pierwszy zabrał ze sobą tę przeklętą butelkę. Podniósł ją teraz, zdjął zakrętkę i wrzucił butelkę do kosza. Zszedł na dół.

Gaafar był w kuchni, parzył herbatę. Był to służący Vandama, podstarzały łysy Kopt. Szurał nogami i miał ambicję, by go traktowano jak angielskiego kamerdynera. Nie zasługiwał na to miano, lecz miał w sobie pewną dozę godności i był uczciwy. Vandam wiedział, że to nieczęsto spotykane walory u egipskiej służby.

- Czy Billy wstał? - spytał.

- Tak, proszę pana, zaraz zejdzie.

Vandam skinął głową. Na kuchni wrzała woda w małym garnku. Włożył do niej jajko i nastawił minutnik. Ukroił dwie kromki angielskiego chleba na grzanki. Posmarował je masłem, pokroił w paski, wyjął jajko i odciął czubek skorupki.

Do kuchni wszedł Billy.

- Dzień dobry, tato.

Vandam uśmiechnął się do dziesięcioletniego syna.

- Dzień dobry. Śniadanie gotowe.

Chłopiec zaczął jeść. Vandam usiadł naprzeciwko niego z filiżanką herbaty. Obserwował syna. Ostatnio Billy wygląda rano na zmęczonego. Kiedyś zawsze był świeży i pełen wigoru. Może źle sypia? A może po prostu zaczyna się okres dorastania i chłopcu zmienia się przemiana materii? A może po prostu za późno chodzi spać, bo czyta pod kocem kryminały przy latarce.

Znajomi twierdzili, że Billy podobny jest do ojca, ale Vandam nie dostrzegał tego podobieństwa. Uważał, że chłopiec podobny jest do matki. Miał takie same szare oczy, delikatną skórę i ten sam dumny wyraz twarzy, kiedy ktoś go rozgniewał.

Vandam zawsze przygotowywał mu śniadanie. Służący oczywiście potrafił świetnie się opiekować chłopcem i na ogół było to jego obowiązkiem, lecz tego krótkiego rytuału Vandam wolał sam dopełniać. Często bowiem były to jedyne chwile, jakie mógł spędzić z chłopcem w ciągu dnia. Niewiele rozmawiali - Billy jadł, a Vandam palił - nie miało to jednak znaczenia, najważniejsze, że razem rozpoczynali dzień.

Po śniadaniu Billy mył zęby, a Gaafar wyciągał motocykl Vandama. Chłopiec wrócił w szkolnej czapce, ojciec też założył swoją czapkę wojskową. Zsalutowali sobie, jak co dzień.

- Doskonale, majorze... chodźmy wygrać tę wojnę - powiedział Billy.

Wyszli.

Biuro majora Vandama mieściło się przy Gray Pillars w jednym z budynków ogrodzonych drutem kolczastym, należących do Kwatery Głównej na Środkowy Wschód. Kiedy wszedł, zobaczył na biurku raport z najnowszych wydarzeń. Usiadł, zapalił papierosa i zabrał się do czytania.

Raport nadesłano z Asjut położonego czterysta kilometrów na południe. Początkowo Vandam nie rozumiał, dlaczego raport przeznaczony jest dla wywiadu. Patrol wojskowy znalazł na drodze idącego pieszo Europejczyka, który potem zamordował kaprała nożem. Ciało odnaleziono wczoraj wieczorem, zaraz po tym, jak się zorientowano, że kapral nie wrócił do koszar, niemniej jednak nastąpiło to kilka godzin po jego śmierci. Mężczyzna odpowiadający opisowi owego Europejczyka kupił na dworcu bilet do Kairu, lecz zdążył tam dotrzeć i rozpląnąć się w mieście, zanim znaleziono ciało.

Motywy zabójstwa były nie znane.

Policja egipska i brytyjska żandarmeria wojskowa już prowadzą dochodzenie w Asjut, o którego wynikach powiadomią dziś rano również swoich kolegów w Kairze. Z jakiego jednak powodu zawiadomiono wywiad?

Vandam zmarszczył brwi i jeszcze raz zaczął się zastanawiać nad sprawą. Europejczyka wzięto do jeepa na pustyni. Twierdzi, że jego samochód nawalił. Wprowadza się do hotelu. Po kilku minutach wychodzi i łapie pociąg. Samochodu nie odnaleziono. W pokoju hotelowym znaleziono wieczorem ciało żołnierza.

Dlaczego?

Vandam podniósł słuchawkę telefonu, zadzwonił do Asjut. W centrali wojskowej przez jakiś czas szukano kapitana Newmana, lecz w końcu znaleziono go w arsenale i przywołano do telefonu.

- Wygląda na to, że tego morderstwa nożem dokonano w celu usunięcia demaskatora.

- Tak, przyszło mi to do głowy - powiedział Newman. Miał głos młodego człowieka. - Dlatego też wysłałem raport do wglądu wywiadu.

- Doskonale, że tak pan postąpił. Proszę mi powiedzieć, jakie wrażenie zrobił na panu ten mężczyzna?

- Był to rosły facet...

- Tak, przysłał mi pan jego opis... wzrost sto osiemdziesiąt centymetrów, waga osiemdziesiąt sześć kilogramów, włosy ciemne, oczy... no tak, ale to mi nic nie mówi, jaki rzeczywiście jest.

- Rozumiem - bąknął Newman. - Szczerze mówiąc, na początku nie miałem co do niego żadnych podejrzeń. Wyglądał na wykończonego, co pasowało do opowieści o samochodzie, który nawalił na pustyni. Poza tym robił wrażenie porządnego obywatela: człowiek biały, przyzwoicie ubrany, elokwentny, mówił z akcentem, jak twierdził, holenderskim, czy raczej afrikaans. Dokumenty miał w absolutnym porządku... nadal jestem pewien, że są prawdziwe.

- Ale...?

- Mówił, że przyjechał w interesach, które prowadzi w Głównym Egipcie.

- To też brzmi prawdopodobnie.

- Tak, ale nie wyglądał na człowieka, który trawi życie na inwestowaniu w kilka sklepów, fabryczek i plantacji bawełny. O wiele bardziej wyglądał na człowieka światowego... na takiego, którego pieniądze pochodzą albo z giełdy londyńskiej, albo z banku szwajcarskiego. Po prostu nie sprawiał wrażenia faceta zajmującego się drobnymi interesami... Wiem, że to nic konkretnego, ale chyba rozumie pan, co mam na myśli?

- Oczywiście. - Newman wydawał mu się bystrym facetem. Dlaczego utknął tam w tym Asjucie?

- A potem przyszło mi do głowy - kontynuował Newman - że może on akurat dopiero wtedy pojawił się na pustyni, i to nie wiadomo dokładnie skąd... powiedziałem więc temu biednemu Coxowi, żeby z nim został pod pretekstem bycia pomocnym, bo chciałem mieć pewność, że nie zwieje, zanim zdążymy sprawdzić, czy powiedział nam prawdę. Powinienem go być aresztować, oczywiście, ale szczerze mówiąc, moje podejrzania wtedy były prawie żadne...

- Ależ nikt pana, kapitanie, nie uważa za winnego - zaproponował Vandam. - Doskonale, że zapamiętał pan nazwisko i adres w jego dokumentach. Alex Wolff, Villa les Oliviers, Garden City, zgadza się?

- Tak, panie majorze.

- W porządku, proszę powiadamiać mnie o wszystkim, czego pan się tylko dowie, zgoda?

- Oczywiście, panie majorze.

Vandam odłożył słuchawkę. Podejrzania Newmana zgadzały się z jego własnymi domysłami na temat morderstwa. Postanowił porozmawiać ze swym bezpośrednim przełożonym.

Najwyższym funkcjonariuszem Sztabu Generalnego Wywiadu Wojskowego był generał brygady, który miał tytuł szefa wywiadu. Miał dwóch zastępców: do spraw operacyjnych i do spraw wywiadu. Zastępcami byli pułkownicy. Szef Vandama, podpułkownik Bogge, podlegał zastępcy do spraw wywiadu. Odpowiedzialny był za bezpieczeństwo personelu, większość czasu poświęcał sprawom cenzury. Vandam zajmował się przeciekami ze źródeł innych niż korespondencja. On i jego ludzie dysponowali kilkoma setkami agentów w Kairze i Aleksandrii. W większości klubów i barów mieli swoich kelnerów, jak również szpicli wśród służby domowej większości ważnych arabskich polityków. Pracował dla niego lokaj króla Farouka i najbogatszy złodziej Kairu. Interesowało Vandama, kto ma za długi język i kto za bardzo nastawia ucha. Pośród tych drugich głównym przedmiotem jego zainteresowania byli arabscy nacjonaści. Rzecz jednak wielce prawdopodobna, że tajemniczy człowiek z Asjut stanowił zupełnie inne zagrożenie.

W swojej karierze wojennej Vandam miał dotychczas na koncie jeden wielki sukces i jedną wielką porażkę. Porażkę poniósł w Turcji. Uciekł tam z Iraku Rashid Ali. Niemcy chcieli go stamtąd wydostać i wykorzystać w celach propagandowych. Brytyjczycy chcieli trzymać go w cieniu, a Turcy, którzy zazdrośnie strzegli swojej naturalności, nikogo nie chcieli obrazić. Vandam miał za zadanie pilnować, by Ali pozostał w Istambule, lecz ten

zamienił się na ubranie z niemieckim agentem i czmychnął z kraju tuż przed nosem Vandama. Po kilku dniach zaczął uprawiać propagandę w niemieckim radiu na Środkowym Wschodzie. Vandam jakoś uratował swój honor w Kairze. Londyn powiadomił go, że istnieją poszlaki, jakoby w Istambule doszło do poważnych przecieków. Po trzech miesiącach pracowitego dochodzenia Vandam udowodnił, że pewien wyższy dyplomata amerykański nadawał do Waszyngtonu raporty nie zabezpieczonym dostatecznie szyfrem. Szyfr zmieniono i tym samym zlikwidowano przeciek. Vandam dostał awans na majora.

Gdyby był cywilem czy nawet wojskowym w czasie pokoju, byłby dumny ze swojego osiągnięcia i pogodzony z porażką. Podsumowałby to: "Raz się przegrywa, raz wygrywa." Lecz w czasie wojny błędy popełniane przez oficerów pociągały za sobą ofiary w ludziach. W następstwie afery Rashid Alego zamordowano agentkę. Vandam nie potrafił sobie tego wybaczyć.

Zapukał do drzwi podpułkownika Bogge i wszedł. Reggie Bogge był niskim, krępy męczyzną po pięćdziesiątce. Miał na sobie nieskazitelną mundur, włosy błyszcząły mu od brylantyny. Pochrząkiwał nerwowo, głównie wtedy, gdy nie wiedział, co odpowiedzieć. A zdarzało mu się to często. Siedział za dużym wygiętym w łuk biurkiem - większym od tego, które miał szef - i przeglądał akta. Zawsze wolał rozmawiać niż pracować, chętnie więc zaprosił Vandama, by usiadł. Wziął w ręce jasnoczerwoną piłkę do krykieta i zaczął ją przerzucać z dłoni do dłoni.

- Świetnie pan wczoraj grał - powiedział.

- Pan też nieźle sobie radził - zrewanżował się Vandam. Była to prawda, bo Bogge był jedynym przyzwoitym graczem w drużynie wywiadu i jego powolne, podkreślane piłki sprawiały przeciwnikom sporo kłopotu. - Pytanie, czy wygrywamy wojnę?

- Niestety, znów cholernie niedobre wiadomości. - Jeszcze nie odbyła się poranna odprawa, lecz Bogge'owi zawsze najpierw ustnie przekazywano wszelkie informacje. - Oczekiwaliśmy, że Rommel zaatakuje Linie Ghazalską rzucając na nią wszystkie siły. Ale powinniśmy wiedzieć, że ten facet nigdy nie prowadzi walki we właściwy sposób. Otoczył naszą południową flankę, zajął główną kwaterę Siódmej Pancerniej i wziął do niewoli generała Messervy.

Opowieść brzmiała w przygnębiający sposób znajomo, Vandam nagle poczuł się znużony.

- Co za jatki - rzucił.

- Na szczęście nie udało mu się przebić na wybrzeże i dzięki temu dywizje na Linii Ghazalskiej nie zostały odcięte. Ale...

- Ale kiedy go powstrzymamy?

- Nie uda mu się przebić o wiele dalej. - Uwaga była idiotyczna. Bogge po prostu nie chciał się wdawać w krytykowanie generałów. - Z czym pan przychodzi?

Vandam podał mu raport o wydarzeniu w Asjut.

- Chciałbym się tym sam zająć.

Bogge przeczytał raport, podniósł po chwili wzrok, wyraz twarzy miał nieodgadniony.

- Nie rozumiem dlaczego.

- Wygląda to na morderstwo demaskatora.

- Co?

- Motyw morderstwa nie jest znany, opieram się więc na spekulacjach - wyjaśnił Vandam. - Jedno jest prawdopodobne: Europejczyk na szosie nie był tym, za kogo się podawał, kapral to odkrył, został więc przez tamtego zamordowany.

- Nie był tym, za kogo się podawał... myśli pan, że to był szpieg? - Bogge się zaśmiał.

- Jak pan sobie wyobraża, że on się dostał do Asjut, na spadochronie? A może przyszedł sobie spacerkiem?

Tłumaczenie czegokolwiek Bogge'owi to rzecz kłopotliwa, pomyślał Vandam: on zawsze musi wykpić każdy pomysł, jakby usprawiedliwiając się, że jemu nie przyszedł do głowy. - Mały samolot może przecież się przemknąć nie zauważony. Można też przejść przez pustynię.

Bogge cisnął raportem aż na drugą stronę swojego ogromnego biurka. - Mało prawdopodobne, moim zdaniem - powiedział. - Niech pan nie traci na to czasu.

- Tak jest, panie pułkowniku. - Vandam podniósł raport z podłogi, tłumiąc znajome uczucie rozgoryczenia i gniewu. Rozmowy z Bogge'em zawsze zmieniały się w rozgrywkę na punkty i rzeczą najmądrzejszą było nie grać. - Poproszę policję, żeby nas informowała o swoich działaniach, przesyłała nam odpisy meldunków i tak dalej, żebyśmy dołączyli je do akt.

- Dobrze. - Bogge nigdy nie miał nic przeciwko temu, by skłaniano innych do przysyłania odpisów meldunków do akt. Dawało mu to możliwość wtrącania się do różnych spraw, ale bez ponoszenia za nie odpowiedzialności. - Może by zorganizować jakiś mały trening krykietowy, majorze? Zauważyłem wczoraj, że mają tu siatki i inne utensylia. Chciałbym doszlifować formę naszego zespołu i rozegrać jeszcze kilka meczów.

- Dobry pomysł.

- Niech pan się zorientuje, czy da się coś zrobić, majorze.

- Tak jest, panie pułkowniku. - Vandam wyszedł.

W drodze powrotnej do swojego biura zastanawiał się, co się to dzieje z dowództwem armii brytyjskiej, że może ono awansować do stopnia podpułkownika taki zakuty łeb jak Reggie Bogge. Ojciec Vandama, kapral w czasie pierwszej wojny światowej, lubił powtarzać, że żołnierze brytyjscy to były "lwy pod komendą osłów". Niekiedy Vandam myślał, że to wciąż prawda. Bogge jednak nie jest tylko tępy. Czasami podejmował niewłaściwe decyzje, bo nie był na tyle mądry, by podjąć mądre, ale przeważnie, jak się wydawało Vandamowi, Bogge podejmował niewłaściwą decyzję, bo grał w coś innego, robił z siebie kogoś lepszego, albo usiłował patrzeć na wszystko z góry czy coś w tym guście. Vandam nie wiedział, co to miało być.

Zasalutowała mu jakaś kobieta w białym szpitalnym fartuchu, odsalutował z roztargnieniem.

- Pan major Vandam? - zagadnęła.

Przyjrzał jej się przystanąwszy. Oglądała mecz krykietowy i przypomniał sobie teraz jej nazwisko: Abuthnot. - Dzień dobry, pani doktor. - Była wysoka, opanowana, mniej więcej w jego wieku. Wiedział, że jest chirurgiem - rzecz niezwykła jak na kobietę, nawet w czasie wojny - i ma rangę kapitana.

- Napracował się pan wczoraj - powiedziała.

Vandam się uśmiechnął. - I dzisiaj cierpię z tego powodu. Niemniej podobało mi się.

- Mnie też. - Głos miała niski, dźwięczny i sporą dozę pewności siebie. - Zobaczymy pana w piątek?

- Gdzie?

- Na przyjęciu w Unii.

- Ach. - Unia Angielsko-Egipska, klub dla znudzonych Europejczyków, podejmowała od czasu do czasu wysiłek, by usprawiedliwić swoją nazwę i urządziła przyjęcie dla egipskich gości. - Przyszedłbym z przyjemnością. O której?

- O piątej, na herbatę.

Vandama przyjęcie interesowało służbowo - przy takiej okazji do uszu Egipcjan mogły trafić wojskowe plotki, a takie plotki niekiedy zawierały informacje użyteczne dla wroga. - Przyjdę - obiecał.

- Świetnie. Zobaczymy się tam. - Odwróciła się.

- Cieszę się na to - powiedział Vandam do jej pleców. Patrzył, jak doktor Abuthnot odchodzi, zastanawiając się, co też ma pod szpitalnym fartuchem. Schludna, elegancka i opanowana kobieta - przypominała mu jego żonę.

Wszedł do swego biura. Nie zamierzał urządzać treningu krykietowego ani też zapomnieć o morderstwie w Asjut. Niech diabli wezmą Bogge'a, a on weźmie się do roboty.

Najpierw zadzwonił raz jeszcze do kapitana Newmana i powiedział mu, żeby dopilnował możliwie jak najszerzego rozkolportowania rysopisu Alexa Wolffa.

Zatelefonował na policję i upewnił się, że Egipcjanie jeszcze dzisiaj sprawdzą kairskie hotele i domy noclegowe.

Skontaktował się ze Strażą Terenową, jednostką przedwojennej Ochrony Kanału, i poprosił, żeby przez kilka dni nasilono kontrolę dokumentów na ulicach miasta.

Zalecił brytyjskiemu skarbnikowi generalnemu zwracanie szczególnej uwagi na fałszywą walutę.

Polecił, żeby nasłuch radiowy nastawił się na wyłapanie nowego lokalnego nadajnika; i przez chwilę rozmyślał, jak bardzo by się przydało, żeby mądrale rozwiązały problem lokalizacji nadajnika przez monitorowanie jego sygnałów.

Wreszcie poinstruował sierżanta ze swojego personelu, żeby odwiedził wszystkie sklepy radiowe w Dolnym Egipcie - nie było ich zbyt wiele - i kazał właścicielom meldować o sprzedaży części lub wyposażenia, których można było użyć do budowy albo naprawy nadajnika.

Następnie udał się do Villa les Oliviers.

Dom ten zawdzięczał swoją nazwę małemu parkowi po drugiej stronie ulicy, w którym kwitły teraz drzewa oliwne, obsypując białymi płatkami niczym pyłem suchą, zbrązowiałą trawę.

Dom otoczony był wysokim murem i wchodziło się do niego przez masywną, rzeźbioną drewnianą bramę. Vandam przelazł przez nią, wykorzystując ozdobne wycięcia jako podpórki pod stopy, i zeskoczył po drugiej stronie na duży dziedziniec. Ściany wokół niego, pomalowane na biało, były usmarowane i brudne, okna zaślepione łuszczącymi się żaluzjami. Vandam poszedł na środek dziedzińca i obejrzał kamienną fontannę. Jasnozielona jaszczurka śmignęła przez jej suchą czaszę.

Nikt tu nie mieszkał przynajmniej od roku.

Vandam podciągnął żaluzję, wybił szybę, przełożył przez nią rękę, otworzył okno i przesadziwszy parapet znalazł się wewnątrz.

Nie sprawia wrażenia domu Europejczyka, pomyślał przechodząc przez ciemne, chłodne pokoje. Nie dostrzegł na ścianach litografii ze scenami z polowań, wyrównanych rzędów powieści Agaty Christie i Dennisa Wheatleya w kolorowych okładkach, trzyczęściowych kompletów sprowadzonych z domu meblowego Maple's lub od Harrodsa.

Zamiast tego pełno było wielkich pufów i niskich stolików, ręcznie robionych dywanów na podłogach i kilimów na ścianach.

Na piętrze znalazł zamknięte drzwi. Otwarcie ich kopniakami zabrało mu jakieś trzy, cztery minuty. Za nimi znajdował się gabinet.

Był czysty i schludny, umeblowany nielicznymi raczej luksusowymi sprzętami: szeroka, niska otomana wyściełana aksamitem, ręcznie rzeźbiony stolik do kawy, trzy odpowiednio dobrane antyczne lampy, niedźwiedzie futro na podłodze, pięknie intarsjowane biurko i skórzany fotel.

Na biurku stał telefon, leżał czysty biały bibularz i pióro o ręczce z kości słoniowej, był tam też wyschnięty kałamarz. W szufladzie biurka Vandam znalazł sprawozdania spółki handlowej ze Szwajcarii, Niemiec i Stanów Zjednoczonych. Na małym stoliku kurz pokrywał wykwinny komplet przyborów do kawy z repusowanej miedzi. Na półce za biurkiem stały książki w kilku językach: dziewiętnastowieczne powieści francuskie, Skrócony Słownik Oksfordzki, tomik, zdaniem Vandama, arabskich wierszy, z pikantnymi ilustracjami, i Biblia po niemiecku.

Nie było żadnych dokumentów osobistych.

Nie było żadnych listów.

W całym domu nie było ani jednej fotografii.

Vandam siadł na miękkim, skórzanym fotelu za biurkiem i rozejrzał się po pokoju. Był to pokój męski, siedziba kosmopolitycznego intelektualisty, człowieka z jednej strony ostrożnego, dokładnego i porządnego, a z drugiej wrażliwego i zmysłowego.

To Vandama zaintrygowało.

Europejskie nazwisko i całkowicie arabski dom. Broszura o inwestowaniu w maszyny biurowe, tomik arabskich wierszy. Antyczny dzbanek do kawy i nowoczesny telefon. Mnóstwo informacji o usposobieniu, za to brak najmniejszej wskazówki, która mogłaby pomóc odnaleźć właściciela.

Pokój starannie wyczyszczono.

Powinny tu być wyciągi z konta bankowego, rachunki ze sklepów, metryka urodzenia i testament, listy od kochanki i fotografie rodziców lub dzieci. Ten człowiek zebrał to wszystko i usunął stąd, nie pozostawiając śladu swojej tożsamości, jakby wiedział, że pewnego dnia przyjdzie tu ktoś i będzie go szukał.

Vandam powiedział na głos: - Kim ty jesteś, Alexie Wolffe?

Podniósł się z fotela i wyszedł z gabinetu. Przeszedł przez dom, potem przez rozpalony, zakurzony dziedziniec. Przelazł ponownie przez bramę i zeskoczył na ulicę. Po

drugiej stronie w cieniu drzew oliwnych siedział na ziemi, po turecku, jakiś Arab w galabii w zielone paski i obserwował Vandama bez zainteresowania. Vandam nie odczuwał potrzeby wyjaśniania, że włamał się do tego domu służbowo - w tym mieście mundur brytyjskiego oficera stanowił wystarczające usprawiedliwienie takiego drobiazgu. Myślał o innych źródłach, w których mógłby znaleźć informacje o właścicielu tego domu - rejestry miejskie, okoliczni kupcy, zaopatrujący dom, wtedy kiedy był zamieszkany, nawet sąsiedzi. Oddeleguje do tego dwóch swoich ludzi, a Bogge'owi dla zamydlenia oczu opowie jakąś historyjkę. Wskoczył na motocykl i jednym kopnięciem go zapalił. Silnik ryknął ochoczo i Vandam odjechał.

Wolff zły i zdesperowany, siedział pod swoim domem i patrzył na odjeżdżającego brytyjskiego oficera.

Pamiętał ten dom z czasów swego dzieciństwa, dom pełen gwaru rozmów i śmiechu, i życia. Tu przy wielkiej rzeźbionej bramie zawsze był strażnik - ciemnoskóry olbrzym z południa - siedział na ziemi, niewrażliwy na upał. Każdego ranka święty mąż, stary i niemal ślepy, recytował na dziedzińcu rozdział z Koranu. W chłodzie krużganka otaczającego z trzech stron dziedziniec mężczyźni z rodziny zasiadali na niskich otomanach i palili nargile, a chłopcy służebni przynosili im kawę w dzbankach o długich szyjkach. Inny ciemnoskóry strażnik stał przy drzwiach do haremu, za którymi coraz bardziej się nudziły i tyły kobiety. Dni były długie i gorące, rodzina bogata, a dzieci rozpieszczano.

Oficer brytyjski, w swoich szortach i na motocyklu, jego arogancka twarz i wścibskie oczy ukryte w cieniu wojskowej czapki z daszkiem - wszystko to oznaczało wdarcie się tutaj i naruszenie dzieciństwa Wolffa. Żałował, że nie mógł dojrzeć twarzy tego człowieka, bo pewnego dnia zamierza go zabić.

Podczas całej wyprawy myślał o tym miejscu. W Berlinie i w Trypolisie, i w El Agela, w męce i trudzie przeprawy przez pustynię, w strachu i pośpiechu ucieczki z Asjut dom ten oznaczał dla niego bezpieczną przystań, miejsce, gdzie na końcu podróży będzie mógł odpocząć, obmyć się i wrócić znowu do formy. Nie mógł się doczekać momentu, kiedy legnie w wannie, będzie popijać kawę na dziedzińcu i sprowadzi kobiety do wielkiego łóża.

Teraz będzie musiał odejść i trzymać się jak najdalej stąd.

Cały ranek spędził pod gołym niebem, na zmianę chodząc ulicami i przesiadując pod drzewami oliwnymi, na wszelki wypadek - gdyby kapitan Newman zapamiętał ten adres i posłał kogoś, żeby przeszukał dom - zawczasu sprawił sobie na suku galabiję wiedząc, że jeśli ktoś przyjdzie, będzie szukał Europejczyka, nie Araba.

Popęłnił błąd pokazując swoje prawdziwe dokumenty. Teraz po szkodziu to widział. Tylko że nie dowierzał fałszywym papierom, których dostarczała Abwehra. Od innych szpiegów, których spotykał i z którymi pracował, słyszał niejedną okropną historię o kardynalnych i oczywistych bykach trafiających się w dokumentach przygotowywanych przez wywiad niemiecki: spartolony druk, tandetny papier, a nawet błędy ortograficzne w potocznych angielskich słowach. W szkole szpiegowskiej, do której go posłano na kurs szyfrów radiowych, krążyła pogłoska, że każdy policjant w Anglii zna pewne numery kartek żywnościowych określające ich właściciela jako niemieckiego szpiega.

Wolff rozważył obie możliwości i wybrał tę, która wydawała mu się mniej ryzykowna. Nie miał racji, a teraz na dodatek nie miał dokąd pójść.

Wstał, podniósł swoje walizy i ruszył przed siebie.

Pomyślał o rodzinie. Matka i ojczym nie żyją, ale w Kairze mieszkało jego rodzeństwo przyrodnie: trzech braci i jedna siostra. Lecz im trudno byłoby go ukryć. Będą ich przesłuchiwać, jak tylko Brytyjczycy stwierdzą, kto jest właścicielem willi, a może się to stać już dzisiaj. I choć rodzeństwo mogłoby kłamać, mając go na względzie, ich służba z pewnością wszystko by wyśpiewała. W gruncie rzeczy zresztą nie może im w pełni ufać, bo kiedy umarł ojczym, on, jako najstarszy syn, dostał dom i jeszcze udział w dziedzictwie, choć jest Europejczykiem i synem adoptowanym, nie prawdziwym. Były kwasy i spotkania z adwokatami; Alex nie dał się jednak zmiękczyć, czego rodzeństwo przyrodnie nigdy mu nie darowało.

Rozwagał ewentualność zamieszkania w hotelu Shepharda. Na nieszczęście policja z pewnością też o tym pomyśli. Hotel będzie już teraz dysponował rysopisem mordercy z Asjut. Inne wielkie hotele wkrótce go dostaną. Pozostają zatem pensjonaty. Czy je ostrzeżono, zależy od tego, jak dalece dokładna zechce być policja. W sprawę wplątani są Anglicy, policja więc mogła czuć się zobowiązana do dokładności. Mimo wszystko jednak zarządzający w małych pensjonatach bywają często zbyt zajęci na to, by zawracać sobie głowę wścibskimi policjantami.

Opuścił Garden City kierując się do centrum. Ulice wydały mu się jeszcze ruchliwsze i głośniejsze niż wtedy gdy wyjeżdżał do Kairu. Mnóstwo było teraz wojskowych w mundurach - nie tylko Brytyjczycy, lecz także Australijczycy, Nowozelandczycy, Polacy, Jugosłowianie, Palestyńczycy, Indusi i Grecy. Szczupłe ruchliwe Egipcjanki, w bawełnianych sukienkach i obwieszone biżuterią, rywalizowały z powodzeniem z czerwoniczymi, przygnębionymi Europejkami. Mniej starszych kobiet, jak się wydawało Woffowi, nosiło tradycyjne czarne szaty i czarczafy. Mężczyźni wciąż witali się w ten sam wylewny sposób - wyrzucając w bok prawe ręce, zanim z głośnym plaśnięciem je połączyli, potrząsając sobie dłońmi co najmniej przez minutę lub dwie, jednocześnie lewą ręką chwytając ramię tego drugiego i gadając jak najęci. Roilo się też od żebraków i handlarzy ulicznych, wykorzystujących napływ naiwnych Europejczyków. Woffowi w galabii nie zagrażali, ale cudzoziemców oblegały kaleki, kobiety z dziećmi obsiedzianymi przez muchy, pucybuci i mężczyźni sprzedający wszystko, od używanych żyletek do olbrzymich wiecznych piór, które miały zapas atramentu rzekomo na sześć miesięcy.

Komunikacja była gorsza. Powolne, pełne robactwa tramwaje zapchane jeszcze bardziej niż przedtem, z pasażerami uczeplonymi niebezpiecznie na zewnątrz, na stopniu stłoczonymi w kabinie motorniczego i siedzącymi po turecku na dachu. Nie lepiej prezentowały się autobusy i taksówki. Najwidoczniej brakowało części zamiennych, bo bardzo wiele pojazdów miało wybite szyby, opony bez powietrza i usterki w silnikach, jeździło bez reflektorów lub wycieraczek. Wolff widział dwie taksówki - starego morrisa i jeszcze starszego packarda - które już całkiem się zepsuły i teraz ciągnęły je osły. Jedynymi porządnymi samochodami były monstrualne amerykańskie limuzyny bogatych baszów i trafiające się rzadko przedwojenne angielskie austyny. Wśród pojazdów motorowych widziało się uwikłane w śmiertelną rywalizację konne zaprzęgi, chłopskie wózki z mułami i bydło - wielbłądy, owce i kozy - którym wjazdu do centrum zakazywało prawo, najtrudniejszy do egzekwowania przepis w egipskiej księdze ustaw.

I ten hałas - Wolff zapomniał już ten hałas.

Bez przerwy dzwoniły tramwaje. W korkach ulicznych przez cały czas trąbiły wszystkie samochody, a jak już nie miały na co trąbić, trąbiły z zasady. Woźnice i poganiacze wielbłądów, żeby się nie dać, wydzielali się na całe gardło. Z wielu sklepów i ze wszystkich kawiarni grzmiała arabska muzyka z puszczonej na pełny regulator tanich radioodbiorników. Uliczni sprzedawcy krzykliwie i nieustannie zachwalali swój towar, a przechodnie kazali im się wynosić. Psy szczekały, a nad głowami skrzeczały krążące kanie. Od czasu do czasu wszystko to zagłuszał ryk samolotu.

To moje miasto, pomyślał Wolff, tu mnie nie złapią.

Z tuzin albo i więcej znanych pensjonatów obsługiwało turystów różnych narodowości: Szwajcarów, Austriaków, Niemców, Duńczyków i Francuzów. Przyszły mu do głowy, ale odrzucił tę myśl jako zbyt oczywistą. Na koniec przypomniał sobie o tanim domu z pokojami do wynajęcia prowadzonym przez zakonnice w Bulaq, w dzielnicy portowej. Zatrzymywali się tam głównie marynarze, którzy płynęli w dół Nilu parowymi holownikami i felukami załadowanymi bawełną, węglem, papierem i kamieniem. Tam go na pewno nie obrabują, nie zarazi się ani nie zostanie zamordowany, nikt też nie wpadnie na to, żeby tam go szukać.

Kiedy opuszczał dzielnicę hoteli, ulice zrobiły się trochę mniej tłoczne, choć nie za bardzo. Nie widział samej rzeki, od czasu do czasu mignął mu tylko zza stłoczonych budynków wysoki trójkątny żagiel feluki.

Hospicjum znajdowało się w dużym zrujnowanym budynku, niegdyś rezydencji jakiegoś paszy. Teraz nad wejściem wisiał krzyż z brązu. Zakonnica w czarnym habicie

podlewała niewielką rabatkę kwiatów przed budynkiem. Za bramą Wolff widział chłodną cichą sień. Przewędrował dzisiaj parę dobrych kilometrów z ciężkimi walizami - toteż nie mógł się doczekać odpoczynku.

Z hospicjum wyszło dwóch egipskich policjantów.

Wolff dostrzegł w mgnieniu oka szerokie skórzane pasy, nieuniknione okulary słoneczne, ostrzyżone po wojskowemu czupryny i serce mu zamarło. Odwrócił się do nich tyłem i zwrócił się po francusku do zakonnicy w ogródku: - dzień dobry, siostro.

Oderwała się od polewania i uśmiechnęła się do niego. - Dzień dobry. - Była zdumiewająco młoda. - Potrzebuje pan pokoju?

- Pokoju nie, tylko błogosławieństwa.

Dwaj policjanci się zbliżali. Wolff w napięciu przygotowywał sobie odpowiedź, na wypadek gdyby go zagadnęli, i rozważał, w którą stronę ma się rzucić, jeśli przyjdzie mu uciekać. Policjanci jednak przeszli obok, rozprawiając o wyścigach konnych.

- Niech Bóg błogosławi - powiedziała zakonnica.

Podziękował jej i ruszył w dalszą drogę. Było gorzej niż przewidywał. Policja szuka go chyba wszędzie. Stopy miał już obolałe, bolały go też ręce od dźwigania waliz. Czuł się zawiedziony i trochę oburzony, bo w tym mieście zazwyczaj wszystko było czystym przypadkiem, a tymczasem wygląda na to, że policja prowadzi właśnie przeciwko niemu skuteczną operację. Zgarbił się ruszając znowu w stronę centrum. Zaczynał się czuć tak jak wtedy na pustyni, jakby szedł i szedł i donikąd nie dochodził.

Z oddali dojrzał znaną mu wysoką postać: Hussein Fahmy, przyjaciel ze szkolnej ławy. Na moment to go poraziło. Hussein na pewno by go przyjął i nawet można mu zaufać, miał jednak żonę i troje dzieci, a jak by im wytłumaczył, że wuj Achmed będzie u nich mieszkać, ale to tajemnica i nie wolno dzieciom wspominać jego imienia przy kolegach... Jak zresztą Wolff wytłumaczyłby to wszystko samemu Husseinowi? Hussein spojrzał w jego kierunku, więc odwrócił się szybko, przeszedł przez jezdnię i popędził ukryć się za tramwaj. Znalazszy się na przeciwległym chodniku, skręcił szybko w zaułek nie oglądając się za siebie. Nie, nie mógł szukać schronienia u dawnego przyjaciela szkolnego.

Z zaułka wychynął na inną ulicę i zorientował się, że znajduje się w pobliżu Szkoły Niemieckiej. Ciekaw był, czy jest wciąż czynna, bo wielu obywateli niemieckich internowano. Poszedł w jej stronę, ale wtedy ujrzał przed budynkiem patrol Straży Terenowej sprawdzający dokumenty przechodniów. Zawrócił szybko i poszedł z powrotem tą samą drogą.

Musi zniknąć z ulic.

Czuł się jak szczur w labiryncie - gdziekolwiek się zwrócił, wszędzie go blokowano. Zobaczył taksówkę, dużego starego forda buchającego parą spod maski. Przywołał ją i wskoczył do auta. Podał szoferowi adres i samochód szarpnął ruszając na trzecim biegu, najwidoczniej jedynym, który działał. Po drodze zatrzymywali się dwukrotnie, żeby uzupełnić wodę gotującą się w chłodnicy. Wolff kulił się na tylnym siedzeniu próbując ukryć swoją twarz.

Taksówka zawiozła go do Koptyjskiego Kairu - starożytnego getta chrześcijańskiego.

Zapłacił taksówkarzowi i zszedł schodami do wejścia. Dał kilka piastrów starej kobiecie, która trzymała wielki drewniany klucz, i ta go wpuściła.

Była to wyspa ciemności i ciszy na wzburzonym morzu Kairu. Wolff szedł jej wąskimi uliczkami, ledwo słysząc przyciszone śpiewy dolatujące ze starodawnych kościołów. Minął szkołę i synagogę, i piwnicę, do której Maria miała przynieść Dzieciątko Jezus. Wreszcie wszedł do najmniejszego z pięciu kościołów.

Nabożeństwo właśnie się rozpoczynało. Postawił swoje cenne walizy obok ławki. Skłonił się obrazom świętych na ścianie, po czym podszedł do ołtarza, ukląkł i ucałował dłoń księdza. Następnie wrócił do ławki i siadł.

Chór zaczął śpiewać ustęp z Pisma Świętego po arabsku. Wolff usadowił się wygodnie. Będzie tu bezpieczny. A kiedy zapadną ciemności, spróbuje swojej ostatniej szansy.

Duży nocny lokal pod gołym niebem w ogrodzie nad rzeką nazywał się "Cha-Cha". Tłoczno tu było jak zwykle. Wolff czekał w kolejce wraz z brytyjskimi oficerami i ich dziewczynami, podczas gdy ustawiono dodatkowe stoły na kozłach na każdym wolnym calu przestrzeni. Komik na scenie powiedział właśnie: - Poczekajmy, aż Rommel dostanie się do hotelu Shepharda, to go zatrzyma na dobre.

W końcu Wolff dostał stolik i butelkę szampana. Wieczór był gorący, a światła ze sceny pogarszały jeszcze upał. Widzowie zachowywali się awanturniczo - odczuwali pragnienie, tymczasem podawano jedynie szampana, szybko więc się upijali. Zaczęli głośno domagać się gwiazdy przedstawienia. Soni el-Aram.

Najpierw musieli słuchać grubej Greczynki i jej piosenek "Ujrzę cię w swoich snach" i "Nie mam nikogo" (ta ich rozbawiła). Potem zapowiedziano Sonię. Nie pojawiła się jednak od razu. Widownia robiła się coraz głośniejsza i bardziej niecierpliwa, w miarę jak upływały minuty. Wreszcie, kiedy widzowie już bliscy byli wybuchu, rozległ się grzmot bębnowy, na scenie pogasły światła i zapanowała cisza.

Kiedy zapalił się reflektor punktowy, Sonia stała nieruchomo na środku sceny wznosząc ramiona ku niebu. Miała na sobie przezroczyste spodnie i obszyty cekinami stanik, a ciało upudrowane na biało. Rozległa się muzyka - bębny i fujarka - i Sonia rozpoczęła taniec.

Wolff popijał szampana i patrzył z uśmiechem. Wciąż jest najlepsza.

Poruszyła wolno biodrami, tupnęła jedną stopą, a potem drugą. Ręce zaczęły jej drgać, potem ramiona, zatrzęsły się piersi; a teraz jej słynny brzuch zafalował hipnotycznie. Rytm uległ przyspieszeniu. Przymknęła oczy. Wydawało się, że każda część jej ciała porusza się niezależnie. Wolff miał uczucie, jak zwykle, jak każdy mężczyzna na widowni, że przebywa z nią sam na sam, a popis przeznaczony jest właśnie dla niego, że nie chodzi o występ ani o numer z czarodziejskiej krainy rozrywki, lecz że zmysłowe ruchy Soni są impulsywne, porusza się, bo musi, a w seksualny szal wprawia ją jej własne zmysłowe ciało. Widzowie siedzieli napięci, cisi, spoceni, zahipnotyzowani. Ona poruszała się coraz szybciej, jakby w uniesieniu. Muzyka osiągnęła kulminację i urwała się nagle. W następnym ciszy Sonia wydała krótki, ostry krzyk, po czym padała do tyłu, z nogami ugiętymi, rozwartymi kolanami, aż jej głowa wreszcie dotknęła desek sceny. Trwała w tej pozycji przez chwilę, potem światła zgasły. Widzowie zerwali się na nogi bijąc brawo.

Światła się zapaliły, ale Sonia zniknęła.

Nigdy nie bisowała.

Wolff wstał ze swego miejsca. Dał kelnerowi funta - trzymiesięczne zarobki dla większości Egipcjan - żeby zaprowadził go za kulisy. Kelner wskazał mu drzwi do garderoby Soni i ulotnił się.

Wolff zapukał do drzwi.

- Kto tam?

Wszedł.

Siedziała na stołku, w jedwabnej sukni, i zmywała makijaż. Ujrzała go w lustrze i okręciła się na stołku, by znaleźć się twarzą do niego.

- Cześć, Soniu - powiedział Wolff.

Patrzyła na niego. Po dłuższej chwili powiedziała:

- Ty skurwielu.

Nie zmieniła się wcale.

Była ładną kobietą. Miała błyszczące czarne włosy, długie i gęste, duże, lekko wypukłe brązowe oczy o długich rzęsach, wydatne kości policzkowe, które ratowały jej twarz przed okrągłością i nadawały właściwy kształt, filuterny nosek, pełen wdzięku i

arogancji, pełne wargi, równe białe zęby. Całe jej ciało obfitowało w łagodne krzywizny, ale była o dobrych paręnaście centymetrów wyższa od przeciętnej kobiety, toteż nie sprawiała wrażenia pulchnej.

Jej oczy pałały gniewem.

- Co tu robisz? Dokąd pojechałeś? Co się stało z twoją twarzą?

Wolff postawił swoje walizy i siadł na otomanie. Podniósł ku niej wzrok. Stała z rękami na biodrach, wysuniętą do przodu brodą, piersi rysowały jej się pod zielonym jedwabiem.

- Jesteś piękna - rzekł.

- Wynoś się stąd.

Przyglądał jej się z uwagą. Znał Sonię zbyt dobrze, by ją lubić czy też nie lubić. Była częścią jego przeszłości, jak stary przyjaciel, który pozostaje przyjacielem niezależnie od swych wad, po prostu dlatego że zawsze jest pod ręką. Ciekaw był, co się z nią działo, od kiedy wyjechał z Kairu. Może wyszła za męża, sprawiła sobie dom, zakochała się, zmieniła menedżera, urodziła dziecko? Tego popołudnia w chłodnym, przyciemnionym kościele długo się zastanawiał, jak ma do niej podejść, nie doszedł jednak do żadnej konkluzji, bo nie wiedział, jak ona się zachowa. Wciąż nie był tego pewien. Wyglądała na złą i pełną pogardy, ale czy naprawdę taka była? Czy miał być uroczy i wesoły, czy też agresywny i despotyczny, a może bezradny i proszący?

- Potrzebna mi pomoc - przyznał się spokojnie.

Twarz jej się nie zmieniła.

- Szukają mnie Brytyjczycy - ciągnął. - Obserwują mój dom i wszystkim hotelom dano mój rysopis. Nie mam gdzie spać. Chciałbym zamieszkać u ciebie.

- Idź do diabła - poradziła.

- Pozwól mi wytłumaczyć, dlaczego cię zostawiłem.

- Po dwóch latach żadne tłumaczenie nie przyda się na nic.

- Daj mi minutę na wyjaśnienie. Ze względu na... to wszystko.

- Nic ci nie jestem winna. - Patrzyła na niego dłużej, rozgniewana, po czym otworzyła drzwi. Pomyślał, że zamierza go wyrzucić. Obserwował jej twarz, kiedy spoglądała na niego przytrzymując drzwi. Potem wysadziła głowę na zewnątrz i krzyknęła:

- Niech ktoś przyniesie mi drinka!

Wolff nieco się uspokoił.

Sonia cofnęła się do garderoby i zamknęła drzwi.

- Tylko minutę - powiedziała do niego.

- Czy zamierzasz stać nade mną jak strażnik więzienny? Nie jestem niebezpieczny. -
Uśmiechnął się.

- O tak, jesteś - rzekła, ale wróciła na stół i zabrała się znowu do zmywania makijażu.

Wahał się. Następnym problemem, nad jakim rozmyślał podczas tego długiego popołudnia w koptyjskim kościele, było to, jak ma wytłumaczyć, dlaczego zostawił ją bez pożegnania i od tej pory nigdy się z nią nie skontaktował. Nic nie mogło być bardziej przekonujące niż prawda. I choć nie miał najmniejszej ochoty zdradzać swego sekretu, musiał jej to powiedzieć, był bowiem w rozpacz, a ona stanowiła jego jedyną nadzieję.

- Pamiętasz, jak pojechałem do Bejrutu w trzydziestym ósmym roku? - spytał.

- Nie.

- Przywiozłem ci stamtąd nefrytową bransoletę.

Oczy Soni spotkały się z jego oczami w lustrze. - Już jej nie mam.

Wiedział, że kłamie. Mówił dalej: - Pojechałem tam na spotkanie z pewnym niemieckim oficerem, nazwiskiem Heinz. Zaproponował mi pracę na rzecz Niemiec w nadchodzącej wojnie. Zgodziłem się.

Odwróciła się od lustra twarzą do niego i teraz ujrzał w jej oczach jakby cień nadziei.

- Kazali mi powrócić do Kairu i czekać na wiadomość od nich. Dwa lata temu się odezwali. Chcieli, żebym przyjechał do Berlina. Pojechałem. Ukończyłem specjalne szkolenie, potem pracowałem na Bałkanach i w Lewancie. W lutym wróciłem do Berlina na odprawę w związku z nowym zadaniem. Przysłali mnie tu...

- Co ty opowiadasz? - powiedziała z niedowierzaniem. - Jesteś szpiegiem?

- Tak.

- Nie wierzę ci.

- Popatrz. - Wziął walizkę i otworzył ją. - To jest radio do przesyłania wiadomości Rommlowi. - Zamknął walizkę i otworzył następną. - A to moje finanse.

Wlepiła wzrok w równe kupki banknotów. - O Boże! - wykrzyknęła. - Przecież to majątek.

Zapukano do drzwi. Wolff zatrzasnął walizkę. Wszedł kelner z butelką szampana w kubelku z lodem. Widząc Wolffa spytał: - czy mam przynieść drugi kieliszek?

- Nie - rzuciła niecierpliwie Sonia. - Wynoś się.

Kelner wyszedł. Wolff otworzył szampana, napełnił kieliszek, podał go Soni, po czym wypił porządny haust prosto z butelki.

- Słuchaj - rzekł. - Nasza armia zwycięża na pustyni. Możemy im pomóc. Muszą znać siłę Brytyjczyków: liczbę żołnierzy, numery dywizji, nazwiska dowódców, jakość broni i uzbrojenia i, o ile to możliwe, plany bojowe. Jesteśmy tu, w Kairze, i możemy się tego dowiedzieć. A potem, kiedy Niemcy zwyciężą, to my będziemy bohaterami.

- My?

- Możesz mi pomóc. A pierwsza rzecz, jaką możesz zrobić, to dać mi schronienie. Nienawidzisz Brytyjczyków, prawda? Chciałabyś, żeby ich stąd wyrzucono?

- Zrobiłabym to dla każdego, tylko nie dla ciebie. - Dopięła jego szampana i napełniła znowu kieliszek.

Wolff wyjął go z jej ręki i wypił trunek. - Soniu, gdybym ci przysłał pocztówkę z Berlina, Brytyjczycy wpakowaliby cię do więzienia. Nie wolno ci się wściekać, teraz kiedy już wiesz, dlaczego tak postąpiłem. - Ściszył głos. - Możemy przywrócić dawne czasy. Będziemy mieli smakołyki i najlepszy szampan, nowe ubrania i wspaniałe przyjęcia, no i amerykański samochód. Pojedziemy do Berlina, zawsze przecież chciałaś tańczyć w Berlinie, będziesz tam gwiazdą. Niemcy to nowa nacja, będziemy panować nad światem, a ty zostaniesz księżniczką. My... - przerwał. Nic z tego nie trafiło do niej. Nadszedł czas na zagranie ostatniej karty. - A jak tam Fawzi?

Sonia spuściła wzrok. - Odeszła, dziwka.

Wolff odstawił kieliszek, po czym objął obiema rękami szyję Soni. Podniosła ku niemu oczy, niewzruszona. Zmusił ją do wstania, wbijając jej kciuki pod brodę. - Znajdę dla nas drugą Fawzi - powiedział miękko. Dostrzegł, że oczy Soni nagle zwilgotniały. Jego ręce zsunęły się po jedwabiu sukni, w dół ciała, głaszcząc pośladki. - Jestem jedynym człowiekiem, który wie, czego ci trzeba. - Poszukał ustami jej ust, ujął między zęby wargę i przygryzał ją tak długo, dopóki nie poczuł smaku krwi.

Sonia przymknęła oczy. - Nienawidzę cię - jęknęła.

Wolff szedł po chłodzie wieczora ścieżką holowniczą na brzegu Nilu w stronę łodzi mieszkalnej. Rany zniknęły z jego twarzy, kiszki też pracowały normalnie. Miał na sobie nowe białe ubranie i dźwigał dwie torby pełne ulubionych przysmaków.

Na podmiejskiej wyspie Zamalek panowała cisza i spokój. Chrapliwy zgiełk śródmieścia Kairu ledwie tu dochodził przez rozległą połąć wody. Spokojna mulista rzeka chlupotała delikatnie o łodzie mieszkalne zakotwiczone wzdłuż nadbrzeża. Łodzie, najróżniejszych kształtów i wielkości, pomalowane na wesołe kolory i luksusowo wyposażone, wyglądały ładnie w świetle późnego zachodu.

Łódź Soni była mniejsza i wykwintniej umeblowana od większości z nich. Ze ścieżki wchodziło się trapez na górny pokład, nie osłonięty przed bryzą, ale ocieniony przed słońcem przez baldachim w zielono-białe pasy. Wolff wszedł na pokład i opuścił się po schodkach na dół. Wnętrze zapchane było meblami: fotele i otomany, i stoliki, i szafki pełne bibelotów. Na rufie urządzono małą kuchenkę. Zasłony z brązowego aksamitu od sufitu do podłogi oddzielały od reszty pomieszczenia sypialni. Za nią na dziobie była łazienka.

Sonia siedziała na pufie i malowała sobie paznokcie u nóg. To wprost nie do wiary, jak ona niechlujnie potrafi wyglądać, pomyślał Wolff. Ubrana w brudną bawełnianą kiecę, o twarzy mizernej, o włosach nie uczesanych. Za pół godziny, kiedy będzie wychodzić do klubu "Cha-Cha", wyglądać będzie jak marzenie.

Postawił torby na stoliku i zaczął wyjmować przysmaki. - Francuski szampan... angielski dżem pomarańczowy... niemiecka kiełbasa... przepiórcze jajka... szkocki łosoś...

Sonia ze zdziwieniem uniosła głowę. - Nikomu nie uda się zdobyć czegoś takiego, jest przecież wojna.

Wolff się uśmiechnął. - W Qulali jest pewien mały grecki sklepik spożywczy, gdzie pamiętają dobrego klienta.

- Jesteś pewien tego sklepikarza?

- On nie wie gdzie mieszkam, a ponadto ten sklep to jedyne miejsce w Afryce Północnej, gdzie możesz dostać kawior.

Podeszła i zanurzyła ręce w torbie. - Kawior! - zdjęła wieczko ze słoika i zaczęła jeść palcami. - Nie próbowałam kawioru od...

- ...od kiedy wyjechałem - dokończył Wolff. Wstawił butelkę szampana do lodówki. - Jeśli poczekaś parę minut, będziesz mogła popijać go chłodnym szampanem.

- Nie mogę czekać.

- Ty nigdy nie możesz. - Wyjął angielskojęzyczną gazetę z jednej z toreb i zaczął ją przeglądać. Był to obrzydliwy dziennik: pełen komunikatów prasowych, wiadomości wojenne cenzurowano tu bardziej niż wiadomości w dzienniku BBC, którego wszyscy słuchali, a serwis lokalny miał nawet jeszcze gorszy - nie wolno było drukować przemówień polityków oficjalnej egipskiej opozycji. - Wciąż nie ma tu nic o mnie - orzekł. Powiedział Soni, co się wydarzyło w Asjut.

- Oni zawsze spóźniają się z nowinami - skonstatowała, mając usta pełne kawioru.

- Nie w tym rzecz. Jeśli podadzą wiadomość o morderstwie, to muszą napisać, jaki był jego motyw, bo jeśli tego nie zrobią, ludzie zaczną snuć domysły. Brytyjczycy nie chcą,

by ludzie podejrzewali, że Niemcy mają w Egipcie swoich szpiegów. To wyglądałoby niedobrze.

Poszła się przebrać do sypialni. Zza zasłony zawołała:

- Czy to znaczy, że przestali cię szukać?

- Nie. Widziałem się na suku z Abdullahem. Mówi, że policja egipska nie jest naprawdę zainteresowana poszukiwaniami, ale niejaki major Vandam wywiera na nią presję. - Wolff odłożył gazetę, zachmurzony. Chciałby wiedzieć, czy to Vandam był tym oficerem, który włamał się do Villa les Oliviers. Szkoda, że nie mógł mu się dobrze przyjrzeć, ale twarz oficera, widziana z drugiej strony ulicy i ocieniona czapką z daszkiem, była nie do rozpoznania.

- Skąd Abdullah to wie? - zapytała Sonia.

- Nie mam pojęcia. - Wolff wzruszył ramionami. - Jest złodziejem, więc słyszy to i owo. - Podszedł do lodówki i wyjął butelkę. Szampan nie był jeszcze właściwie wychłodzony, ale on miał pragnienie. Nalał do dwu kieliszków. Pojawiła się Sonia, już ubrana. Jak to przewidział, była jak odmieniona, nienagannie uczesana, lekki, umiejętny makijaż, połyskliwa suknia w kolorze wiśni i wiśniowe pantofle.

W kilka minut później rozległy się na trapie kroki i pukanie w luk. Przyjechała taksówka po Sonię. Wysączyła szampana z kieliszka i odeszła. Nie powiedzieli sobie "do widzenia" ani "cześć".

Wolff podszedł do szafy, w której ukrył radio. Wyjął angielską powieść i arkusz papieru z kluczem do szyfru. Przez chwilę go studiował. Dzisiaj mamy 28 maja. Musi dodać 42 - obecny rok - do 28, i będzie miał numer strony powieści, którą ma się posłużyć przy zaszyfrowaniu swojego meldunku. Maj to piąty miesiąc, a więc każda piąta litera na tej stronie zostanie odliczona.

Zdecydował się nadać: Dotarłem, Melduję Się. Potwierdzić. Szukał, zaczynając od góry stronicy siedemdziesiątej, litery D. Była dziesiąta po odliczeniu każdej piątej litery. W szyfrze będzie więc ją reprezentowała dziesiąta litera alfabetu czyli J. Teraz potrzebował O. W książce O było trzecią literą po D. O w Dotarłem będzie więc reprezentować trzecia litera alfabetu, czyli C. Przewidziano specjalne sposoby postępowania w przypadkach rzadkich liter, takich jak X.

Ten szyfr był wariantem kodu jednorazowego, jedyne go typu szyfru, który teoretycznie i praktycznie jest nie do złamania. By rozszyfrować wiadomość, odbierający musi mieć obie rzeczy: książkę i klucz.

Zaszyfrował swój meldunek, po czym spojrzął na zegarek. Powinien go nadać o północy. Miał zatem kilka godzin, zanim będzie musiał uruchomić nadajnik. Nalał sobie znowu szampana i postanowił dojeść kawior. Znalazł łyżkę i wziął słoik. Okazał się pusty. Sonia zjadła wszystko.

Ścieżka startowa to był pas pustyni pospiesznie oczyszczony z ciernistych krzaczków i większych kamieni. Rommel patrzył w dół, kiedy ziemia zbliżała się na powitanie. Storch, lekki samolot używany przez niemieckich dowódców do krótkich wypraw na pola bitew, siadł niczym mucha o kołach umieszczonych na końcu długich, chudych przednich nóg. Samolot zatrzymał się, Rommel zeskoczył na ziemię.

Najpierw buchnęło gorąco, potem pył. Tam w górze było stosunkowo chłodno, teraz czuł się tak, jakby wszedł do pieca. Natychmiast zaczął się pocić. Kiedy wciągnął powietrze, cienka warstewka piasku oblepiła mu wargę i koniuszek języka. Mucha usiadła na jego wielkim nosie, odpędził ją ręką.

Von Mellenthin, oficer wywiadu Rommla, biegł ku niemu przez piasek, a jego wysokie buty wzbijały chmury pyłu. Wyglądał na wzburzonego. - Jest tu Kesselring - powiedział.

- Auch, das noch - rzekł Rommel. - Jeszcze tego mi brakowało.

Kesselring, uśmiechnięty feldmarszałek, reprezentował to wszystko, czego Rommel nie cierpiał w armii niemieckiej. Był oficerem sztabu generalnego, a Rommel nienawdził sztabu generalnego, był ojcem Luftwaffe, która tak często zawodziła Rommla w czasie tej wojny na pustyni; był też - rzecz najgorsza ze wszystkiego - snobem. Jedną z jego jadowitych uwag dotarła do uszu Rommla. Ubolewając nad tym, że Rommel traktuje niegrzecznie podległych mu oficerów, Kesselring powiedział: - Warto byłoby może z nim porozmawiać na ten temat, gdyby nie to, że chodzi o Wirtemberczyka. - Rommel urodził się w prowincjonalnej Wirtembergii i uwaga ta wyrażała skrótowo uprzedzenie, z którym walczył przez cały czas swojej kariery.

Ruszył ciężkim krokiem przez piasek w stronę wozu sztabowego, za nim podążył von Mellenthin.

- General Cruewell dostał się do niewoli - powiedział von Mellenthin. - Musiałem poprosić Kesselringa, żeby przyjął dowództwo. Spędził popołudnie usiłując stwierdzić, gdzie pan jest.

- Coraz gorzej - skonstatował kwaśno Rommel.

Weszli do wozu, olbrzymiego samochodu ciężarowego. Cień był pożądanym. Kesselring, pochylony nad mapą, opędył się lewą ręką od much, a prawą kreślił jakąś linię. Podniósł głowę i uśmiechnął się.

- Chwała Bogu, wrócił pan, mój drogi Rommlu - rzekł słodkim głosem.

Rommel zdjął czapkę.

- Staczałem bitwę - mruknął.

- Tak przypuszczałem. Co się przydarzyło?

Rommel wskazał mapę. - To jest Linia Ghazalska. - Był to łańcuch ufortyfikowanych ośrodków oporu osłoniętych polami minowymi, ciągnący się od wybrzeża w El-Ghazala na południe siedemdziesiąt pięć kilometrów w głąb pustyni. - Zmieniliśmy gwałtownie kierunek natarcia na południowym jej krańcu i uderzyliśmy na nich od tyłu.

- Dobry pomysł. A co poszło źle?

- Zabrakło nam benzyny i amunicji. - Rommel siadł ciężko, czując się nagle bardzo zmęczony. - Znowu - dodał. Kesselring, jako głównodowodzący (Armii Południe), odpowiadał za dostawy dla Rommla, ale wyglądało na to, że feldmarszałek nie zwrócił uwagi na zawartą w tych słowach krytykę.

Wszedł ordynans z kubkami herbaty na tacy. Rommel wypił łyk. Był w niej piasek.

- Dzisiaj po południu miałem niezwykle przeżycia przejąwszy rolę jednego z pańskich podkomendnych - rzekł lekkim tonem Kesselring.

Rommel zamruczał. Mógł przewidzieć, że dostanie mu się spora porcja sarkazmu. Nie chciał się teraz potykać z Kesselringiem, chciał myśleć o bitwie.

Kesselring mówił dalej: - Przekonałem się, że to ogromnie trudna rola, ręce ma się związane z powodu subordynacji wobec dowództwa, które nie wydaje rozkazów i którego nie można znaleźć.

- Byłem w samym sercu bitwy i wydawałem rozkazy na miejscu.

- Mimo tego mógł pan pozostać w kontakcie.

- W taki właśnie sposób walczą Brytyjczycy - warknął Rommel. - Generałowie siedzą wiele kilometrów poza linią frontu i pozostają w kontakcie. Ale to ja zwyciężam. Gdyby dostarczono to, co mi się należy, byłbym już w Kairze.

- Pan nie idzie na Kair - upomniał go ostrym tonem Kesselring. - Pan idzie na Tobruk. I tam pan zostanie, dopóki nie zdobędę Malty. Takie są rozkazy Fuhrera. - Tak jest. - Rommel nie zamierzał podejmować tego sporu, jeszcze nie. Tobruk to cel najbliższy. Jak już ten port zostanie zdobyty, konwoje z Europy, jakkolwiek niewystarczające, będą

mogły docierać bezpośrednio na linię frontu, więc odpadnie długa jazda przez pustynię, na którą trzeba tyle benzyny. - Aby dotrzeć do Tobruku, musimy przełamać linię Ghazalską.

- Jaki będzie pański następny krok?

- Zamierzam wycofać się i przegrupować. - Rommel zobaczył, że Kesselring unosi brwi ze zdumieniem; feldmarszałek wiedział, jak Rommel nie cierpi odwrotu.

- A co zrobi nieprzyjaciół? - Kesselring skierował to pytanie do von Mellenthina, który jako oficer wywiadu odpowiadał za szczegółowe rozpoznanie pozycji i planów nieprzyjaciela.

- Będą nas ścigać, choć nie od razu - odpowiedział von Mellenthin. - Nie spieszą się z wykorzystywaniem przewagi, na szczęście. Ale wcześniej czy później będą próbowali się przebić.

- Kwestia tylko, gdzie i kiedy? - wtrącił Rommel.

- Istotnie - zgodził się von Mellenthin. Zawahał się jakby, po czym dodał: - W dzisiejszych raportach jest pewien szczegół, który panów zainteresuje. Zgłosił się ten szpieg.

- Szpieg? - Rommel zmarszczył brwi. - Och, on! - Teraz już sobie przypominał. Poleciał do oazy Gialo, w głębi Pustyni Libijskiej, żeby wydać ostateczne instrukcje szpiegowi, zanim rozpocznie swój długi maraton przez pustynię. Wolff, tak się nazywał. Na Rommlu zrobiła wrażenie odwaga Wolffa, niemniej nadal pesymistycznie oceniał jego szanse. - Skąd się odezwał?

- Z Kairu.

- A więc tam dotarł. Jeśli tego potrafi dokonać, potrafi zrobić wszystko. Może zdołałby przewidzieć ten wyłom.

- Mój Boże, czyżby pan opierał się teraz na szpiegach? - wtrącił Kesselring.

- Nie opieram się na nikim! - zaprzeczył Rommel. - To na mnie jednym wszystko się opiera.

- Dobrze. - Kesselring jak zwykle nie dał się wyprowadzić z równowagi. - Informacje wywiadu nie na wiele się przydają, jak pan wie, a informacje od szpiegów to najgorszy ich rodzaj.

- Zgadza się - powiedział Rommel spokojniejszym głosem. - Mam jednak uczucie, że ten może się okazać inny.

- Wątpię - rzekł Kesselring.

Elene Fontana patrzyła na swoją twarz w lustrze i myślała: Mam dwadzieścia trzy lata. Chyba brzydnę.

Przysunęła się bliżej do lustra i przyglądała się sobie bacznie, szukając oznak brzydnienia. Cerę miała doskonałą. Jej okrągłe brązowe oczy były czyste jak górski staw. Ani jednej zmarszczki. Twarz dziewczęca, subtelnie wymodelowana, z wyrazem niewinności jak u zabłąkanego dziecka. Zachowywała się jak kolekcjoner, który ogląda najcenniejszy klejnot kolekcji: traktowała swoją twarz jak coś odrębnego, nie będącego nią samą. Uśmiechnęła się i twarz w lustrze uśmiechnęła się do niej w odpowiedzi. Był to lekki, czuły uśmiezek, z pewną dozą figlarności: zdawała sobie sprawę, że potrafi przyprawić mężczyznę o zimne poty.

Wzięła do ręki liścik i przeczytała go raz jeszcze.

czwartek

Moja droga Elene!

Obawiam się, że wszystko skończone. Moja żona się dowiedziała. Sprawa została załagodzona, ale musiałem przyrzec, że nigdy już Cię nie zobaczę. Możesz oczywiście pozostać w tym mieszkaniu, nie będę mógł jednak płacić dalej czynszu. Bardzo mi przykro, że tak się to stało; oboje jednak wiedzieliśmy, jak sędzę, że nie może to trwać wiecznie. Życzę Ci szczęścia.

twój Claud

No tak, pomyślała.

Podarła list, odrzucając jego tanie uczucia. Claud był tęgim pół-francuzem, pół-grekiem, biznesmenem, właścicielem trzech restauracji w Kairze i jednej w Aleksandrii. Kulturalny i wesoły, i grzeczny, ale kiedy doszło do zadania ostatniego ciosu, ani trochę nie troszczył się o Elene.

Był trzecim w ciągu sześciu lat.

Zaczął się od Charlesa, maklera giełdowego. Miała wtedy siedemnaście lat, była bez grosza, bez pracy i z przerażeniem myślała o powrocie do domu. Charles znalazł jej mieszkanie i odwiedzał ją w każdy wtorek wieczorem. Wyrzuciła go, kiedy podarował ją swojemu bratu, zupełnie jakby była bombonierką. Potem przyszedł Johnnie, najmilszy z całej trójki, który chciał się rozwieść ze swoją żoną i poślubić Elene - odmówiła. A teraz i Claud odszedł.

Wiedziała od początku, że nie ma na co liczyć.

Związki rozpadły się z winy obu stron. Rzekome przyczyny - brat Charlesa, oświadczyzny Johnny'ego, żona Clauda - to były tylko preteksty, a może katalizatory. Prawdziwej przyczyny należało szukać gdzie indziej: Elene nie czuła się szczęśliwa.

Rozważała możliwość następnego związku. Wiedziała z góry, jak to będzie. Przetrwaj jakiś czas czerpiąc z zaskórniaka ulokowanego w Barclays Bank w Shari Kasr-el-Nil - zawsze udawało jej się coś zaoszczędzić, kiedy miała mężczyznę. Potem, jak konto zacznie topnieć, będzie tańczyć w jakimś klubie, wywijać nogami i potrząsać tyłkiem przez kilka dni. Aż wreszcie... Popatrzyła w lustro i poprzez lustro, jej oczy zamgłyły się, kiedy wyobrażała sobie następnego kochanka. Może będzie to Włoch o zabójczym spojrzeniu, błyszczących włosach i perfekcyjnie wypielęgowanych dłoniach. Pewnie spotka go w barze hotelu Metropolitan, gdzie popijają reporterzy. Powie coś do niej, potem zaproponuje drinka. Ona uśmiechnie się do niego, a on poczuje się zagubiony. Umówią się na obiad na następny dzień. Ona olśniewając urodą, wejdzie do restauracji wsparta na jego ramieniu. Wszyscy zwrócą na nich uwagę, a on będzie pękał z dumy. Umówią się jeszcze parę razy. Zacznie dawać jej prezenty. Spróbuje się do niej zbliżyć, raz, potem drugi raz: ulegnie dopiero za trzecim. Dobrze jej będzie z nim w łóżku - intymność, pieszczota, czułości - pozwoli, by poczuł się jak król. On opuści ją o świcie, ale wróci jeszcze tego samego wieczoru. Przesną razem chodzić do restauracji - "zbyt ryzykowne", powie - ale zacznie coraz dłużej przebywać w mieszkaniu, zapłaci czynsz i inne świadczenia. Elene będzie miała wszystko, czego pragnęła: dom, pieniądze i uczucie. I wtedy zacznie się zastanawiać, dlaczego jest taka nieszczęśliwa. Zrobi mu dziką awanturę, gdy spóźni się pół godziny. Zacznie dąsać się godzinami, gdy tylko wspomni swoją żonę. Będzie narzekać, że nie daje jej już prezentów, ale gdy przyniesie jakiś podarunek, przyjmie go z nonszalancją. Zirytuje go to, ale już jej nie opuści, bo będzie tęsknił za jej skąpymi pocałunkami, pragnął jej doskonałego ciała; w łóżku będzie się nadal liczył tylko on. Rozmowa z nim stanie się nudna; pokłóćą się, bo ona zapragnie większej czułości niż jej dotąd okazywał. W końcu nadejdzie kryzys. Jego żona zacznie coś podejrzewać albo dziecko się rozchoruje, albo on wyjedzie służbowo na pół roku, albo skończą mu się pieniądze. I Elene wyląduje tam, gdzie jest obecnie; nie ustabilizowana, samotna z nadszarpniętą reputacją - w dodatku o rok starsza.

Porzuciła rozmyślania i przyjrzała się ponownie swojej twarzy w lustrze. To ona jest wszystkiemu winna. To z powodu tej twarzy prowadzi takie bezsensowne życie. Gdyby była brzydka, wciąż tęskniłaby za takim życiem i nigdy nie odkryłaby jego pustki. Wywiodłaś

mnie w pole, pomyślała; oszukałaś mnie, udawałaś, że jestem kimś innym. Nie jesteś moją twarzą, jesteś maską. Nie powinnaś więcej rządzić moim życiem.

Nie jestem ozdoba salonów Kairu, jestem dziewczyną ze slumsów Aleksandrii.

Nie jestem niezależną kobietą, jestem właściwie kurwą.

Nie jestem Egipcjanką, jestem Żydówką.

Nie nazywam się Elene Fontana. Jestem Abigail Asnani.

I chcę wrócić do domu.

Młody mężczyzna za biurkiem Agencji Żydowskiej w Kairze nosił na głowie jarmułkę. Miał niewielką brodę i gładkie policzki. Zapytał, jak się nazywa i gdzie mieszka. Zapomniawszy o swoich postanowieniach, podała: Elene Fontana.

Młodzieniec spieszył się. Była do tego przyzwyczajona: większość mężczyzn robiła się nerwowa, kiedy się do nich uśmiechała.

- Chciałaby pani... to znaczy, czy zechciałaby pani powiedzieć mi, czemu chce pani wyjechać do Palestyny? - zapytał.

- Jestem Żydówką - powiedziała obcesowo. Nie mogła przecież tłumaczyć temu chłopcu, jak wygląda jej życie.

- Moja rodzina nie żyje. Marnuję swoje życie. - To drugie było prawdą, pierwsze nie.

- Co będzie pani robiła w Palestynie?

Nie pomyślała o tym.

- Cokolwiek.

- Najczęściej jest to praca na farmie.

- Odpowiada mi to.

Uśmiechnął się łagodnie. Odzyskiwał pewność siebie.

- Nie chciałbym pani urazić, ale nie wygląda pani na kogoś, kto miał z tym kiedykolwiek coś wspólnego.

- Gdybym nie chciała zmienić swojego życia, to nie jechałabym do Palestyny.

- Tak - bawił się piórem. - A co obecnie pani robi?

- Śpiewam, a kiedy nie mogę dostać takiej pracy, tańczę, a kiedy nie mogę tańczyć, pracuję jako kelnerka. - Mniej więcej była to prawda. Wszystkiego po trochu próbowała, choć jedynie tańczyła z pewnym powodzeniem, a i to nie najlepiej.

- Powiedziałaś panu, marnuję swoje życie. Po co te wszystkie pytania? Czy Palestyna przyjmuje teraz tylko absolwentów wyższych uczelni?

- Nic podobnego - zaprzeczył - ale bardzo trudno się dostać. Brytyjczycy wyznaczyli pewien limit i wszystkie miejsca są zajęte przez tych, którzy zbiegli od nazistów.

- Dlaczego nie powiedział mi pan tego od razu? - spytała ze złością.

- Z dwóch powodów. Po pierwsze, przemycamy ludzi nielegalnie. Po drugie... po drugie trudno to wytłumaczyć. Zechce pani poczekać tu chwilę? Muszę do kogoś zadzwonić.

Obraziła się na niego za to, że wypytywał ją, zanim powiedział o braku miejsc.

- Nie jestem pewna, czy jest po co czekać.

- Ależ tak, zapewniam panią. To bardzo ważne. Dosłownie minutka lub dwie.

- No dobrze.

Poszedł na tyły, żeby zadzwonić. Elene czekała niecierpliwie. Temperatura rosła, a pokój miał złą wentylację. Czuli się trochę głupio. Przyszła tutaj wiedzona impulsem, bez gruntownego przemyślenia całej sprawy. Zbyt wiele decyzji podejmowała w ten sposób. Powinna była przewidzieć, że będą jej zadawać pytania; mogła sobie przygotować odpowiedzi. Lepiej byłoby, gdyby przyszła trochę skromniej ubrana.

Młodzieniec wrócił.

- Jest tak ciepło - powiedział - może byśmy poszli naprzeciwko napić się czegoś zimnego?

Więc to tak, pomyślała. Zdecydowała się dać mu kosza. Oszacowała go wzrokiem i rzekła:

- Nie. Pan jest dla mnie o wiele za młody.

Był bardzo zażenowany.

- Ależ proszę mnie źle nie zrozumieć. Chcę tylko, by pani kogoś poznała, to wszystko.

Zastanawiała się, czy mu wierzyć. Nie miała w zasadzie nic do stracenia i chciało jej się pić.

- Dobrze.

Otworzył przed nią drzwi. Przeszli na drugą stronę ulicy, wymijając rozklekotane wozy i popsute taksówki, czując na sobie nagłą falę ciepła. Weszli pod pasiastą markizę i znaleźli się w chłodnej kawiarni. Młodzieniec zamówił sok cytrynowy. Elene wzięła dzin z tonikiem.

- Przemykanie ludzi nielegalne? - spytała.

- Czasami. - Połknął połowę napoju jednym haustem. - Robimy to wtedy, gdy ktoś jest prześladowany. Dlatego zadałem pani tych kilka pytań.

- Nikt mnie nie prześladowuje.

- Czasami robimy to dla ludzi, którzy zasłużyli się dla sprawy.

- Chce pan powiedzieć, że muszę sobie zarobić na prawo wyjazdu do Palestyny?

- Proszę zrozumieć, może pewnego dnia wszyscy Żydzi będą mieli prawo tam mieszkać. Dopóki jednak są ograniczenia, musimy stosować pewne kryteria.

Korciło ją, by spytać: "Z kim mam się przespać?" Już raz jednak źle go oceniła. W każdym razie domyślała się, że chce ją jakoś wykorzystać.

- Co mam zrobić? - spytała.

Potrząsnął głową.

- Nie ubijemy interesu. Egipskich Żydów trudno przemycić do Palestyny, chyba że są szczególne przypadki, a pani przecież nie jest szczególnym przypadkiem. Tak to wygląda.

- Co zatem mi pan proponuje?

- Nie może pani pojechać do Palestyny, ale może pani inaczej walczyć za sprawę.

- O czym tak naprawdę pan mówi?

- Przede wszystkim musimy pokonać nazistów.

Zaśmiała się.

- Zrobię, co będę mogła!

Zignorował to.

- Nie kochamy tak bardzo Brytyjczyków, ale wrogowie Niemiec są naszymi przyjaciółmi, a więc na razie... tylko na razie... współpracujemy z brytyjskim wywiadem. Chyba mogłaby pani im pomóc.

- Na litość boską, jak?

Nad stolikiem pojawił się cień i młodzieniec spojrzał w górę.

- Ach! - powiedział. Spojrzał ponownie na Elene.

- Pozwoli pani, że przedstawię mojego przyjaciela... major William Vandam.

Był wysokim barczystym mężczyzną: szerokie ramiona i wyrobione mięśnie nóg zdawały się wskazywać, że uprawiał kiedyś kulturystykę, ale teraz, zgadywała, zbliżał się do czterdziestki i z lekka wiotczały mu mięśnie. Okrągłą szczerą twarz zwieńczały sztywne ciemne włosy, które z pewnością kręciłyby się, gdyby pozwolono im urosnąć ponad przepisową długość. Podał jej rękę, usiadł, założył nogę na nogę, zapalił papierosa i zamówił dzin. Wszystko to robił ze skupionym wyrazem twarzy, zupełnie jakby życie było ważnym przedsięwzięciem i nikt nie miał prawa na jego temat żartować.

Pomyślała sobie, że pewno jest typowym angielskim sztywniakiem.

Młodzieniec z Agencji Żydowskiej zagadnął:

- Jakie wieści?

- Linia Ghazalska trzyma się, ale zaczyna się tam robić gorąco.

Głos Vandama był niespodzianką. Zwykle angielscy oficerowie mówili z wytwornym akcentem wskazującym na lepsze pochodzenie, co przyjmowane było przez większość Egipcjan za arogancję. Vandam mówił precyzyjnie, ale miękko, zaokrąglając samogłoski i gardłowo artykułując "r". Elene wyczuwała ślady wiejskiego akcentu, chociaż nie potrafiłaby powiedzieć, skąd to wie.

Zdecydowała się zapytać:

- Panie majorze, skąd pan pochodzi?

- Z Dorset. Czemu pani pyta?

- Zastanowił mnie pana akcent.

- Południowy zachód Anglii. Jest pani spostrzegawcza. Myślałem, że mówię bez akcentu.

- Ach, to tylko ślad.

Zapalił następnego papierosa. Obserwowała jego dłonie. Były długie i delikatne, jakby nie pasujące do reszty ciała; paznokcie miał wypielęgnowane, skórę białą, tylko w miejscach, gdzie trzymał papierosa, widniały zastarzałe bursztynowe plamy.

Młodzieniec podniósł się do wyjścia.

- Major sam pani wszystko wytłumaczy. Mam nadzieję, że będzie pani z nim współpracować; jestem przekonany, że to bardzo ważne.

Vandam uścisnął mu dłoń, podziękował i młodzieniec wyszedł.

Wtedy major zwrócił się do Elene:

- Niech mi pani o sobie opowie.

- O, nie - odpowiedziała - to pan niech mi o sobie opowie.

Uniósł brwi, lekko zdziwiony, trochę go to rozbawiło i nagle stał się przystępniejszy.

- Dobrze - odrzekł po chwili. - Kair jest pełen oficerów i ludzi, którzy znają różne sekrety. Znają nasze mocne i słabe punkty, a także nasze plany. Wróg chce poznać te sekrety. To pewne, że Niemcy mają swoich ludzi w Kairze i ludzie ci próbują zdobyć informacje. Ja mam to udaremnić.

- To proste.

Zastanowił się.

- Proste, ale niełatwe.

Elene zauważyła, że wszystko, co mówi, on bierze poważnie. Pomyślała, że to chyba brak poczucia humoru, ale mimo to raczej jej się podobał: mężczyźni zwykle traktowali jej

wypowiedzi jak łagodny szmer muzyki docierający z baru, miły co prawda, ale i bez znaczenia.

Wyczekiwał.

- Teraz pani kolej - powiedział.

Nagle poczuła potrzebę powiedzenia mu prawdy.

- Jestem złą piosenkarką i przeciętną tancerką, ale czasami znajduje się jakiś bogaty mężczyzna, który mnie utrzymuje.

Nie odezwał się, ale widać zrobiło to na nim wrażenie.

- Zaszokowany? - spytała.

- A może być inaczej?

Popatrzyła w bok. Wiedziała, co myśli. Do tej pory traktował ją z szacunkiem, jakby była przyzwoitą kobietą, należącą do jego sfery. Teraz zdał sobie sprawę ze swojej pomyłki. Dało się wprawdzie przewidzieć jego reakcję, ale mimo wszystko czuła niesmak.

- A czy nie o to chodzi kobietom, kiedy wychodzą za mąż? Czy nie szukają mężczyzny, który by za nie płacił? - zapytała.

- Tak - przytaknął ponuro.

Spojrzała na niego. Wstąpił w nią duch przekory.

- Zmieniam ich po prostu nieco szybciej niż przeciętna pani domu.

Vandam wybuchnął śmiechem. Nagle wydał się innym człowiekiem. Odrzucił głowę w tył, rozparł się na krześle i opuściło go całe napięcie. Przez chwilę wyglądał na zrelaksowanego. Uśmiechnęli się do siebie. Minęła chwila i ponownie założył nogę na nogę. Zapadła cisza. Elene czuła się jak uczennica chichocząca w klasie.

Vandam był znowu poważny.

- Chodzi mi o informacje - wyjaśnił. - Anglikowi nikt niczego nie powie. Tu zaczyna się pani rola. Jest pani Egipcjanką i słyszy pani takie plotki i takie rozmowy na ulicach, których ja nigdy nie usłyszę. A ponieważ jest pani Żydówką, sądzę, że przekaże je pani mnie.

- Jakie plotki?

- Interesuje mnie każdy, kto dopytuje się o armię brytyjską... - przerwał. Chyba się zastanawiał, ile jej powiedzieć.

- Szczególnie... W tej chwili szukam człowieka o nazwisku Alex Wolff. Mieszkał kiedyś w Kairze i niedawno wrócił. Może szukać mieszkania i chyba ma dużo pieniędzy. Z pewnością dopytuje się o siły brytyjskie.

Wzruszyła ramionami.

- Po tym całym wstępie myślałam, że poprosi mnie pan o coś poważniejszego.

- Na przykład?

- Nie wiem. Żebym zatańczyła z Rommelem i okradła go.

Vandam zaśmiał się ponownie. Elene pomyślała sobie: Można polubić ten śmiech.

- Choć to takie przyziemne, czy podejmie się pani tego zadania? - spytał.

- Nie wiem. - Przecież dobrze wiem, pomyślała; gram tylko na zwłokę, bo dobrze się bawię.

Vandam przechylił się w jej stronę.

- Potrzebuję takich ludzi jak pani.

Było jej głupio, gdy zwracał się do niej tak uprzejmie.

- Jest pani spostrzegawcza, ma pani alibi i z całą pewnością jest pani inteligentna; niech mi pani wybaczy, że jestem taki bezpośredni...

- Proszę nie przeproszać, podoba mi się to - powiedziała - niech pan mówi dalej.

- Nie mogę zbyt wiele polegać na większości moich współpracowników. Robią to dla pieniędzy, a tymczasem pani ma inną motywację...

- Zaraz, zaraz - przerwała - ja też potrzebuję pieniędzy. Ile pan płaci?

- To zależy od tego, jakiej informacji pani dostarczy.

- A ile najmniej?

- Nic.

- To trochę mniej, niż się spodziewałam.

- Ile pani chce?

- Mógłby pan zachować się jak dżentelmen i płacić za moje mieszkanie.

Przygryzła wargę: tak to powiedziała, że zabrzmiało nieco wulgarnie.

- Ile?

- Siedemdziesiąt pięć miesięcznie.

Vandam uniósł brwi.

- A gdzie pani mieszka, w pałacu?

- Ceny poszły w górę. Nie słyszał pan? To przez tych wszystkich angielskich oficerów desperacko szukających mieszkań.

- Punkt dla pani. - Zmarszczył czoło. - Musiałaby pani być cholernie przydatna, żeby zarobić siedemdziesiąt pięć miesięcznie.

Elene wzruszyła ramionami.

- Spróbujmy więc.

- Umie pani negocjować - uśmiechnął się. - W porządku, niech będzie na próbę miesiąc.

Elene starała się nie okazać zadowolenia.

- Jak się z panem kontaktować?

- Proszę przesłać mi wiadomość. - Wyjął ołówek i kawałek papieru z kieszonki koszuli i zaczął pisać. - Dam pani mój adres i numer telefonu w Kwaterze Głównej i w domu. Kiedy tylko otrzymam wiadomość, zaraz do pani przyjdę.

- Dobrze. - Zapisała swój adres zastanawiając się, co major sobie pomyśli, kiedy zobaczy jej mieszkanie.

- A jeśli pana zobaczą?

- Ma to jakieś znaczenie?

- Mogą mnie pytać, kim pan jest.

- W takim razie lepiej niech pani nie mówi prawdy.

Uśmiechnęła się.

- Powiem, że jest pan moim kochankiem.

Spojrzał w bok.

- Niech i tak będzie.

- Lepiej niech pan odegra małą scenkę - mówiła to całkiem poważnie. - Musi pan przynieść naręczą kwiatów i kilka bombonierek.

- Nie wiem...

- Czyżby Anglicy nie dawali swoim kochankom kwiatów i bombonierek?

Nie unikał jej wzroku. Zauważyła, że ma szare oczy.

- Nie wiem - powiedział bezbarwnie - nigdy nie miałem kochanki.

Elene pomyślała sobie: oto udzielają mi nagany.

- W takim razie musi się pan dużo nauczyć - stwierdziła.

- Z pewnością. Ma pani ochotę jeszcze się napić?

Teraz mnie odprawiono, pomyślała. Tego trochę za dużo, majorze Vandam: jest pan przekonany o swojej nieomyślności i zawsze chce pan być górą; prawdziwy mistrz z pana. Mogłabym się panem zająć, nakłuć pańską próżność, sprawić trochę bólu.

- Nie, dziękuję - powiedziała - muszę już iść.

Podniósł się.

- Będę oczekiwał na wiadomości od pani.

Podowała mu dłoń i odeszła. Była niemal pewna, że na nią nie patrzy.

Vandam przebrał się w cywilne ubranie specjalnie na przyjęcie w Unii Angielsko-Egipskiej. Gdyby żyła jego żona, nigdy by tam nie poszedł: twierdziła, że jest to dla "plebsu". Poprawiał ją wtedy nie chcąc, by uważano ją za bogatą snobkę. Mówiła na to, że jest bogatą snobką, i lepiej by było, żeby przestał się popisywać swoim klasycznym wykształceniem.

Kochał ją wtedy bardzo, i teraz nadal ją kochał.

Jej ojciec był dość bogatym człowiekiem, który został dyplomata, gdyż nie miał nic lepszego do roboty. Nie podobała mu się perspektywa ślubu córki z synem listonosza. Nie wzruszyła go nawet informacja, że Vandam chodził do szkoły prywatnej (jako stypendysta), a potem studiował na Uniwersytecie Londyńskim i uważano go za najbardziej obiecującego wojskowego z całej grupy młodszych oficerów. Ale córka była nieprzejednana w tej sprawie, jak i w każdej innej, i w końcu ojciec łaskawie zaakceptował kandydata. Ku zaskoczeniu wszystkich, podczas jedyne go spotkania rodziców ojcowie bardzo się polubili. Niestety, matki zapalały do siebie nienawiścią i już nie było więcej rodzinnych spotkań.

Vandam zbytnio się tym nie przejmował; nie przeszkadzało mu też to, że jego żona jest wybuchowa, bezlitosna i ma władcze usposobienie. Angela była dostojna, wyniosła i piękna. Stanowiła dla niego wcielenie kobiecości i uważał się za szczęściarza.

Kontrast z Elene Fontana nie mógł być bardziej uderzający.

Dojechał do Unii na motocyklu. Motocykl, typ BSA 350, okazał się niezwykle przydatny w Kairze. Używał go przez okrągły rok, gdyż dobra pogoda utrzymywała się przez większość dni, i dzięki niemu prześlizgiwał się przez korki uliczne, które więziły samochody i taksówki. Jazda szybką maszyną przyprawiała go o miły dreszczyk, przywoływała wspomnienia z młodości, kiedy to bardzo pragnął posiadać taki motocykl, ale nie mógł sobie na to pozwolić. Angeli to się nie podobało - podobnie jak Unia, to było dla plebsu - ale tym razem Vandam postawił na swoim.

Temperatura powietrza wyraźnie spadła, kiedy parkował pod Unią. Przechodząc koło domu klubowego zajrzał przez okno i zobaczył towarzystwo pochłonięte grą w bilard. Oparł się pokusie i przeszedł w głąb ogrodu na trawnik.

Przyjął szklanekę z cypryjską sherry i wmieszał się w towarzystwo witając się skinieniem głowy, uśmiechając, wymieniając uprzejmości z ludźmi, których znał. Dla niepijących gości muzułmańskich roznoszono herbatę, ale niewielu z nich przyszło. Vandam skosztował sherry i zastanawiał się, czy dałoby się nauczyć barmana przyrządzania martini.

Popatrzył dalej ponad trawnikiem w kierunku Klubu Oficerów Egipskich i pomyślał, że dużo by dał za to, aby posłuchać tam rozmów. Ktoś wymówił jego nazwisko, odwrócił się i zobaczył lekarkę. Musiał się chwilę zastanowić, zanim przypomniał sobie jej nazwisko.

- O, doktor Abuthnot, dzień dobry pani.

- Nie musimy być tacy oficjalni - powiedziała. - Mam na imię Joan.

- William. Czy jest tutaj twój mąż?

- Nie jestem mężatką.

- Przepraszam. - Zobaczył ją od razu w innym świetle. Była samotna, a on był wdowcem i ostatnio widziano ich rozmawiających aż trzy razy w ciągu jednego tygodnia: prawdopodobnie kolonia brytyjska w Kairze już ich ze sobą zaręczyła.

- Jesteś chirurgiem? - spytał.

Uśmiechnęła się.

- Dzisiaj tylko zszywam i łątam ludzi... ale przed wojną, o tak, byłam chirurgiem.

- Jak ci się to udało? Kobiecie niełatwo.

- Szłam po trupach. - Wciąż się uśmiechała, ale wyczuł w jej tonie ślad dawnych upokorzeń.

- Ty też, jak słyszę, jesteś trochę niekonwencjonalny.

Vandam uważał się za bardzo konwencjonalnego.

- W jakim sensie? - spytał ze zdziwieniem.

- Sam wychowujesz dziecko.

- Nie mam wyboru. Nawet gdybym chciał go wysłać z powrotem do Anglii, to nie byłbym w stanie: wydają zezwolenia tylko kalekom i generałom.

- Ale ty nie chciałeś?

- Nie.

- O tym właśnie mówię.

- Jest moim synem - powiedział. - Nie chcę, żeby ktokolwiek inny go wychowywał, i on też nie chce.

- Rozumiem. Chodzi mi tylko o to, że niektórzy ojcowie uznaliby to za... niemęskie.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem i ku jego zaskoczeniu speszyła się.

- Może masz rację. Nigdy tak o tym nie myślałem - zastanowił się.

- Bardzo mi przykro, że jestem taka ciekawska. Jeszcze drinka?

Vandam zajrzał do swojej szklanki.

- Wydaje mi się, że muszę wejść do środka i poszukać czegoś mocniejszego.

- Życzę powodzenia.

Uśmiechnęła się i poszła w drugą stronę.

Vandam przeszedł przez trawnik do klubu. Była atrakcyjną kobietą, odważną i inteligentną, i wyraźnie dała mu do zrozumienia, że chce go poznać bliżej. Pomyślał: Czemu, u diabła, jest mi obojętna? Wszyscy tutaj myślą, że jesteśmy dobraną parą - i mają rację.

Wszedł do środka i odezwał się do barmana:

- Dżin. Lód. Jedna oliwka. I kilka kropel wytrawnego vermutu.

Otrzymał martini, które wyszło całkiem dobrze, więc wypił jeszcze dwa. Przypomniała mu się znowu ta kobieta, Elene. W Kairze były tysiące podobnych do niej - Greczynek, Żydówek, Syryjek i Palestynek, a także Egipcjanek. Tańczyły tak długo, dopóki nie wpadły w oko jakiemuś bogatemu rozpustnikowi. Większość z nich prawdopodobnie spędzała czas na marzeniach o zamążpójściu i wylądowaniu w jakiejś dużej rezydencji w Aleksandrii, Paryżu lub Surrey, a udziałem ich miało być tylko rozczarowanie.

Wszystkie miały delikatne brązowe twarze, kocie ciała o szczupłych nogach i sterczących piersiach, ale Vandam ośmielał się myśleć, że Elene wyróżniała się z tego tłumu. Jej uśmiech był zniewalający. Ten pomysł, żeby pojechać do Palestyny i pracować na farmie, rozśmieszył go w pierwszej chwili; ale próbowała, a kiedy się nie udało, zgodziła się pracować dla Vandama. Z drugiej strony sprzedawanie plotek zasłyszanych na ulicy to łatwo zarobiony pieniądź, niemal jak pieniądź utrzymania. Na pewno była taka sama jak wszystkie te tancerki: takie kobiety też Vandama nie interesowały.

Drinki dawały o sobie znać i nie był pewien, czy zachowa się wystarczająco uprzejmie wobec dam, kiedy wejdą do środka, więc wołał zapłacić rachunek i wyjść.

Pojechał do Kwatery Głównej, żeby zdobyć najświeższe wiadomości. Najwyraźniej dzień zakończył się bez przesunięcia frontu, ale po obu stronach było dużo ofiar - i to raczej po stronie brytyjskiej. Jakie to demoralizujące, pomyślał Vandam: Mamy bezpieczną bazę, dobre dostawy, lepszą broń i więcej żołnierzy; planujemy rozmyślnie i walczymy roztropnie, a jakoś, do cholery, nigdy niczego nie wygrywamy. Poszedł do domu.

Gaafar przygotował jagnię z ryżem. Vandam napił się jeszcze jednego drinka do obiadu. Billy rozmawiał z nim w trakcie jedzenia. Dzisiaj na geografii przerabiali uprawę pszenicy w Kanadzie. Vandam wołałby, żeby w szkole uczyli chłopca czegoś o kraju, w którym żył.

Kiedy Billy poszedł do łóżka, Vandam siedział sam w salonie, palił papierosa i myślał o Joan Abuthnot, Alexie Wolffie i Erwinie Rommlu. Wszyscy oni mu na różny

sposób zagrażali. Gdy na zewnątrz zapadła noc, poczuł się tak, jakby cierpiał na klaustrofobię. Napełnił papierośnicę i wyszedł.

Miasto było równie pełne życia jak o każdej innej porze dnia. Na ulicach roiło się od żołnierzy, czasami bardzo pijanych. Ci twardzi mężczyźni poznali już smak bitwy na pustyni, piach i upał, naloty i strzelania dały im się we znaki, a “gorsi” nie zawsze traktowali ich przyjaźnie. Kiedy sprzedawca za mało wydał, właściciel restauracji naciągnął rachunek albo też barman nie chciał obsłużyć pijanych, żołnierzom stawali przed oczyma koledzy rozerwani na kawałki przez bomby w obronie Egiptu, wywoływali więc bójki, tłukli szyby i demolowali wnętrza. Vandam rozumiał, dlaczego Egipcjanie nie okazywali wdzięczności - nie obchodziło ich to za bardzo, kto ich uściskał: Brytyczycy czy Niemcy - ale i nie współczuł zbyt wiele właścicielom sklepów w Kairze, którzy zbijali fortuny na wojnie.

Szedł wolno z papierosem w ręce i rozkoszował się zimnym nocnym powietrzem, zaglądał do małych sklepików, które nie miały frontowych drzwi, odmówił kupna bawełnianej koszuli pasowanej na poczekaniu i skórzanej damskiej torebki, a także starego czasopisma o nazwie “Ponętne Panienci”. Rozbawił go uliczny handlarz, który w lewej kieszeni kurtki trzymał świńskie obrazki, a w prawej krucyfiksy. Widział, jak grupa żołnierzy pokłada się ze śmiechu na widok dwójki egipskich policjantów, którzy patrolowali ulice trzymając się za ręce.

Wszedł do baru. Poza angielskim klubem należało unikać dżinu, zamówił więc zibib, anyżkowy napój, który mętniał zmieszany z wodą. O dziesiątej zamykano bar za obopólną zgodą rządu muzułmańskiej partii Wafd i śmiertelnie poważnego komendanta żandarmerii. Vandam wyszedł zdrowo podchmielony.

Skierował się do Starego Miasta. Minął znak mówiący “wszystko dla żołnierzy” i wszedł do Birki. W wąskich uliczkach i alejkach kobiety siedziały na schodach, wychylały się z okien, paliły papierosy i czekały na klientów, umilając sobie czas rozmowami z wojskową żandarmerią. Niektóre zaczepiały Vandama, oferując swe ciała po angielsku, francusku i włosku. Skręcił w mały zaułek, przeciął opuszczone podwórko i wszedł w otwartą bramę, nad którą nie widniał żaden napis.

Wspiął się po schodach i zapukał do drzwi na pierwszym piętrze. Otworzyła je Egipcjanka w średnim wieku. Zapłacił pięć funtów i wszedł.

Znalazł się w dużym, przytulnie oświetlonym pokoju z wytartymi meblami pamiętającymi lepsze czasy, usiadł na poduszce i rozpiął górny guzik koszuli. Młoda kobieta w szarawarach podała mu nargile. Zaciągnął się kilka razy haszyszem. Wkrótce ogarnęło go przyjemne uczucie bezwładu. Przechylił się do tyłu, oparł na łokciach i

rozejrzał po pokoju. W półmroku zauważył jeszcze czterech innych mężczyzn. Dwaj z nich, bogaci arabscy baszowie, siedzieli razem na kanapie i rozmawiali przyciszonymi głosami. Trzeci, chyba zupełnie uśpiony haszyszem, wyglądał na Anglika i chyba nawet oficera, jak Vandam. Czwarty siedział w rogu i rozmawiał z jedną z dziewcząt. Z dochodzących urywków rozmowy Vandam domyślił się, że mężczyzna chce zabrać dziewczynę do domu i ustalać cenę. Mężczyzna wydawał mu się znajomy i lekko pijany i pod wpływem narkotyku nie potrafił sobie przypomnieć, kto to jest.

Jedna z dziewcząt podeszła do Vandama i wzięła go za rękę. Zaprowadziła go do alkowy i zaciągnęła zasłony. Zdjęła staniczek. Zobaczył małe brązowe piersi. Vandam pogłaskał ją po policzku. W świetle świecy jej twarz zmieniała się nieustannie, raz była stara, raz młoda, to drapieżna, to kochająca. W pewnej chwili wyglądała jak Joan Abuthnot. Ale w końcowym uniesieniu, kiedy ją posiadał, wyglądała jak Elene.

Alex Wolff ubrany w galabiję i fez stał trzydzieści metrów od bramy Kwatery Głównej - brytyjskiego dowództwa - sprzedając papierowe wachlarze, które łamały się po dwóch minutach użycia.

Przepisy ostatnio złagodzone. Nie widział kontroli dokumentów od tygodnia. Ten cały Vandam nie może naciskać bez końca.

Wolff poszedł pod Kwaterę, jak tylko poczuł się nieco pewniej. Samo przedostanie się do Kairu było sukcesem; jeżeli jednak nie wykorzysta sytuacji, by zdobyć - i to szybko - informację, której domagał się Rommel, jego misja zakończy się fiaskiem. Przypomniawsobie krótką rozmowę z Rommlem w Gialo. Lis Pustyni wcale nie wyglądał lisio. Taki mały, niestrudzony człowiek o twarzy agresywnego chłopca: duży nos, usta w podkowę, podbródek z wgłębieniem pośrodku, poszarpana blizna na lewym policzku, włosy obcięte tak krótko, że ani jeden nie wystawał spod obrzeża czapki. Powiedział tylko: "Stan liczebny oddziałów, nazwy dywizji, tych walczących i tych w rezerwie, wyszkolenie. Liczba czołgów, tych w akcji i w rezerwie, stan techniczny. zapasy amunicji, żywności i paliwa. Usposobienie i poglądy dowodzących oficerów. Zamiary strategiczne i taktyczne. Mówią, że jesteś dobry Wolff. Twoja w tym głowa, żeby tego dowieść."

Łatwiej było to powiedzieć niż zrobić.

Pewną liczbę informacji Wolff mógł zebrać włócząc się po mieście. Wyszukiwał żołnierzy na urlopach i przysłuchując się rozmowom zgadywał, gdzie były ich oddziały i kiedy mieli do nich powrócić. Czasami jakiś sierżant mówił, ilu było zabitych i rannych, albo opisywał straty powodowane przez 88-milimetrowe działa - zaprojektowane jako broń przeciwlotnicza - które Niemcy umieszczali na czołgach. zasłyszał, jak mechanik wojskowy narzeka, że trzydzieści dziewięć z pięćdziesięciu nowych czołgów przysłanych poprzedniego dnia wymaga poważnej naprawy przed wysyłką do akcji. Taka informacja już się liczyła i można ją było wysłać do Berlina, gdzie analitycy wywiadu poskładają wszystkie informacje, żeby zbudować z nich szerszy obraz. Nie tego jednak chciał Rommel.

Gdzieś w budynku Kwatery Głównej znajdowały się notatki służbowe w rodzaju: "Po odpoczynku i stosownych naprawach Dywizja A, w sile 100 czołgów z pełnymi zapasami, opuści jutro Kair, by połączyć się z dywizją B w Oazie C, w przygotowaniu kontrataku na zachód od D najbliższej soboty o świcie".

Takich notatek potrzebował Wolff.

Dlatego właśnie sprzedawał wachlarze przed Kwaterą Główną. Brytyjczycy zajęli na swoje główne kwatery kilka dużych domów - należących w większości do baszów - na

przedmieściach Garden City. (Wolff dziękował w duchu, że Villa les Oliviers uniknęła konfiskaty.) Budynki dowództwa otoczone zostały drutem kolczastym. Ludzi w mundurach przepuszczano szybko przez bramę, ale cywilów zatrzymywano i długo przepytywano, gdy tymczasem wartownicy telefonicznie potwierdzali dokumenty.

Inne kwatery główne znajdowały się w paru jeszcze budynkach w różnych punktach miasta - hotel Semiramis mieścił na przykład sztab Oddziałów Brytyjskich w Egipcie - ale tu była Kwatera Główna na Środkowy Wschód, czyli władza najwyższa. Wolff spędził dużo czasu w szkole wywiadu Abwehry, ucząc się rozpoznawać mundury, odznaki wyróżniające oddziały i twarze setek wyższych oficerów brytyjskich. Ostatnio przez kilka ranków obserwował nadjeżdżające duże samochody służbowe i rozpoznawał za szybami pułkowników, generałów, admirałów, dowódców szwadronów i głównego dowódcę, samego sir Claude'a Auchinlecka. Wszyscy wyglądali jakoś dziwnie, lecz w pewnym momencie zorientował się, że zdjęcia, które wbiły mu się w pamięć, były czarno-białe, a teraz oglądał ludzi w naturze.

Dowódcy jeździli samochodami, ale ich adiutanci chodzili pieszo. Każdego ranka kapitanowie i majorzy pojawiali się z małymi teczkami w rękach. Około południa - Wolff przypuszczał, że po rannej odprawie - niektórzy wychodzili znowu niosąc teczkę.

Codziennie Wolff śledził jednego z adiutantów.

Większość z nich pracowała w Kwaterze Głównej i ich tajne dokumenty zamykano w biurze pod koniec dnia. Ale tych kilku, którzy przychodzili do Kwatery Głównej na poranną odprawę, miało biura w innych częściach miasta; dlatego też musieli nosić dokumenty między jednym biurem a drugim. Jeden z nich chodził do hotelu Semiramis. Dwóch do baraków w Nasr-el-Nil. Czwarty zaś zniknął w nie oznakowanym budynku przy Shari Suleiman Pasha.

Wolff chciał się dostać do tych teczek.

Dzisiaj postanowił zrobić generalną próbę.

Czekając w upale lejącym się z nieba na nadejście dwóch oficerów, przypomniał sobie ubiegłą noc i uśmiešek pojawił mu się pod świeżo zapuszczonym wąsem. Obiecał Soni, że znajdzie jej drugą Fawzi. Zeszłej nocy poszedł do Birki i wybrał dziewczynę w domu Madame Fahmy. Nie była to Fawzi - tamta była prawdziwą entuzjastką - ale na razie musiała wystarczyć. Zabawiali się z nią na zmianę, potem razem, a na końcu odgrywali dziwaczne, podniecające gierki Soni... To była długa noc.

Kiedy adiutanci wyszli, Wolff poszedł za parą udającą się do baraków.

Minutę później z kafejki wynurzył się Abdullah i zrównał się z nim.

- Ci dwaj? - spytał.

- Ci dwaj.

Abdullah był tłuściochem z metalowym zębem. Zgromadził jedną z największych fortun w Kairze, ale, przeciwnie do większości bogatych Arabów, nie małpował Europejczyków. Nosił sandały, brudną galabiję i fez. Tłuste włosy wiły mu się w lokach wokół uszu i miał brud za paznokciami. Jego bogactwo nie pochodziło z roli, jak baszów, ani z handlu, jak Greków. Brało się z rozboju.

Abdullah był złodziejem.

Wolff lubił go. Taki chytry, podstępny, okrutny, hojny, i zawsze uśmiechnięty: dla Wolffa stanowił uosobienie odwiecznych ułomności i cnót Środkowego Wschodu. Od trzydziestu lat armia jego dzieci, wnuków, kuzynów, kuzynek i dalszych pociotków ograbiała domy i kieszenie mieszkańców Kairu. Jego macki sięgały wszędzie: sprzedawał hurtem haszysz, miał wpływ na polityków i wykupił połowę domów w Birce, także dom Madame Fahmy. Mieszkał z czterema żonami w dużym rozsypującym się domu w Starym Mieście.

Szli za dwoma oficerami do nowoczesnego centrum.

- Chcesz jedną teczkę, czy dwie? - spytał Abdullah.

Wolff zastanawiał się. Jedną można było wziąć za zwykłą kradzież: dwie wyglądały podejrzanie.

- Jedną - powiedział.

- Którą?

- To nie ma znaczenia.

Wolff rozważał, czy ma udać się do Abdullaha po pomoc, kiedy odkrył, że Villa les Oliviers przestała być bezpieczna. Zdecydował jednak tego nie robić. Abdullah z pewnością ukryłby gdzieś Wolffa - może nawet w burdelu - na dłuższy czas. Ale ledwie by mu zapewnił schronienie, zacząłby pertraktować z Brytyjczykami, żeby go sprzedać. Abdullah dzielił świat na pół: swoją rodzinę i całą resztę. Całkowicie ufał rodzinie i postępował wobec niej lojalnie; pozostałych oszukiwał i spodziewał się tego samego wobec siebie. Wszystkim interesom towarzyszyły wzajemne podejrzania. Wolff przekonał się, że wszystko udaje się w ten sposób nad podziw dobrze.

Znaleźli się na ruchliwym zakręcie. Dwaj oficerowie przeszli przez ulicę omijając samochody. Wolff już miał zamiar zrobić to samo, ale Abdullah chwycił go za ramię i zatrzymał.

- Zrobimy to tutaj - powiedział.

Wolff rozejrzał się lustrując budynki, chodnik, skrzyżowanie i handlarzy ulicznych. Uśmiechnął się lekko i przytaknął.

- Wymarzone miejsce.

Zrobili to następnego dnia.

Abdullah rzeczywiście wybrał idealne miejsce na skok. W tym punkcie boczna ulica krzyżowała się z główną. Na rogu rozłożyła ogródek uliczny kawiarnia, zabierając połowę chodnika. Na zewnątrz kawiarni, od strony ulicy głównej, ustawiono przystanek autobusowy. Pomysł formowania kolejki do autobusu nigdy nie przypadł Egipcjanom do gustu pomimo sześćdziesięciu lat brytyjskich rządów; czekający na autobus spacerowali więc po chodniku, jeszcze bardziej powiększając tłum. Na bocznej uliczce nie panował taki tłok, choć i tu rozstawiono stoły, ale nie było przystanku. Abdullah zauważył tę małą niedogodność, ale poradził sobie, wyznaczając dwóch akrobatów do występów w tym miejscu.

Wolff usadowił się przy narożnym stoliku, skąd widział zarówno główną, jak i boczna ulicę, i zastanawiał się, co się może nie udać.

Może oficerowie nie wrócą dzisiaj do baraków.

Może pójda inną drogą.

Może nie wezmą ze sobą teczek.

Może policja zjawi się za szybko i wszystkich zaaresztuje.

Może oficerowie pochwyca chłopca i wezmą go na spytki.

Może oficerowie pochwyca Wolffa i wezmą go na spytki.

Może Abdullah dojdzie do wniosku, że bez większego trudu zarobi pieniądze, kontaktując się z majorem Vandamem i donosząc mu, iż dzisiaj o dwunastej w południe w "Cafe Nasif" będzie mógł zaaresztować Alexa Wolffa.

Wolff bał się więzień. Mało bał się, był przerażony. Na samą myśl oblewał go zimny pot nawet w upalny dzień. Mógł się obejść bez dobrego jedzenia, wina i dziewczynek, jeżeli tylko miał na pocieszenie rozległe dzikie obszary pustyni; mógł się obejść bez pustynnej wolności i zamieszkać w zatłoczonym mieście, jeżeli tylko wolno mu było używać luksusów miasta; ale nie mógł utracić obu. Nigdy o tym nikomu nie powiedział, że prześladowuje go taki senny koszmar. Myśl o zamknięciu w małej, ponurej celi, razem z łajdakami (i to w dodatku mężczyznami), o podłym jedzeniu, o tym, że nigdy już nie zobaczy błękitu nieba, nie kończącego się Nilu i bezkresnych równin... napełniała go przerażeniem nawet na samo wspomnienie. Otrząsnął się ze złych myśli. Nic podobnego się nie stanie.

O jedenastej czterdzieści pięć duża, zwalista postać Abdullaha przetoczyła się przed kawiarnią. Jego wyraz twarzy nie zdradzał nic, ale małe czarne oczka uważnie lustrowały okolicę. Przeszedł przez ulicę i zniknął z oczu.

Pięć po dwunastej Wolff spostrzegł w pewnej odległości dwie wojskowe czapki na masie głów.

Usiadł na brzegu krzesła.

Oficerowie zbliżali się. Nieśli teczeki.

Po drugiej stronie ulicy w zaparkowanym samochodzie ktoś naciskał na pedał gazu.

Autobus podjechał do przystanku i Wolff pomyślał: tego Abdullah nie mógł zaaranżować, to szczęście, to premia.

Oficerowie znajdowali się pięć metrów od Wolffa.

Samochód, który parkował po drugiej stronie ulicy, nagle ruszył. Był to duży czarny packard o mocnym silniku i dobrych amerykańskich resorach. Jechał przez ulicę jak nacierający słoń, motor wył na niskim biegu, a kierowca nie bacząc na ruch panujący na głównej ulicy skręcił prosto w przecznicę, naciskając cały czas na klakson. Na rogu, dosłownie kilka kroków od miejsca, gdzie siedział Wolff, wpakował się prosto w maskę starej taksówki.

Dwaj oficerowie przystanęli obok stolika Wolffa, obserwując zderzenie.

Kierowca taksówki, młody Arab w zachodniej koszuli i fezie, wyskoczył ze swojego fiata.

Młody Grek w wełnianym garniturze wysiadł z packarda.

Arab nazwał Greka świńskim ryjem.

Grek wyzwał Araba od tylnych części zaropiałego wielbłąda. Arab trzasnął Greka w twarz, a Grek rozkwasił Arabowi nos.

Ludzie wysiadający z autobusu i ci, co chcieli do niego wejść, podeszli bliżej.

Za rogiem akrobata, który stał na głowie kolegi, chciał zobaczyć wypadek i stracił równowagę, przewracając się na widzów.

Chłopiec przebiegł koło stolika Wolffa. Wolff poderwał się, wskazał na niego i zaczął krzyczeć na głos:

- Trzymać go, to złodziej!

Chłopak uciekał co sił. Wolff popędził za nim, a czwórka ludzi siedzących przy sąsiednim stoliku poderwała się, żeby schwycić malca. Ten przebiegł między oficerami, którzy przyglądali się walce na jezdni. Wolff wraz z ludźmi biegnącymi mu z pomocą wpadli na oficerów i przewrócili ich na ziemię. Kilka osób zaczęło krzyczeć: "Trzymaj

złodzieja!”, choć większość nie wiedziała, kto jest tym złodziejem. Świeżo przybyli widocznie zrozumieli, że to któryś z kierowców. Tłum z przystanku, widownia wokół akrobatów i większość ludzi z kawiarni napierała to na jednego, to na drugiego kierowcę - Arabowie zakładali, że Grek jest winien, a reszta, że Arab. Kilku mężczyzn z kijami - niemal wszyscy nosili kije - zaczęło nacierać na tłum okładając walczących po głowach i próbując bezskutecznie ich rozłączyć. Ktoś chwycił krzesło z kawiarni i rzucił w tłum. Na szczęście nie trafił nikogo i krzesło rozbiło szybę w packardzie. Na to kelnerzy, kucharze i właściciel kawiarni wybiegli i zaatakowali gości siedzących przy stolikach. Wszyscy krzyczeli na siebie w pięciu językach. Przejeżdżający ludzie zatrzymywali samochody, żeby popatrzeć na bijatykę, i zrobił się potworny korek. Samochody trąbiły. Pies zerwał się ze smyczy i doprowadzony do szału zaczął gryźć ludzi po nogach. Autobus stał pusty. Tłum bijących się rósł z minuty na minutę. Kierowcy, którzy zatrzymali samochody, by obserwować zajście, teraz żalowali, bo kiedy ich auta znalazły się w centrum walki, nie mogli odjechać (ponieważ inni też się zatrzymali) i musieli zamknąć drzwi i podkręcić okna, a tymczasem mężczyźni, kobiety i dzieci, Arabowie i Grecy, Syryjczycy i Żydzi, Australijczycy i Szkoci powskakiwali na dachy samochodów i walczyli na bagażnikach, spadali na błotniki i znaczyli krwią maski pojazdów. Ktoś wleciał przez szybę do krawca sąsiadującego z kawiarnią, a przerażona koza wpadła do sklepu z pamiątkami, który sąsiadował z kawiarnią z drugiej strony, i zaczęła przewracać stoliki zastawione porcelaną, fajansem i szkłem. Nawet pawian skądś się znalazł - jechał chyba na kozie w ulicznej trupie cyrkowej - i ochoczo popędził nad głowami zbiegowiska w kierunku Aleksandrii. Koń zerwał się z uprzęży i pogalopował między samochodami wzdłuż ulicy. Z okna nad kawiarnią jakaś kobieta wylała wiadro pomoy prosto na tłum. Nikt tego nie zauważył.

W końcu nadjechała policja.

Kiedy ludzie usłyszeli gwizdki, nagle przepychanki, razy i przekleństwa, które wywoływały dodatkowe starcia, przestały się liczyć. Wszyscy w popłochu rzucili się do ucieczki, żeby zdążyć, zanim zaczną aresztować. Tłum w mgnieniu oka się rozpiezchł. Wolff, który padł jako jeden z pierwszych, podniósł się i przeszedł na drugą stronę ulicy, żeby obserwować epilog awantury. Zanim zakuto w kajdanki sześciu ludzi, wszystko się skończyło i nikt już się nie bił, jedynie staruszka w czerni i jednonogi żebrak próbowali zepchnąć się nawzajem do rynsztoku. Właściciel kawiarni, krawiec i sklepikarz załamywali ręce przeklinając policję, że nie przyjechała wcześniej. Tymczasem w myśli już podwajali i potrajali straty, jakie zamierzali podać do odszkodowania.

Kierowca autobusu złamał rękę, ale wszystkie inne rany stanowiły ledwie zadrapania i siniaki.

Odnotowano tylko jedną śmierć: pies pogryzł kozę i trzeba ją było dobić.

Kiedy policja próbowała usunąć dwa rozbite samochody, odkryto, że podczas kotłowania jakieś łobuzy podważyły je od tyłu i zdjęły opony.

Zniknęły także wszystkie bez wyjątku żarówki w autobusie.

I jedna teczka należąca do Armii Brytyjskiej.

Alex Wolff - zadowolony z siebie - szybkim krokiem przemierzał uliczki Starego Kairu. Jeszcze tydzień temu wydawało się, że nie ma szans na przechwycenie tajemnic Kwatery Głównej. Teraz czuł, że wykonał zadanie. Miał świetny pomysł, każąc Abdullahowi zaaranżować bójkę uliczną.

Zastanawiał się, co znajdzie w teczce.

Dom Abdullaha wyglądał tak jak inne spiętrzone jeden przy drugim slumsy. Małe pokraczne okienka z rzadka pstrzyły spękaną i sypiącą się fasadę. Wchodziło się przez niską arkadę bez drzwi, która wiodła do mrocznej sieni. Wolff pochylił się w łuku, minął sieni i wspiał się po spiralnych kamiennych schodach. Na górze przecisnął się przez kotary i wszedł do salonu Abdullaha.

Pokój przypominał jego właściciela - był brudny, bogaty i wygodny. Wokół kosztownych sof i inkrustowanych stolików gonilo się troje dzieci i pies. W alkwie koło okna stara kobieta tkala dywan. Inna kobieta wycofała się z pokoju z chwilą wejścia Wolffa - nie przestrzegano tu tak ściśle muzułmańskiego rozdziału płci, jak w domu jego dzieciństwa. Na środku podłogi siedział po turecku na wyszywanej poduszce Abdullah, z niemowlęciem na podołku. Na widok Wolffa szeroko się uśmiechnął.

- Odnieśliśmy wielki sukces, przyjacielu!

Wolff usiadł naprzeciw niego na podłodze.

- To było wspaniałe - powiedział. - Jesteś cudotwórcą.

- Istne rozruchy! A ten autobus, co przyjechał w samą porę... i uciekający pawian...

Wolff przyjrzał się, co robi Abdullah. Miał on przed sobą na podłodze stos portfeli, torebek, portmonetek i zegarków. W trakcie rozmowy z Wolffem wziął do ręki ozdobnie tłoczony skórzany portfel. Wyjął z niego plik egipskich banknotów, kilka znaczków pocztowych i złoty ołówek - wszystko to upchnął gdzieś pod swoją szatę. Potem odłożył portfel, sięgnął po jakąś torbę i zaczął ją przeszukiwać.

Wolff zrozumiał, skąd się wzięły te rzeczy.

- Ty stary łotrze! - powiedział. - Wysłałeś swoich chłopców w tłum na kradzież.

Abdullah uśmiechnął się, pokazując metalowy ząb.

- Zadać sobie tyle trudu po to, żeby ukraść jedną głupią teczkę...

- Ale macie tę teczkę?

- Oczywiście.

Wolff odetchnął. Abdullah nie wykonał najmniejszego ruchu, żeby mu ją wręczyć.

Wolff spytał:

- Więc dlaczego mi jej nie dajesz?

- Zaraz - odparł Abdullah. Ale wciąż się nie ruszał. Po chwili dodał:

- Miałeś mi zapłacić drugie pięćdziesiąt funtów przy wręczeniu teczki.

Wolff odliczył banknoty, które znikły pod plugawą szatą. Abdullah pochylił się do przodu, jedną ręką przycisnął niemowlę do piersi, a drugą sięgnął pod poduszkę, na której siedział, i wyjął stamtąd teczkę.

Wolff wziął teczkę i przyjrzał się jej bliżej. Miała wyłamany zamek. Zezłościło go to: powinny przecież istnieć jakieś granice dwulicowości. Starał się mówić spokojnie:

- Zdążyłeś ją otworzyć!

Abdullah wzruszył ramionami. Powiedział:

- Maaleesh. - Wygodne to słówko znaczy zarazem "Przykro mi" i "No to co?"

Wolff westchnął. Za długo siedział w Europie, zapomniał, jak w jego ojczyźnie załatwia się interesy.

Uniósł wieko teczki. W środku znalazł kilkanaście kartek papieru, gęsto zapisanych po angielsku na maszynie. Gdy zaczynał czytać, ktoś postawił koło niego filiżankę kawy. Uniósł wzrok i ujrzał piękną dziewczynkę.

- Twoja córka? - zapytał Abdullaha.

Ten zaśmiał się.

- Moja żona.

Wolff raz jeszcze przyjrzał się dziewczynie. Wyglądała mniej więcej na czternaście lat. Wrócił do papierów z teczki.

Przeczytał pierwszy, potem z rosnącym zniecierpliwieniem przekartkował pozostałe.

- Dobry Boże - szepnął, odkładając papiery i zaczął się śmiać.

Wykradł komplet jadłospisów wszystkich kantyn koszarowych na miesiąc czerwiec.

- Wydałem okólnik - powiedział Vandam do pułkownika Bogge - przypominający oficerom Sztabu Generalnego, że tylko w wyjątkowych wypadkach mogą wynosić na miasto papiery służbowe.

Bogge siedział za swoim ciężkim, rzeźbionym biurkiem i chusteczką od nosa polerował czerwoną piłkę krykietową.

- Dobry pomysł - powiedział. - Trzeba chłopców trzymać w ryzach.

Vandam kontynuował:

- Jeden z moich informatorów, nowa dziewczyna, o której panu wspomniałem...

- Ta kokotka?

- Tak - Vandam powściągnął odruchowo chęć oznajmienia Bogge'owi, że "kokotka" to nie jest właściwe określenie dla Elene. - Słyszała plotkę, że tamtą burdę zorganizował Abdullah...

- Co to za jeden?

- To taki egipski Fagin, a przy okazji nasz informator, choć sprzedawanie mi wiadomości to tylko jedno z wielu jego zajęć.

- Po co, wedle tej plotki, zorganizowano burdę?

- Dla kradzieży.

- Aha - odparł z powątpiewaniem Bogge.

- Skradziono mnóstwo rzeczy, musimy wszakże brać pod uwagę możliwość, że głównym celem przedsięwzięcia była teczka.

- Znowu spisek! - powiedział Bogge z wyrazem rozbawionego sceptyzmu na twarzy.

- Po cóż jednak temu Abdullahowi jadłospisy naszych kantyn, co? - Zaśmiał się.

- Nie mógł wiedzieć, co zawiera teczka. Mógł po prostu przypuszczać, że są w niej tajne dokumenty.

- Powtarzam moje pytanie - rzekł Bogge z miną ojca, cierpliwie wypytującego dziecko. - Po co mu nasze tajne dokumenty?

- Może ktoś go wynajął.

- Ale kto?

- Alex Wolff.

- Kto taki?

- Nożownik z Asjut.

- Ależ doprawdy, panie majorze, myślałem, że nie będziemy już wracać do tej sprawy.

Zadzwoił telefon i Bogge sięgnął po słuchawkę. Vandam skorzystał z okazji, żeby nieco ochłonać. Problem Bogge'a myślał, polega przypuszczalnie na tym, że brak mu wiary w swoje siły i wiary w trafność własnych słów, a w rezultacie, nie będąc w stanie podejmować autentycznych decyzji, bawi się w licytacje zasług i sprytnie zdobywa kolejne

punkty przewagi nad kolegami, żeby się umocnić w złudnym przekonaniu, iż mimo wszystko jest mądry. Oczywiście Bogge nie ma pojęcia, czy za kradzieżą aktówki coś się kryje. Mógłby wysłuchać tego, co Vandam ma mu do powiedzenia, i potem samemu rozstrzygnąć - tego jednak się obawia. Nie chciał się nigdy angażować w autentyczną dyskusję z podwładnym, ponieważ z reguły całą energię umysłową zużywał na obmyślanie sposobów zastawienia na kogoś pułapki, przyłapania go na błędzie lub wyśmiania jego poglądów - i zanim w ten sposób nabrał należytego poczucia wyższości nad przeciwnikiem w ferworze dyskusji zapadała decyzja, mniej lub bardziej przypadkowa, dobra bądź zła.

Bogge mówił:

- Oczywiście, panie generale, zaraz się tym zajmę.

Vandam zastanawiał się, jak on sobie radzi z przełożonymi. Wreszcie podpułkownik odłożył słuchawkę i powiedział:

- Zaraz, zaraz, o czym to mówiliśmy?

- Morderca z Asjut wciąż jest na wolności - rzekł Vandam. - Może mieć z tym związek fakt, że wkrótce po jego przybyciu do Kairu ktoś kradnie oficerowi Sztabu Generalnego teczkę.

- Zawierającą jadłospisy kantyn koszarowych.

Kółko się zamyka, pomyślał Vandam. Po czym, zdobywając się na maksimum słodczy w głosie, powiedział:

- My w wywiadzie nie wierzymy w zbiegi okoliczności, prawda?

- Proszę mnie nie pouczać, chłopcze. Nawet gdyby pan miał rację, a jestem przekonany, że się pan myli, cóż innego moglibyśmy zrobić prócz rozesłania pańskiego okólnika?

- Rozmawiałem z Abdullahem. Zaprzecza, jakoby wiedział cokolwiek na temat Alexa Wolffa, ale myślę, że kłamie.

- Skoro jest złodziejem, czemu nie szepnie pan o nim słówka policji egipskiej?

- Co by to dało? - pomyślał Vandam, ale powiedział:

- Oni wiedzą na jego temat wszystko. Nie mogą go aresztować, ponieważ zbyt wielu wyższych oficerów policji czerpie zbyt grube dochody z jego łapówek. Ale moglibyśmy go przymknąć i przesłuchać, wycisnąć z niego trochę potu. Ten człowiek nie wie, co to znaczy lojalność, przejdzie na naszą stronę, zanim się obejrzymy.

- Sztab Generalny Wywiadu nie zajmuje się wsadzaniem ludzi do więzienia i wyciskaniem z nich potu, majorze...

- Mogłaby to zrobić Straż Terenowa albo nawet żandarmeria.

Bogge uśmiechnął się.

- Gdybym poszedł do Straży Terenowej z tą opowieścią o arabskim Faginie, który kradnie wojskowe jadłospisy, wyśmialiby mnie z miejsca.

- Ale...

- Nie ma żadnego "ale", majorze. Poświęciłem panu zbyt wiele czasu.

- Na miłość boską...

Bogge podniósł głos:

- Nie wierzę w to, że bójka była zaaranżowana. Nie wierzę, że Abdullah zamierzał ukraść teczkę, i nie wierzę, że Wolff jest hitlerowskim szpiegiem. Czy wszystko jasne?

- Niech pan posłucha, ja chciałem tylko....

- Wszystko jasne?

- Tak jest, panie pułkowniku.

- Dobrze. Odmaszerować.

Vandam wyszedł.

Jestem małym chłopcem. Tata mi mówił, ile mam lat, ale zapomniałem. Zapytam go, jak znowu wróci do domu. Mój tata jest żołnierzem. Tam gdzie on jeździ, to się nazywa Sudan. Sudan jest bardzo daleko stąd.

Chodzę do szkoły. Uczę się Koranu. Koran to święta księga. Jeszcze uczę się pisać i czytać. Czytanie jest łatwe, ale trudno pisać nie robiąc kleksów. Czasami zbieram bawełnę albo daję bydłu pić.

Opiekują się mną mama i babcia. Moja babcia jest bardzo sławna. Prawie wszyscy ludzie z całego świata do niej przychodzą, jak są chorzy. Ona im daje leki z ziół.

Babcia daje mi melasę. Lubię melasę ze zsiadłym mlekiem. Kładę się w kuchni na piecu, a babcia mi opowiada. Najbardziej lubię balladę o Zahranie, bohaterze spod Denshway. Kiedy ona o nim mówi, zawsze dodaje, że Denshway jest niedaleko stąd. Chyba się starzeje i traci pamięć, bo Denshway jest daleko. Poszedłem tam kiedyś z Abdelem i zajęło nam to całe rano.

To w Denshawy angielscy żołnierze strzelali do gołębi i od jednej kuli zajęła się stodoła. Przybiegli wszyscy ludzie z tej wioski, żeby sprawdzić, kto podłożył ogień. Jeden żołnierz przestraszył się widoku tylu silnych ludzi, którzy biegli prosto na niego, i zaczął do nich strzelać. Doszło do bójki żołnierzy z chłopami. Nikt nie wygrał, ale zabili żołnierza, który podpalił stodołę. Zaraz przyjechali inni żołnierze i zaarrestowali wszystkich mężczyzn z tej wioski.

Żołnierze zbudowali z drewna coś, co się nazywa szubienica. Nie wiem, co to jest szubienica, ale wiem, że się na niej wieszają ludzie. Nie wiem, co się dzieje z powieszonymi ludźmi. Niektórych mieszkańców wioski powieszono, a innych wychłostano. Wiem, co to jest chłosta. To chyba najgorsza rzecz na świecie, nawet gorsza od wieszania, przynajmniej tak myślę.

Zahran miał być powieszony jako pierwszy, bo on najwięcej walczył z żołnierzami. Podszedł do szubienicy z podniesioną głową, bo był dumny, że zabił żołnierza, który podpalił stodołę.

Chciałbym być Zahranem.

Nigdy nie widziałem angielskiego żołnierza, ale wiem, że ich nienawidzę.

Nazywam się Anwar es-Sadat i mam zamiar zostać bohaterem.

Sadat dotknął swoich wąsów. Był z nich dość dumny. Miał zaledwie dwadzieścia dwa lata i w mundurze kapitana wyglądał trochę jak chłopiec przebrany za żołnierza - wąsy przydawały mu wieku. Potrzebował jak najwięcej autorytetu, to bowiem, co chciał właśnie

zapropnować, było - jak zwykle - dość niewydarzone. Na wszystkich tych zebraniach w wąskim gronie usiłował stale przemawiać i zachowywać się, jak gdyby zebrana w tym pokoju garstka zapaleńców naprawdę miała lada dzień wyrzucić Anglików z Egiptu.

Rozmyślnie zaczął przemawiać nieco niższym głosem:

- Mieliśmy wszyscy nadzieję, że Rommel pokona Anglików na pustyni i wyzwoli nasz kraj. - Rozejrzył się po pokoju; to dobry trick, na duże i małe zebrania, ponieważ daje każdemu złudzenie, że Sadat mówi do niego osobiście. - Teraz otrzymaliśmy niedobre wieści. Hitler zgodził się oddać Egipt Włochom.

Sadat przesadził: nie były to wcale wieści, jedynie pogłoski. W dodatku większa część audytorium wiedziała, że to tylko plotki. Niemniej jednak istniało duże zapotrzebowanie na melodramat i słuchacze odpowiedzieli gniewnymi pomrukami.

Sadat kontynuował:

- Proponuję, żeby Ruch Wolnych Oficerów wynegocjował traktat z Niemcami, w ramach którego zorganizujemy w Kairze powstanie antyangielskie, a oni zagwarantują nam niepodległość i suwerenność Egiptu po klęsce Wielkiej Brytanii.

W miarę jak mówił, uderzała go śmieszność sytuacji: oto on, wiejski chłopak prosto od krów, mówi do garstki niezadowolonych młodszych oficerów o negocjacjach z Rzeszą Niemiecką. Z drugiej strony - kto miał reprezentować naród egipski? Anglicy są najeźdźcami, parlament marionetką, a król cudzoziemcem.

Był jeszcze jeden powód jego propozycji, którego wszakże nie chciał tu omawiać, do którego sam przed sobą, przyznawał się tylko w głębi nocy: Abdel Naser został wraz ze swoją jednostką przeniesiony do Sudanu, a jego nieobecność dawała Sadatowi szansę zdobycia pozycji przywódcy ruchu rebeliantów.

Szybko odsunął od siebie tę mało szlachetną myśl. Musiał teraz przekonać innych do swojego planu, a następnie uzgodnić sposoby jego realizacji.

Pierwszy zabrał głos Kemel.

- Czy Niemcy potraktują nas poważnie? - spytał.

Sadat potaknął, jak gdyby sam uważał, że to ważna kwestia. W rzeczywistości umówili się przed spotkaniem, że Kemel zada to pytanie, jako swego rodzaju zasłonę dymną. Prawdziwy problem polegał na tym, czy można zaufać Niemcom, czy nie zerwą oni układu, zawartego z grupą nieoficjalnych buntowników - Sadat jednak nie chciał poddawać tej kwestii pod dyskusję. Było mało prawdopodobne, że Niemcy dotrzymają swoich zobowiązań w tym przetargu; jeśli jednak Egipcjanie powstaną przeciwko Anglikom, a następnie zostaną zdradzeni przez Niemców, przekonają się, że niepodległość jest

najlepszym rozwiązaniem - a może, w dodatku, oddadzą przywództwo człowiekowi, który zorganizował powstanie. Podobne realia polityczne nie nadawały się na tego rodzaju spotkania: zbyt były wyszukane, zbyt wyspekulowane. Tylko z Kemelem mógł Sadat omawiać sprawy taktyki. Kemel to policjant, detektyw policji kairskiej, człowiek bystry i skrupulatny. Być może praca w policji nauczyła go cynizmu.

Pozostali zaczęli się spierać, czy sprawa ma szanse powodzenia. Sadat nie mieszał się do dyskusji. Niech się wygadają - pomyślał - w końcu na tym im najbardziej zależy. Gdy przychodziło co do czego, zazwyczaj się na nich zawodził.

Kiedy się sprzeczali, Sadat przypominał sobie nieudaną rewolucję z poprzedniego lata. Rozpoczął ją szejk al-Azhar, głosząc: "Nie mamy nic wspólnego z tą wojną". Potem parlament egipski, w rzadkim przypływie samodzielności, przyjął politykę "Ratujmy Egipt przed plagą wojny". Armia egipska walczyła dotąd u boku sił brytyjskich na pustyni, obecnie jednak Anglicy kazali Egipcjanom zdać broń i wycofać się z frontu. Egipcjanie ochoczo zgodzili się na opuszczenie frontu, ale nie uśmiechała im się myśl o rozbrojeniu. Sadat uznał, że to opatrnościowa chwila dla wywołania konfliktu. On i wielu innych młodszych oficerów odmówili zdania broni i planowali marsz na Kair. Ku wielkiemu rozczarowaniu Sadata Anglicy od razu ustąpili i pozwolili im zachować broń. Sadat próbował jeszcze rozdmuchać isierki buntu w płomień rewolucji, ale Anglicy przechytrzyli go, idąc na ustępstwa. Marsz na Kair skończył się fiaskiem: oddział Sadata przybył na punkt zborny, ale nikt inny się tam nie zjawił. Sadat i jego ludzie umyli samochody, usiedli na chwilę, żeby odpocząć, i powrócili do swego obozu.

W sześć miesięcy później Sadat doznał kolejnej porażki. Tym razem poszło o grubego i sprośnego tureckiego króla Egiptu. Anglicy postawili królowi Farukowi ultimatum: albo zleci premierowi sformowanie nowego, probrytyjskiego gabinetu, albo musi abdykować. Pod tą presją Faruk wezwał Mustafę el-Nahas Paszę i nakazał mu powołać nowy rząd. Sadat nie był rojalistą, ale był oportunistą: oświadczył, że doszło do pogwałcenia suwerenności Egiptu, i młodzi oficerowie pomaszerowali do pałacu, żeby na znak protestu oddać honory wojskowe królowi. I tym razem Sadat próbował rozdmuchać zarzewie buntu. Miał zamiar otoczyć pałac, rzekomo w obronie króla. I tym razem nikt nie pośpieszył mu z pomocą.

W obu wypadkach Sadat był gorzko zawiedziony. zastanawiał się nawet, czy nie porzucić buntowniczej polityki: niech Egipcjanie idą do diabła, skoro sami tego chcą - myślał w chwilach najczarniejszej rozpacz. Ale chwile takie mijały, wiedział bowiem, że walczy o słuszną sprawę, i wiedział, że jest dość sprytny, by jej się dobrze przysłużyć.

- Ale nie mamy żadnego kontaktu z Niemcami - powiedział Imam, jeden z pilotów. Sadat ucieszył się, że już debatują nad tym jak, a nie czy co zrobić.

Kemel znalazł odpowiedź na to pytanie:

- Możemy wysłać wiadomość samolotem.

- Tak! Imam był młody i zapalczywy. - Któryś z nas mógłby w trakcie rutynowego lotu patrolowego zboczyć z trasy i wylądować za liniami niemieckimi.

Jeden ze starszych pilotów wtrącił:

- Po powrocie będzie musiał złożyć raport o zboczeniu z trasy...

- Wcale nie musi wracać - powiedział Imam, w którego twarzy zwykła apatia zastąpiła chwilowe ożywienie.

- Mógłby wrócić z Rommelem - powiedział spokojnie Sadat.

Oczy Imama znów się rozjaśniły i Sadat wiedział, że młody pilot oczyma duszy widzi siebie u boku Rommla, jak na czele armii wyzwolenia wkraczają do Kairu. Postanowił, że to Imam zawiezie Niemcom wiadomość.

- Uzgodnijmy teraz tekst posłania - rzekł demokratycznie Sadat. Nikt nie zauważył, że taka jednogłośnie decyzja nie była konieczna przy omawianiu kwestii, czy w ogóle należy coś wysłać. - Myślę, że należy uwzględnić cztery punkty. Po pierwsze: Jesteśmy uczciwymi Egipcjanami, mamy swoją organizację w obrębie armii. Po drugie: Tak jak wy, walczyliśmy z Anglikami. Po trzecie: Jesteśmy w stanie powołać armię powstańczą, która stanie u waszego boku. Po czwarte: Zorganizujemy antyangielskie powstanie w Kairze, jeśli w zamian zagwarantujecie niepodległość i suwerenność Egiptu po klęsce Anglików. - Przerwał na chwilę, po czym dodał ze zmarszczonym czołem: - Myślę, że może dobrze by było dać im jakiś znak naszej dobrej woli.

Zapadło milczenie. Kemel znalazł odpowiedź także i na to pytanie, ale lepiej, żeby wyszła ona od kogoś innego.

Imam stanął na wysokości zadania.

- Moglibyśmy wraz z posłaniem przekazać im trochę użytecznych dla nich informacji wojskowych.

Kemel udawał, że się temu sprzeciwia:

- Do jakich informacji my możemy mieć dostęp? Nie wyobrażam sobie...

- Zdjęcia lotnicze brytyjskich pozycji.

- W jaki sposób?

- Możemy je zrobić w czasie lotów patrolowych, zwyczajnym aparatem.

Kemel nadal miał zastrzeżenia: - A gdzie wywołamy film?

- Wcale nie musimy wywoływać - zawołał podekscytowany Imam. - Możemy wysłać sam film.

- Jeden film?

- Dowolną liczbę.

- Myślę, że Imam ma rację - powiedział Sadat. Raz jeszcze omawiali szczegóły techniczne pomysłu, a nie ryzyko. Teraz pozostała już tylko jedna przeszkoda do pokonania. Sadat wiedział z dotychczasowych przykrych doświadczeń, że ci buntownicy są bardzo odważni, dopóki naprawdę nie trzeba nadstawić karku. Powiedział: - Pozostaje tylko jedno pytanie, kto z nas poleci. - Mówiąc to rozejrzył się po pokoju, aż wzrok jego zatrzymał się na Imamie.

Po chwili wahania Imam wstał.

Oczy Sadata rozbłysły triumfalnie.

Dwa dni później Kemel pieszo przemierzał ponad cztery kilometry dzielące centrum Kairu od przedmieścia, na którym mieszkał Sadat. Jako inspektor policji Kemel miał prawo używania służbowego samochodu bez ograniczeń, ze względów bezpieczeństwa wszakże rzadko korzystał z tego prawa, wybierając się na spotkania spiskowców. Jego koledzy z policji najprawdopodobniej okazaliby się sympatykami Wolnych Oficerów, na razie jednak wolał nie wystawiać ich na próbę.

Kemel był o piętnaście lat starszy od Sadata, mimo to żywił dla młodszego kolegi swego rodzaju kult. Obaj byli cynikami, obaj realistycznie pojmowali dźwignię życia politycznego, ale Sadat miał coś jeszcze, a mianowicie żarliwy idealizm, z którego czerpał niezmierną energię i bezgraniczną nadzieję.

Kemel zastanawiał się, jak ma mu przekazać wiadomość. Poślanie do Rommla przepisano na maszynie, dano do podpisu Sadatowi i innym ważniejszym Wolnym Oficerom z wyjątkiem nieobecnego Nasera, po czym zapieczętowano w dużej brązowej kopercie. Porobiono zdjęcia brytyjskich pozycji. Imam wystartował na swym Gladiatorze, towarzyszył mu drugim samolotem Baghdadi. Przysiedli na pustyni, gdzie Kemel wręczył brązową kopertę Imamowi, a sam wspiął się do samolotu Baghdadiego. Twarz Imama promieniała młodzieńczym idealizmem.

Kemel pomyślał: Jak mam to powiedzieć Sadatowi?

To był pierwszy lot w życiu Kemela. Pustynia, tak jednolita, jeśli patrzeć z ziemi, okazała się bezkresną mozaiką wzorów i kształtów: płaty żwiru, kępki traw, poszarpane pagórki wulkaniczne. Baghdadi powiedział mu, że zmarznie, i Kemel w pierwszej chwili wziął to za żart - pustynia buchała jak piec - ale w miarę jak samolocik wzbijał się w górę,

temperatura stale opadała, w końcu policjant trząsł się z zimna w cienkiej bawełnianej koszuli.

Po pewnym czasie oba samoloty miały skrócić na wschód i Baghdadi zameldował przez radio do bazy, że Imam zboczył z kursu i nie odpowiada na wezwania. Baza, zgodnie z oczekiwaniami, kazała Baghdadiemu podążyć za Imamem. Ta scenka była potrzebna po to, żeby podejrzenia nie padły na Baghdadię, który miał wrócić.

Przelatywali nad jakimś obozem wojskowym. Kemel widział czołgi, ciężarówki, działka polowe i jeepy. Niektórzy żołnierze machali do nich - na pewno Anglicy, pomyślał Kemel. Oba samoloty nabrały wysokości. Przed sobą zobaczyli oznaki bitwy: wielkie kłęby pyłu, wybuchy i strzały armatnie. Skręcili, żeby wyminąć bitwę od południa.

Kemel pomyślał: przelecieliśmy nad bazą angielską, teraz mijamy pole bitwy, następna powinna być baza niemiecka.

Tymczasem samolot Imama tracił wysokość. Natomiast Baghdadi wzniósł się jeszcze wyżej - Kemel miał wrażenie, że Gladiator jest blisko ich dachu - a potem oderwał się na południe. Kemel zobaczył to, co wcześniej ujrzeli piloci: niewielki obóz z pustym, oznakowanym pasem startowym.

Zbliżając się do domu Sadata Kemel przypominał sobie emocje, jakie przeżywał, kiedy lecąc wysoko nad pustynią zorientował się, że są za liniami niemieckimi i że traktat już niemal dotarł do rąk Rommla.

Zapukał. Wciąż nie wiedział, co powiedzieć Sadatowi.

Był to zwyczajny domek jednorodzinny, trochę skromniejszy od domu Kemela. Sadat zaraz podszedł do drzwi, w galabii i z fajką w ustach. Spojrzał w twarz Kemela i powiedział:

- Nie udało się.

- Tak.

Kemel wszedł. Udali się do pokoiku, który służył Sadatowi do pracy. Było tam biurko, półka z książkami i kilka poduszek na gołej podłodze. Na biurku leżał na stercie papierów pistolet wojskowy.

Usiedli. Kemel zaczął opowiadać:

- Znaleźliśmy niemiecki obóz z pasem startowym. Imam zszedł do lądowania. A wtedy Niemcy otworzyli do niego ogień. To był angielski samolot... o tym nie pomyśleliśmy...

- Ale przecież - powiedział Sadat - mogli się zorientować, że nie ma wrogich zamiarów. Nie strzelał, nie zrzucał bomb...

- Imam nie przestawał obniżać lotu - ciągnął Kemel. - Pomachał im skrzydłami, myślę też, że starał się wywołać ich przez radio, oni jednak ciągle strzelali. W końcu trafili samolot w ogon.

- O Boże!

Spadł bardzo szybko. Niemcy przestali strzelać. Jakimś cudem Imamowi udało się sięść na podwoziu. Samolot podskakiwał bezładnie. Imam już nad nim chyba nie panował. Z pewnością nie umiał zahamować. Zjechał z utwardzonego pasa na piasek, lewe skrzydło zawadziło o ziemię i odpadło. Dziób samolotu zarył w piasek, a kadłub padł na złamane skrzydło.

Sadat wpatrywał się w Kemela, błądy i nieruchomy, ze stygnącą fajką w ręku. Kemel miał wciąż przed oczyma rozwalony samolot na pustynnym piasku, pędzące ku niemu po pasie startowym niemiecką karetkę i wóz pożarniczy, a za nimi kilkunastu żołnierzy. Nigdy nie zapomni, jak brzuch samolotu, niczym rozwierający płatki pąk, wystrzelił w niebo w gęstwinie czerwonych i żółtych płomieni.

- Samolot wyleciał w powietrze - powiedział Sadatowi.

- A Imam?

- Nie mógł wyjść żywy z tego ognia.

- Musimy spróbować jeszcze raz - stwierdził Sadat. - Musimy znaleźć jakiś sposób na przekazanie naszego posłania.

Kemel spojrział na niego, wyczuwszy sztuczność w jego dziarskim tonie. Sadat próbował zapalić fajkę, a ręka trzymająca zapalniczkę za mocno drżała. Kemel spojrział uważnie i dostrzegł łzy w oczach Sadata.

- Biedny chłopak - szepnął Sadat.

Wolff wrócił do punktu wyjścia: wiedział, gdzie szukać tajemnic wojskowych, ale nie umiał się do nich dostać.

Mógłby ukraść inną teczkę w podobny sposób jak pierwszą, ale wtedy Anglicy zaczęliby węszyć spisek. Mógłby obmyślić jakiś inny sposób kradzieży, ale nawet i to mogło obudzić podejrzliwość Anglików. Poza tym jedna teczka dziennie nie zaspokajała jego potrzeb - musi mieć regularny, nieskrępowany dostęp do tajnych dokumentów.

Dlatego właśnie golił włosy łonowe Soni.

Były ciemne, grube i bardzo odrastały. Ponieważ Sonia goliła je regularnie, mogła nosić przezroczyste spodnie bez tradycyjnego klucza wiolinowego, wyszywanego cekinami. Ta dodatkowa porcja wolności cielesnej - wraz z uporczywymi i uzasadnionymi pogłoskami o tym, że nic nie ma pod spodniami - pozwoliła zdobyć pozycję najlepszej tancerki brzucha.

Wolff zanurzył pędzel w miseczce i zaczął mydlić podbrzusze Soni.

Leżała na łóżku, z plecami wspartymi na stosie poduszek, i obserwowała go podejrzliwie. Nie była zachwycona jego najnowszą perwersją. Uważała, że jej się to nie będzie podobało.

On wiedział lepiej.

Znał jej sposób myślenia, znał jej ciało lepiej, niż sama je znała, a poza tym czegoś od niej chciał.

Dotknął ją końcem miękkiego pędzla do golenia i powiedział:

- Myślę, że trzeba będzie w inny sposób dostać się do tych teczek.

- Niby jak?

Nie odpowiedział od razu. Odłożył pędzel i wziął brzytwę. Wypróbował kciukiem jej ostrze i spojrzał na Sonię. Ona wpatrywała się w niego z pełną zgrozy fascynacją. Wolff pochylił się, nieco szerzej rozwarł jej nogi, przyłożył brzytwę do skóry i lekko, ostrożnie pociągnął w górę.

- Chcę się zaprzyjaźnić z jakimś angielskim oficerem - oznajmił.

Sonia nie odpowiedziała - ledwie go słyszała. Wytarł brzytwę w ręcznik. Palcem lewej ręki dotknął świeżo wygolonego miejsca, naciskając dla naciągnięcia skóry, po czym znów przybliżył brzytwę.

- Później sprowadzę go tutaj - ciągnął.

- Och, nie - krzyknęła Sonia.

Dotknął ją ostrzem brzytwy i delikatnie przejechał w górę.

Sonia zaczęła głębiej oddychać.

Wytarł brzytwę i raz, drugi, trzeci przejechał ją ostrzem.

- Postaram się jakoś, żeby oficer przyszedł z teczką.

Przycisnął palcem najbardziej wrażliwe miejsce i golił wokół niego. Sonia przymknęła oczy.

Nalał gorącej wody z czajnika do miseczki, która stała obok niego na podłodze. Zanurzył w wodzie kawałek flaneli i wycisnął.

- Przejrzę zawartość teczki, kiedy oficer będzie z tobą w łóżku.

Przycisnął gorącą flanelę do wygolonej skóry.

Sonia wydała krótki okrzyk, jak zwierzę, zapędzone w kozi róg:

- Och, Boże!

Wolff zrzucił szlafrok i stanął nagi. Wziął butelkę z olejkiem kosmetycznym, nalał trochę na swoją prawą dłoń i przyklęknął na łóżku obok Soni. Następnie namaścił jej łono.

- Nie zrobię tego - powiedziała Sonia i zaczęła się wić.

Dolał jeszcze olejku, wcierając go starannie we wszystkie fałdy i zakamarki. Lewą ręką trzymał Sonię za gardło, nie dając jej się ruszyć.

- Zrobisz.

Świadome rzeczy palce Wolffa wciskały się i penetrowały, coraz mniej łagodne.

- Nie.

- Tak.

Miotła głową na prawo i lewo. Jej ciało skręcało się, obezwładnione kurczem intensywnej rozkoszy. Zaczęła drżeć, wreszcie powiedziała:

- Och. Och. Och. Och. Och. Och!

I odetchnęła.

Wolff nie dał jej odpocząć. Prawą ręką wciąż gładził ją po gładkiej, wygolonej skórze, a lewą podszczypywał brązowe sutki. Sonia nie mogła mu się oprzeć, znów zaczęła się wić.

W pewnej chwili otworzyła oczy i zobaczyła, że on też jest podniecony. Powiedziała:

- Ty draniu, wbij go we mnie.

Wolff uśmiechnął się. Poczucie władzy jest jak narkotyk. Wyciągnął się nad jej ciałem, zawahał, i zawisł w powietrzu.

Ona: - Szybko!

- Zrobisz to!

- Szybciej!

Dotknął lekko jej ciała i znów znieruchomiał.

- Zrobisz to?

- Tak! Błagam!

- Ach! - westchnął Wolff i opadł na jej ciało.

Później oczywiście usiłowała się z tego wycofać.

- Nie liczą się wymuszone obietnice - mówiła.

Wolff wyszedł z łazienki owinięty w prześcieradło kąpielowe. Spojrzał na nią. Leżała na łóżku, ciągle jeszcze naga, zjadając czekoladki z bombonierki. Zdarzały się chwile, kiedy prawie ją lubił.

- Co obietnica, to obietnica - powiedział.

- Obiecałeś, że nam znajdziesz drugą Fawzi. - Sonia dąsała się, jak zwykle po stosunku.

- Przyprowadziłem tę dziewczynę od Madame Fahmy - odpowiedział Wolff.

- To nie była druga Fawzi. Fawzi nie domagała się dziesięciu funtów za każdy raz, a rano nie spieszyła się do domu.

- W porządku. Szukam dalej.

Poszedł do drugiego pomieszczenia i wyjął z lodówki butelkę szampana. Wziął też dwa kieliszki i wrócił do sypialni.

- Chcesz?

- Nie... Tak.

Nalał jej i wręczył kieliszek. Upiła odrobinę i sięgnęła po kolejną czekoladkę.

- Za zdrowie nieznanego angielskiego oficera - rzekł Wolff - którego wkrótce spotka najprzyjemniejsza w życiu niespodzianka.

- Nie pójdę do łóżka z Anglikiem - oznajmiła Sonia. - Oni brzydko pachną, mają skórę jak ślimaki i ja ich nienawidzę.

- Dlatego właśnie to zrobisz, dlatego że ich nienawidzisz. Wyobraź to sobie: on cię pieprzy i myśli, że złapał szczęście za nogi, a w tym czasie ja czytam jego tajne dokumenty.

Wolff zaczął się ubierać. Włożył koszulę, skrojoną na jego miarę w małym warsztacie krawieckim w Old City - była to brytyjska koszula mundurowa z gwiazdkami kapitana na patkach.

- W co ty się ubierasz?

- W mundur angielskiego oficera. Bo wiesz, oni nie chcą gadać z cudzoziemcami.

- Chcesz udawać Anglika?

- Myślę, że raczej oficera południowoafrykańskiego.

- A jeśli się sypniesz?

Wolff spojrzał na nią.

- Wtedy najprawdopodobniej zastrzelą mnie jako szpiega.

Sonia spuściła wzrok.

- Jeśli spotkam kogoś odpowiedniego - rzekł Wolff - zabiorę go do "Cha-Cha".

Sięgnął pod pachę i z wewnętrznej pochwy wyciągnął nóż. Zbliżył się do Soni i ostrzem dotknął jej nagiego ramienia.

- Jak mnie wydasz, odetnę ci wargi.

Sonia spojrzała mu w twarz. Nic nie powiedziała, ale w jej oczach czaił się lęk.

Wolff wyszedł.

W hotelu Shephearda był tłok. Jak zwykle.

Wolff zapłacił taksówkarzowi, przecisnął się przez tłumek przekupniów i dragomanów kłębiących się na zewnątrz, po czym wszedł po schodach do hotelowego hallu. Było tu pełno ludzi: kupcy lewantyńscy toczący hałaśliwe negocjacje, Europejczycy korzystający z usług pocztowych i bankowych, młode Egipcjanki w tanich sukienkach i angielscy oficerowie - niższe stopnie nie miały tu wstępu. Wolff przeszedł między dwiema nadnaturalnej wielkości damami z brązu, które trzymały lampy, i wszedł do klubu. Kilkuosobowy zespół grał nieokreśloną muzykę, zaś inny tłum, tym razem złożony głównie z Europejczyków, bezustannie wzywał kelnerów. Lawirując między otomanami i marmurowymi stolikami Wolff zmierzał w stronę długiego baru, umieszczonego w najdalszym kącie sali.

Tutaj było nieco spokojniej. Kobiety nie miały tu wstępu, a ostre picie było na porządku dziennym. Można było oczekiwać, że w takim miejscu spotka się samotnego oficera.

Wolff usiadł przy kontuarze. Już miał zamówić szampana, kiedy sobie przypomniał o swoim przebraniu i poprosił o whisky z wodą.

Wiele uwagi poświęcił swojemu strojowi. Miał brązowe buty o oficerskim kroju, starannie wyczyszczone; skarpetki koloru khaki wywinięte dokładnie we właściwym miejscu; luźne brązowe szorty z mocno zaprasowanymi kantami; koszulę polową z gwiazdkami kapitana wypuszczoną na wierzch, a nie wciśniętą w szorty; wreszcie płaską czapkę, należycie lekko przekrzywioną.

Trochę się martwił o swój akcent. Miał przygotowaną opowieść wyjaśniającą - to, co powiedział kapitanowi Newmanowi w Asjut, o dzieciństwie w burskiej rodzinie w Afryce Południowej - co jednak robić, gdy trafi na oficera południowoafrykańskiego? Nie znał angielskiego na tyle dobrze, żeby rozróżniać akcenty i wyłapać południowoafrykański.

Jeszcze bardziej martwił się o swoją znajomość armii. Ponieważ poszukiwał oficera sztabowego, chciał powiedzieć, że jest z OBE - Oddziałów Brytyjskich w Egipcie - które były odrębną, samodzielną jednostką. Nie wiedział jednak, co robią OBE i jak są zorganizowane, nie znał nazwiska ani jednego oficera. Wyobrażał sobie taką rozmowę:

- Jak tam stary Buffy Jenkins?

- Stary Buffy? Nie widzimy go za często w naszym oddziale.

- Nie widujecie go? Przecież on wami kręci! Czy mówimy o tych samych OBE?

No i dalej:

- A Simon Frobisher?

- U Simona wszystko po staremu.

- Zaraz, zaraz, ktoś mi mówił, że wrócił do kraju. Tak, jestem tego pewien... jak to możliwe, że nic o tym nie wiesz?

Zaczynają się oskarżenia, ktoś wzywa żandarmerię, rzecz kończy się bójką i aresztem.

Tak naprawdę Wolff bał się tylko więzienia. Szybko pozbył się tej myśli i zamówił jeszcze jedną whisky.

Spocony pułkownik stanął przy kontuarze tuż obok stołka Wolffa.

- Ezma! - zawołał do barmana. Znaczy to "słuchaj", ale Anglicy sądzą, że znaczy "kelner". Pułkownik spojrzał na Wolffa.

Wolff uprzejmie zasalutował.

- Przy barze czapki z głów, kapitanie - oznajmił pułkownik. - Co pan sobie wyobraża!

Wolff zdjął czapkę, przeklinając się po cichu za ten błąd. Pułkownik zamówił piwo. Wolff patrzył w bok.

Przy barze było piętnastu do dwudziestu oficerów, ale nie znał żadnego. Rozglądał się za którymś z ośmiu adiutantów, którzy codziennie w południe opuszczali Kwaterę Główną, niosąc teczeki. Znał na pamięć ich twarze, rozpoznałby ich natychmiast. Był już, nadaremnie, w hotelu Metropolitan i w klubie Turf, po półgodzinie u Shepharda spróbuje w Klubie Oficerskim, w klubie sportowym Gezira, a nawet w Unii Angielsko-Egipskiej. Jeśli nie powie mu się dzisiaj, spróbuje jutro - prędzej czy później natknie się na jednego z nich.

A wtedy wszystko będzie zależeć od jego umiejętności.

Jego plan miał swoje dobre strony. Mundur zmieniał go w swojaka, godnego zaufania towarzysza broni. Adiutanci, jak większość żołnierzy, byli z pewnością samotni i spragnieni seksu. Sonia to niewątpliwie kobieta godna pożądania - przynajmniej na

pierwszy rzut oka - a przeciętny oficer angielski może być specjalnie odporny na sztuczki orientalnej uwodzicielki.

A zresztą, gdyby trafił na adiutanta, który by miał dość oleju w głowie, żeby się oprzeć pokusie, zawsze mógł machnąć na niego ręką i poszukać sobie innego.

Miał nadzieję, że nie zmitręży dużo czasu.

W istocie, zajęło mu to pięć minut.

Wszedł major, niewysoki, chudy, może dziesięć lat starszy od Wolffa. Na policzkach miał popękane żyłki, znamionujące człowieka nie stroniącego od alkoholu. Poza tym miał wylupiaste niebieskie oczy i włosy koloru piasku, gładko przylizane.

Codziennie w południe wychodził z Kwatery Głównej i szedł do nieoznakowanego budynku przy Shari Suleiman Pasha - a w ręku trzymał teczkę.

Wolffowi na moment zamarło serce.

Major podszedł do kontuaru, zdjął czapkę i powiedział:

- Ezma! Szkocka. Bez lodu. Tylko żywo!

Zwrócił się w stronę Wolffa.

- Parszywa pogoda - powiedział zachęcająco.

- A kiedy bywa lepsza, panie majorze? - spytał Wolff.

- Cholerna racja. Jestem Smith. Ze sztabu.

- Miło mi poznać pana - odparł Wolff. Wiedział, że skoro major codziennie wychodził z Kwatery Głównej do innego budynku, nie może pracować w sztabie; przez chwilę zastanawiał się, dlaczego ten człowiek kłamie. Po chwili jednak odłożył to na później i powiedział:

- Jestem Slavenburg, z OBE.

- To pysznie. Jeszcze jednego?

Okazywało się, że wbrew obawom Wolffa nie jest tak trudno nawiązać rozmowę z oficerem.

- To bardzo miło ze strony pana majora - odpowiedział Wolff.

- Zostaw tych panów. Przy barze bez ceregieli, nie?

- Jasne.

Kolejny błąd.

- Co ma być?

- Poproszę whisky z wodą.

- Na twoim miejscu nie brałbym tej wody. Mówią, że to woda prosto z Nilu.

Wolff uśmiechnął się.

- Więc pewnie jestem już uodporniony.

- I to nie egipski szeregowiec? Jesteś w tym kraju chyba jedynym białym bez ameby.

- Urodzony w Afryce, dziesięć lat w Kairze.

Wolff zaczynał naśladować urywany sposób mówienia Smitha. Powinienem zostać aktorem, pomyślał.

- A więc Afryka? - powiedział Smith. - Zdawało mi się, że słyszę lekki akcent.

- Ojciec Holender, matka Angielka. Mieliśmy ranczo w Afryce Południowej.

- Twojemu staremu musi być przykro - powiedział z zatroskaną miną major - teraz kiedy Adolf rządzi Holandią.

O tym Wolff nie pomyślał.

- Umarł, kiedy byłem chłopcem - odparł po chwili.

- Kiepska sprawa.

Smith opróżnił szklanę.

- Powtórzemy? - zaproponował Wolff.

- Dzięki.

Wolff zamówił kolejną. Smith podsunął mu papierosa, ale Wolff odmówił.

Smith narzekał na podłe jedzenie, na częsty brak alkoholu w barach, na wysoki czynsz i opryskliwość kelnerów Arabów. Wolff miał chętkę wyjaśnić, że jedzenie jest podłe, bo Smith zamawia dania angielskie zamiast egipskich, że alkoholu niekiedy brak z powodu wojny w Europie, że czynsze rosną zawrotnie z powodu cudzoziemców takich jak Smith, którzy zrobili najazd na miasto, zaś kelnerzy są dla niego nieuprzejmi, ponieważ z lenistwa czy arogancji nie nauczył się paru zwrotów grzecznościowych w ich języku. Zamiast jednak wdawać się w wyjaśnienia, ugryzł się w język i przytakiwał z udanym współczuciem.

W połowie tej litanii skarg Wolff spojrzął ponad ramieniem Smitha i zobaczył, że do baru wchodzi sześciu żandarmów.

Smith spostrzegł zmianę w wyrazie jego twarzy i spytał:

- Co ci się stało? Ducha zobaczyłeś?

Był wśród nich żandarm sił lądowych, żandarm marynarki w białych getrach, żandarm australijski, nowozelandzki, południowoafrykański oraz Hindus w turbanie. Wolff miał ochotę zerwać się i uciec. O co go będą pytać? Co im odpowie?

Smith obejrzał się, zobaczył żandarmów i powiedział:

- Zwykły nocny patrol, szukają pijanych oficerów i niemieckich szpiegów. Tu, w barze dla oficerów, nie będą nas niepokoić. Co ci się stało, łamiesz regulamin?

- Nie, nie, po prostu... - Wolff improwizował pośpiesznie. - Ten z marynarki wygląda dokładnie jak mój kumpel, który zginął pod Halfaya.

Wciąż przyglądał się patrolowi. Żandarmi w metalowych hełmach z solidnymi kaburami, sprawiali wrażenie bardzo oficjalnych. Czy spytają go o dokumenty? Natomiast Smith zaraz zapomniał o patrolu.

- Wracając zatem do służby - ciągnął. - To są dranie. Jestem pewny, że mój cholerny ordynans rozcieńcza po kryjomu dżin. Ale już ja go nakryję. Do butelki po dżinie nalałem zibi, wiesz, to ten napój, który mętnieje po dolaniu wody. Niech on spróbuje to rozwodnić! Będzie musiał kupić całą butelkę dżinu i udawać, że nic się nie stało. Cha, cha, cha! Będzie miał nauczkę.

Dowódca patrolu podszedł do pułkownika, który wtedy kazał Wolffowi zdjąć czapkę.

- Wszystko w porządku, panie pułkowniku? - spytał żandarm.

- Nic niestosownego nie zauważyłem - odparł pułkownik.

- Co się z tobą dzieje? - zainteresował się Smith. - Chyba masz prawo do tych gwiazdek?

- Oczywiście - powiedział Wolff. Kropla potu spłynęła mu do oka, wytarł ją gestem odrobinę za gwałtownym.

- Bez urazy - rzekł Smith. - Po prostu, wiesz, ponieważ podoficerowie nie mają wstępu do Shepherda, zdarza się, że doszywają sobie gwiazdki, żeby móc tu wejść.

Wolff wziął się w garść.

- Proszę, może zechce pan sprawdzić.

- Nie, nie, nie - szybko zaprotestował Smith.

- To podobieństwo zupełnie mnie zaszokowało.

- Jasne, rozumiem. Napijmy się jeszcze po jednym. Ezma!

Żandarm, który rozmawiał z pułkownikiem, długim spojrzeniem omiółł salę. Nosił dystynkcję zastępcy komendanta żandarmerii. Spojrzał na Wolffa. Wolff zastanawiał się, czy tamten pamięta rysopis nożownika z Asjut. Na pewno nie. Zresztą nie przyszłoby im do głowy szukać angielskiego oficera o podobnym wyglądzie. W dodatku Wolff dla zatarcia śladów zapuścił wąsy. Zmusił się, żeby spojrzeć żandarmowi w oczy, a potem spokojnie odwrócić wzrok. Sięgnął po szklanę, świadom tego, że tamten wciąż na niego patrzy.

Potem załomotały buty i patrol opuścił bar.

Wolff z trudem powstrzymał westchnienie ulgi. Dopilnował, żeby nie drżała mu ręka, kiedy unosił szklanę, i rzucił:

- Na zdrowie.

Wypili.

- Znasz to miasto - odezwał się Smith. - Co samotny facet może tu robić wieczorem, oprócz picia w Shepherd's?

Wolff udał, że się głęboko zastanawia nad odpowiedzią.

- Widziałeś kiedy taniec brzucha?

- Raz - prychnął pogardliwie Smith. - Gruba brudna Arabka kręciła tyłkiem.

- W takim razie musisz zobaczyć prawdziwy taniec brzucha.

- Myślisz?

- Prawdziwy taniec brzucha to najbardziej podniecające widowisko na świecie.

Coś dziwnie rozbłysło w oczach Smitha.

- Naprawdę?

Wolff pomyślał: majorze Smith, kogoś takiego jak pan było mi trzeba. Powiedział zaś:

- Najlepsza tancerka to Sonia. Musisz zobaczyć ją w akcji.

- Może masz rację - przytaknął Smith.

- Właściwie to sam miałem zamiar wybrać się do "Cha-Cha". Masz ochotę pójść ze mną?

- Najpierw chłapijmy jeszcze po jednym.

Obserwując pijącego Smitha Wolff pomyślał, że majora łatwo chyba będzie podejść. Jeżeli jest normalny. Sonia bez trudu go omota. (Do diabła, myślał, niech ona lepiej nie nawali). Później sprawdzę, czy w teczce nosi czasem coś ciekawszego niż jadłospisy. Wreszcie trzeba będzie znaleźć sposób, aby wyciągnąć z niego to, co wie. Za dużo w tym wszystkim wątpliwości, a za mało czasu.

Należy działać systematycznie, a pierwszy krok to uzyskanie władzy nad Smithem.

Dopili i ruszyli do klubu "Cha-Cha". Nigdzie nie było taksówki, wsiedli więc do gharri - odkrytej konnej dorożki. Woźnica bezlitośnie okładał batem starego konia.

- Facet nieładnie się obchodzi ze zwierzęciem - powiedział Smith.

- Nieładnie - zgodził się Wolff, myśląc: powinieneś zobaczyć, jak się obchodzimy z wielbłądami.

W klubie było tłoczno i gorąco, tu też. Wolff musiał dać w łapę kelnerowi, żeby dostać stolik.

Występ Soni zaczął się w chwilę po tym, jak usiedli. Smith obserwował Sonię. Wolff - Smitha. Już po kilku minutach Smith się ślinił.

- Niezła jest, co?

- Fantastyczna - odparł Smith, nie odrywając wzroku od tancerki.
 - Prawdę mówiąc, kiedyś ją poznałem. Chciałbyś, aby się potem do nas przysiadła?
- Tym razem Smith odwrócił się do niego:
- Wielki Boże! Jeszcze się pytasz?

Tempo stawało się coraz szybsze. Sonia spojrzała na zatłoczoną salę klubu. Setki mężczyzn pożądlawie wlepiały wzrok w jej wspaniałe ciało. Zamknęła oczy.

Poruszała się automatycznie, górę brały zmysły. W wyobraźni widziała morze twarzy zachłannie w nią wpatrzonych. Czowała drżenie piersi, koliste ruchy brzucha i trzęsienie bioder, tak jakby ktoś jej to robił, jakby wszyscy ci głodni mężczyźni na widowni manipulowali jej ciałem. Szybciej, coraz szybciej. W jej tańcu nie było sztuczek, teraz już nie. Tańczyła dla siebie. Nawet nie słuchała muzyki - muzyka słuchała jej. Przez jej ciało przebiegały fale podniecenia. Oddawała im się, tańcząc, dopóki nie dotarła na skraj spełnienia, kiedy wiedziała, że jeszcze jeden ruch, a uniesie się w powietrze. Zawahała się. Uniosła ramiona. Muzyka umilkła z finalnym głośnym akordem. Wydała okrzyk zawodu i opadła do tyłu, z podwiniętymi nogami i udami otwartymi dla publiczności, uderzając głową o podłogę. Wtedy zgasły światła.

Tak było zawsze.

W burzy oklasków wstała i przeszła przez ciemną scenę za kulisy. Szła szybko do swojej garderoby, z pochyloną głową, nie patrząc na nikogo. Nie chciała ich słów ani ich uśmiechów. Nic nie rozumieją. Nikt nie wie, jak to dla niej jest, nikt nie wie, co się z nią dzieje każdego wieczoru podczas tańca.

Zdjęła pantofle, przezroczyście pantalony, nabijaną cekinami skąpą górę i włożyła jedwabny szlafrok. Usiadła przed lustrem, aby zmyć makijaż. Zawsze robiła to od razu, makijaż szkodzi cerze. Musiała dbać o swe ciało. Zauważyła, że twarz i podbródek znów stały się pełniejsze. Koniec z czekoladą. Dawno przekroczyła wiek, gdy kobiety zaczynają tyć. Jej wiek to kolejna tajemnica, której nie może poznać publiczność. Miała prawie tyle lat co jej ojciec, kiedy zginął. Ojciec...

Duży, pewny siebie mężczyzna; jego nadzieje zawsze przewyższały osiągnięcia. Sonia spała razem z rodzicami na wąskim, twardym łóżku w kairskim mieszkaniu. Nigdy już od tamtej pory nie czuła się tak ciepło i bezpiecznie. Leżała przytulona do szerokich pleców ojca. Jeszcze dziś pamiętała jego bliski, znajomy zapach. Kiedy już powinna była spać, pojawiał się inny zapach, coś, co ją niesłychanie podniecało. Matka i ojciec zaczęli się w ciemności poruszać, leżąc przy sobie, a Sonia poruszała się razem z nimi. Kilka razy matka zorientowała się, i ojciec zbił wtedy Sonię. Po trzecim razie kazali jej spać na

podłodze. Mogła ich słyszeć, ale nie mogła uczestniczyć w przyjemności. Było to okrutne. A wszystko za sprawą matki. Ojciec by jej pozwolił, tak czuła: od początku wiedział, co robiła. Leżąc na podłodze, zziębnięta i samotna, starała się - nasłuchując - też mieć przyjemność, lecz nie udawało się. Nic się od tamtych dni nie udawało, aż do chwili kiedy w jej życiu zjawił się Alex Wolff...

Ani razu nie rozmawiała z Wolffem o wąskim łóżku, ale on i tak wszystko rozumiał. Instynktownie wyczuwał głębokie potrzeby, do jakich ludzie się nie przyznawali. On i ta dziewczyna, Fawzi, na nowo stworzyli jej scenerię z dzieciństwa i znów się udawało.

Wiedziała, że nie kierował się dobrocią. Robił wszystko, aby wykorzystywać innych. Teraz ją chciał wykorzystać do szpiegowania Anglików. Na złość Anglikom Sonia robi prawie wszystko - no, oprócz pójścia do łóżka...

Ktoś zapukał do drzwi garderoby.

- Wejść - zawołała.

Wszedł jeden z kelnerów z karteczką. Ruchem głowy odprawiła chłopca i rozwinęła papier. Polecenie było krótkie: "Stolik 41. Alex."

Zmięła kartkę i upuściła na podłogę. Znalazł kogoś. Prędko poszło. Znów zadziało jego wycucie słabości u innych.

Rozumiała go, bo mieli podobny charakter. Ona także wykorzystywała ludzi, choć nie tak sprytnie jak on. Jego też wykorzystywała. Miał styl, dobry gust, wysoko ustawionych przyjaciół i pieniądze; poza tym niedługo zabierze ją do Berlina. Co innego być gwiazdą w Egipcie, zupełnie coś innego - w Europie. Chciała tańczyć dla arystokratycznych starych generałów i przystojnych młodych żołnierzy; chciała uwodzić mocnych mężczyzn i piękne białe dziewczyny; chciała zostać królową kabaretu w najbardziej dekadentkim mieście świata. Wolff będzie jej paszportem. Tak, ona też go wykorzystuje.

Dość to niezwykle, myślała, żeby dwoje ludzi było ze sobą tak blisko, a jednocześnie tak mało miało dla siebie uczucia.

Naprawdę obciąłby jej wargi.

Zadrzała, porzuciła te myśli i zaczęła się ubierać. Włożyła białą suknię z szerokimi rękawami i głębokim dekoltem. Dekolt ukazywał piersi, a krój sukni wyszczuplał biodra. Wsunęła stopy w białe sandały na wysokich obcasach. Na obu przegubach zapięła szerokie złote bransolety, a na szyi zawiesiła złoty łańcuch z wisiorkiem w kształcie łyzy, która zgrabnie układała się między piersiami. Anglikowi się spodoba. Mają szalenie prostacki gust.

Rzuciła ostatnie spojrzenie w lustro i wyszła do sali klubowej.

Szła przez salę w strefie ciszy. Ludzie milkli, kiedy się zbliżała, i zaczęli o niej mówić, kiedy ich minęła. Czuła się tak, jakby swoją osobą zapraszała do zbiorowego gwałtu. Na scenie było inaczej: dzieliła ją od nich niewidzialna ściana. Tutaj każdy mógł jej dotknąć i każdy by chciał. Nikt tego nigdy nie zrobił, lecz niebezpieczeństwo ją podniecało. Doszła do stolika 41 i obaj mężczyźni wstali.

- Sonia, kochanie, tańczyłaś, jak zwykle, wspaniale - powiedział Wolff.

Przyjęła komplement skinieniem głowy.

- Pozwól, że ci przedstawię majora Smitha.

Sonia podała mu rękę. Smith był chudym facetem prawie bez brody, z jasnym wąsem i brzydkimi, kościstymi rękami. Patrzył na nią takim wzrokiem, jakby stanowiła ekstrawagancki deser, właśnie mu przyniesiony.

- Jestem doprawdy zachwycony - odezwał się Smith.

Usiedli. Wolff nalał szampana.

- Tańczyła pani fantastycznie, po prostu fantastycznie. Bardzo... artystycznie - powiedział Smith.

- Dziękuję.

Nachylił się nad stolikiem i poklepał ją po ręce.

- Jest pani cudowna.

A ty jesteś głupi, pomyślała. Dostrzegła ostrzegawcze spojrzenie Wolffa, wiedział, co pomyślała.

- Bardzo uprzejmie z pana strony, majorze.

Widziała, że Wolff jest zdenerwowany. Nie był pewien, czy ona zrobi to, czego chciał. Prawdę mówiąc, sama się jeszcze nie zdecydowała.

- Znałem świętej pamięci ojca Soni - poinformował Smitha Wolff.

Kłamał i Sonia wiedziała dlaczego. Chciał jej w ten sposób coś przypomnieć.

Jej ojciec od czasu do czasu kradł. Kiedy miał pracę, pracował, kiedy jej nie miał - kradł. Pewnego dnia usiłował wyrwać torebkę białej kobiecie w Shari el-Koubri. Towarzysz kobiety stanął w jej obronie i podczas awantury kobieta upadła i zwichnęła rękę. Była jakąś ważną osobą i ojca Soni skazano na karę chłosty. Umarł w trakcie wykonywania kary.

Oczywiście nikt nie zamierzał go zabijać. Pewno miał słabe serce czy coś w tym rodzaju. Anglików, którzy zajmowali się pilnowaniem prawa, niewiele to obchodziło. Człowiek popełnił przestępstwo, został należycie ukarany i kara go zabiła - o jednego

brudnego Araba mniej. Dwunastoletniej Soni złamało to serce. Od tej pory nienawidziła Anglików z całej duszy.

Uważała, że Hitler miał dobry pomysł, ale skierowany pod niewłaściwym adresem. Nie Żydzi zatruwali świat chorą rasą, lecz Anglicy. Żydzi w Egipcie byli mniej więcej tacy sami jak Egipcjanie: jedni bogaci, drudzy biedni, jedni dobrzy, inni źli. Natomiast wszyscy Brytyjczycy byli jednakowo zarozumiali, chciwi i złośliwi. Gorzko się śmiała ze wspaniałomyślności Anglików, którzy chcieli bronić Polski przed Niemcami, a sami przez cały czas okupowali Egipt.

Bez względu na powód Niemcy walczyli przeciwko Anglikom i to wystarczyło, by Sonia popierała Niemców.

Chciała, żeby Hitler pokonał, upokorzył i zrujnował Wielką Brytanię.

Zrobiłaby wszystko, aby w tym dopomóc.

Mogła nawet przespać się z Anglikiem.

Pochyliła się nad stołem.

- Majorze Smith - powiedziała - jest pan bardzo atrakcyjnym mężczyzną.

Wolff wyraźnie się rozluźnił.

Smith siedział oszołomiony. Oczy o mało co nie wyskoczyły mu z orbit.

- Wielki Boże! Naprawdę pani tak uważa?

- Tak, majorze.

- Wolalbym, aby mówiła mi pani po imieniu: Sandy.

Wolff wstał.

- Obawiam się, że muszę już wyjść. Soniu, czy mogę cię odwiedzić do domu?

- Sądzę, że możesz to mnie zostawić, kapitanie - powiedział Smith.

- Tak jest, majorze.

- Oczywiście jeśli Sonia...

Sonia zatrzepotała rzęsami.

- Ależ tak, Sandy.

- Przykro mi psuć zabawę, ale zaczynam pracę bardzo wcześnie - stwierdził Wolff.

- Wszystko w porządku - zapewnił go Smith. - Możesz zmykać.

Po odejściu Wolffa kelner przyniósł kolację, europejski posiłek składający się z kotleta i kartofli, który Sonia rozgrzebywała na talerzu, gdy Smith mówił. Opowiadał o sukcesach w szkolnej drużynie krykieta. Od tego czasu nie przydarzyło mu się chyba nic godnego uwagi. Okropnie nudził.

Sonia wróciła myślami do chłosty.

Smith pił cały czas przy kolacji. Kiedy wychodzili, lekko się zataczał. Pozwoliła wziąć się pod ramię, bardziej dla jego bezpieczeństwa niż własnego. Szli do łodzi w chłodnym nocnym powietrzu. Smith spojrział w niebo i powiedział:

- Te gwiazdy... piękne. - Język mu się trochę plątał.

Zatrzymali się przy łodzi.

- Ładnie wygląda - stwierdził Smith.

- Jest dość przytulna. Chciałbyś obejrzeć, jak jest w środku?

- No jasne.

Poprowadziła go trapem, przez pokład, schodami w dół.

Rozejrzał się wokół szeroko otwartymi oczyma.

- Muszę powiedzieć, że szalenie tu luksusowo.

- Napijesz się?

- Bardzo chętnie.

Sonia nienawidziła sposobu, w jaki przez cały czas wymawiał "bardzo". Brzmiało to jak "bajdz".

- Szampana czy coś mocniejszego? - spytała.

- Kropelka whisky nie zaszkodzi.

- Proszę siadać.

Podawała mu szklanekę i usiadła blisko przy nim. Dotknął jej ramienia, pocałował w policzek i brutalnie złapał za pierś. Zadrżała. Wziął to za oznakę namiętności i ścisnął mocniej.

Pociągnęła go na siebie. Był szalenie niezgrabny - stale wbijał w nią kolana i łokcie. Wsadził jej rękę pod suknię.

- Och, Sandy, jesteś taki silny.

Spojrzała nad jego ramieniem i zobaczyła twarz Wolffa. Klęczał na pokładzie, obserwując wszystko przez luk z bezgłośnym śmiechem.

William Vandam z przerażeniem myślał, że nigdy nie znajdzie Alexa Wolffa. Od morderstwa w Asjut minęły już trzy tygodnie i Vandam nie przybliżył się do przestępcy ani na krok. W miarę upływu czasu ślad stygł. Prawie by chciał, aby znów ukradziono teczkę, przynajmniej wiedziałby, o co chodzi Wolffowi.

Zdawał sobie sprawę, iż zaczyna mieć na punkcie tego człowieka obsesję. Budził się nad ranem, koło trzeciej, gdy wpływ alkoholu wietrzył, i martwił się do rana. Coś go dręczyło w stylu Wolffa: sposób w jaki przemknął się do Egiptu, nagle zabójstwo kaprala Coxa, łatwość, z jaką Wolff wtopił się w miasto. Vandam stale się nad tym wszystkim głowił, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego tak go ten przypadek fascynuje.

Nie zrobił wprawdzie konkretnych postępów, zebrał jednak trochę informacji, które stały się pożywką dla jego obsesji - nie w taki sposób, jak jedzenie karmi człowieka, przynosząc mu satysfakcję, lecz tak, jak paliwo karmi ogień, wzmagając jego siłę.

Właścicielem Villa les Oliviers był ktoś, kto nazywał się Achmed Rahmha. Rahmhowie to bogata rodzina kairska. Jeden z podwładnych Vandama wygrzebał dokument o ślubie Gamala Rahmhy i niejkiej Ewy Wolff, wdowy po Hansie Wolffie, oboje narodowości niemieckiej; oraz dokument adopcji uznający Alexa, syna Hansa i Ewy, za prawowite dziecko Gamala Gahmhy...

Co robiło z Achmeda Rahmhy Niemca i wyjaśniało, jak dostał legalne egipskie dokumenty na nazwisko Alexa Wolffa.

W papierach znajdował się również testament z zapisem dla Achmeda - Alexa - części fortuny Gamala, a także willi.

Przesłuchanie wszystkich żyjących członków rodziny Rahmha nie przyniosło rezultatów. Achmed znikł dwa lata wcześniej i od tej pory o nim nie słyszano. Przesłuchujący wrócił z wrażeniem, że nikt specjalnie za adoptowanym synem nie tęskni.

Vandam był przekonany, że Achmed, kiedy znikł, pojechał do Niemiec.

Istniała jeszcze inna gałąź rodziny Rahmha, byli to jednak koczownicy i nie można ich było odszukać. Niewątpliwie, myślał Vandam, pomogli oni w jakiś sposób przedostać się Wolffowi z powrotem do Egiptu.

Teraz Vandam rozumiał. Wolff nie mógł dostać się do kraju przez Aleksandrię. Portu bacznie pilnowano i jego wjazd zostałby odnotowany, dokumenty dokładnie sprawdzone, prędzej czy później odkryto by niemieckie pochodzenie Wolffa i byłby w związku z tym internowany. Przychodząc z południa spodziewał się dostać do Egiptu nie

zauważony i odzyskać dawny status "prawdziwego" Egipcjanina. Brytyjczycy mieli szczęście, że w Asjut Wolff wpadł w kłopoty.

Vandam pomyślał, że to ostatni szczęśliwy przypadek, jaki im się zdarzył.

Siedział w swym biurze, pałac papierosa za papierosem, i głowił się nad sprawą Wolffa.

Wolff nie był podrzędnym zbieraczem plotek i bajań. Nie satysfakcjonowało go - w przeciwieństwie do innych agentów - wysyłanie raportów opartych na liczbie żołnierzy spotkanych na ulicy i braku części samochodowych. Kradzież teczki wskazywała na to, że chodzi mu o sprawy najwyższej rangi, i Wolff potrafił obmyślić rozmaite pomysłowe sposoby zdobycia takich informacji. Jeśli dostatecznie długo zostanie na wolności, prędzej czy później odniesie sukces.

Vandam chodził po pokoju - od wieszaka do biurka, naokoło biurka, aby wyjrzeć przez okno, naokoło drugiej strony biurka i z powrotem do wieszaka.

Szpieg też miał swoje problemy. Musiał się tłumaczyć przed wścibskimi sąsiadami, ukryć gdzieś radio, poruszać się po mieście, znaleźć informatorów. Mogą mu się skończyć pieniądze, zepsuć radio, informatorzy mogą go wydać albo ktoś całkiem przypadkowo może odkryć jego tajemnicę. Tak czy siak, jakieś tropy muszą wyjść na jaw.

Im sprytniejszy szpieg, tym dłużej to potrwa.

Vandam był pewien, że złodziej Abdullah miał powiązania z Wolffem. Kiedy Bogge odmówił aresztowania Abdullaha, Vandam zaofiarował pokaźną sumę pieniędzy za wiadomość o miejscu pobytu Wolffa. Abdullah nadal wprawdzie twierdził, że nigdy nie słyszał o żadnym Wolffie, ale błysk chciwości pokazał się w jego oczach.

Abdullah mógł nie wiedzieć, gdzie szukać Wolffa, który z pewnością zachował środki ostrożności wobec jawnie nieuczciwego człowieka; z drugiej jednak strony Abdullah mógłby swoimi kanałami uzyskać tę wiadomość. Vandam dał do zrozumienia, że nagroda nadal jest aktualna. Z kolei gdyby Abdullah odnalazł miejsce pobytu Wolffa, mógłby po prostu do niego pójść, powiedzieć o ofercie Vandama i zażądać więcej.

Vandam krążył po pokoju.

Coś ze stylem. Ukradkowy przyjazd; morderstwo za pomocą noża; zniknięcie; i... Czegoś tu jeszcze brakuje. Czegoś, o czym Vandam wiedział, o czym czytał w raporcie albo słyszał na odprawie. Prawie tak jakby znał kiedyś Wolffa, dawno temu, a teraz nie mógł go sobie skojarzyć. Styl.

Zadzwoił telefon.

Podniósł słuchawkę.

- Major Vandam.

- Halo, mówi major Calder, z biura skarbnika.

Vandam nadstawił ucha.

- Tak?

- Parę tygodni temu przysłał nam pan wiadomość, żeby zwracać uwagę na fałszywe funty. Znaleźliśmy trochę.

- To jest to - ślad.

- Znakomicie - powiedział Vandam.

- W gruncie rzeczy nawet bardzo dużo - kontynuował głos.

- Muszę je zobaczyć jak najszybciej.

- Już są w drodze. Posyłam umyślnego, powinien wkrótce być u pana.

- Wie pan, kto je wpłacił?

- To nie był pojedynczy przypadek, ale mamy dla pana kilka nazwisk.

- Fantastycznie! Oddzwonię do pana, jak obejrzę banknoty.

- Pana nazwisko Calder, tak?

- Tak. - Mężczyzna podał swój numer telefonu. - Porozmawiamy później.

Vandam odłożył słuchawkę. Fałszywe funty - zgadza się, to może być poszukiwany ślad. Brytyjski funt nie był już oficjalną walutą w Egipcie. Egipt teoretycznie był krajem suwerennym. Jednakże funty można było zawsze wymienić na egipską walutę w biurze brytyjskiego skarbnika. Dlatego ci Egipcjanie, którzy prowadzili liczne interesy z cudzoziemcami, zwykle przyjmowali od nich funty.

Vandam otworzył drzwi i krzyknął:

- Jakes!

- Tak jest! - odkrzyknął Jakes równie głośno.

- Przynies mi akta o fałszywych banknotach.

Tak jest!

Vandam wszedł do pokoju obok i poinformował sekretarza:

- Oczekuję na przesyłkę od skarbnika. Przynies mi ją, jak tylko dostaniesz, dobrze?

- Dobrze, panie majorze.

Vandam wrócił do biura. W chwilę później zjawił się tam Jakes z dokumentami. Jakes, najstarszy rangą w zespole Vandama, był zdolnym, chętnym do pracy młodym człowiekiem, który ściśle wykonywał rozkazy, ale potrafił również wystąpić z własną inicjatywą. Jeszcze wyższy od Vandama, chudy, czarnowłosy, trochę ponury z wyglądu. Stosunki między nim a Vandamem układały się na zasadzie luźnej formalności: Jakes

bardzo skrupulatnie salutował i pilnował wszystkich “Tak jest. Panie majorze!”, z drugiej zaś strony omawiali swoją pracę jak równy z równym, a język Jakesa obfitował w przekleństwa. Jakes miał dobre koneksje i zanosilo się na to, że niemal na pewno zajdzie w wojsku wyżej niż Vandam.

Vandam zapalił lampę na biurku i powiedział:

- Dobra, teraz pokaż mi zdjęcia fałszywych pieniędzy, robionych w Niemczech.

Jakes położył teczkę i przerzucił papiery. Wyciągnął plik błyszczących fotografii i rozłożył je na biurku. Każda odbitka ukazywała obie strony banknotu, w nieco większym niż faktyczny formacie.

Jakes ułożył je według wartości nominalów.

- Banknoty funtowe, piątki, dziesiątki i dwudziestki.

Czarne strzałki na zdjęciach wskazywały błędy, dzięki którym można było rozpoznać fałszerstwo.

Źródło informacji stanowiły fałszywe pieniądze zabrane niemieckim szpiegom schwytanym w Anglii.

- To idiotyzm dawać szpiegom fałszywe pieniądze - powiedział Jakes.

Vandam odpowiedział, nie podnosząc głowy znad fotografii:

- Szpiegostwo to drogi interes, a większość pieniędzy idzie na marne. Po co mają kupować angielskie pieniądze w Szwajcarii, skoro mogą je sami wyprodukować. Szpieg ma fałszywe dokumenty, równie dobrze może mieć fałszywe pieniądze. Poza tym fałszywy pieniądz, jeśli wejdzie w obieg, nieco szkodzi brytyjskiej ekonomii. Powoduje inflację, tak jak rząd, który drukuje pieniądze, aby spłacać swoje długi.

- Powinni już się chyba zorientować, że łapiemy tych gnojków.

- Skądże znowu. Kiedy ich łapiemy, bardzo się staramy, żeby Niemcy nie wiedzieli, że ich złapaliśmy.

- Wszystko jedno, mam nadzieję, że nasi szpiedzy mają prawdziwe marki.

- Raczej tak. My traktujemy wywiad poważniej niż oni. Chciałbym móc to samo powiedzieć o naszej taktyce czołgowej.

Sekretarz Vandama zapukał i wszedł. Był to dwudziestoletni kapral, w okularach.

- Przesyłka od skarbnika, panie majorze.

- Dobra robota - ucieszył się Vandam.

- Proszę tu pokwitować, panie majorze.

Vandam podpisał kwit i rozdarł kopertę. Zawierała kilkaset banknotów jednofuntowych.

- O, cholera! - zawołał Jakes.

- Mówili, że mają dużo - powiedział Vandam. - Szkło powiększające, kapralu, ale biegiem.

- Tak jest.

Vandam położył banknot funtowy z koperty obok jednej z fotografii i poszukał zdradzieckiego błędu.

Nie potrzebował szkła powiększającego.

- Spójrz, Jakes.

Jakes spojrział.

Banknot miał ten sam błąd co na zdjęciu.

- Zgadza się, panie majorze, nazistowskie pieniądze, robione w Niemczech - orzekł Vandam. - Teraz jesteśmy na jego tropie.

Podpułkownik Reggie Bogge wiedział, że major Vandam jest sprytnym oficerem, obdarzonym pewną dozą chytrych, jaką można czasem spotkać wśród klasy robotniczej; jednak Bogge potrafił sobie radzić z takimi jak Vandam.

Tego wieczoru Bogge grał w bilard w klubie sportowym Gezira z generałem brygady Poveyem, szefem wywiadu wojskowego. Generał, człowiek bystry, nie przepadał aż tak bardzo za Bogge'em, choć Bogge uważał, iż umie podejść nawet generała.

Grali po szlingu za punkt i generał zaczynał.

W pewnej chwili Bogge zapytał:

- Czy możemy tutaj porozmawiać o sprawach służbowych, panie generale?

- Proszę bardzo.

- W ciągu dnia w ogóle nie mam możliwości odejścia od biurka.

- Czym się pan aktualnie zajmuje? - Generał potarł kredą kijek.

Bogge wtrącił do luzu czerwoną bilę i ustawił się do różowej.

- Jestem prawie pewien, że w Kairze działa dość groźny szpieg. - W różową nie trafił.

- Słucham, słucham. - Generał pochylił się nad stołem.

Bogge przyjrzał się szerokim plecami generała. Należy postępować delikatnie. Oczywiście szef wydziału odpowiada za jego sukcesy, ponieważ tylko dobrze kierowane wydziały, jak wiadomo, odnoszą sukcesy; niemniej jednak trzeba wiedzieć, jak subtelnie przypisać zasługi sobie.

- Pamięta pan - zaczął - że parę tygodni temu w Asjut zabito nożem kaprala?

- Coś tam pamiętam.

- Miałem pewne przecucie i od tej pory idę jego śladem. W zeszłym tygodniu w ulicznej bójce ukradziono teczkę adiutantowi generała sztabowego. Niby nic w tym specjalnego, ale ja połączyłem sobie te rzeczy.

Generał wtrącił do luzu białą bilę.

- Cholera - zaklął. - Pański strzał.

- Poprosiłem skarbnika, aby rozejrzał się za fałszywymi angielskimi banknotami. I, proszę sobie wyobrazić, znalazł. Moi chłopcy zajęli się nimi. Okazuje się, że zrobiono je w Niemczech.

- Aha!

Bogge wtrącił do luzu czerwoną bilę, niebieską i jeszcze jedną czerwoną, a potem znów nie trafił w różową.

- Zostawia mi pan niezłe rozstawienie - rzekł generał, patrząc na stół przymrużonymi oczyma. - Jakież szanse znalezienia faceta przez te banknoty?

- Jest taka możliwość. Już nad tym pracujemy.

- Proszę mi podać tę kobyłkę.

- Bardzo proszę.

Generał umieścił kobyłkę na suknie i ustawił się do strzału.

- Sugerowano poinstruowanie skarbnika, aby nadal przyjmował fałszywe banknoty, na wypadek złapania jakichś dalszych śladów - powiedział Bogge.

Sugestia wyszła od Vandama i Bogge ją odrzucił. Vandam się wyklócał - to już się stawało męczącym nawykiem z jego strony - i Bogge musiał przywołać go do porządku. Skutki jednak były nie do przewidzenia i gdyby sprawy miały przybrać niekorzystny obrót, Bogge chciał mieć na swoje poparcie konsultację ze zwierzchnikami.

Generał wyprostował się i zastanowił.

- Zależy od tego, jakie sumy wchodzą w grę.

- Jak na razie kilkaset funtów.

- Bardzo dużo.

- Moim zdaniem nie musimy przyjmować dalszych fałszywych pieniędzy, panie generale.

- Dobrze. - Generał pozbył się ostatniej z czerwonych bil i przeszedł na kolory.

Bogge zaznaczył wynik. Generał zwyciężał, ale Bogge miał to, po co przyszedł.

- Kto zajmuje się tą szpiegowską sprawą? - zapytał generał.

- No, w zasadzie ja sam...

- Ale którego z pańskich majorów pan do niej wyznaczył?

- Vandama.

- Aha, Vandama. Niezły gość.

Podpułkownikowi nie odpowiadał taki zwrot w rozmowie. Generał nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo ostrożnie należy postępować z takimi jak Vandam - dać im palec, a chwycą całą rękę. W wojsku awansują teraz ludzi ponad ich stan. W najbardziej koszmarnych snach Bogge'owi wydawał rozkazy syn listonosza, mówiący akcentem z hrabstwa Dorset.

- Niestety, obawiam się, że Vandam dość lubi tych brudnych Arabów. Choć, tak jak pan mówi, coś tam po swojemu robi.

- Tak. - Generał rozkoszował się odnoszonymi sukcesami, wtrącając jeden kolor po drugim. - Chodził do tej samej szkoły co ja. Oczywiście dwadzieścia lat później.

Bogge uśmiechnął się.

- No, ale on miał stypendium dla biednych, prawda, panie generale?

- Tak - odparł generał. - Tak samo jak ja.

Wtrącił do luzu czarną bilę.

- Wygrał pan, panie generale - stwierdził Bogge.

Kierownik klubu "Ch-Ch" wyjaśnił, iż ponad połowa jego klientów płaci rachunki funtami, on sam nie potrafi absolutnie powiedzieć, kto płacił jaką walutą, a i tak zna po nazwisku zaledwie kilku stałych gości.

Główny kasjer hotelu Shepheard'a wyraził się w podobnym stylu.

Tak samo powiedzieli dwaj kierowcy taksówek, właściciel baru dla żołnierzy i burdelmama Madame Fahmy.

Od następnej osoby na liście, właściciela sklepu Mikisa Aristopoulosa, Vandam nie spodziewał się niczego innego.

Aristopoulos wymieniał dużo funtów, w większości fałszywych, i Vandam wyobrażał sobie, że jego sklep będzie dość duży, mylił się jednak. Aristopoulos miał niewielki sklepik spożywczy, który pachniał przyprawami i kawą, choć na półkach nie leżało wiele towaru. Sam Aristopoulos był niskim Grekiem, mniej więcej dwudziestopięcioletnim, z szerokim, białozębym uśmiechem. Pod fartuchem w paski nosił bawełniane spodnie i białą koszulę.

- Dzień dobry panu. Czym mogę służyć?

- Nie ma pan zbyt dużo do zaoferowania - zauważył Vandam.

Aristopoulos uśmiechnął się.

- Jeśli szuka pan konkretnego towaru, mogę go mieć w magazynie. Czy robił już pan kiedyś u mnie zakupy?

A więc taki to system: rzadkie specjały na zapleczu tylko dla stałych klientów. To znaczy, że Grek prawdopodobnie zna swą klientelę. Poza tym duża ilość fałszywych banknotów, które wymienił, przypuszczalnie oznaczała duże zamówienie, łatwe do zapamiętania.

- Nie przyszedłem tu na zakupy - powiedział Vandam. - Dwa dni temu przyniósł pan do brytyjskiego skarbnika generalnego sto czterdzieści siedem angielskich funtów i wymienił na walutę egipską.

Arisopoulos zmarszczył czoło w przewidywaniu kłopotów.

- Tak...

- Z tej sumy sto dwadzieścia siedem funtów było fałszywych... nieprawdziwych... niedobrych.

Aristopoulos uśmiechnął się i rozłożył ręce, wzruszając ramionami.

- Przykro mi z powodu skarbnika. Biorę pieniądze od Anglików i oddaję Anglikom...

Co jeszcze mogę zrobić?

- Może pan pójść do więzienia za obracanie fałszywymi banknotami.

Aristopoulos przestał się uśmiechać.

- Ależ, proszę pana. To niesprawiedliwie. Skąd niby miałem wiedzieć?

- Czy całą tę sumę wpłaciła jedna osoba?

- Nie wiem...

- To niech pan pomyśli! - powiedział ostro Vandam. - Czy ktoś płacił rachunek na sumę stu dwudziestu siedmiu funtów?

- Ach... tak! Tak! - Nagle twarz Arispouloza przybrała urażony wyraz. - Bardzo porządny klient. Sto dwadzieścia sześć funtów i dziesięć szylingów.

- Nazwisko? - Vandam wstrzymał oddech.

- Pan Wolff...

- Aaa...

- To dla mnie szok. Pan Wolff jest od wielu lat dobrym klientem i nigdy kłopotów z płaceniem, nigdy.

- Proszę posłuchać - zaczął Vandam. - Czy dostarczył mu pan zakupy do domu?

- Nie.

- Cholera!

- Proponowaliśmy dostawę, jak zwykle, lecz tym razem pan Wolff...

- Zwykle dostarczał pan towar panu Wolffowi do domu?

- Tak, ale tym razem...

- Jego adres?

- Chwileczkę. Villa les Oliviers, Garden City.

Zniechęcony Vandam walnął pięścią w ladę. Arispoulos trochę się przestraszył.

Vandam powiedział:

- Ostatnio pan jednak niczego pod ten adres nie dostarczał.

- Odkąd pan Wolff wrócił, to nie. Bardzo mi przykro, proszę pana, że złe pieniądze przeszły przez moje niewinne ręce. Może da się coś zrobić...?

- Może - zgodził się zamyślony Vandam.

- Napijmy się kawy.

Vandam ruchem głowy wyraził zgodę. Arispoulos zaprowadził go na zaplecze. Tutaj półki wypełnione były butelkami i puszkami, przeważnie z importu. Vandam zauważył rosyjski kawior, amerykańską szynkę w puszkach, angielski dżem. Arispoulos nalał gęstej, mocnej kawy do maleńkich filiżanek. Znow się uśmiechał.

- Tego rodzaju niewielkie problemy zawsze można jakoś rozwiązać między przyjaciółmi.

Napili się kawy.

- Może, w geście przyjaźni, mógłbym zaofiarować panu coś z mojego sklepu? Mam trochę win francuskich...

- Nie, nie...

- Miewam szkocką whisky, kiedy brakuje jej w całym Kairze...

- Nie interesuje mnie takie rozwiązanie - rzucił niecierpliwie Vandam.

- Och! - Arispoulos nabrał pewności, że Vandam oczekuje łapówki.

- Chcę znaleźć Wolffa - mówił dalej Vandam. - Muszę wiedzieć, gdzie on teraz mieszka. Mówił pan, że jest starym klientem, co kupuje?

- Dużo szampana. Także trochę kawioru. Kawę, bardzo dużo. Zagraniczny alkohol. Marynowane orzechy, czosnkową kiełbasę, morele w koniaku...

- Hmm. - Vandam chciwie wysłuchiwał tej przypadkowej informacji. Jaki szpieg wydaje fundusze na importowane smakołyki? Odpowiedź: szpieg niepoważny. Ale Wolff jest jak najbardziej poważny. Kwestia stylu.

- Ciekaw jestem, kiedy znów się u pana zjawi?

- Jak mu się skończy szampan.

- W porządku. Gdy przyjdzie, muszę się dowiedzieć, gdzie mieszka.

- Ależ proszę pana, jeśli znów nie zechce dostawy do domu...

- O tym właśnie myślę. Przydzielę panu pomocnika.

Aristopoulos nie był zachwycony.

- Ja panu chcę pomóc, ale to jest mój prywatny interes...

- Nie ma pan wyboru - poinformował go Vandam. - Albo pomoże mi pan, albo pójdzie do więzienia.

- Angielski oficer, pracujący tu, w moim sklepie...

- Och, to nie będzie angielski oficer. - Od razu rzuciłby się w oczy, pomyślał Vandam, i w dodatku z miejsca wystraszyłby Wolffa. - Chyba znam idealną osobę do tego zadania.

Tego wieczoru po kolacji Vandam poszedł do mieszkania Elene, z wielkim bukietem kwiatów i poczuciem pewnego zażenowania.

Mieszkała w miłym, przestronnym, starym bloku blisko Place de l'Opera. Konsjerżka Nubijka skierowała Vandama na trzecie piętro. Wszedł po kręconych marmurowych schodach zajmujących środek budynku i zapukał do drzwi mieszkania 3 A.

Nie spodziewała się go i nagle przyszło mu na myśl, że może być u niej jakiś przyjaciel.

Czekał niecierpliwie na korytarzu, zastanawiając się, jaka ona będzie we własnym domu. Przyszedł tu po raz pierwszy. Mogła gdzieś wyjść. Z pewnością nie uskarżała się na brak rozrywek...

Drzwi otworzyły się.

Miała na sobie żółtą bawełnianą suknię z marszczonym dołem, dość prostą w kroju, ale tak cienką, że nieomal przezroczystą. Ten kolor ładnie pasował do jej lekko brązowej skóry. Przez chwilę patrzyła na niego obojętnie, potem go poznała i uśmiechnęła się tym swoim szelmowskim uśmiechem.

- Witam - powiedziała.

- Dobry wieczór.

Zrobiła krok w przód i pocałowała go w policzek.

- Proszę wejść.

Wszedł do środka, a ona zamknęła drzwi.

- Pocałunku się nie spodziewałem.

- Część gry. Pozwoli pan, że pana uwolnię od rekwizytu.

Podał jej kwiaty. Miał wrażenie, że się z niego podśmiewa.

- Proszę przejść tam, a ja wstawię kwiaty do wody.

Skierował się tam, gdzie wskazywała palcem i wszedł do salonu. Rozejrzył się. Pokój był urządzone komfortowo, niemal zmysłowo. Dominowały kolory różowy i złoty, stały tam

głębokie miękkie siedziska i stół z jasnego dębu. Był to pokój narożny, z oknami na dwóch ścianach, przez okna wpadały teraz promienie wieczornego słońca i sprawiały, iż wszystko z lekka błyszczało. Na podłodze leżał gruby dywan z brązowego futra, wyglądający na skórę niedźwiedzia. Vandam schylił się i dotknął - prawdziwa skóra. nagle, oczyma wyobraźni, zobaczył wyraźnie Elene, na skórze, nagą, wijącą się w miłosnej ekstazie. Zamrugał i spojrzał w inną stronę. Na pufie obok niego leżała książka, którą Elene najpewniej czytała, kiedy zapukał. Wziął ją do ręki i usiadł. Miejsce było jeszcze ciepłe. Książka nosiła tytuł: "Pociąg do Istambułu". Coś z gatunku płaszcza i szpady. Na ścianie naprzeciwko wisiał współczesny na oko obraz przedstawiający wielki bal. Wszystkie damy miały na sobie wspaniałe, eleganckie suknie, wszyscy mężczyźni byli nago. Vandam przesiadł się na kanapę pod obrazem, aby nie musieć nań patrzeć. Wydawał mu się dziwaczny i nieprzyjemny.

Weszła z kwiatami w wazonie i zapach wistarii rozszedł się po pokoju.

- Napije się pan? - spytała.

- A robi pani martini?

- Tak. Proszę zapalić, jeśli pan chce.

- Dziękuję.

Wie, jak przyjmować gości, pomyślał Vandam. I nic dziwnego, biorąc pod uwagę jej sposób zarabiania na życie. Wyciągnął papierosy.

- Obawiałem się, że pani nie zastanę.

- Dziś jestem w domu.

W głosie jej zabrzmiało coś osobliwego, gdy to mówiła, lecz Vandam nie wiedział co dokładnie. Przypatrywał się, jak miesza martini. Zamierzał pokierować spotkaniem trzymając się spraw ściśle zawodowych, ale to ona przejęła kierownictwo. Czuł się jak tajemniczy kochanek.

- Lubi pani takie rzeczy? - Wskazał na książkę.

- Ostatnio czytam kryminały.

- Dlaczego?

- Żeby się dowiedzieć, jak powinien się zachować szpieg.

- Nie sądzę, aby pani... - Zobaczył, że się uśmiecha, i zrozumiał, iż znów żartuje sobie z niego. - Nigdy nie wiem, kiedy pani mówi serio.

- Bardzo rzadko. - Wręczyła mu szklanekę i usiadła na drugim końcu kanapy. Spojrzała na niego ponad brzegiem swojej szklanki. - Za szpiegostwo!

Popijał martini. Znakomite. I ona też. Łagodne światło słoneczne dodawało blasku jej skórze. Ramiona i nogi były gładkie i miękkie. Pomyślał, że w łóżku byłaby taka sama jak poza nim - na luzie, zabawna, chętna do wszystkiego. Cholera! Ostatnim razem też wywarła na nim takie wrażenie - ruszył potem na jedną ze swych rzadkich hulanek i wylądował w przeklętym burdelu.

- O czym pan myśli? - spytała.

- O szpiegach.

Roześmiała się; zupełnie jakby mogła wiedzieć, że kłamie.

- Musi pan bardzo kochać swoją pracę - stwierdziła.

Jak ona to robi, myślał. Stale wytrąca go z równowagi, swoimi żartami- intuicją, niewinną twarzą i długimi brązowymi nogami.

- Łapanie szpiegów jest pracą przynoszącą satysfakcję, choć jej nie Kocham - odparł.

- Co się z nimi dzieje, kiedy ich pan złapie?

- Zazwyczaj kończą na szubienicy.

- Och!

Dla odmiany jemu udało się wytrącić ją z równowagi. Zadrżała.

- Pechowcy zwykle umierają podczas wojny - powiedział.

- I dlatego nie Kocha pan swojej pracy... bo się ich wiesz?

- Nie. Nie Kocham mojej pracy, bo nie zawsze uda mi się ich złapać.

- Jest pan dumny ze swego twardego serca?

- Nie sądzę, abym miał twarde serce. Po prostu wolimy zabijać ich, niż żeby oni zabijali nas.

Jak to się stało, że się przed nią tłumaczę, pomyślał.

Wstała, żeby nalać mu następne martini. Przyglądał się, jak idzie przez pokój. Poruszała się z gracją, jak kot, pomyślał; nie, jak kociak. Spojrzał na jej plecy, gdy się schyliła po shaker, i ciekaw był, czy ma coś pod żółtą sukienką. Zwrócił uwagę na jej dłonie, kiedy nalewała napój do szklanki - smukłe i silne. Dla siebie już nie nalała.

Ciekawe, skąd pochodzi, pomyślał.

- Pani rodzice żyją? - zapytał.

- Nie - odparła krótko.

- Przepraszam. - Wiedział, że kłamie.

- Czemu pan o to spytał?

- Ze zwykłej ciekawości. Jeszcze raz przepraszam.

Pochyliła się i lekko musnęła jego ramię, pieszczotą lekką jak wiaterek.

- Za często pan przeprasza. - Odwróciła od niego głowę, jakby się wahając; potem, pod wpływem chwili, zaczęła mu o sobie opowiadać.

Była najstarszym z pięciorga dzieci w rozpaczliwie biednej rodzinie. Rodziców miała kulturalnych i kochających. "Ojciec nauczył mnie angielskiego, a matka noszenia czystego ubrania", powiedziała. Ojciec jednak, krawiec, człowiek ultraortodoksyjny, zraził do siebie resztę społeczności żydowskiej w Aleksandrii po doktrynalnej kłótni z rytualnym rzezakiem. Kiedy Elene miała piętnaście lat, ojciec zaczął ślepnąć. Nie mógł już pracować jako krawiec, lecz ani nie prosił, ani by nie przyjął pomocy od "odstępców" - Żydów z Aleksandrii, Elene poszła do pracy, jako służąca na stałe, do jednego z angielskich domów i posyłała pieniądze rodzinie. Od tego momentu jej opowieść nie różniła się niczym od tej powtarzanej od stu lat w domach brytyjskiej warstwy panującej, pomyślał Vandam. Zakochała się w młodym paniczu, a on ją wykorzystał. Miała szczęście, że wszystko się wydało, nim zaszła w ciążę. Syna posłano na uniwersytet, a Elene odprawiono. Przerzął ją powrót do domu i związana z tym konieczność przyznania się do stosunków cielesnych, w dodatku z gojem. Żyła z pieniędzy za odprawę i co tydzień posyłała tę samą sumę do domu, dopóki pieniądze się nie skończyły. Potem obleśny przedsiębiorca, którego poznała w domu, gdzie służyła, wynajął jej mieszkanie i w ten sposób zaczęła nowe zajęcie. Wkrótce ojciec dowiedział się, jak żyje, i kazał rodzinie odmówić za nią shiva.

- Co to jest shiva? - spytał Vandam.

- Modlitwa za zmarłych.

Od tego czasu nie miała z nimi żadnego kontaktu, tylko wiadomość od przyjaciółki, gdy zmarła matka.

- Nienawidzi pani ojca? - spytał Vandam.

Wzruszyła ramionami.

- Obróciło się to wszystko raczej korzystnie. - Rozłożyła ręce wskazując na mieszkanie.

- I jest pani szczęśliwa?

Spojrzała na niego. Dwa razy jakby chciała coś powiedzieć, nie odezwała się jednak. W końcu odwróciła głowę.

Vandam czuł, iż żałuje, że uległa pokusie i opowiedziała mu historię swego życia.

- Co pana tu sprowadza, majorze? - spytała, zmieniając temat.

Vandam skoncentrował się. Był nią tak zajęty - obserwacją jej rąk i oczu, kiedy opowiadała o przeszłości - że zapomniał na chwilę o swym celu.

- Ciągłe szukam Alexa Wolffa - zaczął. - Jego jeszcze nie znalazłem, ale znalazłem sklep, gdzie się zaopatruje w żywność.

- Jak pan to zrobił?

Postanowił nie mówić. Najlepiej, żeby nikt poza wywiadem nie wiedział, że szpiegów gubią fałszywe pieniądze.

- To długa historia. Najważniejsze jest to, że chciałbym zainstalować kogoś w sklepie, na wypadek gdyby się znów pojawił.

- Mnie.

- Taki miałem zamiar.

- I, kiedy on przychodzi, walę go w głowę workiem cukru i pilnuję nieprzytomnego ciała do pańskiego przyjscia.

Vandam roześmiał się.

- Wierzę, że by to pani zrobiła. Już widzę, jak pani przeskakuje przez ladę.

- Zdawał sobie sprawę ze swego luzu i postanowił wziąć się w garść, nim zrobi z siebie głupca.

- A poważnie, co mam robić?

- Poważnie, musi pani wykryć, gdzie mieszka.

- Jak?

- Nie jestem pewien. - Vandam zawahał się. - Myślałem, że może pani się do niego zbliży. Jest pani bardzo atrakcyjną kobietą, wyobrażam sobie, że by się to bez trudu udało.

- Co pan ma na myśli przez "zbliżenie"?

- To już zależy tylko od pani. Pod warunkiem, że pani zdobędzie adres.

- Rozumiem.

Nagle jej nastrój się zmienił i w głosie zabrzmiała gorycz. Zmiana zaskoczyła Vandama - reagowała za szybko jak dla niego. Przecież kobiety takiej jak ona nie może obrażać tego rodzaju propozycja?

- Dlaczego jeden z pańskich żołnierzy nie śledzi go ze sklepu do domu? - spytała Elene.

- Niewykluczone, że będę musiał tak to rozegrać, jeśli nie uda się pani zdobyć jego zaufania. Cały szkopuł w tym, że on może zauważyć, iż ktoś za nim chodzi, i zgubić ten ogon; w takim razie już nigdy nie przyszedłby do sklepiku, a my stracilibyśmy szansę. Ale jeśli zdoła pani skłonić go, żeby, powiedzmy, zaprosił panią do siebie na kolację, zdobędziemy potrzebne wiadomości, nie zdradzając przedwcześnie swych zamiarów.

Oczywiście może z tego i tak nic nie wyjść. Oba rozwiązania są ryzykowne, ale ja wolę sposób bardziej finezyjny.

- Rozumiem.

Vandam nie wątpił, że Elene rozumie: plan był przecież jasny jak słońce. Co się z tą dziewczyną działo, do diabła? Wydawała mu się bardzo dziwna: chwilami bywał nią wręcz oczarowany, a już za moment doprowadzała go do pasji. Po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że Elene może odmówić spełnienia jego prośby.

- Czy robi pani to, o co proszę? - spytał ze zdenerwowaniem.

Wstała i znów naląła mu martini. Tym razem sama też się napiła. Była okropnie spięta, ale najwidoczniej nie zamierzała wyjawić Vandamowi przyczyny tego niepokoju. Majora zawsze drażniły kobiety, ulegające takim nastrojom. Gdyby dziewczyna odmówiła teraz współpracy, byłoby to cholernie nie w porę.

W końcu Elene powiedziała:

- To chyba nie gorsze niż rzeczy, które robiłam przez całe życie.

- Tak właśnie sądziłem - rzekł Vandam z ulgą.

Spojrzała nań spode łba.

- Zacznie pani od jutra - powiedział. Dał jej kartkę z adresem sklepu. Wzięła ją nie patrząc. - Właściciel nazywa się Mikis Aristopoulos.

- Jak długo może to potrwać? - spytała.

- Nie wiem - odrzekł Vandam wstając. - Będę się z panią kontaktował co kilka dni, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku... ale pani sama odezwie się do mnie, jak tylko tamten się pojawi, dobrze?

- Dobrze.

Vandam przypomniał sobie o jeszcze jednym szczególe.

- Aha, sklepikarz myśli, że Wolff podejrzany jest o fałszerstwo pieniędzy - powiedział. - Proszę nic mu nie mówić o szpiegostwie.

- Nie powiem.

Jej nastrój zmienił się nieodwracalnie. Już się nie czuli ze sobą tak dobrze jak przedtem.

- Nie będę pani przeszkadzał w lekturze - powiedział Vandam.

- Odprowadzę pana - odparła Elene, wstając z miejsca.

Ruszyli w stronę drzwi. Kiedy major wychodził, korytarzem akurat zbliżał się lokator z sąsiedniego mieszkania. Vandam, który przez cały wieczór podświadomie wyobrażał sobie tę chwilę, zrobił właśnie to, czego zrobić bynajmniej nie zamierzał: wziął

Elene za rękę, pochylił głowę i pocałował dziewczynę w usta. Jej wargi lekko się poruszyły w odpowiedzi. Vandam cofnął się. Sąsiad przeszedł za jego plecami. Major spojrzął na Elene. Sąsiad otworzył drzwi, wszedł do mieszkania i zamknął za sobą. Vandam puścił rękę dziewczyny.

- Dobry z pana aktor - powiedziała.

- Owszem - przyznał. - Do widzenia.

Odwrócił się i ruszył szybkim krokiem wzdłuż korytarza. Wiedział, że powinien być zadowolony z tego, co udało mu się osiągnąć, czuł się jednak tak, jakby popełnił czyn nieco haniebnym. Usłyszał, że drzwi mieszkania Elene zamknęły się za nim z hukiem.

Elene oparła się plecami o drzwi, przeklinając Williama Vandama.

Pojawił się w jej życiu jako dworny Anglik, proponując zupełnie nową pracę, dzięki której przyczyniłaby się do zwycięstwa w wojnie; i zaraz potem kazał jej znów się kurwić.

Naprawdę wierzyła, że dzięki Vandamowi zacznie nowe życie. Koniec z bogatymi biznesmenami, z ukradkowymi romansami: już nigdy nie będzie tancerką ani kelnerką. Ma wreszcie pracę wartą zachodu - coś, w co wierzy, coś istotnego. Tymczasem jednak okazało się, że gra ma się toczyć według starych reguł.

Od siedmiu lat żyła z tego, że ma piękną twarz i ciało; chciała już z tym skończyć.

Wróciła do pokoju, żeby się napić. Na stole stał kieliszek Vandama, do połowy opróżniony. Przytknęła go do ust. Alkohol był ciepły i gorzki.

Vandam nie od razu jej się spodobał; początkowo uważała, że jest sztywny, uroczysty, nudny. Potem jednak zmieniła zdanie. Kiedy właściwie przyszło jej na myśl, że za sztywną powierzchownością może się kryć zupełnie inny człowiek? Przypomniała sobie: wtedy, kiedy się po raz pierwszy roześmiał. Jego śmiech zaintrygował ją. Dziś Vandam też się zaśmiał, kiedy oświadczyła, że uderzy Wolffa po głowie workiem cukru. Gdzieś w głębi osobowości tego mężczyzny tkwiło bogate złożo śmiechu; ilekroć ktoś je poruszył, śmiech tryskał i na chwilę opanowywał majora bez reszty. Elene miała wrażenie, że Vandam pała ogromną żądzą życia, nad którą sprawuje pełną kontrolę - zbyt pełną. Dlatego też miała ochotę zaleźć mu za skórę i zmusić go, żeby stał się sobą. Dlatego właśnie przekomarzała się z nim, próbując znów sprowokować go do śmiechu.

I dlatego go pocałowała.

To, że ma go u siebie w domu - że Vandam siedzi u niej na kanapie, paląc i rozmawiając - napawało ją uczuciem przedziwnego szczęścia. Wręcz wyobrażała sobie, jak miło było pójść do łóżka z tym silnym naiwnym mężczyzną i pokazać mu rzeczy, o jakich

dotychczas nawet nie śnił. Czemu właściwie jej się spodobał? Może dlatego że traktował ją jak człowieka, a nie jak girlaskę. Wiedziała, że nigdy nie poklepuje jej po siedzeniu mówiąc:

- Nie łam sobie nad tym tej ślicznej główki.

A teraz wszystko zepsuł. Dlaczego właściwie tak bardzo się przejęła sprawą Wolffa? Nie mogło jej przecież zaszkodzić jeszcze jedno obłudne uwiedzenie. Vandam powiedział to prawie bez ogródek. Tym samym wyjawiał, że uważa ją za kurwę. O to właśnie była na niego taka zła. Chciała, żeby ją szanował, ale kiedy kazał jej “zbliżyć się” do Wolffa, zrozumiała, że nigdy nie zdobędzie jego prawdziwego szacunku. Od początku była to zresztą zwykła głupota; związek między taką kobietą jak Elene a oficerem angielskim nie mógł rozwinąć się inaczej niż wszystkie inne jej związki: z jednej strony byłaby to manipulacja, z drugiej zależność, a nikt nikogo nie darzyłby szacunkiem. Vandam zawsze uważałby ją za kurwę. Przez chwilę wydawał jej się inny niż reszta mężczyzn, lecz najwidoczniej pomyliła się co do niego.

Tylko dlaczego robi mi to aż taką różnicę? - pomyślała.

W głuchą noc Vandam siedział po ciemku przy oknie w sypialni, paląc papierosy i patrząc na Nil zalany księżycową poświatą, gdy nagle w pamięci snuło mu jak żywe wspomnienie z dzieciństwa.

Ma jedenaście lat. Jak dotąd nie przeżył żadnych doświadczeń seksualnych. Fizycznie nie przestał jeszcze być dzieckiem. Od urodzenia mieszka w segmencie z szarej cegły. Na piętrze jest łazienka. Do ogrzewania wody służy piec węglowy w kuchni na parterze. Podobno dowodzi to, że rodzinie Vandamów ogromnie się powiodło. Williamowi nie wolno się tym chwalić. Kiedy pójdzie do nowej, sztywnej szkoły w Bournemouth, wręcz będzie musiał udawać, że łazienka z gorącą wodą w kranie wydaje mu się czymś zupełnie normalnym. W domu Vandamów łazienka i ubikacja to jedno pomieszczenie. Chłopiec właśnie idzie zrobić siusiu. matka kąpie akurat jego siedmioletnią siostrzyczkę, ale nikomu nie będzie przeszkadzało, że on siusia. Robił to już nieraz w ich obecności; druga ubikacja jest w ogrodzie, kawał drogi, a na dworze ziab. William zapomniał jednak o tym, że razem z siostrzyczką kąpie się ośmioletnia kuzynka. Chłopiec wchodzi do łazienki. Siostrzyczka siedzi w wodzie. Kuzynka stoi, zamierzając wyjść z wanny. Matka trzyma ręcznik w pogotowiu. Chłopiec spogląda na kuzynkę.

Jest oczywiście naga. William po raz pierwszy w życiu widzi gołą dziewczynkę, która nie jest jego siostrzyczką. Kuzynka jest pulchna, od siedzenia w gorącej wodzie zarumieniona na całym ciele. William nigdy jeszcze nie widział równie uroczego zjawiska. Stoi w progu, patrząc na małą z nieukrywanym zaciekawieniem i podziwem.

Nie zauważył grożącego ciosu. Wielka dłoń matki pojawia się jakby znikąd. Z głośnym kłaśnięciem uderza chłopca w policzek. Matka potrafi zdrowo uderzyć, a ten cios udał się jej jak mało który. Boli jak diabli, ale gorszy od bólu jest szok. Najgorsze jednak jest to, że ciepłe uczucie, które ogarnęło chłopca, zostało strzaskane jak szyba.

- Wynoś się! - krzyczy matka. Chłopiec wychodzi, zraniony i poniżony.

Vandam przypomniał sobie to wszystko, kiedy siedząc samotnie wpatrywał się w egipską noc. Zadał sobie to samo pytanie, które przyszło mu na myśl, gdy tylko rzecz się stała:

- Dlaczego to zrobiła?

Wczesnym rankiem posadzka meczetu ziębiła bosc stopy Alexa Wolffa. Garstka pobożnych, przybyłych skoro świt, nikła wobec ogromu sali o sklepieniu podpartym kolumnami. Panowała cisza i spokój. Świątynię wypełniało mętne szare światło. Przez jedną z wąskich, wysoko umieszczonych szczelin w murze wpadł promień słońca i w tejże chwili rozległ się okrzyk muezina:

- Allahu akbar! Allahu akbar! Allahu akbar! Allahu akbar!

Wolff zwrócił się twarzą w stronę Mekki.

Miał na sobie długą szatę i turban. W ręku trzymał zwykle arabskie sandały. Sam właściwie nie wiedział, po co chodzi do meczetu. Jego pobożność była czysto teoretyczna. Został wprawdzie obrzezany zgodnie z zasadami islamu i odbył pielgrzymkę do Mekki, pił jednak alkohol i jadał wieprzowinę, nigdy nie płacił podatku na rzecz ubogich, nie pościł w Ramadanie i nie modlił się co dzień, a tym bardziej pięć razy dziennie. Czuł jednak czasem potrzebę pogrążenia się na parę minut w swojskim, mechanicznym rytuale religii swego ojczyzna. W takich razach wstawał przed świtem - podobnie jak dziś - wkładał tradycyjny strój i ruszał zimnymi, cichymi ulicami do meczetu, do którego chadzał niegdyś jego ojciec. Na dziedzińcu zewnętrznym odbywał ceremonialne ablucje i tuż przed rozpoczęciem modłów porannych wchodził do świątyni.

Dotknął dłońmi uszu, po czym splótł ręce przed sobą, okalając palcami prawej dłoni palce lewej. Złożył pokłon i uklęknął. Jął recytować modlitwę el-fatha: w odpowiednich momentach dotykając czołem posadzki.

- W imię Boga miłosiernego i współczującego. Chwała niech będzie Bogu, władcy światów, miłosiernemu i współczującemu, księciu sądnego dnia. Tobie służymy i do ciebie zanosimy modły o pomoc. Prowadź nas słuszną drogą, drogą tych, którym okazałeś miłosierdzie, tych, na których nie ciąży gniew, tych, co nie błądzą.

Spojrzał przez prawe, a potem przez lewe ramię, aby powitać dwóch aniołów, zapisujących jego dobre i złe uczynki.

Kiedy spoglądał przez lewe ramię, ujrzał Abdullaha.

Nie przerywając modlitwy, złodziej uśmiechnął się od ucha do ucha, ukazując stalowy ząb.

Wolff wstał i wyszedł. Na dworze przystanął, żeby włożyć sandały. W ślad za nim nadszedł Abdullah, kołyszając brzuszyskiem.

Podali sobie ręce.

- Jesteś równie pobożny jak ja - powiedział Abdullah. - Wiedziałem, że prędzej czy później przyjdiesz do meczetu swego ojca.

- Szukałeś mnie?

- Wielu ludzi cię szuka.

Idąc ramię w ramię oddalili się od meczetu. Abdullah powiedział:

- Ponieważ wiem, że jesteś człowiekiem głęboko wierzącym, nie mogłem cię wydać Anglikom, nawet za tak wielką sumę. Powiedziałem więc majorowi Vandamowi, że nie znam żadnego Alexa Wolffa ani Achmeda Rahmhy.

Wolff zatrzymał się raptownie. A zatem nadal go poszukiwano. Zdążył już poczuć się bezpiecznie - zbyt szybko, jak się okazało.

Złapał Abdullaha za ramię i skręcił wraz z nim do arabskiej kafejki. Usiedli.

- Wie, jak brzmi moje arabskie nazwisko - powiedział Wolff.

- Wie o tobie wszystko... prócz tego, gdzie cię szukać.

Wolffa ogarnął niepokój, a zarazem ogromna ciekawość.

- Jaki jest ten major? - spytał.

Abdullah wzruszył ramionami.

- Żadna sztuka dowiedzieć się, gdzie mieszkasz - odparł. - Anglik - powiedział. - Za grosz subtelności. Za grosz wychowania. Nosi szorty khaki, a twarz ma czerwoną jak pomidor.

- Mógłbyś się bardziej wysilić - wtrącił Wolff.

Abdullah skinął głową.

- Jest cierpliwy i uparty - powiedział. - Na twoim miejscu bałbym się go.

Wolff poczuł nagle, że istotnie się boi.

- A co on robi? - spytał.

- Wywiedział się wszystkiego o twojej rodzinie. Rozmawiał z twoimi braćmi. Powiedzieli, że nic o tobie nie wiedzą.

Właściciel kafejki przyniósł im po porcji tłuczony fasoli i po bochenku chleba z grubo mielonego ziarna. Wolff ułamał kawałek chleba i umoczył go w fasoli. Wokół misek zaczęły gromadzić się muchy. Mężczyźni nie zwracali na nie uwagi.

Abdullah mówił z pełnymi ustami.

- Vandam daje sto funtów za twój adres. Ha! Tak jakby myślał, że za pieniądze wydamy kogoś z naszych.

Wolff przełknął.

- Choćbyś znał mój adres - powiedział.

Abdullah wzruszył ramionami.

- Żadna sztuka dowiedzieć się gdzie mieszkasz - odparł.

- Wiem - przyznał Wolff. - Więc na dowód, że wierzę w twoją przyjaźń, sam ci powiem. Mieszkam w hotelu Shepherda.

Abdullah zrobił urażoną minę.

- Przyjacielu, wiem, że to nieprawda. Przecież Anglicy przede wszystkim właśnie tam by cię szukali...

- Nie rozumiałeś - rzekł Wolff z uśmiechem. - Nie jestem w tym hotelu gościem. Pracuję w kuchni: zmywam garnki, a kiedy dzień dobiega końca, razem z kilkunastoma innymi ludźmi kładę się na podłodze i w ten sposób nocuję.

- Sprytne! - uśmiechnął się Abdullah; podobał mu się pomysł Wolffa, a poza tym był zachwycony, że zdobył cenną informację. - Ukrywasz się pod samym nosem Anglików!

- Wiem, że dochowasz tajemnicy - powiedział Wolff. - Mam nadzieję, że przyjmiesz w darze sto funtów, które chcę ci ofiarować w dowód wdzięczności za twoją przyjaźń.

- Ależ to niepotrzebne...

- Będę nalegał.

Abdullah westchnął i z ociąganiem ustąpił.

- Niech będzie - powiedział.

- Każę dostarczyć pieniądze do twojego domu.

Abdullah wytarł pustą miskę resztką chleba.

- Muszę już cię pożegnać - oświadczył. - Pozwól, że zapłacę za twoje śniadanie.

- Proszę bardzo.

- Ach! Niestety, nie mam przy sobie pieniędzy. Przepraszam najmocniej...

- Nic się nie stało - powiedział Wolff. - Alallah: wszystko jest w rękach Boga.

Abdullah odpowiedział konwencjonalną formułką:

- Allah yisallimak: - niechaj Bóg ma cię w opiece. - Z tymi słowy opuścił kafejkę.

Wolff kazał podać sobie kawę i zaczął myśleć o Abdullahu. Złodziej wydałby go oczywiście za sumę znacznie mniejszą niż sto funtów. Jeżeli dotychczas nie zdradził, to tylko dlatego, że nie wiedział, gdzie Wolff mieszka. Starał się jednak tego dowiedzieć i właśnie po to przyszedł do meczetu. Z góry wiadomo było, że teraz sprawdzi, czy Wolff rzeczywiście mieszka w hotelowej kuchni. Mogło się to okazać niełatwe, bo nikt by przecież nie przyznał, że personel sypia na kuchennej podłodze. Nawet sam Wolff nie był pewien, czy tak jest. Należało jednak liczyć się z tym, że Abdullah prędzej czy później odkryje kłamstwo. Cała opowieść Wolffa stanowiła jedynie manewr opóźniający, podobnie jak

łapówka. Lecz dzięki temu posunięciu można było się spodziewać, że gdy Abdullah odkryje, że Wolff mieszka na łodzi Soni, prawdopodobnie tam właśnie się zgłosi po kolejną sumę pieniędzy, zamiast pójść z wiadomością do Vandama.

Udało się więc zapanować nad sytuacją - przynajmniej chwilowo.

Wolff zostawił na stole trochę bilonu i wyszedł.

Miasto tymczasem ożyło. Na jezdniach tłoczyły się pojazdy, na chodnikach przekupnie i żebracy. W powietrzu pełno było zapachów przyjemnych i nieprzyjemnych. Wolff przedarł się do budynku poczty głównej, żeby stamtąd zadzwonić. Wykręciwszy numer Kwatery Głównej poprosił do telefonu majora Smitha.

Mamy siedemnastu majorów o tym nazwisku - odparł telefonista. - Wie pan, jak mu na imię?

- Sandy.

- Czyli major Alexander Smith. Nie ma go tu w tej chwili. Coś mu przekazać?

Wolff wiedział, że major jeszcze nie przyszedł do Kwatery Głównej: było na to za wcześnie.

- Oto wiadomość: dziś o dwunastej na Zamalek. Proszę podpisać: S. Zanotował pan?

- Tak, ale czy mógłbym wiedzieć, jak się pan na...

Wolff odłożył słuchawkę. Wyszedł z gmachu poczty i ruszył w stronę Zamalek.

Odkąd Sonia uwiodła Smitha, major posłał jej dwanaście róż, pudełko czekoladek, list miłosny i dwie kartki przekazane przez posłańca, w których prosił o następne spotkanie. Wolff zabronił dziewczynie odpowiadać. W końcu minęło jednak dość czasu, by Smith zaczął powątpiewać, czy ją jeszcze kiedyś zobaczy. Wolff był pewien, że Sonia jest pierwszą naprawdę piękną kobietą, z jaką Smith spał. Spędziwszy kilka dni w niepewności major rozpaczliwie zapragnie znów zobaczyć tancerkę i gotów będzie skorzystać z pierwszej nadarzającej się okazji.

Idąc do domu Wolff kupił gazetę, ale znalazł w niej tylko te same bzdury co zawsze. Kiedy wchodził na pokład, Sonia jeszcze spała. Żeby ją obudzić, rzucił w nią zwiniętą gazetą. Kobieta stęknęła i przewróciła się na drugi bok.

Wolff zostawił ją samą i rozchyliwszy zasłony wrócił do głównego pomieszczenia. W przeciwległym końcu łodzi, czyli na rufie, znajdowała się maleńka kuchenka. Stała w niej spora szafa, w której trzymano szczotki i różne inne przybory do sprzątanania. Wolff otworzył drzwi szafy. Zgiąwszy kolana i pochyliwszy głowę jakoś się w niej mieścił. Zamek otwierał się tylko od zewnątrz. Wolff przeszukał szuflady w kuchni i znalazł nóż o giętym ostrzu. Przypuszczał, że uda mu się otworzyć drzwi od wewnątrz, jeśli wetknie nóż w szparę i

naciśnie nim sprężynę zamka. Wszedł do szafy, zatrzasnął drzwi za sobą i spróbował je otworzyć. Sposób okazał się skuteczny.

Tyle że przez drzwi nic nie było widać.

Wolff znalazł jakiś gwóźdź i za pomocą żelazka wybił nim w cienkich drzwiach dziurę na wysokości oczu. Powiększył otwór widelcem. Wszedł z powrotem do szafy i zamknął drzwi za sobą. Spojrzał przez otwór.

Zasłony się rozchyliły i Sonia weszła do pokoju. Rozejrzała się zdumiona, że Wolff znikł. Wzruszyła ramionami, zadarła koszulę nocną i podrapała się po brzuchu. Wolff stłumił śmiech. Kobieta weszła do kuchni, sięgnęła po czajnik i odkręciła kran.

Wolff wsunął nóż w szparę w drzwiach i pomanipulował przy zamku. Otworzył drzwi i wyszedł z szafy.

- Dzień dobry - powiedział.

Sonia wrzasnęła.

Wolff roześmiał się.

Kiedy rzuciła w niego czajnikiem, zrobił unik.

- Niezła kryjówka, co? - spytał.

- Przestraszyłeś mnie, ty skurwysynu - odparła kobieta.

Podniósł czajnik z podłogi i podał jej.

- Zaparz kawę - powiedział. - Odłożył nóż do szafy, zamknął ją i usiadł.

- Po co ci kryjówka? - spytała Sonia.

- Po to, żebym miał skąd podglądać ciebie i majora Smitha. To bardzo śmieszny widok. Major wygląda jak namiętny żółw.

- Kiedy przyjdzie?

- Dziś w południe.

- Ojej, dlaczego tak wcześnie?

- Zrozum. Jeżeli to, co on ma w teczce, jest cokolwiek warte, na pewno nie wolno mu łączyć z nią po całym mieście. Powinien zanieść ją do biura i zamknąć w sejfie. Nie możemy zostawić mu na to czasu, bo jeżeli przyjdzie bez teczki, wszystko na nic. To ważne, żeby przybiegł tu prosto z Kwatery Głównej. Jeżeli się spóźni, nie przyniesie teczki, zamkniemy się na klucz i będziemy udawali, że nas nie ma. Na drugi raz będzie wiedział, że nie może odkładać wizyty.

- Wszystko zaplanowałeś, prawda?

Wolff wybuchnął śmiechem.

- Lepiej zacznij się szykować. Masz wyglądać tak, żeby nikt nie mógł ci się oprzeć.

- Zawsze tak wyglądam - odparła Sonia, znikając w sypialni.

- Umyj głowę - zawołał w ślad za nią Wolff. Nie doczekał się odpowiedzi.

Spojrzał na zegarek. Czasu było niewiele. Obszedł całą łódź, chowając wszystkie przedmioty, które mogły zdradzić, że tu mieszka. Schował swoje buty, brzytwę, szczoteczkę do zębów i fez. Sonia w powłóczystej szacie wyszła na pokład, żeby wysuszyć włosy na słońcu. Wolff zaparzył kawę i zaniósł jej filiżankę. Sam też wypił, po czym umył naczynie i odstawił je na miejsce. Wyjął butelkę szampana, wstawił ją do wiaderka z lodem i wraz z dwoma kieliszkami umieścił przy łóżku. Przyszło mu na myśl, żeby zmienić pościel, postanowił jednak zrobić to dopiero po odejściu Smitha. Sonia wróciła z pokładu. Wyperfumowała sobie uda i rowek między piersiami. Wolff raz jeszcze się rozejrzył. Uznał, że wszystko gotowe. Usiadł na kanapie obok iluminatora, obserwując nabrzeże.

Major Smith pojawił się kilka minut po dwunastej. Szedł szybkim krokiem, jakby bał się spóźnić. Miał na sobie wojskową koszulę, szorty koloru khaki, skarpety i sandały, ale zdjął czapkę z oficerskimi dystynkcjami. Słońce południowej godziny wyciskało z niego siódme poty.

W ręku niósł teczkę.

Wolff uśmiechnął się z satysfakcją.

- Idzie - powiedział. - Jesteś gotowa?

- Nie - odparła Sonia.

Próbowała się z nim drażnić. I tak na pewno przygotuje się na czas. Wolff wszedł do szafy, zamknął drzwi i spojrzał przez otwór.

Usłyszał kroki Smitha, dudniące po trapie, a następnie po pokładzie.

- Halo! - zawołał major.

Sonia nie odpowiedziała.

Wolff widział przez dziurkę w drzwiach, jak Smith schodzi po schodkach prowadzących do wnętrza łodzi.

- Jest tam kto? - Smith spojrzał na zasłony odgradzające sypialnię. Jego ton zdradzał, że major z góry przygotowuje się na to, iż spotka go rozczarowanie. - Sonia?

Zasłony się rozchyliły. W przerwie stanęła Sonia. Uniosła ręce, podtrzymując zasłony. Włosy miała ułożone w zawiłą piramidę. Tak samo czesała się przed każdym występem na scenie. Ubrana w szarawary z cienkiego szyfonu, lecz stała na tyle blisko, że przez tkaninę widać było jej ciało. Od pasa w górę była naga; tylko na szyi miała kolię wysadzaną klejnotami. Jej brunatne piersi były pełne i krągłe, a sutki uszminekowane.

- Grzeczna dziewczynka! - pomyślał Wolff.

Major Smith nie odrywał od niej wzroku. Zupełnie go zatkało.

- Ojej - powiedział. - O Boże. O, moje serce.

Wolff robił, co mógł, żeby się nie roześmiać.

Smith upuścił teczkę i ruszył w stronę Soni. Kiedy ją objął, cofnęła się, pociągając go ku sobie, i zasunęła zasłony za jego plecami.

Wolff otworzył drzwi szafy i wyszedł z niej. Teczka leżała tuż przed sypialnią. Wolff uklęknął podciągając galabiję, przewrócił teczkę wiekiem do góry i spróbował ją otworzyć. Była zamknięta na klucz.

- Lieber Gott - szepnął.

Rozejrzał się za szpilką, spinaczem, igłą - jakimkolwiek narzędziem, którym można by otworzyć zamki. Bezszelestnie poszedł do kuchni i ostrożnie wyciągnął szufladę. Szpikulec do mięsa - za gruby; drut z drucianej szczotki - za cienki; nóż do jarzyn - za szeroki... W naczynku stojącym obok zlewu znalazł szpilkę do włosów, którą zgubiła Sonia.

Wrócił do teczki i wetknął w jeden z zamków czubek szpilki. Na próbę zaczął nią kręcić i wiercić. Któryś z elementów mechanizmu stawiał opór, zarazem lekko się uginając. Wolff nacisnął trochę mocniej. Szpilka złamała się.

Zaklął szeptem.

Z namysłem spojrzął na zegarek. Poprzednim razem Smith przeleciał Sonię w jakieś pięć minut. Trzeba było jej powiedzieć, żeby jak najdłużej przeciągała sprawę, pomyślał Wolff.

Wziął do ręki ten sam giętki nóż, którym przedtem otwierał drzwi szafy. Delikatnie wsunął ostrze pod jedną z zasuwek zamykających teczkę. Kiedy nacisnął, nóż się zgiał.

Wolff mógł w ciągu paru sekund wyłamać zamki, lecz nie chciał tego robić, bo Smith zorientowałby się, że teczkę otwierano. Wolff nie bał się Smitha, wołał jednak, żeby major nie wiedział, po co właściwie go uwiedziono: gdyby się okazało, że teczka zawiera wartościowe materiały, dobrze byłoby mieć do niej stały dostęp.

Ale gdyby nie zdołał otworzyć teczki, i tak nie miałby ze Smitha żadnego pożytku.

Co by było, gdyby wyłamał zamki? Smith skończyłby numer z Sonią, włożyłby spodnie i wziąłby do ręki teczkę, stwierdzając natychmiast, że ktoś ją tymczasem otwierał, Oskarżyłby o to Sonię. Kryjówka na łodzi zostałaby zdemaskowana, o ile Wolff nie zabiłby Smitha. A jakie następstwa pociągnęłyby za sobą to zabójstwo? Zginąłby kolejny żołnierz brytyjski, tym razem w Kairze. Rozpoczęto by poszukiwania na niewyobrażalną skalę. Czy władze zdołałyby ustalić, że to Wolff jest mordercą? Czy Smith opowiadał komukolwiek o

Soni? Kto widział ich razem w klubie "Cha-Cha?" Czy w toku śledztwa Anglicy dotarliby aż do łodzi?

Taki krok pociągał za sobą duże ryzyko, najgorsze jednak byłoby to, że Wolff straciłby źródło informacji i znów znalazłby się w punkcie wyjścia.

A tymczasem jego rodakom, toczącym wojnę na pustyni, potrzebne były właśnie informacje.

Przez chwilę stał bez ruchu pośrodku pokoju, myśląc gorączkowo. Przodem miał jakiś pomysł, jak usunąć przeszkodę, teraz jednak całkiem wyleciał mu on z głowy. Smith mruzczał i stękał za zasłoną. Wolff zadał sobie pytanie, czy major zdjął już spodnie...

No właśnie, spodnie.

Na pewno ma w kieszeni kluczyk od teczki.

Wolff zerknął przez szparę między zasłonami. Smith i Sonia leżeli w łóżku. Kobieta leżała na wznak, z zamkniętymi oczami. Smith wyciągnął się obok niej, podpierając się łokciem. Dotykał Soni, która się wyginała w łuk, jakby sprawiało jej to przyjemność. Smith przetoczył się na brzuch, kładąc się na Soni prawie całym ciałem, i złożył twarz na jej piersiach.

Wciąż jeszcze miał na sobie szorty.

Wolff wsunął głowę między zasłony i pomachał ręką, próbując zwrócić na siebie uwagę Soni. Popatrz na mnie, kobieto! - pomyślał. Smith przeniósł głowę z jednej piersi na drugą. Sonia otworzyła oczy, spojrzała na czubek głowy Smitha, pogłaskała go po włosach wysmarowanych brylantyną i napotkała wzrokiem spojrzenie Wolffa.

- Zdejmij mu szorty - rzekł Wolff bezdźwięcznie.

Sonia zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc, o co chodzi.

Wolff wszedł do sypialni i pokazał na migi, że ma zdjąć tamtemu szorty.

Sonia rozchmurzyła się: pojęła w czym rzecz.

Wolff się cofnął i po cichu zasunął zasłony, pozostawiając tylko wąziutką szparę, żeby obserwować bieg wydarzeń.

Zobaczył, że Sonia chwyta oburącz szorty Smitha i zaczyna mocować się z guzikami rozporka. Smith jęknął. Sonia wzniosła oczy do góry: namiętność łatwowiernego mężczyzny najwidoczniej budziła w niej jedynie wzdarcę. Mam nadzieję, że starczy jej rozumu, żeby rzucić szorty w moją stronę, pomyślał Wolff.

Po chwili Smith, zniecierpliwiony tym, że kobieta tak niezdarnie gmera mu przy rozporku, przewrócił się na wznak, usiadł i sam zdjął szorty. Rzucił je na podłogę obok łóżka i znów zajął się Sonią.

Łóżko stało półtora metra od zasłon.

Wolff położył się na brzuchu. Rozchylił zasłony i zaczął pełznąć pomalu, skradając się jak Indianin.

Usłyszał głos Smitha:

- Och, jakaś ty piękna.

Doczołgał się do miejsca, gdzie leżały szorty. Jedną ręką zaczął ostrożnie przekładać fałdy tkaniny, aż zobaczył kieszeń.

Włożył do niej rękę, po omacku szukając kluczy.

Kieszeń była pusta.

Od strony łóżka dało się słyszeć jakieś poruszenie. Smith stęknął.

- Nie, nie ruszaj się - powiedziała Sonia.

Grzeczna dziewczynka, pomyślał Wolff.

Znów zaczął grzebać w szortach. Wreszcie znalazł drugą kieszeń. Włożył do niej rękę. Ta kieszeń też okazała się pusta.

Ale kieszeni mogło być więcej. Wolff wyzbył się ostrożności. Obmacywał szorty szukając twardych, metalowych przedmiotów. Niczego takiego jednak nie znalazł. Podniósł szorty z podłogi.

Leżał na niej pęk kluczy.

Wolff wydał ciche westchnienie ulgi.

Widocznie klucze wyslizgnęły się z kieszeni, kiedy Smith rzucił szorty na podłogę.

Wolff wziął do ręki klucze i szorty i zaczął pełznąć tyłem w stronę zasłon.

Wtem usłyszał, że ktoś chodzi po pokładzie.

- Mój Boże, co to takiego? - rzekł Smith dyszkantem.

- Cicho - powiedziała Sonia. - To tylko listonosz. Powiedz, czy lubisz, kiedy ci to robię.

- O, tak.

Wolff przeczołgał się między zasłonami i spojrzał w górę. Listonosz właśnie kładł list na najwyższym schodku, tuż obok luku. Ujrzawszy Wolffa, zawołał ku jego przerażeniu:

- Sabah el-kheir dzień dobry!

Wolff ruchem nakazującym milczenie przytknął palec do ust, po czym przyłożył dłoń do policzka, jakby układał się do snu, a następnie wskazał gestem sypialnię.

- Najmocniej przepraszam! - szepnął listonosz.

Wolff machnął ręką, dając tamtemu znak, żeby już sobie poszedł.

Z sypialni nie dobiegały żadne dźwięki.

Czy powitalny okrzyk listonosza wzbudził u Smitha jakieś podejrzenia? Wolff uznał, że to mało prawdopodobne: listonosz mógł przecież powiedzieć dzień dobry, nawet gdyby nikogo nie widział, bo otwarty luk świadczył o tym, że ktoś jest na łodzi.

W sypialni znów rozległy się odgłosy, jakie zwykle towarzyszą uprawianiu miłości. Wolff odetchnął swobodniej.

Przejrzawszy klucze wybrał najmniejszy i spróbował otworzyć jeden z zamków teczki.

Udało się.

Otworzył drugi zamek i uniósł wieko. W środku leżała tekturowa teczka, zawierająca plik papierów. Tylko żeby to znowu nie były jadłospisy, pomyślał Wolff. Otworzył teczkę i rzucił okiem na pierwszy arkusz.

Przeczytał:

Operacja Aberdeen

1. Wojska aliantów rozpoczną zmasowany kontratak o świcie piątego czerwca.
2. Uderzenie nastąpi z dwóch stron...

Wolff oderwał wzrok od kartki.

- O Boże! - szepnął. - To jest to!

Przez chwilę nasłuchiwał. W sypialni zachowywano się teraz bardziej hałaśliwie. Słychać było skrzypienie sprężyn łóżka. Wolff miał wrażenie, że cała łódź zaczyna lekko się kołysać. Nie było czasu do stracenia.

Raport, który Smith miał w teczce, okazał się bardzo szczegółowy. Wolff nie wiedział dokładnie, jak działa angielski system dowodzenia, domyślał się jednak, że drobiazgowo plany bitew układa generał Ritchie w sztabie na pustyni, by je następnie przesłać do Kwatery Głównej w Kairze, gdzie zatwierdza je Auchinleck. Plany ważniejszych bitew omawiano zapewne na porannych odprawach, w których Smith najwidoczniej uczestniczył z racji swych obowiązków, nie znanych Wolffowi. Ten ostatni po raz kolejny zadał sobie pytanie, jaki wydział mieści się w nie oznakowanym budynku przy Sari Suleiman Pasha, dokąd Smith wracał każdego popołudnia; wnet jednak odegnał tę myśl. Musiał przecież porobić notatki.

Zaczął szukać ołówka i papieru, myśląc o tym, że właściwie powinien był wcześniej rozejrzeć się za czymś do pisania. W jednej z szuflad znalazł blok listowy i czerwony ołówek. Usiadł obok teczki i podjął przerwana lekturę.

Główne siły aliantów znalazły się w okrążeniu na obszarze zwanym Kotłem. Celem ataku planowanego na piątego czerwca było przerwanie tego okrążenia. Natarcie

zamierzano rozpocząć o godzinie drugiej pięćdziesiąt: cztery pułki artylerii miały ostrzelać grzbiet Aslagh na wschodniej flance Rommla. Ostrzał artyleryjski miał na celu osłabienie oporu wroga i przygotowanie terenu dla ataku czołowego, którego miała dokonać piechota Dziesiątej Brygady Indyjskiej. Kiedy Hindusi przedarliby się przez linie obronne na Aslagh, czołgi Dwudziestej Drugiej Brygady Pancерnej pomknęłyby przez powstałą wyrwę w szeregach niemieckich, zajmując Sidi Muftah. Dziewiąta brygada Indyjska ruszyłaby ich śladem i umocniłaby się na zdobytych pozycjach.

Tymczasem brygada czołgów Trzydziestej Drugiej Armii przy wsparciu piechoty zaatakowałaby Rommla z północnej flanki w pobliżu grzbietu Sidra.

Wolff bez reszty pogrążył się w lekturze. Doczytawszy raport do końca uświadomił sobie, że w penym momencie usłyszał wprawdzie dźwięki świadczące o tym, że major Smith osiągnął szczyt uniesień, ale odgłosy te prawie zupełnie uszły jego uwagi. Teraz zaś łóżko skrzypnęło i dwie bosc stopy klasnęły o podłogę.

Wolff zeszywniał.

- Kochanie, nalej szampana - powiedziała Sonia.

- Chwileczkę...

- Ale ja chcę już.

- Skarbie, trochę głupio się czuję bez spodni.

Jezu, on chce włożyć spodnie, pomyślał Wolff.

- Podobasz mi się nago - powiedziała Sonia. - Wypijmy po kieliszku, zanim się ubierzesz.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Wolff uspokoił się. Ona wprawdzie mnie klnie, ale robi, co jej każe, pomyślał.

Szybko przejrzał resztę papierów postanowiwszy, że tym razem nie da się przyłapać: Smith okazał się wspaniałą zdobyczą, byłoby więc tragedią, gdyby Wolff musiał zabić kure, która zniosła dopiero jedno złote jajo. Zapisał, że w natarciu weźmie udział czterysta czołgów, z czego trzysta trzydzieści zaatakuje od wschodu, a tylko siedemdziesiąt od zachodu; że generałowie Messervy i Briggs mają założyć wspólną kwaterę główną, natomiast Auchinleck domaga się - tonem jakby nieco zrzędlwym - przeprowadzenia dokładnego zwiadu, a także ścisłego współdziałania między piechotą i czołgami.

Podczas gdy to wszystko notował, rozległ się huk korka wyskakującego z butelki. Wolff oblizwał wargi. Też bym się napił, pomyślał. Spróbował odgadnąć, jak szybko Smith zdoła wypić kieliszek szampana. Postanowił nie ryzykować.

Odłożył papiery do tekturowej teczki, którą następnie umieścił z powrotem w teczce. Spuścił wieko i przekręcił kluczyk w obu zamkach. Schował pęk kluczy do kieszeni szortów. Wstał i przez szparę między zasłonami zajrzał do sypialni.

Smith, ubrany w przydziałową bieliznę, siedział na łóżku, trzymając w jednej ręce kieliszek, a w drugiej papierosa. Miał bardzo zadowoloną minę. Widocznie nosił papierosy w kieszonce koszuli - całe szczęście, bo byłoby niezręcznie, gdyby zostawił je w szortach.

Wolff znajdował się teraz w polu widzenia Smitha. Cofnął głowę i odczekał chwilę. Usłyszał głos Soni:

- Dolej mi, proszę.

Raz jeszcze spojrzął przez szparę. Smith wziął kieliszek Soni i odwrócił się w stronę butelki. Siedział teraz tyłem do Wolffa. Ten wyciągnął rękę, w której trzymał szorty, i położył je na podłodze sypialni. Sonia na jego widok z przerażenia uniosła brwi. Wolff cofnął rękę. Smith podał Soni kieliszek.

Wolff schował się do szafy, zamknął za sobą drzwi i pomału usiadł na dnie. Spróbował odgadnąć, jak długo będzie musiał czekać, aż Smith sobie pójdzie. Właściwie mało go to obchodziło: czuł się wspaniale. Odkrył przecież istną żyłę złota.

Minęło pół godziny, nim zobaczył przez otwór w drzwiach, że Smith już ubrany, wchodzi do głównego pokoju. Wolffowi przez ten czas bardzo już dokuczyła ciasnota. Sonia weszła w ślad za Smithem, mówiąc:

- Naprawdę musisz już iść?

- Niestety - odparł Smith. - Wiesz, południe to dla mnie bardzo niewygodna pora. - Zawahał się. - Prawdę mówiąc, nie wolno mi chodzić po mieście z tą teczką. Musiałem cholernie kombinować, żeby przyjść do ciebie o dwunastej. Widzisz, prosto z Kwatery Głównej powinienem wracać do biura. Dziś tego nie zrobiłem, bo strasznie się bałem, że jeżeli się spóźnię, to cię nie zastanę. Chłopakom w biurze powiedziałem, że jem lunch w Kwaterze Głównej, a w Kwaterze skłamałem, że zostaję na lunchu w biurze. Ale następnym razem pójdę do biura, zostawię teczkę i dopiero potem przyjdę do ciebie... jeżeli się zgodzisz, moja ty laleczko.

Na miłość boską, Sonia, powiedz coś, pomyślał Wolff.

- Ależ Sandy, codziennie po południu przychodzi do mnie sprzątaczką - powiedziała Sonia. - Nie bylibyśmy sami.

Smith zmarszczył czoło.

- Cholera. No to będziemy musieli widywać się wieczorami.

- Ale ja pracuję, a po występie zawsze muszę zostać w klubie, żeby porozmawiać z klientami. I nie mogłabym co wieczór siadać przy twoim stoliku, bo zaczęłyby się plotki.

W szafie było okropnie gorąco i duszno. Wolff strasznie się pocił.

- Nie możesz odwołać sprzątanania? - spytał Smith.

- Ależ kochanie, nie mogę sama sprzątać... po prostu nie umiem. Uśmiechnęła się, po czym wzięła Smitha za rękę i włożyła ją sobie między nogi.

- Och, Sandy, obiecaj, że przyjdiesz w południe - powiedziała.

Było to znacznie więcej niż Smith zdołałby wytrzymać.

- Oczywiście, że przyjdę, kochanie - obiecał.

Pocałowali się i Smith wreszcie sobie poszedł. Wolff słyszał jego kroki oddalające się po pokładzie, a potem po trapie. Wyszedł z szafy.

Sonia przyglądała się ze złośliwą radością, jak prostuje zeszywniałe kończyny.

- Boli? - spytała z drwiącym współczuciem.

- Oplaciło się - powiedział Wolff. - Byłaś cudowna.

- Masz to, czego chciałeś?

- Nawet nie marzyłem, że tak dobrze pójdzie.

Sonia wzięła kąpiel, a Wolff przez ten czas pokroił chleb i kielbasę na lunch. Po jedzeniu odszukał angielską powieść oraz szyfr i z grubsza naszkicował wiadomość dla Rommla. Sonia z całym tłumem egipskich przyjaciół pojechała na wyścigi. Wolff dał jej pięćdziesiąt funtów, żeby miała za co grać.

Wieczorem poszła do klubu "Cha-Cha", a Wolff siedział w domu i popijając whisky czytał arabskie poezje. Przed północą zmontował nadajnik.

Równo o północy nadał alfabetem Morse'a swój kryptonim: Sfinks. W kilka sekund później odezwał się punkt nasłuchu armii Rommla w kompanii Horch. Wolff kilkakrotnie nadał znak "V", żeby tamci mogli dokładnie nastroić odbiornik, po czym spytał, jaka jest moc jego własnego sygnału. Pomyliwszy się w połowie zdania, parokrotnie nadał znak "B", czyli "błąd", nim zaczął od nowa. Odpowiedziano mu, że jego sygnał ma maksymalną moc, i wystukano "N", czyli "nadawaj". Nim Wolff rozpoczął właściwą depezę, wystukał sygnał "KA". Następnie zaczął nadawać szyfrem: "Operacja Aberdeen..."

Na końcu wystukał "AR", czyli umowny skrót oznaczający, że zasadnicza depeza została już nadana, i "K", czyli "przechodzę na odbiór". Odpowiedziano mu serią znaków "R", których sens brzmiał: "wiadomość została przyjęta i zrozumiana."

Schował nadajnik, książkę i szyfr, po czym raz jeszcze nalał sobie whisky.

W sumie miał wrażenie, że powiodło mu się nad podziw.

Depesza od szpiega była tylko jednym z dwudziestu paru raportów jakie o siódmej rano czwartego czerwca leżały na biurku von Mellenthina, oficera wywiadu w sztabie Rommla. Prócz niej dostarczono wiele innych sprawozdań z nasłuchu: zarejestrowano rozmowy au clair między piechotą a jednostkami pancernymi; sztab polowy rozesłał zalecenia, zaszyfrowane prostym kodem, który udało się złamać w ciągu paru godzin; przechwycono też inne komunikaty, które okazały się wprawdzie nie do rozszyfrowania, ale na podstawie samej ich liczby, a także położenia nadajników można było domyślać się zamiarów nieprzyjaciela. Oprócz meldunków przechwyconych drogą radiową na biurku leżały także raporty zwiadowców, którzy uzyskiwali informacje oglądając zdobyczną broń oraz mundury poległych przeciwników, przesłuchując jeńców albo po prostu prowadząc bezpośrednią obserwację oddziałów wroga na pustyni. Zestaw ten uzupełniały sprawozdania z lotów zwiadowczych, meldunki o ruchach wojsk dostarczone przez inżyniera pola walki, a także wyciąg - prawie bezużyteczny - z danych o tym, co Berlin sądzi o zamiarach i siłach aliantów.

Podobnie jak wszyscy liniowi oficerowie wywiadu, von Mellenthin lekcewał meldunki szpiegów. Ponieważ oparte były na plotkach z kół dyplomatycznych, notatkach prasowych i zwykłych zgadywankach, przynajmniej w co drugim wypadku okazywały się błędne, toteż w praktyce nie było z nich żadnego pożytku.

Von Mellenthin musiał jednak przyznać, że ten akurat meldunek wygląda dość nietypowo.

Depesza od przeciętnego agenta mogłaby brzmieć: "Żołnierzom Dziewiątej Brygady Indyjskiej zakomunikowano, że w niedalekiej przyszłości wezmą udział w wielkiej bitwie," "Alianci w początkach czerwca zamierzają przerwać blokadę wokół obszaru Kotła" bądź też "Krażą plotki, że Auchinleck zostanie zdjęty ze stanowiska głównodowodzącego". Jednakże ten meldunek zawierał same konkrety.

Szpieg o kryptonimie Sfinks zaczął depeszę od słów: Operacja Aberdeen. Następnie podał datę natarcia, numery brygad i wyznaczone im zadania, punkty, w których poszczególne formacje miały ruszyć do ataku, oraz założenia strategów.

Raport ten wprawdzie nie przekonał von Mellenthina, ale go zaciekał.

Kiedy termometr w jego namiocie wskazywał prawie 40/0, von Mellenthin rozpoczął codzienną serię porannych rozmów. Osobiście, przez telefon, a w nielicznych przypadkach za pomocą krótkofalówki porozumiał się z oficerami wywiadu poszczególnych dywizji, z oficerem łącznikowym Luftwaffe do spraw lotów zwiadowczych i z paroma

bardziej rozgarniętymi oficerami wywiadu poszczególnych brygad. Wszystkim rozmówcom opowiedział o Dziewiątej i Dziesiątej Brygadzie Indyjskiej, o Dwudziestej Drugiej Brygadzie Pancерnej, a także o brygadzie czołgów Trzydziestej Drugiej Armii, nakazując, aby śledzili ruchy tych formacji. Kazał im też wypatrywać oznak przygotowań do bitwy w rejonach, z których wedle informacji nadesłanych przez szpiega miało wyjść natarcie. Poleciał im obserwować zwiadowców przeciwnika; gdyby szpieg miał rację, alianci prowadziliby szczególnie intensywny zwiad lotniczy w okolicach pozycji, które zamierzali zaatakować: grzbietów Aslagh i Sidra oraz Sidi Muftah. Można było się spodziewać wzmożonego ostrzału artyleryjskiego tych stanowisk, o ile strona przeciwna chciałaby przed natarciem zmiękczyć obrońców. To jednak byłoby tak niedwuznaczną zapowiedzią ataku, że mało który dowódca uległby pokusie użycia artylerii. Dla zmylenia przeciwnika ostrzał artyleryjski mógł wręcz osłabnąć, co także należałoby traktować jako zapowiedź natarcia.

Dzięki rozmowom z von Mellenthinem niżsi rangą oficerowie wywiadu mogli też uzupełnić swoje nocne raporty, wprowadzając do nich najnowsze informacje. Kiedy skończyli von Mellenthin napisał własny raport dla Rommla i zaniósł dokument do wozu sztabowego. Tam omówił sprawozdanie z szefem sztabu, który następnie przedstawił je Rommlowi.

Poranna odprawa nie trwała długo, ponieważ Rommel jeszcze poprzedniego wieczoru podjął co ważniejsze decyzje i wydał rozkazy na najbliższy dzień. Poza tym generał nie bywał rano w nastroju refleksyjnym, lecz pałał żądzą czynu. Miotał się po pustyni, jeżdżąc autem sztabowym lub latając samolotem Storch od jednego do drugiego stanowiska na pierwszej linii, wydawał nowe rozkazy, żartował z żołnierzami i dowodził w drobnych potyczkach. Choć jednak bez przerwy pchał się nieprzyjacielowi pod kule, od roku 1914 ani razu nie był ranny. Tego dnia von Mellenthin ruszył w objazd razem z generałem, aby przy okazji wyrobić sobie własne zdanie o sytuacji na pierwszej linii, a także osobiście ocenić oficerów wywiadu, którzy dostarczali mu informacji w stanie surowym: jedni, przesadnie ostrożni, pomijali w raportach wszelkie nie sprawdzone dane, inni zaś przesadzali, żeby zdobyć dla swych jednostek dodatkowe dostawy i uzupełnienia.

Wczesnym wieczorem, gdy rtęć w termometrze zaczęła wreszcie opadać, nadeszły kolejne meldunki i nastąpiła jeszcze jedna seria rozmów. Wśród masy szczegółów von Mellenthin poszukiwał wiadomości związanych z kontratakiem zapowiedzianym przez Sfinksa.

Z dywizji panczernej Ariete - włoskiej formacji, zajmującej pozycję na grzbiecie Aslagh - doniesiono, że wzrosła aktywność wojsk powietrznych nieprzyjaciela. Von Mellenthin spytał, czy są to bombardowania, czy loty zwiadowcze. Odpowiedziano, że loty zwiadowcze, natomiast bombardowania zupełnie ustały.

Z Luftwaffe nadszedł meldunek o ruchach wojsk na ziemi niczyjej: istniało podejrzenie, że dostrzeżony oddział stanowił forpocztę wyznaczającą punkt zborny.

Przechwycono niezbyt czytelną depezę radiową, nadaną prostym szyfrem: taka czy siaka Brygada Indyjska prosiła o szybkie wyjaśnienie porannego czegoś tam (rozkazu?), a zwłaszcza podanie pory rozpoczęcia takiego czy owakiego ostrzału artyleryjskiego. Von Mellenthin wiedział, że w myśl zasad angielskiej taktyki natarcie zazwyczaj poprzedzone bywa ostrzałem artyleryjskim.

Dowodów przybywało.

Von Mellenthin sprawdził w aktach, jaką pozycję zajmuje brygada czołgów Trzydziestej Drugiej Armii; stwierdził, że formację tę widziano niedawno na Rigel, a grzbiet ten stanowił logiczny punkt wyjścia do ataku na Sidra.

Każdy oficer wywiadu stał wobec zadania praktycznie niewykonalnego, musiał bowiem na podstawie niewystarczających informacji przewidywać ruchy wrogich wojsk. Wypatrywał znaków, kierował się intuicją i ryzykował - tak jak w grze hazardowej.

Von Mellenthin uznał, że tym razem warto postawić na Sfinksa.

O osiemnastej trzydzieści zaniósł swój raport do wozu sztabowego. Był tam Rommel wraz z szefem sztabu - pułkownikiem Bayerleinem - i Kesselringiem. Wszyscy trzej stali wokół dużego stołu polowego, patrząc na mapy działań wojennych. Z boku siedział porucznik, gotów w każdej chwili przystąpić do robienia notatek.

Rommel był bez czapki. Jego duża, łysiejąca głowa wydawała się nieproporcjonalnie wielka w stosunku do drobnego ciała. Sprawiał wrażenie człowieka znużonego i wycieńczonego. Von Mellenthin wiedział, że generałowi dokuczają żołądek i że dowódca często pości przez kilka dni z rzędu. Twarz Rommla, pulchna z natury, ostatnimi czasy wychudła, a odstające uszy sterczały bardziej niż zwykle. Wąskie ciemne oczy pały jednak entuzjazmem i nadzieją zwycięstwa.

Von Mellenthin stuknął obcasami i służbiście wręczył raport, po czym wyjaśnił sytuację na mapie. Kiedy skończył, Kesselring zapytał:

- I to wszystko jest oparte jedynie na raporcie jakiegoś szpiega?

- Nie, panie feldmarszałku - odparł von Mellenthin stanowczym tonem. - Jest wiele sygnałów, które to potwierdzają.

- Zawsze można znaleźć sygnały, które potwierdzą niemal wszystko - powiedział Kesselring.

Kątem oka von Mellenthin dojrzał, że Rommel zaczyna się irytować. Kesselring ciągnął:

- Nie możemy planować bitew na podstawie informacji od jakiegoś pierwszego lepszego tajnego agenta w Kairze.

- Jestem skłonny zawierzyć temu raportowi - odezwał się Rommel.

Von Mellenthin obserwował obu mężczyzn. Reprezentowali osobliwą równowagę sił - to znaczy osobliwą jak na wojsko, gdzie hierarchia władzy jest zwykle tak dokładnie wyznaczona. Kesselring był głównodowodzącym Armii Południe i przewyższał rangą Rommla, ale Rommel na skutek jakiegoś kaprysu Hitlera, nie podlegał jego rozkazom. Obaj mieli protektorów w Berlinie: Kesselring, człowiek Luftwaffe, był ulubieńcem Goeringa, a Rommel tak dobrze się sprawdzał w propagandzie, że z pewnością mógł liczyć na poparcie Goebbelsa. Kesselring cieszył się popularnością wśród Włochów, których Rommel zawsze obrażał. Ściśle rzecz biorąc, Kesselring był potężniejszy, gdyż jako feldmarszałek miał bezpośredni dostęp do Hitlera, podczas gdy Rommel musiał kontaktować się przez Jodla: ale tą kartą Kesselring nie mógł grać za często. W zaistniałej sytuacji ci dwaj nieustannie się kłócili i chociaż Rommel tu na pustyni miał ostatnie słowo, w Europie - o czym von Mellenthin wiedział - Kesselring robił, co mógł, żeby się go pozbyć.

Rommel odwrócił się do mapy.

- Przygotujmy się więc na dwuskrzydłowy atak. Popatrzmy najpierw na słabsze, północne skrzydło. Sidra jest pod kontrolą Dwudziestej Pierwszej Dywizji Pancerniej z bronią przeciwczołgową. Tutaj, na drodze natarcia Anglików, znajduje się pole minowe. Dywizja Pancerna sprowadzi ich na to pole i zniszczy ogniem przeciwczołgowym. Jeśli nasz szpieg ma rację i Anglicy rzucą tu do szturmie tylko siedemdziesiąt czołgów, Dwudziesta Pierwsza powinna szybko się z nimi uporać i być gotowa do następnej akcji.

Przesunął grubym palcem wskazującym po mapie.

- A oto drugie skrzydło, główny cel ataku, na naszych wschodnich flankach. Stoi tu Armia Włoska. Atak ma być przeprowadzony przez Brygadę Indyjską. Znając tych Hindusów i naszych Włochów, sądzę, że atak się powiedzie. Dlatego zarządzam zdecydowaną ripostę. Po pierwsze: Włosi mają przypuścić kontratak z zachodu. Po drugie: Dywizja Pancerna, rozprawivszy się z natarciem na Sidra, zawróci i zaatakuje Hindusów od północy. Po trzecie: dzisiaj nasi saperzy oczyszczą drogę przez pole minowe w Bir el-

Harmat, żeby Piętnasta Dywizja Pancerna mogła skierować się na południe, przejść tamtędy i zaatakować siły brytyjskie od tyłu.

Von Mellenthin, który uważnie śledził ten wywód, pokiwał głową z aprobatą. Był to plan typowy dla Rommla, oparty na szybkim przemieszczaniu sił dla zwiększenia ich skuteczności, na osaczeniu wroga i nagłym pojawieniu się potężnej dywizji tam, gdzie się jej najmniej spodziewano, czyli na tyłach. Jeśli się to powiedzie, atakujące brygady aliantów zostaną otoczone, odcięte i rozbite w proch.

Jeśli się to powiedzie.

Jeśli szpieg miał rację.

Kesselring zwrócił się do Rommla:

- Uważam, że popełnia pan wielki błąd.

- Ma pan prawo uważać, co pan chce - odparł chłodno Rommel.

- Von Mellenthin poczuł, jak ten chłód przenika i jego. Jeżeli sprawa przybierze zły obrót, Berlin wkrótce się dowie o nieuzasadnionej wierze Rommla w pierwsze lepsze doniesienia wywiadu, a on, von Mellenthin, będzie odpowiedzialny za dostarczenie tych doniesień. Stosunek Rommla do podwładnych, którzy go zawiedli, był bezlitosny.

Rommel spojrzał na notującego porucznika.

- Oto moje rozkazy na dzisiaj - zakończył i wbił wyzywający wzrok w Kesselringa.

Von Mellenthin włożył ręce do kieszeni i skrzyżował palce.

Przypomniał sobie ten moment w szesnaście dni później, kiedy wraz z Rommlem obserwował słońce wschodzące nad Tobrukiem.

Stali razem na skarpie na północny wschód od El Adem, czekając na początek bitwy. Rommel nosił gogle, które zabrał wziętemu do niewoli generałowi O'Connorowi, gogle, które stały się czymś w rodzaju jego znaku firmowego. Był w doskonałej formie: wesoły, ożywiony i pewny siebie. Niemal się słyszało, jak pracują trybiki jego mózgu, kiedy przesuwał lornetką po krajobrazie i przepowiadał przebieg bitwy.

- Nasz szpieg miał rację - odezwał się von Mellenthin.

- Właśnie o tym samym myślałem - uśmiechnął się Rommel.

Kontratak aliantów w dniu piątym czerwca nastąpił dokładnie według przepowiedni, a obrona Rommla przebiegła tak sprawnie, że zamieniła się w kontrkontratak. Trzy z czterech brygad aliantów zmieciono z powierzchni ziemi, cztery pułki artylerii wzięto do niewoli. Rommel bezlitośnie wykorzystał swoją przewagę. Czternastego czerwca sforsowano Linie Ghazalską, a dzisiaj, dwudziestego czerwca, przystąpiono do oblężenia kluczowego nadmorskiego garnizonu w Tobruku.

Von Mellenthin zadrżał. Zdumiewające, jak zimno potrafi być na pustyni o piątej rano.

Popatrzył w niebo.

Dwadzieścia po piątej rozpoczął się atak.

Odgłos dalekiego grzmotu przerodził się w ogłuszający ryk, gdy nadciągnęły Stukasy. Pierwsza eskadra przeleciała, nurkując w kierunku pozycji brytyjskich, i zrzuciła bomby. Wzniosła się wielka chmura dymu i pyłu, a jednocześnie z równie przeraźliwym hukiem otworzyły ogień wszystkie siły artyleryjskie Rommla. Nadciągnęła nowa fala Stukasów, a potem następna: bombowców były setki.

- Fantastyczne - powiedział von Mellenthin. - Kesselring naprawdę się spisał.

Była to niefortunna uwaga. Rommel warknął:

- Nie ma w tym żadnej zasługi Kesselringa: dzisiaj my sami dowodzimy lotnictwem.

Niemniej Luftwaffe dawała pokaz niezłej roboty, pomyślał von Mellenthin, ale nic już nie powiedział.

Tobruk był twierdzą koncentryczną. Sam garnizon stacjonował w mieście, miasto zaś leżało w sercu większego obszaru zajętego przez Brytyjczyków i otoczonego pięćdziesięciokilometrowym pasem zasieków przetykanym gęsto bunkrami. Niemcy musieli najpierw sforsować zasieki, potem dostać się do miasta i zdobyć garnizon.

Ze środka pola bitwy uniosła się chmura pomarańczowego dymu. Von Mellenthin powiedział:

- To sygnał, żeby artyleria zwiększyła zasięg.

Rommel skinął głową.

- Dobrze. Posuwamy się naprzód.

Nagle von Mellenthin poczuł, że ogarnia go fala optymizmu. W Tobruku czekała ich cenna zdobycz: żywność, benzyna, dynamit, namioty i ciężarówki - już teraz więcej niż połowa zmotoryzowanego transportu Rommla składała się z pojazdów zarekwirowanych Brytyjczykom. Uśmiechnął się i spytał:

- Świeża ryba na kolację?

Rommel zrozumiał, co miał na myśli.

- Wątróbka - powiedział. - Smażone kartofle. Świeży chleb.

- Prawdziwe łóżko z puchową poduszką.

- W murowanym domu chroniącym przed upałem i robactwem.

Przybył posłaniec z meldunkiem. Von Mellenthin przeczytał. Kiedy się odezwał, starał się nie pokazać po sobie podniecenia.

- Przerwali druty przy bunkrze sześćdziesiąt dziewięć. Grupa Menny atakuje z piechotą z Afrika Korps.

- Doskonale - rzekł Rommel. - Zrobiliśmy wyłom. Chodźmy.

Była dziesiąta trzydzieści przed południem, kiedy podpułkownik Reggie Bogge wetknął głowę w drzwi gabinetu Vandama i powiedział:

- Tobruk jest oblężony.

Dalsza praca wydała się Vandamowi w tym momencie bez sensu. Mechanicznie wykonywał codzienne czynności, czytał raporty informatorów, rozpatrywał przypadek leniwego porucznika, który powinien już dostać wyższy stopień, lecz na to nie zasługiwał, starał się wymyślić nowy sposób na Alexa Wolffa, ale to wszystko było teraz takie beznadziejnie błahe. Z upływem dnia przychodziły coraz gorsze wieści. Niemcy przerwali zasieki, przerzucili pomost nad rowem przeciwczołgowym, przebyli wewnętrzne pole minowe, dotarli do strategicznego skrzyżowania zwanego King's Cross.

O siódmej Vandam poszedł do domu na kolację z Billym. Nie mógł powiedzieć chłopcu o Tobruku: wiadomość miała być na razie utrzymana w tajemnicy. Kiedy jedli kotlety baranie, Billy mówił o swoim nauczycielu angielskiego, młodym człowieku chorym na płuca, który nie mógł służyć w wojsku, lecz bez przerwy powtarzał, jak bardzo chciałby walczyć na pustyni i dobrać się Szwabom do skóry.

- Ale ja mu nie wierzę - skomentował Billy. - A ty?

- Przypuszczam, że mówi prawdę - powiedział Vandam. - Zapewne czuje się winny.

Billy był w wieku, który narzuca nieodpartą potrzebę przekory.

- Winny? nie może czuć się winny, to nie jego wina.

- Podświadomie tak się czuje.

- A co to za różnica?

Sam się w to wpackowałem, pomyślał Vandam. Zastanowił się przez chwilę, a potem ciągnął: - Kiedy zrobisz coś złego i wiesz o tym, masz wyrzuty sumienia z powodu winy odczuwanej świadomie. Pan Simkisson nie zrobił nic złego, ale i tak ma wyrzuty sumienia, i nie wie dlaczego. To jest właśnie podświadome poczucie winy. Mówienie o tym, jak bardzo chciałby walczyć, trochę mu pomaga.

- Ach tak - powiedział Billy.

Vandam nie wiedział, ile chłopiec z tego zrozumiał.

Billy poszedł do łóżka z nową książką. Powiedział, że to kryminał. Jego tytuł brzmiał "Śmierć na Nilu".

Vandam wrócił do Kwatery Głównej. Wieści były nadal niekorzystne. Dwudziesta Pierwsza Dywizja Pancerna wkroczyła do miasta i otworzyła ogień z nadbrzeża do brytyjskich okrętów, które usiłowały, poniewczasie, wyjść w morze. Kilka z nich zatopiono. Vandam pomyślał o ludziach, którzy zbudowali te okręty, o tonach cennej stali, jaka na to poszła, o szkoleniu marynarzy i tworzeniu z załogi zgranego zespołu - a teraz wszyscy ci mężczyźni nie żyją, okręty są pod wodą i cały wysiłek poszedł na marne.

Noc spędził w kantynie oficerskiej, czekając na wiadomości. Pił tego i tyle palił, że rozboleła go głowa. Ze sztabu co jakiś czas nadchodziły nowe komunikaty. Podczas tej nocy Ritchie, dowódca Ósmej Armii, postanowił opuścić granicę i wycofać się do Mersa Matruh. Podobno Auchinleck, głównodowodzący, dowiedziawszy się o tym wyszedł z pokoju, z twarzą chmurną jak burza gradowa.

Zbliżał się już brzask, gdy Vandam złapał się na tym, że myśli o swoich rodzicach. Niektóre z portów na południowym wybrzeżu Anglii ucierpiały na skutek bombardowań nie mniej niż Londyn, ale jego rodzice mieszkali nieco dalej w głąb lądu, w wiosce w hrabstwie Dorset. Ojciec był naczelnikiem poczty w małym lokalnym urzędzie. Vandam spojrzał na zegarek: w Anglii jest teraz czwarta rano, ojciec spina nogawki klamerkami, wsiada na rower i jedzie po ciemku do pracy. W wieku sześćdziesięciu lat miał budowę kilkunastoletniego chłopaka. Matka Vandama, gorliwa protestantka, była przeciwna picciu, paleniu i wszelkiej rozwiązości, którym to mianem określała wszystko od rzucania strzałkami w tarczę po słuchanie radia. Ten reżim chyba dobrze służył jej mężowi, ona sama natomiast wiecznie niedomagała.

W końcu alkohol, zmęczenie i nuda zmożyły Vandama i zapadł w drzemkę. Śniło mu się, że jest w garnizonie w Tobruku z Billym, Elene i swoją matką. Biegał po domu zamykając wszystkie okna. Na zewnątrz Niemcy - którzy zamienili się w strażaków - dostawiali drabiny do budynku i wspinali się po nich. Nagle matka przestała liczyć swoje fałszywe banknoty i otworzyła okno, wskazując na Elene i krzycząc: "Nierządnic!" Rommel w hełmie strażackim wszedł przez okno i skierował wąż na Billy'ego. Siła strumienia strąciła chłopca z parapetu i spadł do morza. Vandam wiedział, że to jego wina, ale nie rozumiał, co źle zrobił. Zaczął płakać i wtedy się obudził.

Z ulgą skonstatował, że w rzeczywistości oczy miał suche. Sen zostawił mu przejmujące poczucie kłęski. Zapalił papierosa. Smakował gorzko.

Wzeszło słońce. Vandam zaczął obchodzić kantynę gasząc światło, po prostu żeby się czymś zająć. Kucharka wniosła poranną kawę. Kiedy ją pił, wkroczył kapitan z nowym komunikatem. Stał na środku kantyny czekając, aż wszyscy się uciszą.

- Dziś o świcie generał Klopper poddał Rommlowi garnizon w Tobruku.

Vandam wyszedł z kantyny i udał się ulicami miasta w kierunku swojego domu nad Nilem. Czuł się bezsilny i niepotrzebny, siedząc tu w Kairze i łapiąc szpiegów, podczas gdy tam na pustyni jego kraj przegrywał wojnę. Przyszło mu do głowy, czy przypadkiem Alex Wolff nie ma czegoś wspólnego z ostatnią serią zwycięstw Rommła, lecz odrzucił tę myśl jako zbyt wydumaną. Ogarnęło go przygnębiające wrażenie, że już gorzej być nie może, ale zaraz zrozumiał, że oczywiście może.

Wrócił do domu i poszedł spać.

Część druga
Mersa Matruh

Greki należał do tych, którzy lubią się kleić.

Elene nie znosiła takich typów. Nie miała nic przeciwko otwartemu pożądaniu, a nawet ją to pociągało. Ale brzydziła się ukradkowym, potajemnym, nieproszonym obmacywaniem.

Po dwóch godzinach w sklepie poczuła antypatię do Mikisa Aristopoulośa. Po dwóch tygodniach miała ochotę go udusić.

Sam sklep jej się podobał. Lubiała korzenne zapachy i rzędy wesołych, kolorowych pudełek i puszek na półkach w magazynie. Praca była łatwa i jednostajna, ale czas upływał szybko. Zadziwiała klientów sprawnym obliczaniem w pamięci rachunków. Od czasu do czasu kupowała sobie jakieś egzotyczne importowane smakołyki i brała do domu do spróbowania: słoik pasztetu z wątróbek, baton czekoladowy, butelkę Bovrilu, puszkę fasolki. Nowością była też dla niej sama zwyczajna, nudna, ośmiogodzinna praca.

Ale szef był nie do wytrzymania. Przy każdej okazji dotykał jej ramienia, jej szyi, jej biodra; za każdym razem, kiedy ją mijał za kontuarem albo na zapleczu, ocierał się o jej piersi lub pośladki. Początkowo brała to za przypadek, bo nie wyglądał na podobnego typa: był całkiem przystojny, miał zaledwie dwadzieścia parę lat i szeroki uśmiech, w którym odsłaniał białe zęby. Zapewne wziął jej milczenie za oznakę przyzwolenia. Będzie musiała trochę go ukrócić.

Tylko tego jej brakowało! I tak miała dość problemów z miotającymi nią sprzecznymi uczuciami. Z jednej strony zarówno lubiła, jak i nie cierpiała Williama Vandama, który rozmawiał z nią jak z osobą równą sobie, a potem potraktował ją jak dziwkę, z drugiej miała uwieść Alexa Wolffa, którego nigdy nawet nie widziała na oczy, a teraz jeszcze kleił się do niej Mikis Aristopoulos, do którego czuła jedynie pogardę.

Wszyscy mnie wykorzystują, pomyślała; oto całe moje życie.

Zastanawiała się, jaki ten Wolff może być. Vandamowi łatwo powiedzieć, że ma się do niego zbliżyć, jakby wystarczyło nacisnąć guzik i stać się nieodparcie pożądaną. W rzeczywistości bardzo dużo zależało od gustu mężczyzny. Niektórym podobała się natychmiast. Z innymi wymagało to trochę zachodu. U jeszcze innych nie miała szans. Na pół pragnęła, aby tak właśnie było z Wolffem. Z drugiej jednak strony pamiętała, że był on niemieckim szpiegiem, a Rommel zbliżał się z każdym dniem i jeśli naziści wejdą do Kairu...

Aristopoulos przyniósł z magazynu pudło spaghetti. Elene spojrzała na zegarek: zaraz kończy pracę. Aristopoulos otworzył karton i postawił na półce. Wracając przecisnął

się za nią, włożył jej ręce pod pachy i pogłaskał piersi. Odsunęła się. W tej samej chwili usłyszała, że ktoś wchodzi do sklepu. Pomyślała: Dam temu sukinsynowi nauczkę. Kiedy Grek zniknął na zapleczu, krzyknęła za nim głośno, po arabsku:

- Jeżeli jeszcze raz mnie dotkniesz, obetnę ci kutasa!

Klient parsknął śmiechem. Odwróciła się i spojrzała na niego. Był Europejczykiem, ale musiał rozumieć po arabsku.

- Dzień dobry - powitała go.

Przybysz spojrzał w kierunku zaplecza i zawołał:

- Co ty wyprawiasz, Aristopoulos, stary lubieżniku?

Aristopoulos wytknął głowę zza drzwi.

- Dzień dobry panu. To moja siostrzenica, Elene. - Na jego twarzy malowało się zmieszanie i jeszcze coś, czego Elene nie potrafiła określić. Cofnął się do magazynu.

- Siostrzenica! - powiedział klient patrząc na Elene. - Dobre sobie!

Był to postawny mężczyzna po trzydziestce, o ciemnych oczach, ciemnych włosach i ciemnej cerze. Miał duży haczykowany nos, który można by nazwać zarówno typowo arabskim, jak i typowo europejsko-arystokratycznym. Jego usta były cienkie, a kiedy się uśmiechał, pokazywał rząd małych równych zębów - jak u kota, pomyślała Elene. Nie uszły też jej uwadze charakterystyczne znamiona zamożności w jego stroju: jedwabna koszula, złoty zegarek, szyte na miarę spodnie, pasek z krokodylej skóry, buty na zamówienie i lekki zapach eleganckiej męskiej wody kolońskiej.

- Czym mogę służyć? - spytała.

Popatrzył na nią, jakby rozpatrywał kilka rozmaitych odpowiedzi, w końcu rzekł:

- Zacznijmy od angielskiej marmolady.

- Dobrze. - Marmolada była na zapleczu. Poszła tam po słoiczek.

- To on! - zasyczał szeptem Aristopoulos.

- O czym pan mówi? - spytała normalnym głosem, nadal na niego wściekła.

- Ten od sfalszowanych pieniędzy, pan Wolff, to on!

- O Boże! - Przez chwilę zapomniała, po co tu jest. Udzieliła jej się panika Aristopouloza i straciła głowę. - Co mam mu powiedzieć? Co robić?

- Nie wiem... daj mu marmoladę... nie wiem...

- Tak, marmolada, oczywiście... - Wzięła słoik z półki i wróciła do sklepu. Zmusiła się do wesołego uśmiechu kładąc słoik na ladę. - Coś jeszcze?

- Dwa funty drobno zmielonej czarnej kawy.

Patrzył na nią, kiedy odważała kawę i wsypywała ją do młynka. Nagle poczuła przed nim strach. Nie był taki jak Charles, Johnnie i Claud, mężczyźni, którzy ją utrzymywali. Tamci byli delikatni, wyrozumiali, pełni poczucia winy i zgodni. Wolff sprawiał wrażenie człowieka zrównoważonego i pewnego siebie: trudno go będzie oszukać, a jeszcze trudniej pokrzyżować mu plany.

- Coś jeszcze?

- Puskę szynki.

Kręciła się po sklepie, wyszukując żądane towary i kładąc je na ladzie. Nie spuszczał z niej oka. Pomyślała: Powinnam zacząć jakąś rozmowę, nie mogę tylko pytać "Coś jeszcze?", przecież miałam z nim zawrzeć znajomość.

- Coś jeszcze? - spytała.

- Pół skrzynki szampana.

Karton z sześcioma butelkami był ciężki. Wyciągnęła go z magazynu.

- Zapewne chce pan, żeby to panu dostarczyć do domu - powiedziała. Starła się mówić tonem obojętnym i zdawkowym. Była lekko zadyszana po poprzednim wysiłku i miała nadzieję, że zatuszuje to jej zdenerwowanie.

Przewiercał ją na wskroś swoimi ciemnymi oczami.

- Dostarczyć? - powtórzył. - Nie, dziękuję.

Spojrzała na ciężką skrzynkę.

- Mam nadzieję, że mieszka pan niedaleko.

- Niezbyt daleko.

- Musi pan być bardzo silny.

- Nie narzekam.

- Mamy bardzo porządnego dostawcy...

- Nie, dziękuję - powtórzył stanowczo.

Skinęła głową.

- Jak pan sobie życzy. - W gruncie rzeczy nie spodziewała się, żeby odniosło to pożądaną skuteczną, ale i tak była zawiedziona. - Coś jeszcze?

- To już chyba wszystko.

Zacząła podliczać rachunek. Wolff powiedział:

- Aristopoulosowi musi się nieźle powodzić, skoro może zatrudnić pomocnicę.

Elene odparła:

- Pięć funtów, dwanaście szylingów, sześć pensów... Nigdy by pan tego nie zgadł, sądząc po tym, co mi płaci... pięć funtów, trzynaście szylingów i sześć pensów, sześć funtów...

- Nie lubi pani tej pracy?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Zrobiłabym wszystko, żeby się stąd wydostać.

- Co pani ma na myśli? - Był bystry.

Wzruszyła ramionami i wróciła do obliczania rachunku. W końcu powiedziała:

- Trzynaście funtów, dziesięć szylingów i cztery pensy.

- Skąd pani wiedziała, że będę płacić w funtach?

Naprawdę był bystry. Ogarnęła ją trwoga, że się zdradziła. Poczula, że się czerwieni.

Nagle spłynęło na nią natchnienie i powiedziała:

- Przecież jest pan oficerem brytyjskim, prawda?

Roześmiał się głośno. Wyjął zwitek funtów i dał jej czternaście. Wydała mu resztę w egipskich monetach. Myślała rozpaczliwie: Co jeszcze mogę zrobić? Co jeszcze mogę powiedzieć? Zaczęła pakować jego sprawunki do brązowej papierowej torby.

- Czy urządza pan przyjęcie? - zapytała. - Uwielbiam przyjęcia.

- Dlaczego pani tak sądzi?

- Z powodu szampana.

- Ach tak. No cóż, całe życie to jedno wielkie przyjęcie.

Nie udało mi się, pomyślała. Wyjdzie teraz i nie wiadomo, kiedy wróci, może nigdy. Miałam go przed nosem, rozmawiałam z nim, a teraz muszę pozwolić mu odejść i rozpląnąć się w mieście.

Powinna poczuć ulgę, a tymczasem miała poczucie dotkliwej porażki.

Dźwignął karton z szampanem na lewe ramię, a do prawej ręki wziął torbę z resztą sprawunków.

- Do widzenia - powiedział.

- Do widzenia.

Odwrócił się przy drzwiach.

- Może się spotkamy w restauracji "Oaza" w środę o wpół do ósmej wieczorem?

- Dobrze! - zgodziła się z entuzjazmem, ale jego już nie było.

Dotarcie na Wzgórze Jezusa zajęło im niemal cały ranek. Jakes siedział z przodu obok kierowcy, Vandam i Bogge z tyłu. Vandam nie posiadał się z radości. Australijska

kompania zajęła nocą wzgórze i zdobyła niemal nietkniętą niemiecką stację nasłuchu radiowego. Była to pierwsza dobra wiadomość od miesięcy.

Jakes odwrócił się i powiedział głośno, przekrzykując silnik:

- Podobno Australijczycy atakowali w skarpetkach, żeby ich zaskoczyć. Większość Włochów wzięto do niewoli w piżamach.

Vandam już słyszał tę historię.

- Ale Niemcy nie spali - wtrącił. - Była całkiem niezła jatka.

Pojechali główną szosą do Aleksandrii, a potem drogą nadmorską do El Alamein, skąd skręcili na "beczkostradę" - szlak przez pustynię wyznaczony beczkami. Niemal cały ruch zmierzał w odwrotnym kierunku, wszyscy się wycofywali. Nikt nie wiedział, co się dzieje. Zatrzymali się przy składzie paliw, żeby uzupełnić benzynę, i Bogge musiał błysnąć szarżą, aby dano im kwit.

Szofer zapytał, jak dojechać na wzgórze.

- Szlak Butelkowy - odpowiedział krótko oficer.

Szlaki utworzone dla wojska i przez wojsko, nosiły nazwy Butelkowy, Butów, Księżycowy i Gwiazdny, od znaków wyciętych w pustych beczkach i w pojemnikach po benzynie ustawionych wzdłuż trasy. W nocy wstawiano w beczki małe lampki, żeby oświetlić znaki.

Bogge zapytał oficera:

- Co się tu dzieje? Wszyscy uciekają na wschód.

- Nikt mi nic nie mówi - odparł oficer.

Wzięli z bufetu polowego po kubku herbaty i po kanapce z wołowiną. Dalsza droga wiodła przez pobojuwisko, usiane rozbitymi i spalonymi czołgami, gdzie służby porządkowe chaotycznie szukały zwłok. Beczki zniknęły, ale kierowca odnalazł je znów po drugiej stronie żwirowej równiny.

Na wzgórze dotarli w południe. Niedaleko toczyła się bitwa: słyszeli odgłosy strzałów i widzieli obłoki kurzu na zachodzie. Vandam uzmysłowił sobie, że jeszcze nigdy nie był tak blisko pola walki. W pierwszym rzędzie rzuciły mu się w oczy brud, panika i zamieszanie. Zameldowali się w wozie sztabowym, skąd skierowano ich do zdobytych niemieckich radiostacji na kółkach.

Polowe służby wywiadowcze już przystąpiły do pracy. Jeńców przesłuchiowano pojedynczo w małym namiocie, podczas gdy reszta czekała na palącym słońcu. Eksperci od wyposażenia wroga oglądali broń i pojazdy, zapisując numery seryjne. Ludzie ze służby "Y"

ustalali długości fal i szukali kodów. Zadaniem grupki operacyjnej Bogge'a było zbadanie, czego Niemcy zdołali się z góry dowiedzieć o ruchach aliantów.

Każdy z nich zajął się jedną ciężarówką z nasłuchem. Jak większość ludzi z wywiadu, Vandam liźnął trochę języka niemieckiego. Znał kilkaset słów, przeważnie terminów wojskowych, toteż choć nie odróżniłby listu miłosnego od spisu brudnej bielizny, potrafił odcyfrować rozkazy i meldunki wojskowe. Trzeba było przejrzeć mnóstwo materiału: przejęte radiostacje były wielką gratką dla wywiadu. Większość z tego zapakuje się, przewiezie do Kairu i tam zbada dokładnie w liczniejszym zespole. Dzisiejsze zadanie miało na celu tylko wstępny przegląd.

W ciężarówce Vandama panował straszny bałagan. Niemcy zaczęli niszczyć papiery, kiedy się zorientowali, że przegrali bitwę. Opróżnili szuflady i rozpalili ogień, ale tym działaniom szybko położono kres. Na jednej z tekturowych teczek widniała krew: ktoś zginął broniąc swoich sekretów.

Vandam zabrał się do roboty. Na pewno najpierw próbowali zniszczyć to, co najważniejsze, zaczął więc od na wpół spalonej kupki papieru. Było tu zapisanych wiele sygnałów radiowych aliantów, przechwyconych i w niektórych wypadkach rozszyfrowanych. Większość dotyczyła zwykłych, rutynowych spraw - zwykle, rutynowe sprawy zawsze zajmują najwięcej miejsca - ale w miarę przeglądania materiałów Vandam uzmysłowił sobie, że niemiecka służba wywiadu radiowego zebrała dużą liczbę pożytecznych informacji. Byli lepsi, niż przypuszczał - a kontrwywiad radiowy aliantów był bardzo zły.

Na spodzie na wpół zwęglonej kupki leżała książka, powieść w języku angielskim. Vandam zmarszczył brwi. Otworzył książkę i przeczytał pierwsze zdanie: "Śniło mi się tej nocy, że znów jestem w Manderley." Tytuł książki brzmiał "Rebeka", napisała ją Daphne du Maurier. Ten tytuł był mu jakby znajomy, zapewne jego żona musiała czytać tę powieść. Traktowała chyba o młodej kobiecie mieszkającej w angielskiej posiadłości wiejskiej.

Vandam podrapał się po głowie. Najogólniej mówiąc, była to dziwna lektura dla żołnierzy Afriki Korps.

I dlaczego po angielsku?

Może zabrano ją jakiemuś angielskiemu jeńcowi, ale Vandam uznał to za mało prawdopodobne: wiedział z doświadczenia, że żołnierze czytają pornografię, czarne kryminały i Biblię. Jakoś nie mógł sobie wyobrazić, żeby "Szczyry Pustyni" interesowały się problemami pani na Manderley.

Nie, książka znajdowała się tutaj w jakimś specjalnym celu. Ale jakim? Widział tylko jedną możliwość: miała służyć jako podstawa szyfru.

Szyfr książkowy był odmianą szyfru opartego na jednorazowym bloczku. Taki bloczek miał litery i cyfry wydrukowane na chybił trafił w pięciu grupach i sporządzano go tylko w dwóch egzemplarzach: jeden był przeznaczony dla nadającego, drugi dla odbierającego. Każda kartka bloczku służyła do przekazania jednej wiadomości, potem wrywano ją i niszczone. Ponieważ była używana tylko raz, szyfru nie można było złamać. Książką posługiwano się podobnie, z tym że niekoniecznie niszczone zużyte kartki.

Książka miała jedną wielką przewagę nad bloczkiem. Ten ostatni niewąznie wskazywał, do czego służy, podczas kiedy książka wyglądała całkiem niewinnie. Na polu bitwy nie grało to roli, lecz dla agenta za liniami wroga sprawa miała zasadnicze znaczenie.

To także mogło tłumaczyć, dlaczego książka była w języku angielskim. Niemieccy żołnierze komunikujący się ze sobą używaliby niemieckiej książki - jeśli w ogóle - ale szpieg na terytorium brytyjskim musiał mieć ze sobą książkę po angielsku.

Vandam przyjrzał jej się uważniej. Na wyklejce był ślad wypisanej ołówkiem ceny, którą potem starto. To mogło oznaczać, że książka została kupiona z drugiej ręki. Podniósł ją pod światło, próbując odczytać ślad ołówka na papierze. Udało mu się dojrzeć cyfrę 50, a po niej trzy literki. Czy było to "eic"? Mogło być też "erc" lub "esc". Chyba "esc", zdecydował - pięćdziesiąt escudos. Książkę niewątpliwie kupiono w Portugalii. Portugalia była krajem neutralnym, w którym znajdowały się zarówno ambasada niemiecka, jak i brytyjska, i w którym roilo się od rozmaitych szpiegów.

Jak tylko wróci do Kairu, wyśle polecenie do komórki wywiadowczej w Lizbonie, żeby odwiedzili wszystkie księgarnie z angielskimi książkami - z pewnością nie ma ich zbyt wiele - i postarali się sprawdzić, w której z nich została kupiona ta książka i, o ile to możliwe, przez kogo.

Musiano kupić co najmniej dwa egzemplarze i sprzedawca mógł zapamiętać kupca. Ciekawe, gdzie jest ten drugi egzemplarz? Vandam był pewien, że w Kairze, i miał wrażenie, że wie u kogo.

Zdecydował, że lepiej pokazać to znalezisko podpułkownikowi Bogge'owi. Wziął książkę i zszedł z ciężarówki.

Bogge właśnie nadchodził, poszukując go.

Vandam spojrzał na niego zdumiony. Bogge był pobielawy na twarzy i wściekły do granic hysterii. Kroczył po sypkim piasku z arkuszem papieru w ręce.

Vandam pomyślał: Co mu się, u diabła, stało?

Bogge wrzasnął:

- Co pan właściwie robi całymi dniami?!

Vandam nie odpowiedział. Bogge podał mu papier. Vandam spojrział.

Był to zaszyfrowany przekaz radiowy, z rozszyfrowaną wiadomością napisaną między linijkami. Data wskazywała na północ trzeciego czerwca. Nadawca posługiwał się kryptonimem Sfinks. Wiadomość, po zwykłym wstępie na temat mocy sygnału, nosiła nagłówek: Operacja Aberdeen.

W Vandama jakby piorun strzelił. Operacja Aberdeen miała miejsce piątego czerwca, a Niemcy otrzymali wiadomość o niej już trzeciego. Powiedział:

- Wielki Boże, to straszne.

- Oczywiście, że straszne, do stu piorunów! - ryknął Bogge. - To znaczy, że Rommel dostaje dokładne dane o naszych atakach z dużym wyprzedzeniem!

Vandam przeczytał resztę. "Dokładne dane" było określeniem jak najbardziej słusznym. Wiadomość zawierała nazwy brygad, czas poszczególnych etapów natarcia i ogólną strategię.

- Nic dziwnego, że Rommel wygrywa - mruknął Vandam.

- Niech pan tu sobie nie stroi żarcików! - wrzasnął Bogge.

Przy boku Vandama pojawił się Jakes w towarzystwie pułkownika z australijskiej brygady, która zdobyła wzgórze, i powiedział:

- Przepraszam, ale...

- Nie teraz, Jakes - przerwał mu Vandam.

- Nie odchodźcie, Jakes - zarządził Bogge. - To was też dotyczy.

Vandam podał papier Jakesowi. Czuł się, jakby go ktoś zdzielił pięścią po głowie. Wiadomość była tak precyzyjna, że musiała pochodzić z Kwatery Głównej.

- Do jasnej cholery - powiedział cicho Jakes.

Bogge rzekł:

- Muszą dostawać ten materiał od angielskiego oficera, zdaje pan sobie chyba z tego sprawę, prawda?

- Tak - odparł Vandam.

- Co to znaczy "tak"? Pańskim zadaniem jest piecza nad naszym personelem, pan za to do diaska odpowiada!

- Zdaję sobie z tego sprawę, panie pułkowniku.

- A czy zdaje pan sobie również sprawę, że o przecieku tej miary trzeba zameldować głównodowodzącemu?

Australijski pułkownik, który nie rozumiał skali katastrofy, czuł się zażenowany widząc, jak oficer dostaje publicznie ostrą reprimendę. Powiedział:

- Zostawmy to na później, Bogge. Wątpię, aby winę można tu było przypisać jednej osobie. Przede wszystkim powinien pan zbadać zakres strat i przygotować wstępny raport dla przełożonych.

Było jasne, że Bogge bynajmniej nie skończył swojej tyrady, ale był niższy stopniem. Z widocznym wysiłkiem pohamował gniew i rzekł:

- Dobrze, niech się pan tym zajmie, Vandam. - I pomaszerował z powrotem, a pułkownik odszedł w innym kierunku.

Vandam usiadł na stopniu ciężarówki. Drżącymi rękami zapalił papierosa. Im głębiej docierała do niego ta informacja, tym wydawała się gorsza. Alex Wolff nie tylko spenetrował Kair i wciąż wymykał mu się z rąk, lecz także zdobył dostęp do najtajniejszych sekretów. Kim jest ten człowiek? - pomyślał.

W ciągu zaledwie paru dni wybrał sobie odpowiedni obiekt, zarzucił na niego sieci, a potem przekupstwem, szantażem lub perswazją namówił do zdrady.

Kto mógł być tym obiektem; kto dostarczał Wolffowi informacji? Miały do nich dostęp setki ludzi - generałowie, oficerowie sztabowi, sekretarki, które przepisywały pisma na maszynie, ludzie, którzy szyfrowali wiadomości radiowe, oficerowie, którzy przynosili je ustnie, cała służba wywiadowcza, cała łączność...

Wolff musiał w jakiś sposób znaleźć wśród tych setek ludzi kogoś, kto był gotów zdradzić swoją ojczyznę czy to za pieniądze, czy z przekonania politycznych, czy pod naciskiem szantażu. Oczywiście było możliwe, że Wolff nie miał z tym nic wspólnego - ale Vandam uważał to za mało prawdopodobne, gdyż zdrajca potrzebował środków łączności z wrogiem, a Wolff dysponował takim środkiem, trudno zaś uwierzyć, aby w Kairze było dwóch Wolffów.

Obok stanął Jakes, z mocno niepewną miną. Vandam powiedział:

- Te informacje nie tylko do nich docierają, ale Rommel robi z nich użytek. Przypomnij sobie bitwę piątego czerwca...

- Tak, pamiętam - powiedział Jakes. - To była masakra.

I to przeze mnie, pomyślał Vandam. Bogge miał rację, to ja jestem odpowiedzialny za to, żeby sekrety nie przedostawały się na zewnątrz, a gdy tak się dzieje, to moja wina.

Jeden człowiek nie może wygrać wojny, ale może ją przegrać. Vandam nie chciał być tym człowiekiem. Wstał.

- W porządku, Jakes, słyszałeś, co powiedział Bogge. Bierzmy się do roboty.

Jakes strzelił palcami.

- Zapomniałbym, z czym przyszedłem. Jest pan proszony do telefonu polowego. Dzwonią z Kwatery Głównej. W pańskim biurze jest jakaś Egipcjanka, która chce z panem mówić i nie daje się wyprosić. Twierdzi, że ma pilną wiadomość, i obstaje przy swoim.

Vandam pomyślał: Elene!

Może nawiązała kontakt z Wolffem. Na pewno tak - czemu by inaczej upierała się, żeby ją połączyć? Vandam puścił się biegiem do wozu sztabowego, z Jakesem depczącym mu po piętach.

Major z wojsk łączności podał mu telefon ze słowami:

- Niech się pan streszcza, Vandam, to urządzenie jest nam potrzebne.

Vandam przełknął dość obelg jak na jeden dzień. Chwycił telefon, przysunął twarz do twarzy majora i powiedział podniesionym głosem:

- Będę rozmawiał, jak długo to konieczne. - Odwrócił się do niego tyłem i rzucił do słuchawki: - Tak?

- William?

- Elene! - Chciał jej powiedzieć, jak się cieszy, że słyszy jej głos, ale zamiast tego spytał tylko: - Co się stało?

- Przyszedł do sklepu.

- A więc widziałaś go! Zdobyłaś jego adres?

- Nie, ale jestem z nim umówiona.

- Wspaniale! - Vandam był pełen dzikiego szczęścia. Teraz złapie tego sukinsyna. - Gdzie i kiedy?

- Jutro wieczorem o wpół do ósmej w restauracji "Oaza".

Vandam wziął ołówek i kawałek papieru.

- Restauracja "Oaza" o wpół do ósmej - powtórzył. - Będę tam.

- Doskonale.

- Elene...

- Tak?

- Nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo jestem wdzięczny. Dziękuję.

- Do jutra.

- Do zobaczenia.

Vandam odłożył słuchawkę. Za nim stał Bogge wraz z majorem łącznościowcem. Bogge warknął:

- Co pan sobie, do diabła, wyobraża, żeby zajmować telefon polowy na umawianie się ze swoimi cholernymi przyjaciółkami?

Vandam obdarzył go słonecznym uśmiechem.

- To nie była żadna przyjaciółka, tylko informatorka - wyjaśnił. - Nawiązała kontakt z naszym szpiegiem. Mam zamiar aresztować go jutro wieczorem.

Wolff patrzył, jak Sonia je. Wątróbka była krwista, różowa i miękka, taka jaką lubiła. Sonia jadła z apetytem, jak zwykle. Pomyślał, że są bardzo do siebie podobni. W pracy oboje byli sprawni, profesjonalni i odnosili sukcesy. Oboje też żyli w cieniu dramatycznych przeżyć z dzieciństwa: ona śmierci ojca, on powtórnego zameścia matki z Arabem. Żadne z nich nie myślało nigdy poważnie o małżeństwie, gdyż zbyt kochali samych siebie, aby przelać to uczucie na drugą osobę. Złączyła ich nie miłość ani nawet nie sympatia, lecz wzajemne pożądanie. Najważniejszą rzeczą w życiu było dla nich folgowanie własnym apetytom. Oboje wiedzieli, że Wolff zasiadając w restauracji podejmuje niewielkie wprawdzie, niemniej niepotrzebne ryzyko, i oboje uznali, że warto zaryzykować, gdyż co to za życie bez dobrego jedzenia.

Skończyła wątróbkę i kelner przyniósł jej lody. Po występie w klubie "Cha-Cha" zawsze była bardzo głodna. Nic dziwnego: wkładała w swój popis mnóstwo energii. Ale kiedy w końcu przestanie tańczyć, z pewnością się roztyje. Wolff wyobraził ją sobie za dwadzieścia lat: będzie miała trzy podbródki, szerokie łono, siwiejące łamliwe włosy i ciężki chód, a po wejściu na schody nie będzie mogła złapać tchu.

- Z czego się śmiejesz? - spytała Sonia.

- Wyobrażałem sobie ciebie jako starą kobietę w bezkształtnej czarnej sukience i woalce.

- Wcale nie będę tak wyglądać. Będę bardzo bogata i będę mieszkać w pałacu, otoczona nagimi młodymi mężczyznami i kobietami, gotowymi spełnić każde moje życzenie. A ty?

Wolff uśmiechnął się.

- Myślę, że będę ambasadorem Hitlera w Egipcie i będę chodził do meczetu w mundurze SS.

- Będziesz musiał zdejmować swoje buty z cholewami.

- Czy mam cię odwiedzić w twoim pałacu?

- Bardzo proszę... koniecznie w mundurze.

- Czy będę musiał zdjąć buty w twojej obecności?

- Nie. Wszystko inne, ale nie buty.

Wolff się roześmiał. Sonia była dzisiaj w szczególnie dobrym humorze. Zawołał kelnera i poprosił o kawę, koniak i rachunek. Potem zwrócił się do Soni:

- Mam dla ciebie dobrą nowinę, trzymałem ją na koniec. Wydaje mi się, że znalazłem drugą Fawzi.

Sonia znieruchomiała i wbiła w niego płonący wzrok.

- Kim ona jest? - spytała cicho.

- Byłem wczoraj w sklepie u Aristopoulosa. Pracuje tam teraz jakaś jego siostrzenica.

- Ekspedientka!

- To prawdziwa piękność. Ma śliczną, niewinną twarz i figlarny uśmiech.

- Ile ma lat?

- Trudno powiedzieć. Chyba około dwudziestu. Ma takie dziewczęce ciało.

Sonia polizała wargi.

- I myślisz, że ona zechce...?

- Tak mi się wydaje. Umiera z chęci, żeby się wydostać od Aristopoulosa, i praktycznie biorąc, sama wymogła na mnie randkę.

- Kiedy?

- Biorę ją na kolację jutro wieczorem.

- Przeprowadzisz ją później do mnie?

- Może. Muszę ją wybadać. Jest taka nieskazitelna, że nie chcę wszystkiego zepsuć przez zbyt ni pośpiech.

- To znaczy, że chcesz ją mieć pierwszy.

- Jeśli to będzie konieczne.

- Myślisz, że jest dziewicą?

- Niewykluczone.

- Jeśli jest...

- To zachowam ją dla ciebie. Byłaś tak wspaniała z majorem Smithem, że należy ci się specjalna nagroda.

Wolff oparł się wygodnie, obserwując Sonię. Na jej twarzy odmalowało się seksualne pożądanie na myśl o możliwości zepsucia kogoś pięknego i niewinnego. Wolff pociągnął z kieliszka łyk koniaku. Przyjemne ciepło rozlało mu się w żołądku. Czuł się doskonale: był po smacznej, zakrapianej winem kolacji, jego misja toczyła się nadspodziewanie dobrze, a w perspektywie miał nową podniecającą przygodę miłosną.

Przyniesiono rachunek, za który zapłacił funtami.

Była to niewielka restauracyjka, ale mająca dobrą renomę. Prowadził ją Ibrahim wraz z bratem, który gotował. Nauczyli się tego fachu we francuskim hotelu w Tunezji, swoim rodzinnym kraju, a kiedy umarł ich ojciec, sprzedali stado owiec i przyjechali szukać szczęścia do Kairu. Filozofia Ibrahima była prosta: znali tylko kuchnię francusko-

arabską, toteż tylko takie dania oferowali. Mogliby zapewne przyciągnąć więcej klienteli, gdyby w menu wystawionym w oknie było spaghetti po bolońsku, rostbef albo pieczeń w cieście, ale tacy klienci by nie wracali, a poza tym Ibrahim miał swoją dumę narodową.

I jego sposób prowadzenia restauracji przyniósł mu sukces. Bracia dobrze sobie radzili i zarabiali więcej pieniędzy, niż ich ojciec kiedykolwiek widział na oczy. Wojna przyczyniła się jeszcze do zwiększenia obrotów. Ale dobrobyt nie uspił czujności Ibrahima.

Przed dwoma dniami pił kawę z przyjacielem, który był kasjerem w hotelu Metropolitan. Opowiedział mu on, jak to brytyjski skarbnik odmówił wymiany na pieniądze egipskie czterech funtów angielskich, którymi zapłacono w barze hotelowym. Stwierdził, że banknoty są fałszywe. A już szczytem niesprawiedliwości było to, że je skonfiskował.

Ibrahim powiedział sobie, że jemu to się nie zdarzy.

Prawie połowę jego klientów stanowili Brytyjczycy i wielu z nich płaciło w funtach. Odkąd usłyszał tę wiadomość, sprawdzał uważnie każdy banknot, zanim odłożył go do kasy. Przyjaciel z hotelu Metropolitan nauczył go jak to się robi.

Takie postępowanie było typowe dla Brytyjczyków. Zamiast ogłosić wszystko publicznie, żeby pomóc ludziom interesu uchronić się przed oszustwem, siedzieli sobie spokojnie i cicho, konfiskując jedynie fałszywe banknoty. Mieszkańcy Kairu byli przyzwyczajeni do tego rodzaju traktowania i trzymali się razem. Poczta pantoflowa działała bez zarzutu.

Kiedy Ibrahim dostał fałszywe funty od wysokiego Europejczyka siedzącego w towarzystwie słynnej tancerki brzucha, nie był pewien, jak powinien postąpić. Banknoty były nowiutkie i szeleszczące i wszystkie miały tę samą wadę. Ibrahim sprawdził je jeszcze raz porównując z prawdziwymi funtami z kasy: nie było żadnych wątpliwości. Może należałoby spokojnie wytłumaczyć klientowi zaistniałą sytuację? Ale gość może się obrazić albo udać obrażonego i wyjść nie płacąc. Jego rachunek był wysoki - zamówił najdroższe potrawy i importowane wino - toteż Ibrahim nie chciał ryzykować takiej straty.

Postanowił zadzwonić na policję. Oni nie pozwolą klientowi uciec i przekonają go, żeby zapłacił czekiem albo przynajmniej zostawił weksel.

Ale na którą policję? Policjanci egipscy będą zapewne twierdzić, że to nie ich sprawa, przyjadą najwcześniej po godzinie i na domiar zażądają łapówki. Klient był z pewnością Anglikiem - skąd miałyby funty? - i chyba oficerem, a sfalszowane pieniądze były angielskie. Ibrahim zdecydował się więc wezwać aliancką żandarmerię.

Podszedł do stolika z butelką koniaku. Uśmiechnął się mówiąc.

- Monsieur, madame, mam nadzieję, że kolacja państwu smakowała.

- Była doskonała - odpowiedział mężczyzna. Mówił jak brytyjski oficer. Teraz Ibrahim zwrócił się do kobiety:

- To dla mnie prawdziwy zaszczyt gościć największą tancerkę świata.

Sonia majestatycznie skinęła głową.

Ibrahim ciągnął:

- Czy państwo pozwolą w dowód przyjaźni i szacunku poczęstować się kieliszkiem koniaku?

- To bardzo uprzejmie z pana strony - odparł mężczyzna.

Ibrahim dolał im koniaku do kieliszków i wycofał się z ukłonem. To powinno jeszcze przez chwilę ich zatrzymać, pomyślał. Wyszedł tylnymi drzwiami i udał się do domu sąsiada, który miał telefon.

Gdybym miał restaurację, myślał Wolff, też wykonywałbym takie gesty. Zważywszy wysokość rachunku Wolffa, te dwa kieliszki koniaku niewiele właściciela kosztowały, sam zaś gest okazał się bardzo skuteczny - klient od razu czuł się pożądanym. Wolff niejednokrotnie bawił się myślą o otwarciu restauracji, ale była to jedynie czcza mrzonka. Wiedział, że wymaga to zbyt ciężkiej pracy.

Soni również przypadły do gustu te specjalne względy. Promieniała dosłownie pod połączonym wpływem pochlebstw i alkoholu. Dziś wieczór w łóżku będzie chrapała jak świnia.

Właściciel zniknął na kilka minut, po czym wrócił. Wolff kątem oka dostrzegł, że szepcze coś na ucho kelnerowi. Domyślił się, że rozmawiają o Soni. Poczł ukłucie zazdrości. Były takie lokale w Kairze, w których - z powodu jego dobrych manier i sutych napiwków znano go z nazwiska i witano po królewsku; uznał jednak, że lepiej nie chodzić do lokali, gdzie mogą go rozpoznać, przynajmniej dopóki polują na niego Anglicy. Teraz zaczął się zastanawiać, czy nie mógłby sobie pozwolić na osłabienie nieco bardziej własnej czujności.

Sonia ziewnęła. Czas ją położyć do łóżka. Wolff kiwnął na kelnera i powiedział:

- Proszę przynieść okrycie pani.

Mężczyzna wyszedł, zatrzymał się przy właścicielu, coś mruknął, następnie udał się do szatni.

Gdzieś w głowie Wolffa dźwięczał nikły i odległy sygnał ostrzegawczy.

Czekając na okrycie Soni, bawił się łyżeczką. Sonia zjadła kolejnego herbatnika. Właściciel przemierzył salę restauracji, dotarł do drzwi wejściowych, po czym zawrócił. Podeszedł do ich stolika i zapytał:

- Może zamówić państwu taksówkę?

Wolff spojrzał na Sonię.

- Jak uważasz - odparła.

- Chętnie odetchnę świeżym powietrzem - stwierdził Wolff. - Przejdźmy się trochę, potem złapiemy.

- Dobrze.

Wolff spojrzał na właściciela.

- Dziękuję za taksówkę.

- Bardzo proszę.

Kelner przyniósł okrycie Soni. Właściciel nie odrywał wzroku od drzwi. Wolff usłyszał kolejny sygnał ostrzegawczy, tym razem głośniejszy. Zwrócił się do właściciela:

- Czy coś się stało?

Mężczyzna miał zafasowaną minę.

- Muszę, niestety, poruszyć nader drażliwą kwestię.

Wolff zaczął się denerwować.

- No więc, o co chodzi? Chcemy już iść do domu.

Rozległ się hałas samochodu podjeżdżającego pod restaurację.

Wolff złapał właściciela za kłapy.

- Co tu się dzieje?

- Pieniądze, którymi pan zapłacił rachunek, nie są dobre.

- Nie przyjmujecie funtów? W takim razie dlaczego...

- Nie w tym rzecz, proszę pana. Pieniądze są fałszywe.

Drzwi restauracji otwarły się z łoskotem i wkroczyło trzech żandarmów.

Wolff gapił się na nich z rozdziawionymi ustami. Wszystko potoczyło się tak nagle, nie zdążył nawet złapać tchu... Żandarmeria, fałszywe pieniądze. Naraz obleciał go strach. Może trafić do więzienia. Ci kretyni z Berlina dali mu podrabiane banknoty. Co za głupota, chętnie złapałby Canarisa za gardło i zacisnął ręce...

Potrząsnął głową. Nie pora teraz na złość. Musi zachować spokój i jakoś się wywinąć z tej opresji...

Żandarmi podeszli do stolika. Dwóch Anglików i jeden Australijczyk. Mieli na sobie ciężkie buciory i żelazne hełmy, ponadto każdy nosił w kaburze przy pasie nieduży pistolet. Jeden z Anglików spytał:

- Czy to ten człowiek?

- Jedną chwileczkę - odparł Wolff, zaskoczony zrównoważonym i uprzejmym tonem swojego głosu. - Dopiero w tej chwili właściciel mnie poinformował, że pieniądze są fałszywe. Nie wierzę, ale jestem gotów załatwić to polubownie. Na pewno dojdziemy do porozumienia, które go usatysfakcjonuje. - Spojrzał na właściciela z wyrzutem. - Doprawdy nie warto było wzywać policji.

Starszy żandarm powiedział:

- Obracanie fałszywymi pieniędzmi to przestępstwo.

- Świadome - dodał Wolff. - Przestępstwem jest świadome obracanie fałszywymi pieniędzmi. - Kiedy słyszał własny głos, cichy i przekonujący, rosła jego ufność. - Oto moja propozycja. Mam przy sobie książeczkę czekową i trochę egipskich pieniędzy. Wypiszę czek na pokrycie rachunku, a egipskimi pieniędzmi zapłacę napiwek. Jutro zaniosę te rzekomo fałszywe banknoty na zbadanie do brytyjskiego skarbnika generalnego, i jeżeli istotnie są sfalszowane, to je tam zostawię. - Uśmiechnął się do otaczającego go grona mężczyzn. - Powinno to, jak sędzę, wszystkich usatysfakcjonować.

Właściciel odrzekł:

- Wolałbym, żeby zapłacił pan w całości gotówką.

Wolff miał go ochotę uderzyć w twarz.

Tu włączyła się Sonia.

- Mam chyba przy sobie dosyć egipskich pieniędzy.

Wolff odetchnął: chwala Bogu.

Sonia otworzyła torebkę.

Starszy żandarm powiedział:

- Mimo wszystko muszę pana prosić, żeby się pan ze mną udał.

Wolffowi znów się zrobiło słabo.

- Dlaczego?

- Musimy panu zadać kilka pytań.

- Rozumiem. Zatem proszę do mnie wpaść jutro z rana. Mieszkam...

- Będzie pan musiał teraz z nami pójść. Taki mam rozkaz.

- Kto go wydał?

- Zastępca komendanta żandarmerii.

- Doskonale - odparł Wolff. Czuł, jak strach pompuje mu w ramiona siłę desperata. - Tyle że jutro rano albo pan, albo komendant będziecie mieli poważne kłopoty.

Następnie poderwał stół i przewrócił go na żandarma.

W dwie sekundy zaplanował i obliczył ten ruch. Był to niewielki okrągły stolik z litego drewna. Krawędź rąbnęła żandarma w grzbiet nosa, a kiedy żandarm upadł, stolik go nakrył.

Stolik i żandarm znajdowali się po lewej od Wolffa. Po jego prawej stał właściciel. Sonia nadal siedziała naprzeciwko, pozostali dwaj żandarmi pilnowali jej z obu stron, nieco z tyłu.

Wolff chwycił właściciela i pchnął go na jednego z żandarmów. Następnie skoczył na drugiego, Australijczyka, i rąbnął go w szczękę. Miał nadzieję, że wyminie ich obu i ucieknie. Ale się nie udało. Żandarmów dobierano pod względem wzrostu, waleczności i brutalności, wykorzystywano ich do poskramiania żołnierzy zahartowanych życiem na pustyni i do unieszkodliwiania pijaków. Australijczyk przyjął cios, zatoczył się krok do tyłu, ale nie upadł. Wolff kopnął go w kolano i poprawił cios w szczękę; wtedy drugi żandarm, Anglik, odepchnął właściciela na bok i podciął Wolffowi nogi.

Wolff ciężko się osunął. Uderzył klatką piersiową i policzkiem o kafelkową podłogę. Twarz go piekła, na chwilę zwinął się w kłębek, zobaczył gwiazdy w oczach. Znów dostał kopniaka w bok; skręcił się konwulsyjnie z bólu i potoczył w drugą stronę, byle dalej od ciosu. Żandarm skoczył na niego, bijąc go po głowie. Wolff zaczął się szamotać, żeby strącić z siebie mężczyznę. Ktoś inny usiadł mu na stopach. I wtedy Wolff dojrzał nad sobą, za plecami angielskiego żandarma siedzącego mu na piersiach, twarz Soni wykrzywioną furją. Przemknęło mu przez głowę, że musi to przypominać Soni inne bicie wymierzone przez brytyjskich żołnierzy. Następnie zobaczył, że dziewczyna unosi wysoko do góry krzesło, na którym siedziała. Zauważył ją żandarm przygniatający Wolffa, odwrócił się, podniósł wzrok i poderwał rękę, żeby osłonić się przed ciosem. Sonia z całej siły spuściła ciężkie krzesło. Kant siedzenia rąbnął żandarma w usta, ten wydał okrzyk bólu i gniewu, kiedy krew trysnęła mu z wargi.

Australijczyk zerwał się ze stóp Wolffa, złapał Sonię od tyłu, wykręcił jej rękę. Wolff naprężył całe ciało, odrzucił rannego Anglika, stanął chwiejnie na nogi.

Sięgnął za pazuchę i wyciągnął nóż.

Australijczyk odepchnął Sonię na bok, postąpił krok naprzód, zobaczył nóż i stanął jak wryty. Przez chwilę obaj patrzyli sobie w oczy. Wolff ujrzał, że mężczyzna zezuje

najpierw w jedną, potem w drugą stronę, tam gdzie jego dwaj koledzy leżeli na podłodze. Ręka Australijczyka powędrowała do kabury.

Wolff obrócił się na pięcie i puścił pędem do drzwi. Jedno oko mu się przymykało, nie widział dobrze. Drzwi były zamknięte. Chciał złapać za klamkę, nie trafił. Omal nie zawył ze złości. Znalazł wreszcie klamkę, i z całym impetem otworzył drzwi na oścież. Walnęły z łoskotem w ścianę. Rozległ się huk strzału.

Vandam pędził przez miasto na motocyklu z ryzykowną prędkością. Zdarł zaciemnienie z reflektora - zresztą i tak nikt w Kairze nie traktował zaciemnienia poważnie - i jechał z kciukiem na klaksonie. Na ulicach nadal panował duży ruch - taksówki, konne gharri, ciężarówki wojskowe, osły, wielbłądy. Na chodnikach tłoczno, sklepy rozjarzone oświetleniem elektrycznym, lampami oliwnymi i świecami. Vandam lawirował brawurowo przez ten ścisk, ignorując wściekle trąbienie samochodów, uniesione pięści woźniców, gharri i gwizdek egipskiego policjanta.

Chwilę wcześniej zadzwonił do niego do domu zastępca komendanta żandarmerii.

- Vandam, czy to nie pan rozpętał tę aferę wokół trefnych pieniędzy? Bo właśnie dostaliśmy telefon z restauracji, w której jakiś Europejczyk usiłuje zapłacić...

- Gdzie?

Zastępca komendanta podał mu adres, Vandam wybiegł z domu.

Zaraz na rogu wpadł w poślizg, aż musiał szorować obcasem po piaszczystej drodze, żeby nie wylecieć z trasy. Przyszło mu do głowy, że skoro po mieście krąży tyle podrabianych banknotów, jakaś ich część musiała wpaść w ręce innych Europejczyków, toteż ów mężczyzna w restauracji może równie dobrze być niewinną ofiarą. Miał jednak nadzieję, że tak nie jest. Z całego serca pragnął dopaść Alexa Wolffa. Wolff go przechytrył i upokorzył, a teraz kiedy miał dostęp do tajemnic i bezpośrednią łączność z Rommlem, mógł doprowadzić do upadku Egiptu; ale to nie wszystko. Vandama zżerała ciekawość co do tego człowieka. Chciał go zobaczyć, dotknąć, stwierdzić, jak tamten się rusza, jak mówi. Czy jest mądry, czy tylko ma szczęście? odważny czy ryzykant? Zdeterminowany czy uparty? Czy ma atrakcyjną twarz i serdeczny uśmiech, czy oczy jak paciorki i przymilny grymas? Czy będzie walczył otwarcie, czy podejdzie ukradkiem? Vandam bardzo pragnął to wiedzieć. Ale nade wszystko pragnął go chwycić za gardło, zaciągnąć do więzienia, przykuć do ściany, zaryglować drzwi i wyrzucić klucz.

Szarpnął w bok, żeby wyminąć studzienkę uliczną, po czym otworzył przepustnicę i z rykiem silnika pomknął cichą uliczką. Lokal znajdował się nieco poza centrum, w kierunku Starego Miasta. Vandam znał tę ulicę, ale nie kojarzył restauracji. Skręcił jeszcze

dwa razy i omal nie przejechał staruszka jadącego na ośle obok żony drepczącej tuż za nim. Znalazł ulicę, której szukał.

Była wąska i ciemna, po obu stronach wysokie budynki. Na dole witryny sklepowe i bramy domów. Vandam zahamował przy dwóch chłopaczkach bawiących się w rynsztoku, rzucił nazwę restauracji. Wskazali dość nieprecyzyjnie w głąb ulicy.

Ruszył przed siebie, zwalniając za każdym razem, gdy zauważył oświetlone okno. Był już w połowie ulicy, kiedy usłyszał bum! z niewielkiego pistoletu, nieco przytłumione, i brzęk tłuczonego szkła. Odwrócił głowę w kierunku źródła hałasu. Światło z rozbitego okna błyskało w odłamkach spadającego szkła. Vandam zobaczył, jak z drzwi wybiega na ulicę wysoki mężczyzna.

To musiał być Wolff.

Biegł w przeciwnym kierunku.

Vandam poczuł w sobie dziką zawziętość. Dodał gazu i z rykiem silnika ruszył za uciekinierem. Kiedy mijał restaurację, wybiegł z niej żandarm i oddał trzy strzały. Zbieg nie zwolnił kroku.

Vandam złapał go w światło reflektora. Mężczyzna biegł szybko, miarowo, ręce i nogi pracowały rytmicznie. Kiedy dosięgło go światło, obejrzał się przez ramię, nie zwalniając tempa, a wtedy Vandam dojrzał orli nos, silny podbródek, wąsy nad otwartymi, dyszącymi ustami.

Mógł go zastrzelić, ale oficerowie z Kwatery Głównej nie nosili przy sobie broni.

Motocykl zwiększył prędkość. Kiedy się już prawie zrównali, Wolff raptem skręcił za róg. Vandam nacisnął hamulec, tylne koło wpadło w poślizg, musiał przechylić się z motocyklem w drugą stronę, żeby utrzymać równowagę. Staął, poderwał maszynę do góry i znów puścił się naprzód.

Zobaczył, że plecy Wolffa giną w wąskim zaułku. Nie zmniejszając prędkości Vandam skręcił za róg i wjechał w zaułek. Motocykl wystrzelił w pustą przestrzeń. Vandamowi aż serce podskoczyło do gardła. Biały stożek światła reflektora oświetlał próżnię. Wydało mu się, że leci w przepaść. Mimowolnie wydarł mu się krzyk strachu. Tylne koło w coś rąbnęło. Przednie leciało w dół, w dół, po czym też w coś uderzyło. Reflektor ukazał kilka schodków. Motocykl podskoczył i znów wylądował na ziemi. Vandam walczył rozpaczliwie, żeby utrzymać prosto przednie koło. Motocykl pokonał schody w podskokach, aż kierowcy szło mrowie po krzyżu. Przy każdym takim podrywie Vandam już był pewien, że straci kontrolę i się rozbije. U dołu schodów zobaczył Wolffa, który nie przestawał biec.

Kiedy Vandam dotarł do końca schodów, uznał, że szczęście mu dopisuje. Widział, jak Wolff znów skręca za róg, pomknął za nim. Znajdowali się w labiryncie zaułków. Wolff wbiegł na krótką kondygnację schodów.

Vandam pomyślał: o Chryste, nie!

Ale nie miał wyjścia. Dodał gazu i ruszył prosto na schody. Tu przed najniższym stopniem poderwał z całej siły kierownicę. Przednie koło się uniosło. Motocykl uderzył w schody, stanął dęba jak dzikie zwierzę i usiłował go zrzucić. Kierowca trzymał się mocno. Motocykl wykonywał szaleńcze podskoki. Vandam go okiełznał. Dotarł do szczytu.

Znalazł się w długim pasażu, z obu stron wysokie, ślepe mury. Wolff nadal przed nim, nadal biegł. Vandam pomyślał, że może go dogoni, zanim ten dotrze do końca pasażu. Ruszył naprzód.

Wolff obejrzał się przez ramię, biegł dalej, znów się obejrzał. Vandam widział, że tamtemu słabnie tempo. Nie miał już tak miarowego i rytmicznego kroku. Machał rękami na boki, biegł nierówno. Ścigającemu mignęła twarz Wolffa, napięta od wysiłku.

Wolff gwałtownie przyspieszył, ale i to nie wystarczyło. Vandam się z nim zrównał, wyprzedził go, po czym raptownie zahamował i skręcił kierownicę. Tylne koło zarzuciło, przednie uderzyło w mur. Vandam zeskoczył, kiedy motocykl leciał na ziemię. Spadł na nogi na wprost Wolffa. Rozbity reflektor rzucał promień światła na ciemności w pasażu. Wolff nie miał co zawracać i biec w przeciwnym kierunku, bo Vandam miał świeże siły i bez trudu by go dogonił. Nie zwalniając kroku Wolff przeskoczył motocykl - jego ciało błysnęło tylko w słupie z reflektora niczym nóż przecinający płomień - i spadł na Vandama. Vandam, wciąż jeszcze chwiejąc się na nogach, zatoczył się do tyłu i upadł. Wolff słaniając się postąpił krok naprzód. Vandam wyciągnął po omacku rękę, trafił na kostkę Wolffa, złapał i pociągnął. Wolff padł jak długi na ziemię.

Roztrzaskany reflektor rzucał nieco światła na resztę zaułka. Silnik zgasł, w tej ciszy Vandam słyszał urywany i chrapliwy oddech Wolffa. Czuł też jego zapach - zapach alkoholu, potu i strachu. Nie widział natomiast twarzy.

Przez ułamek sekundy obaj leżeli na ziemi, jeden wyczerpany, drugi chwilowo oszołomiony. Po czym obaj zerwali się na równe nogi. Vandam skoczył na Wolffa, zwarli się w uścisku.

Wolff był silny. Vandam usiłował wykręcić mu ręce, ale nie potrafił go utrzymać. Naraz puścił i zadał cios. Ręka uderzyła w coś miękkiego, Wolff stęknął: - Auu! - Vandam zamachnął się jeszcze raz, tym razem mierząc w twarz, Wolff jednak zrobił unik, toteż pięść trafiła w próżnię. Nagle w tym nikłym świetle coś błysnęło w ręku Wolffa.

Nóż, pomyślał Vandam.

Ostrze błysnęło tuż przy jego szyi. W porę się uchylił. Piekący ból przeszył mu policzek. Złapał się ręką za twarz. Poczul, jak tryska gorąca krew. Naraz ból stał się nie do zniesienia. Przycisnął ranę i trafił palcami na coś twardego. Zrozumiał, że to jego własne zęby, że nóż rozharatał mu policzek na wylot. Następnie poczul, że pada, usłyszał kroki uciekającego Wolffa i wszystko zasnęła czerń.

Wolff wyjął z kieszeni spodni chustkę do nosa i wytarł ostrze z krwi. Obejrzał nóż w nikłym świetle, jeszcze raz przetarł. Szedł przed siebie pucując zapamiętałe cienką stal. Przystanął i zastanowił się: co też ja robię? Przecież już jest czysty. Wyrzucił chustkę, schował nóż do pochwy pod pachą. Wyszedł z zaułka na ulicę, zorientował się, gdzie jest, i ruszył na Stare Miasto.

Wyobraził sobie celę więzienną. Miała dwa metry na półtora, połowę zajmowała prycza. Pod pryczą stał blaszany nocnik. Ściany z gładkiego szarego kamienia. Z sufitu zwisała na sznurze niewielka żarówka. W jednym końcu celi znajdowały się drzwi. W drugim, tuż nad linią wzroku, małe kwadratowe okno - widział przez nie jasny błękit nieba. Wyobraził sobie, że obudził się rano i zobaczył to wszystko pamiętając, że spędził tu już rok, a czeka go jeszcze dziewięć takich lat. Skorzystał z nocnika, po czym umył ręce w miednicy w kącie. Mydła nie było. Przez okienko w drzwiach wsunięto miskę zimnej owsianki. Wziął łyżkę, nabrał jedzenia do ust, ale nie mógł przełknąć, bo gardło ścisnął mu płacz.

Potrząsnął głową, żeby rozwiać te koszmarnie wizje. Pomyślał sobie: przecież udało mi się wymknąć. Udało się. Spostrzegł, że niektórzy przechodnie mijając go gapią się. W witrynie sklepowej zobaczył lustro, przejrzał się. Włosy miał zmierzwiłone, twarz z jednej strony posiniaczoną i opuchniętą, rękaw podarty, a na kołnierzyku krew. Nadal dyszał z wysiłku włożonego w ucieczkę i walkę. Stwierdził, że ma groźny wygląd. Ruszył dalej, skręcił na następnym rogu, wybierając określną drogę, żeby unikać głównych ulic.

Ci kretyni z Berlina dali mu podrabiane banknoty! Nic dziwnego, że sypali nimi tak hojnie - bo sami je drukowali. Było to tak głupie, że Wolff jął się zastanawiać, czy przypadkiem nie kryje się w tym coś więcej niż tylko głupota. Abwehra pozostawała pod rządami wojskowymi, a nie partii nazistowskiej; jej szef, Canaris, bynajmniej nie był najzagorzalszym zwolennikiem Hitlera.

Po powrocie do Berlina urzędzę im taką czystkę...

Jak doszło do jego wykrycia tu, w Kairze? Wydawał pieniądze rozrzutnie. Podrabiane banknoty poszły w obieg. Banki wykryły te fałszywki - nie, nie banki, skarbnik generalny. Tak czy owak, ktoś odmówił przyjęcia tych pieniędzy, wieść rozeszła się po Kairze. Właściciel restauracji się zorientował, że pieniądze Wolffa są nie takie, jak trzeba, i wezwał żandarmów. Wolff uśmiechnął się krzywo do siebie na wspomnienie własnej próżności, kiedy właściciel pochlebił mu kieliszkiem koniaku na koszt firmy - to był tylko podstęp, żeby go zatrzymać do czasu przybycia żandarmów.

Pomyślał o człowieku na motocyklu. Co za zdeterminowany drań, żeby tak szaleć na motorze po tych zaułkach, po tych schodach. Wolff się domyślił, że tamten nie miał broni; w przeciwnym razie na pewno by jej użył. Nie miał też blaszanego hełmu, czyli to pewno nie żandarm. Może ktoś z wywiadu? Chociażby sam major Vandam?

Wolff miał taką nadzieję.

Ciachnąłem go, pomyślał. I to najprawdopodobniej nieźle. Ciekawe gdzie? Po twarzy?

Mam nadzieję, że to był Vandam.

Skierował myśli na własne położenie. Tamci mieli Sonię. Powie im, że właściwie nie zna Wolffa - wymyśli jakąś bajeczkę, że poderwał ją w klubie "Cha-Cha". Długo nie będą mogli jej przetrzymywać, bo to przecież słynna gwiazda, niemal bohaterka dla Egipcjan, jej uwięzienie może wywołać nie lada rwetes. Prędko ją więc puszcza. Będzie jednak musiała dać im swój adres; czyli Wolff nie może wracać na Łódź, w każdym razie nie teraz. On zaś jest zmordowany, potłuczony i w nieładzie. Musi się ogarnąć i gdzieś odpocząć choćby kilka godzin.

Nasunęła mu się taka myśl: już to znam - to błąkanie się po mieście, zmęczony, umykający pościgowi, nie mając dokąd pójść.

Tym razem musi się wesprzeć na Abdullahu.

Od początku skierował kroki na Stare Miasto powodowany tą niejasną myślą, że został mu tylko Abdullah; znajdował się teraz o kilka kroków od domu tego starego złodzieja. Wszedł pod arkadę, minął krótką, ciemną sień i pokonał kamienne, spiralne schody prowadzące do mieszkania Abdullaha.

Abdullah siedział na podłodze z drugim mężczyzną. Między nimi stały nargile, w powietrzu unosił się ziołowy zapach haszyszu. Abdullah podniósł wzrok na Wolffa i posłał mu spokojny, senny uśmiech. Przemówił po arabsku.

- To mój przyjaciel Achmed, zwany również Alexem. Witaj, Achmedzie-Alexie.

Wolff usiadł obok nich na podłodze i przywitał się po arabsku.

Abdullah rzekł:

- Mój brat, Jasef, chciałby ci zadać zagadkę, coś, co już od kilku godzin nurtowało nas obu, odkąd zaczęliśmy pykać z tych lulek. A skoro już o tym mowa...

Podsunał mu fajkę, Wolff się zaciągnął.

- Achmedzie-Alexie, przyjacielu mojego brata, witaj - pozdrowił go Jasef. - Powiedz mi jedno. Dlaczego Anglicy mówią na nas: ci "gorsi"?

Jasef i Abdullah prychnęli śmiechem. Wolff zdał sobie sprawę, że są pod sporym wpływem haszyszu, pewno już tak palą cały wieczór. Znów pociągnął z fajki, podał ją Jasefowi. Mocne jak diabli. Abdullah zawsze miał najlepszy gatunek. Wolff odpowiedział:

- Tak się składa, że znam odpowiedź. Egipcjanie pracujący przy budowie Kanału Sueskiego dostali specjalne koszulki dla oznaczenia, że mają prawo przebywać na terenie brytyjskim. Ponieważ była to Grupa Orientalnych Robotników Służba Imperium, na plecach widniały drukowane litery: G O R S I.

Jasef i Abdullah znów się zanieśli śmiechem. Abdullah skomentował:

- Mój przyjaciel Achmed-Alex jest bardzo sprytny. Prawie tak sprytny jak Arab, bo też i prawie jest Arabem. To jedyny Europejczyk, który wywiódł mnie, Abdullaha, w pole.

- Jestem skłonny nie przyznać ci racji - rzekł Wolff podchwytyjąc ich podniosły za sprawą narkotyku ton. - Nigdy bym się nie ważył przechytrzyć swojego przyjaciela Abdullaha, któż bowiem zdoła oszukać diabła?

Jasef uśmiechnął się i pokiwał głową z uznaniem dla jego dowcipu.

Abdullah natomiast powiedział:

- Słuchaj, mój bracie, to ci opowiem. - Zmarszczył czoło zbierając znarkotyzowane myśli. - Achmed-Alex mnie prosił, żebym coś dla niego ukradł. W ten sposób ja miałbym ponieść ryzyko, on zaś otrzymać nagrodę. Nie przechytrzył mnie jednak tak prosto. Ukradłem ten przedmiot, a była to teczka, no, i naturalnie, miałem zamiar zachować dla siebie zawartość, bo przecież na mocy wyroków Bożych każdy złodziej ma prawo do zysków z własnego przestępstwa. A zatem powinienem go być przechytrzyć, prawda?

- W rzeczy samej - przyznał Jasef. - Chociaż nie przypominam sobie ustępu w Świętej Księdze, który by powiadał, że złodziej ma prawo do zysków z własnego przestępstwa. Jakkolwiek...

- Może i takowego nie ma - zgodził się Abdullah. - O czym to ja mówiłem?

Wolff, który wciąż był o tyle, o ile compos mentis, dorzucił:

- Miałeś okazję mnie przechytrzyć, bo sam otworzyłeś teczkę.

- Owszem! Ale poczekaj. W teczce nie było nic wartościowego, zatem Achmed-Alex mnie przechytrzył. Ale poczekaj! Kazałem sobie zapłacić za tę usługę, a więc dostałem sto funtów, on zaś nie dostał nic.

Jasef zmarszczył czoło.

- Czyli wywiódłeś go w pole.

- Nie - potrząsnął smętnie głową Abdullah. - Zapłacił mi sfalszowanymi banknotami.

Jaśef spojrział na Abdullaha. Abdullah odwzajemnił spojrzenie. Obaj parsknęli śmiechem. Poklepywali się nawzajem po plecach, tupali o podłogę i turlali się po poduszkach, zaśmiewając się do łez.

Wolff zdobył się na uśmiech. Ot, zabawna historyjka, w sam raz dla Araba zajmującego się interesami, bo zawierała tyle przeniewierstw. Abdullah będzie ją opowiadał latami. Wolffa jednak przeszedł mróz po kościach. Zatem i Abdullah wiedział o podrabianych banknotach. Ilu innych wiedziało? Wolff poczuł się, jak gdyby sfora psów gończych otoczyła go kołem, gdziekolwiek się więc ruszył, natykał się na jednego z nich, a koło z dnia na dzień się zacieśniało.

Abdullah jakby dopiero teraz dostrzegł wygląd Wolffa. Natychmiast bardzo się zafrasował.

- Co ci się stało? Obrabowano cię?

Podniósł srebrny dzwoneczek i zadzwonił. Niemal w tej samej chwili z sąsiedniego pokoju weszła zaspana kobieta.

- Daj tu gorącej wody - polecił jej Abdullah. - Obmyj rany mojego przyjaciela. Daj mu moją europejską koszulę. Przynies grzebień. Przynies kawę. Migiem!

W europejskim domu Wolff wyraziłby sprzeciw, że po północy budzi się kobietę, żeby się nim zajęła. Tutaj jednak taki sprzeciw urągałby dobrym obyczajom. Kobiety istniały po to, żeby służyć mężczyznom, toteż wcale ich nie dziwiły ani nie oburzały apodyktyczne polecenia Abdullaha.

- Anglicy próbowali mnie aresztować - wyjaśnił Wolff - musiałem więc z nimi walczyć, zanim zdołałem uciec. Niestety, podejrzewam, że teraz już wiedzą, gdzie mieszkam, i tu się zaczyna mój kłopot.

- Ach tak.

Abdullah pociągnął z nargili, znów je puścił w koło. Wolff zaczął odczuwać skutki haszyszu - rozluźnił się, myślał wolno, ogarnęła go senność. Czas zwolnił tempo. Wokół Wolffa krzątały się dwie z żon Abdullaha, obmywały mu twarz i czesały włosy. Te zabiegi bardzo mu były miłe.

Abdullah jakby się na chwilę zdrzemnął, po czym otworzył oczy i powiedział:

- Musisz tu zostać. Mój dom jest twoim domem. Ukryję cię przed Anglikami.

- Prawdziwy z ciebie przyjaciel - odparł Wolff. Jakie to dziwne, pomyślał. Przedtem miał zamiar zaproponować Abdullahowi pieniądze za ukrycie go. Abdullah jednak wyjawiał, że wie o fałszywych banknotach, toteż Wolff zachodził w głowę, co by tu począć. A teraz Abdullah chce go ukryć za darmo. Prawdziwy przyjaciel. Tyle że Abdullah nie był

prawdziwym przyjacielem. W jego świecie nie było przyjaciół - była rodzina, dla której zrobiłby wszystko, i cała reszta, dla której nie zrobiłby nic. Czym sobie zasłużyłem na takie specjalne traktowanie? - zastanowił się sennie Wolff.

Znów odezwał mu się w głowie sygnał ostrzegawczy. Wolff zmusił się do myślenia, co po haszyszu wcale nie było takie łatwe. Posuwaj się krok po kroku, pomyślał. Abdullah mnie zaprasza, żebym został. Dlaczego? Bo jestem w opałach. Bo jestem jego przyjacielem. Bo go przechytryłem.

Bo go przechytryłem. Historia na tym się nie kończy. Abdullah zechce do niej dodać jeszcze jedno przemieszanie. Jak? Wydając Wolffa w ręce Anglików. Właśnie. Gdy tylko Wolffa zmorzy sen, Abdullah pošle wiadomość do majora Vandama. Zgarną Wolffa. Anglicy zapłacą Abdullahowi za donos i wreszcie cała historia obróci się na korzyść Abdullaha.

Niech to cholera.

Jedna z żon przyniosła białą europejską koszulę. Wolff wstał, zdjął swoją, podartą i zakrwawioną. Żona odwróciła wzrok od jego obnażonego torsu.

- Teraz nie jest mu jeszcze potrzebna - odezwał się Abdullah. - Dasz mu ją rano.

Wolff wziął koszulę z rąk kobiety i włożył na siebie.

- Może to dla ciebie zbyt uwłaczające - spytał Abdullah - spać w domu Araba, przyjacielu Achmedzie?

- Anglicy mają takie przysłowie - odparł Wolff. - Kto zasiada do kolacji z diabłem, musi przynieść długą łyżkę.

Abdullah uśmiechnął się odsłaniając metalowy ząb. Wiedział, że Wolff przejrzał jego plan.

- Prawie jak Arab - skomentował.

- Żegnajcie, przyjaciele - rzekł Wolff.

- Do następnego razu - odparł Abdullah.

Wolff wyszedł w zimną noc rozważając, dokąd by się tu udać.

W szpitalu pielęgniarka zamroziła połowę twarzy Vandama miejscowym środkiem znieczulającym, potem doktor Abuthnot zeszyła mu policzek swoimi długimi, czułymi, klinicznymi dłońmi. Następnie założyła opatrunek i umocniła go długim bandażem obwiązany wokół głowy.

- Pewno wyglądam jak komiksowa postać z bólem zęba - oświadczył.

Spojrzała na niego surowym wzrokiem. Nie miała zbyt wielkiego poczucia humoru.

- Nie będziesz taki w skowronkach, kiedy minie działanie środka znieczulającego. Twarz będzie bardzo bolała. Dam ci proszek przeciwbólowy.

- Nie, dziękuję - odparł Vandam.

- Nie strugaj bohatera, majorze - przestrzegła. - Jeszcze pożałujesz.

Popatrzył na nią, w białym kitlu szpitalnym, w praktycznych butach na płaskim obcasie, i zastanowił się, jak mogła mu się choćby przez chwilę wydać pociągająca. Była dość miła, nawet ładna, ale przy tym taka zimna, władcza i antyseptyczna. Zupełnie nie jak...

Nie jak Elene.

- Lek przeciwbólowy ukołysz mnie do snu - powiedział.

- I świetnie - odparła. - Jeżeli zaśniesz, to szwy przynajmniej przez kilka godzin pozostaną nie naruszone.

- Chciałbym, ale mam ważną pracę, która nie może czekać.

- Nie możesz pracować. Nie powinieneś teraz być na nogach. I jak najmniej mówić. Osłabił cię upływ krwi, a taka rana to uraz zarówno psychiczny, jak i fizyczny. Po kilku godzinach przyjdzie nawrót. Będzie się kręciło w głowie, wystąpią mdłości, poczucie zmęczenia i skołowania.

- Będzie jeszcze gorzej, jeżeli Niemcy zajmą Kair - odparował.

Wstał. Doktor Abuthnot miała zagniewaną minę. Vandam pomyślał, jak trafnie wybrała zawód, który pozwala jej pouczać innych, co mają robić. Nie radziła sobie z jawnym nieposłuszeństwem.

- Głupi z ciebie chłopak - rzuciła.

- Z całą pewnością. Czy mogę jeść?

- Nie. Bierz glukozę rozpuszczoną w ciepłej wodzie.

Już prędzej w ciepłym dżinnie, pomyślał. Ucisnął jej rękę. Była zimna i sucha.

Jakes czekał w samochodzie przed szpitalem.

- Wiedziałem, że długo tam pana nie dadzą rady zatrzymać. Odwieźć pana do domu?

- Nie. - Zegarek Vandama stanął już wcześniej. - Która godzina?

- Pięć po drugiej.

- Zakładam, że pan Wolff nie jadł kolacji sam.

- Nie, panie majorze. Osoba towarzysząca znajduje się w areszcie w Kwaterze Głównej.

- Zawieź mnie tam.

- Jeżeli pan jest pewien...

- Owszem.

Samochód ruszył. Vandam spytał:

- Zawiadomiłeś dowództwo?

- O wydarzeniach dzisiejszego wieczoru? Nie, panie majorze.

- Świetnie. Jutro najzupełniej wystarczy. - Vandam nie dopowiedział tego, co wiedzieli obaj; mianowicie, że wydział, już i tak w niełasce za to, iż Wolff zdobył dostęp do informacji, teraz zhańbi się do reszty tym, iż ten człowiek wymknął im się z rąk. - Zakładam, że osoba towarzysząca Wolffowi to kobieta.

- W całej pełni, jeśli tak wolno rzec, panie majorze. Smakowity kąsek. Ma na imię Sonia.

- Tancerka?

- Zgadł pan.

Jechali dalej w milczeniu. Niezły chojrak z tego Wolffa, pomyślał Vandam, skoro w przerwach między wykradaniem brytyjskich tajemnic wojskowych prowadzi się z najbardziej znaną tancerką brzucha w całym Egipcie. Może teraz trochę mu przeszło to chojractwo. Sprawa przybrała poniekąd niefortunny obrót - ostrzeżony tym zdarzeniem, że Anglicy są na jego tropie, odtąd będzie się miał bardziej na baczności. Nie wolno takich płoszyć, trzeba ich od razu łapać.

Podjechali pod Kwaterę Główną, wysiedli z samochodu.

- Jak się z nią obchodzono od przyjazdu tutaj? - spytał Vandam.

- Właściwie to nijak - odparł Jakes. - Naga cela, bez jedzenia, bez picia, bez pytań.

- Doskonale.

Mimo wszystko szkoda, że dano jej czas na zebranie myśli. Vandam wiedział z przesłuchań jeńców wojennych, że najlepsze rezultaty osiąga się natychmiast po pojmaniu, kiedy więzień jeszcze się boi, że zginie. Później, kiedy się go przewiozło tu i tam, dało coś do jedzenia i do picia, zaczynał się uważać bardziej za więźnia niż za żołnierza, przypominał sobie o nowych prawach i obowiązkach; dochodził wtedy do wniosku, że lepiej trzymać język za zębami. Vandam powinien był przesłuchać Sonię tuż po bójce w restauracji. Skoro to nie wyszło, dobrze się stało, że trzymano ją w odosobnieniu i nie podano żadnych informacji do czasu jego przyjazdu.

Jakes poprowadził go korytarzem do sali przesłuchań. Vandam zajrzał przez judasza. Był to kwadratowy pokój, bez okien, jasno oświetlony elektrycznym światłem. Stał tam stół, dwa krzesła, popielniczka. Z boku kabina bez drzwi z klozetem.

Sonia siedziała na jednym z krzeseł na wprost drzwi. Jakes miał rację, pomyślał Vandam, to smakowity kąsek. Aczkolwiek wcale nie była piękna. Przypominała raczej Amazonkę, z tym swoim dojrzałym, zmysłowym ciałem i wyraźnymi, proporcjonalnymi rysami. Młode kobiety w Egipcie miały z reguły smukły, długonogi wdzięk niczym zwinne młode łanie. Sonia natomiast przypominała... Vandam zmarszczył brwi, pomyślał: tygrysięcę. Miała na sobie długą jaskrawożółtą suknię, trochę zanadto krzykliwą jak na gust Vandama, ale bardzo w stylu klubu "Cha-Cha". Przez chwilę ją obserwował. Siedziała dość spokojnie, nie wierciła się, nie rzucała nerwowych spojrzeń po celi, nie paliła ani nie gryzła paznokci. Twardy orzech do zgryzienia, orzekł. Zaraz jednak wyraz tej atrakcyjnej twarzy się zmienił, dziewczyna wstała i zaczęła chodzić po pokoju, na co Vandam pomyślał: może nie taki twardy.

Otworzył drzwi, wszedł do środka.

Bez słowa usiadł przy stole. Dziewczyna została w pozycji stojącej, co psychologicznie rzecz biorąc stanowiło dla kobiety ujmę. Punkt dla mnie, pomyślał. Usłyszał, że Jakes wchodzi za nim i zamyka drzwi. Podniósł wzrok na Sonię.

- Proszę siadać.

Stała wpatrując się w niego, z wolna nikły uśmiech wykwitł jej na twarzy. Wskazała jego bandażę.

- To on tak pana urządził? - spytała.

Drugi punkt dla niej.

- Proszę siadać.

- Dziękuję. - Usiadła.

- Jaki "on"?

- Alex Wolff, mężczyzna, którego pan dziś wieczór usiłował pobić.

- A kto to jest Alex Wolff?

- Zamożny bywalec klubu "Cha-Cha".

- Od jak dawna go pani zna?

Spojrzała na zegarek.

- Od pięciu godzin.

- Co panią z nim łączy?

Wzruszyła ramionami.

- Wspólna kolacja.

- Jak się poznaliście?

- Jak zwykle. Po moim występie kelner przyniósł wiadomość, że stolik pana Wolffa jest do mojej dyspozycji.

- Który?

- Który stolik?

- Który kelner.

- Nie pamiętam.

- Proszę mówić dalej.

- Pan Wolff postawił mi szampana i zaprosił na kolację. Zgodziłam się. Poszliśmy do restauracji, resztę pan zna.

- Czy zwykle po swoim występie przysiada się pani do stolików gości?

- Taki jest zwyczaj.

- Czy zwykle chodzi pani z nimi na kolację?

- Czasami.

- Dlaczego tym razem przyjęła pani zaproszenie?

- Pan Wolff wydał mi się nietuzinkowym mężczyzną. - Znow spojrzała na bandaż Vandama i uśmiechnęła się. - I okazał się nietuzinkowym mężczyzną.

- Jak się pani nazywa?

- Sonia el-Aram.

- Adres?

- "Dżihan", Zamalek. To łódź mieszkalna.

- Wiek?

- Co za nieuprzejmość.

- Wiek?

- Odmawiam odpowiedzi.

- Stoi pani na śliskim gruncie...

- Nie, to pan stoi na śliskim gruncie. - Naraz zaskoczyła Vandama obnażając swoje uczucia. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że od początku tłumiała wściekłość. Pokiwała mu palcem przed nosem. - Przynajmniej dziesięć osób widziało, jak pańskie zbiry w mundurach aresztowały mnie w restauracji. Jutro po południu pół Kairu się dowie, że Anglicy wtrącili Sonię do więzienia. Jeżeli jutro wieczorem nie pokażę się w klubie "Cha-Cha", wybuchną zamieszki. Moi rodacy podpalą miasto. Będzie pan musiał ściągać oddziały z pustyni, żeby temu zaradzić. A jeżeli stąd wyjdę choćby z jednym siniakiem czy draśnięciem, pokażę to jutro na scenie całemu światu, i tak samo się to skończy. Nie, mój panie, to nie ja stoję na śliskim gruncie.

Przez całą tę tyradę Vandam przyglądał się kobiecie tępych wzrokiem, po czym przemówił, jak gdyby nic specjalnego nie powiedziała. Musiał zlekceważyć jej słowa, bo miała rację, nie mógł więc zaprzeczyć.

- Powtórzmy wszystko jeszcze raz - zaproponował łagodnym głosem. - Powiada pani, że spotkała Wolffa w klubie "Cha-Cha"...

- Nie - przerwała. - Niczego nie będę powtarzać. Mogę pójść panu na rękę, odpowiem na pańskie pytania, ale nie dam się przesłuchiwać.

Wstała, przekreśliła krzesło i usiadła tyłem do Vandama.

Vandam przez chwilę patrzył na tył jej głowy. Wyraźnie go wymanewrowała, i to bardzo sprytnie. Zły był na siebie, że do tego dopuścił, ale przez tę złość przebijała domieszka podziwu za sposób, w jaki tego dokonała. Zerwał się z krzesła i wyszedł z pokoju. Jakes za nim.

Już na korytarzu Jakes spytał:

- I co pan o tym sądzi?

- Musimy ją wypuścić.

Jakes poszedł wydać polecenia. Vandam czekając myślał o Soni. Zastanawiał się, skąd czerpie siłę na taki odpór. Czy mówiła prawdę, czy też nie, powinna była okazać strach, zmieszanie, panikę, a wreszcie uległość. Wprawdzie sama sława dawała jej pewną ochronę, ale rzucając mu swoją sławę w twarz, powinna się odgrażać, wahać, trochę też rozpaczliwie miotać, bo izolotka zwykle wszystkim napędza strachu zwłaszcza takim znakomitościom, albowiem nagłe wyrwanie ze znajomego świata splendoru każe im się zastanowić nawet bardziej niż zwykle, czy ten znajomy świat splendoru istnieje naprawdę.

Co jej dawało siłę? Odtworzył w myślach tok rozmowy. Postawiła się przy pytaniu o wiek. Z pewnością talent pozwalał jej się nie przejmować wiekiem, w którym przeciętne tancerki odchodzą w stan spoczynku, może więc żyła w strachu przemijających lat. Nie, nie tędy droga. Poza tym przez cały czas była opanowana, bez wyrazu, nieprzenikniona, wyjąwszy ten jeden uśmiech na widok jego rany. Dopiero pod koniec pozwoliła sobie na wybuch, ale nawet wtedy wykorzystwała swoją wściekłość, nie dała jej się ponieść. Przywołał twarz Soni, kiedy rzuciła się na niego z gniewem. Co w niej zobaczył? Nie tylko złość. Ani nie strach.

I wtedy pojął. Nienawiść.

Nienawidziła go. Ale przecież był dla niej nikim, jedynie brytyjskim oficerem. Nienawidziła zatem Anglików. I właśnie owa nienawiść dała jej tę siłę.

Naraz Vandama ogarnęło znużenie. Usiadł ciężko na ławce w korytarzu. A skąd on miał czerpać siłę? Łatwo być silnym, kiedy człowiek jest w obłądnie, w nienawiści zaś Soni wyczuwało się tę odrobinę szaleństwa. On nie ma takich zasobów. Spokojnie, racjonalnie rozważył, jaka stawka wchodzi tu w grę. Wyobraził sobie, że faszyci wchodzą do Kairu; Gestapo na ulicach; egipscy Żydzi zapędzeni do obozów koncentracyjnych; w radiu propaganda hitlerowska...

Ludzie pokroju Soni patrzyli na Egipt pod rządami Anglików i czuli się, jak gdyby hitlerowcy już weszli. Co nie było prawdą, ale jeżeli potrafiło się przez chwilę spojrzeć na Anglików oczyma Soni, miało to w sobie pewne prawdopodobieństwo. Faszyci twierdzili, że Żydzi to nie ludzie, z kolei Anglicy twierdzili, że kolorowi są jak dzieci; w Niemczech nie było wolnej prasy, ale nie było jej też w Egipcie; no i Anglicy, podobnie jak Niemcy, mieli policję polityczną. Przed wojną Vandam miał okazję słyszeć, jak w kasynie oficerskim wyrażano się ciepło o polityce Hitlera - nie lubiano go nie tyle za to, że był faszystą, ile za to, że był kapralem w wojsku i malarzem pokojowym w życiu osobistym. Wszędzie trafiali się prostytutki, czasem nawet dochodzili do władzy, i wtedy trzeba ich było zwalczać.

Była to filozofia znacznie bardziej racjonalna od myślenia Soni, tyle że prowadziła donikąd.

Działanie środka znieczulającego powoli ustępowało. Czuł ostrą, wyraźną linię bólu przeszywającego policzek niczym świeże oparzenie. Uprzytomnił sobie, że boli go też głowa. Miał nadzieję, że Jakes zabawi wystarczająco długo przy załatwianiu zwolnienia Soni, aby on mógł jeszcze chwilę posiedzieć na ławce.

Przypomniał mu się Billy. Nie chciałby, żeby chłopak nie zastał go przy śniadaniu. Może zostaną na nogach aż do rana, odwiozę małego do szkoły, po czym wrócę do domu i się prześpię, pomyślał. Jak wyglądałoby życie Billy'ego pod rządami hitlerowców? Nauczyliby go nienawiści do Arabów. Jego obecni nauczyciele nie żywili bynajmniej podziwu dla kultury afrykańskiej, ale przynajmniej Vandam miał pewien wpływ na to, żeby uświadomić syna, iż ludzie o innym kolorze skóry wcale nie muszą być od razu głupi. Co się stanie w hitlerowskiej szkole, jeżeli chłopak podniesie rękę i zapyta:

- Panie profesorze, mój tata mówi, że głupi Anglik wcale nie jest mądrzejszy od głupiego Araba?

Przypomniała mu się Elene. Teraz też była utrzymanką, ale przynajmniej mogła sobie dobierać kochanków, a jeżeli nie spodobało jej się coś, co chcieli z nią robić w łóżku, mogła ich wyrzucić na zbity łeb. W burdelu na terenie obozu koncentracyjnego nie będzie miała wyboru... Przebiegł go dreszcz.

Tak. Wcale nie jesteśmy godni podziwu, zwłaszcza w koloniach, ale hitlerowcy są jeszcze gorsi, czy Egipcjanie to sobie uświadamiają, czy też nie. Warto walczyć. W Anglii przyzwoitość, wprawdzie powoli, ale postępuje naprzód; w Niemczech wyraźnie się cofa. Kiedy pomyśleć o ukochanych osobach, od razu wszystko się w głowie rozjaśnia.

Stąd czerp siły. Jeszcze nie zasypiaj. Wstań.

Wstał.

Wrócił Jakes.

- Cierpi na anglofobię - odezwał się Vandam.

- Nie rozumiem, panie majorze.

- Sonia. Nienawidzi Anglików. Nie wierzę, że poderwała Wolffa przypadkiem.

Chodźmy.

Wyszli razem z budynku. Na zewnątrz nadal było ciemno. Jakes powiedział:

- Panie majorze, pan jest bardzo zmęczony...

- Owszem, jestem bardzo zmęczony. Ale nadal trzeźwo myślę, Jakes. Zawieź mnie na główną komendę policji.

- Tak jest.

Ruszyli. Vandam podał Jakesowi papierośnicę i zapalniczkę, ten trzymając jedną ręką kierownicę zapalił Vandamowi papierosa. Vandam miał kłopoty z zaciąganiem się. Potrafił utrzymać papierosa w ustach i wdychać dym, ale nie mógł pociągnąć dość mocno, żeby go zapalić. Jakes podał mu zapalonego papierosa. Chętnie wypiłbym do tego martini, pomyślał Vandam.

Jakes zatrzymał wóz przed komendą policji.

- Chodzi nam o szefa detektywów, jakkolwiek on się tam nazywa.

- Nie sądzę, że o tej porze będzie w pracy...

- Wiem. Zdobądź jego adres. Obudzimy go.

Jakes wszedł do budynku. Vandam patrzył przez okno. Powoli świtało. Gwiazdy już zgasły, niebo przybrało szary, a nie czarny kolor. Po ulicy kręciło się zaledwie kilka osób. Zobaczył mężczyznę prowadzącego dwa osły objuczone warzywami, który zapewne szedł na targ. Muezzini nie obwieścili jeszcze pierwszej modlitwy dnia.

Wrócił Jakes.

- Gezira - powiedział wrzucając bieg i wciskając sprzęgło.

Vandam skierował myśli na Jakesa. Ktoś mu powiedział, że Jakes ma niebywale poczucie humoru. Wprawdzie zawsze był przy Vandamie miły i pogodny, ale nigdy nie

wykazał się poczuciem humoru. Czyżbym był takim tyranem, zastanowił się Vandam, że podwładni boją się w mojej obecności rzucić jakiś żart? Nikt mnie nie zabawia, pomyślał.

Z wyjątkiem Elene.

- Jakes, nigdy nie opowiadasz mi kawałów.

- Jak to, panie majorze?

- Masz podobno takie niesłychane poczucie humoru, a nigdy nie opowiadasz mi kawałów.

- To prawda, panie majorze.

- Może byś się tak przez chwilę zdobył na szczerość i powiedział mi dlaczego?

Chwila ciszy, aż wreszcie Jakes stwierdził:

- Pan nie zachęca do poufałości, panie majorze.

Vandam kiwnął głową. Skąd mieliby wiedzieć, jak bardzo chciałby teraz odrzucić głowę do tyłu i ryknąć śmiechem?

- Taktownie powiedziane, Jakes. Temat zamknięty - oświadczył.

Oho, sprawa Wolffa załaziła mi niezłe za skórę - pomyślał. Zaczynam się zastanawiać, czy kiedykolwiek byłem w tym dobry, w swojej robocie, no i czy w ogóle nadaję się do czegokolwiek. I jeszcze ta twarz tak boli...

Mostem dostali się na wyspę. Niebo zmieniło odcień z ciemnoszarego na perłowy.

- Chciałbym panu powiedzieć, panie majorze, jeśli się pan nie obrazi, że jest pan zdecydowanie najlepszym przełożonym, jakiego kiedykolwiek miałem - oznajmił Jakes.

- O - bąknął zaskoczony Vandam. - Coś takiego! Cóż, dziękuję, Jakes. Dziękuję.

- Nie ma za co, panie majorze. Jesteśmy na miejscu.

Zatrzymał samochód przed ładnym, niedużym, jednopiętrowym domkiem z dobrze nawodnionym ogrodem. Vandam domyślił się, że szefowi egipskich detektywów żyło się z łapówek całkiem niezłe, choć nie tak znów rewelacyjnie. A może był po prostu ostrożny? To dobry znak.

Podeszli ścieżką do drzwi i zaczęli w nie łomotać. Po kilku minutach z okna wychyliła się głowa i zagadała po arabsku.

Jakes przybrał oficjalny ton sierżanta:

- Wywiad wojskowy! Otwierać te cholerne drzwi!

Chwilę później nieduży, przystojny Arab stanął w progu; kończył zapinanie paska u spodni.

- O co chodzi? - zapytał po angielsku.

Teraz Vandam przejął rzecz w swoje ręce.

- Pilna sprawa. To co? Wpuści nas pan?

- Oczywiście. - Detektyw odsunął się na bok i weszli do środka. Zaprowadził ich do niewielkiego saloniku. - Co się stało?

Sprawa wrażeń przestraszonego i Vandam pomyślał: A kto by się nie bał? Walał do drzwi w środku nocy...

- Nie ma powodu do paniki. Chcemy, żeby zarządził pan ścisłą inwigilację pewnej osoby - powiedział głośno. - Od zaraz.

- Naturalnie. Usiądźcie, panowie. - Arab znalazł notes i ołówek. - Kto to jest?

- Sonia el-Aram.

- Ta tancerka?

- Tak. Chcę, żeby nie spuszczał pan z oka jej domu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Mieszka na łodzi "Dżihan", na Zamalek.

W czasie gdy detektyw zapisywał dane, Vandam ubolewał w duchu, że musi posłużyć się egipską policją. Nie miał jednak wyboru - nie sposób w afrykańskim kraju wysłać rzucających się w oczy, białoskórych Anglików na przeszpiegi.

- O jakie przestępstwo chodzi?

I tak ci nie powiem, pomyślał Vandam, a głośno wyjaśnił:

- Sądzymy, że ona może być w kontakcie z kimś, kto tu, w Kairze, puszcza w obieg fałszywe funty szterlingi.

- A więc chce pan wiedzieć, kto wchodzi, kto wychodzi, czy coś z sobą wnosi, czy na łodzi odbywają się spotkania....

- Właśnie. Jest jeszcze pewien mężczyzna, który interesuje nas szczególnie. Nazywa się Alex Wolff. Podejrzany jest o morderstwo w Asjut; powinien pan już mieć jego rysopis.

- Oczywiście, mam. Meldować codziennie?

- Tak. Chyba że zobaczycie Wolffa, wtedy wiadomość chcę mieć natychmiast. W ciągu dnia obydwaj z kapitanem Jakesem jesteśmy w Kwaterze Głównej. Zapisz mu nasz telefon, Jakes.

- Znam te łodzie mieszkalne - stwierdził Egipcjanin. - Ścieżka biegnąca nabrzeżem to częste miejsce wieczornych spacerów, popularne zwłaszcza wśród zakochanych.

- Zgadza się - przytaknął Jakes.

Vandam spojrział na kapitana i uniósł w zdziwieniu brew.

- Niezły punkt obserwacyjny dla przycupniętego żebraka - mówił dalej detektyw. - Nikt nigdy nie zauważa żebraków. A w nocy... Cóż, mamy tam krzaki, też mają wzięcie u zakochanych.

- Czy i to się zgadza, Jakes?

- Tego już nie wiem, panie majorze. - Zorientował się, że Vandam go podpuszcza, i uśmiechnął się; wręczył Arabowi kartkę z numerem telefonu.

Do pokoju wszedł, trąc oczy, mały chłopczyk w pizamie. Mógł mieć jakieś pięć, sześć lat. Rozejrzał się sennie wokół i stanął obok Egipcjanina.

- Mój syn - powiedział z dumą tamten.

- Sądzę, że możemy już iść - stwierdził Vandam. - Chyba że chce pan podjechać z nami do miasta...

- Nie, dziękuję. Mam samochód, poza tym chciałbym jeszcze włożyć marynarkę, krawat i przyczesać włosy.

- Doskonale, byle szybko. - Vandam podniósł się i nagle coś niedobrego stało się z jego wzrokiem. Miał wrażenie, że niezależnie od jego woli opadają mu powieki, choć wiedział, że oczy ma szeroko otwarte. Czuł, że zaraz straci równowagę. A potem znalazł się przy nim Jakes i podtrzymał go za ramię.

- Wszystko w porządku, panie majorze?

Z wolna zaczynał widzieć normalnie.

- Już dobrze.

- Ma pan paskudną ranę - współczująco zauważył Egipcjanin.

Podeszli do drzwi.

- Chciałbym was zapewnić, panowie, że nadzorem zajmę się osobiście - zaręczał detektyw. - Nawet mysz się nie prześlizgnie na łódź bez naszej wiedzy. - Wciąż trzymał syna przy sobie, teraz przesunął go na lewą stronę i wyciągnął prawą rękę.

- Do widzenia - powiedział Vandam. - Uścisnęli sobie dłonie. - Aha, nazywam się Vandam, major Vandam.

Egipcjanin lekko skinął głową.

- Nadinspektor Kemel, panie majorze. Do usług.

Sonia zatopiła się w ponurych rozmyślaniach. Kiedy nad ranem wracała do domu, na wpół spodziewała się zastać tam Wolffa, tymczasem łódź czekała zimna i pusta. Nie bardzo umiała rozeznąć się we własnych uczuciach. Z początku, gdy ją aresztowali, nie czuła nic poza wściekłością na Wolffa za to, że uciekł i zostawił ją na pastwę angielskich oprawców. Była sama, była kobietą, w dodatku w pewnym sensie współniczką Wolffa w jego szpiegowskiej robocie, i dlatego umierała ze strachu, co mogą jej zrobić. Uważała, że Wolff powinien być zostać i zająć się nią. Aż wreszcie zrozumiała, że to nie byłoby zbyt sprytne zagranie - opuszczając ją odwracał od niej podejrzenia. Trudno się z tym pogodzić, lecz nie mógł zrobić nic lepszego. Siedząc samotnie w pustym pokoiku w Kwaterze Głównej, zwróciła gniew ku Anglikom.

Postawiła im się, a oni spuścili z tonu. Wtedy nie miała jeszcze pewności, czy mężczyzna, który ją przesłuchiwał, to major Vandam, ale kiedy ją zwalniali, usłyszała, jak urzędnikowi wymknęło się właśnie to nazwisko. Potwierdzenie domysłów wprowadziło ją w cudowny nastrój. Znowu uśmiechnęła się na wspomnienie groteskowego bandaża na twarzy Anglika. Wolff musiał zranić go nożem. Powinien był zabić. Mimo wszystko, cóż to za noc! Co za wspaniała noc!

Zastanawiała się, gdzie jest teraz Wolff. Pewnie zaszył się gdzieś w mieście. Zjawi się, gdy dojdzie do wniosku, że droga jest już wolna. Nic nie mogła zrobić. Szkoda jednak, że go nie ma. Chciała z nim dzielić swój triumf.

Włożyła nocną koszulę. Wiedziała, że powinna się już położyć, ale nie chciało jej się spać. Może coś mocniejszego pomoże. Znalazła butelkę szkockiej, nalała trochę do szklanki i dodała wody. Właśnie smakowała trunek, gdy usłyszała czyjeś kroki na trapie. Bez namysłu zawołała: - Achmed...? - i zdała sobie sprawę z tego, że to nie jego chód; był zbyt lekki i zbyt szybki. W nocnej koszuli, ze szklaneczką w ręku stanęła u stóp schodków. Pokrywa luku uniosła się i do środka zajrzała twarz jakiegoś Araba.

- Sonia?

- Tak...

- Zdaje się, że spodziewała się pani kogoś innego. - Mężczyzna opuszczał się w dół.

Patrzyła na niego myśląc: I co teraz? Zszedł i stanął naprzeciw niej. Był niski, miał przystojną twarz i szybkie, zręczne ruchy. Nosił europejskie ubranie: ciemne spodnie, wypastowane czarne buty i białą koszulę z krótkimi rękawami.

- Nadinspektor śledczy Kemel. Czuję się zaszczycony spotkaniem z panią. - Wyciągnął rękę.

Sonia odwróciła się, przeszła do kanapy i usiadła. Sądziła, że z policją już koniec, ale nie, teraz Egipcjanie chcieli wejść na scenę. Pewnie weźmie łapówkę i po krzyku, uspokajała sama siebie. Sączyła whisky i wpatrywała się w Kemela.

- Czego pan chce? - zapytała wreszcie.

Kemel usiadł nie czekając na zaproszenie.

- Interesuje mnie pani przyjaciel Alex Wolff.

- On nie jest moim przyjacielem.

Kemel zlekceważył jej odpowiedź.

- Anglicy powiedzieli mi dwie rzeczy o panu Wolffie: po pierwsze, że zabił nożem żołnierza w Asjut, i po drugie, że w kairskiej restauracji usiłował płacić fałszywymi banknotami. Już w tym momencie rzecz jest dość ciekawa. Co robił w Asjut? Dlaczego zabił żołnierza? I skąd ma fałszywe pieniądze?

- Nie wiem nic o tym człowieku - oznajmiła Sonia mając nadzieję, że Wolff nie wróci do domu akurat teraz.

- Za to ja trochę wiem - powiedział Kemel. - Tak, mam jeszcze inne informacje. Czy znane są Anglikom, tego nie wiem. Wiem, kim jest Alex Wolff. Jego ojczym był prawnikiem, tu, w Kairze. Matka była Niemką. Wiem też, że Wolff jest nacjonalistą. Wiem, że był pani kochankiem. I wiem, że pani też jest nacjonalistką.

Sonia zrobiło się zimno. Siedziała nieruchomo z nie tkniętą whisky obserwując, jak przebiegły detektyw wyciąga przeciwko niej kolejne dowody. Milczała.

- Gdzie zdobył fałszywe banknoty? - mówił dalej Kemel. - Nie w Egipcie. Nie ma tu chyba fałszerza, który mógłby się czegoś takiego podjąć, a nawet gdybyśmy go tu mieli, podrabiałby egipskie pieniądze. Zatem funty przyjechały z Europy. Wiemy tymczasem, że Wolff znany też jako Achmed Rahmha, zniknął gdzieś cichaczem dwa lata temu. Dokąd się wybrał? Do Europy? Wrócił. Przez Asjut. Dlaczego? Czyżby chciał się wślizgnąć do kraju nie zauważony? Może zwąchał się z jakimś angielskim gangiem fałszerzy i teraz wrócił ze swoim udziałem? Ale nie sędzę, bo ani on ubogi, ani kryminalista. No i mamy zagadkę.

On wie, myślała Sonia. Boże drogi, on wie...

- Tymczasem Anglicy prosili mnie, żebym tę łódź miał na oku i żebym im donosił o każdym, kto na nią wchodzi i wychodzi. Mają nadzieję, że zjawi się tu Wolff, a wtedy go arestują i znajdą odpowiedź na pewne pytania. Chyba że wcześniej ja złożę tę łamigłówkę...

Obserwują łódź! Achmed nigdy nie będzie mógł wrócić, myślała. Ale... ale po co Kemel mi to mówi?

- Zdaje mi się, że klucz do zagadki leży w naturze Wolffa: on jest jednocześnie i Niemcem, i Egipcjaninem. - Kemel wstał, zbliżył się do otomany, by usiąść przy Soni i spojrzeć jej w twarz. - Sądzę, że Wolff w tej wojnie uczestniczy. Myślę, że walczy za Niemcy i za Egipt. Myślę że fałszywe funty pochodzą z Niemiec. Ja myślę, że Wolff jest szpiegiem.

Ale nie wiesz, gdzie go znaleźć, pomyślała Sonia. I dlatego tu jesteś. Kemel wpatrywał się w nią. Odwróciła wzrok bojąc się, żeby z twarzy nie wyczytał jej myśli.

- Jeśli jest szpiegiem, mogę go złapać... albo uratować.

Sonia gwałtownie odwróciła głowę i spojrzała na policjanta.

- A to co znów znaczy?

- Chcę się z nim spotkać. Po kryjomu.

- Dlaczego?

Kemel uśmiechnął się chytrym, wszystkowiedzącym uśmiechem.

- Soniu, nie jest pani jedyną, która chce wolnego Egiptu. Jest nas wielu. Chcemy ujrzeć Anglików pokonanych i nie będziemy grymasić, kto ich ma pokonać. Chcemy współpracować z Niemcami. Chcemy nawiązać kontakt z Rommlem.

- I sądzi pan, że Achmed może pomóc?

- Skoro jest szpiegiem, musi w jakiś sposób przekazywać Niemcom wiadomości, prawda?

Sonia miała mętlik w głowie. Z oskarżyciela Kemel przeobraził się we współkonspiratora. Tak... O ile to nie pułapka. Nie wiedziała, czy mu zaufać, czy nie. Nie było czasu, żeby to przemyśleć. Nie wiedziała też, co powiedzieć, więc milczała.

- Czy może pani zorganizować spotkanie? - nalegał łagodnie Kemel.

Nie mogła przecież podjąć takiej decyzji bez namysłu.

- Nie - odparła.

- Niech pani pamięta o tym, że Łódź jest obserwowana - przypominał. - Raporty trafią najpierw do mnie, a dopiero potem dostanie je major Vandam. Jeśli istnieje szansa, że zorganizuje pani spotkanie, ja zobowiązę się, że doniesienia dla Vandama będą tak redagowane, żeby nie zawierały niczego... kłopotliwego.

Sonia zapomniała o nadzorze. Jeśli Kemel sprawy nie załatwi, to Wolff wróci - a wcześniej czy później przecież wróci - policjanci o tym zameldują i Vandam się dowie. To zmieniło wszystko. Nie miała wyboru.

- Zorganizuję spotkanie - oświadczyła.

- Świetnie. - Podniósł się. - Niech pani zadzwoni na komendę główną i zostawi wiadomość, że Sirhan chce się ze mną widzieć. Kiedy ta informacja do mnie dotrze, skontaktuję się z panią, żeby ustalić datę i godzinę.

- Dobrze.

Stał już przy schodkach, lecz wrócił.

- Byłbym zapomniał. - Z kieszeni spodni wyjął portfel, a z niego małą fotografię. Wręczył ją Soni. Było to jej zdjęcie. - Zechciałaby pani podpisać? To dla mojej żony. Jest pani oddaną wielbicielek. - Podał jej pióro. - Na imię ma Estera.

Napisała: "Dla Estery, z najlepszymi życzeniami. Sonia". Oddała fotografię, myśląc: To niewiarygodne.

- Wielkie dzięki. Będzie uradowana.

Niewiarygodne.

- Dam znać, jak tylko będę mogła - zapewniła.

- Dziękuję. - Wyciągnął rękę. Tym razem uścisnęła jego dłoń. Wspiął się po schodkach i wyszedł, zamykając za sobą kłapę.

Odetchnęła. Jakimś cudem całkiem nieźle z tego wybrnęła. Co prawda wciąż jeszcze nie była przekonana o szczerości Kemela, lecz nawet jeśli gdzieś tam kryła się pułapka, nie umiała jej dostrzec.

Czuła, że jest zmęczona. Dopiła whisky i przeszła za zasłony, do sypialni. Ciągle miała na sobie koszulę i było jej zimno. Podeszła do łóżka i ściągnęła narzutę. Usłyszała delikatne stukanie. Serce skoczyło jej do gardła. Okręciła się na pięcie, by spojrzeć w iluminator na drugim końcu łodzi, od strony rzeki. Za szybą zobaczyła czyjąś głowę.

Wrzasnęła przenikliwie.

Twarz zniknęła.

Zdała sobie sprawę, że to Wolff.

Wbiegła po schodkach na górę, wychyliła się za burtę i zobaczyła go w wodzie. Był chyba nagi. Podciągnął się na rękach i szukając oparcia przy iluminatorach, wdrapywał się po burcie łodzi. Chwyciła go za ramię i wciągnęła na pokład. Przycupnął na czworakach, lustrując przez chwilę nabrzeże jak zaniepokojony szczur wodny, potem rzucił się do luku. Ruszyła za nim.

Stał na dywanie ociekając wodą i drżąc. Rzeczywiście był nagi.

- Co się stało? - rzuciła.

- Zrób mi kąpiel - zażądał.

Przeszła przez sypialnię do łazienki. Stała tam niewielka wanna i elektryczny bojler. Odkręciła kurki i wrzuciła do wanny garść pachnących kryształków. Wolff zanurzył się w kąpieli; woda się podniosła.

- Co się stało? - powtórzyła Sonia.

Opanował drżenie.

- Nie chciałem ryzykować powrotu nabrzeżem, więc zdjąłem ubranie na tamtym brzegu i przepłynąłem wpław. Zajrzałem do środka i zobaczyłem tego faceta. Jeszcze jeden policjant, co?

- Tak.

- Musiałem czekać w rzece, aż sobie pójdzie.

Roześmiała się.

- Mój ty biedaku...

- To wcale nie jest śmieszne. O Boże, ale mi zimno... Zastrana Abwehra dała mi trefne pieniądze! Kiedy następnym razem będę w Niemczech, ktoś mi za to zapłaci głową.

- Dlaczego to zrobili?

- Nie wiem, czy to niefachowość, czy nielojalność. Canaris nigdy nie pałał miłością do Hitlera. Zakręć już wodę, dobrze? - Zaczął zmywać muł z nóg.

- Będziesz musiał ruszyć swoje własne pieniądze - stwierdziła.

- Nie wydostanę ich. Bank na pewno dostał już instrukcje, żeby zawiadomić policję, natychmiast jak się tylko pokażę. Mógłbym niby od czasu do czasu wypisać jakiś czek, ale to naprowadziłoby ich na mój ślad. Jeśli sprzedam część swoich akcji i udziałów czy nawet wille, to znów pieniądze muszą przejść przez bank.

Zatem będziesz korzystał z moich pieniędzy, pomyślała Sonia. Nie poprosisz, o nie, po prostu weźmiesz i już. Odsunęła tę kwestię na później.

- Ten egipski detektyw będzie obserwował łódź. Na polecenie Vandama.

Wolff rozciągnął usta w uśmiechu.

- Więc to Vandam...

- Trafiłeś go nożem?

- Tak, ale nie miałem pewności gdzie. Było ciemno.

- Rozciąłeś mu policzek. Całą twarz miał w bandażach.

Roześmiał się w głos.

- Chciałbym go zobaczyć! - Otrzeźwiał nagle. - On cię przesłuchiwał.

- Tak.

- Co mu powiedziałaś?

- Że cię prawie nie znam.

- Bardzo ładnie. - Taksował ją wzrokiem, a ona czuła, że jest z niej zadowolony, może trochę zdziwiony, że nie straciła głowy.

- Uwierzył ci?

- Chyba nie, skoro kazał mnie pilnować.

Zmarszczył czoło.

- Kłopotliwe. Trudno, żebym przeprowadzał się wpław przez rzekę za każdym razem, kiedy chcę wrócić do domu.

- Nie martw się. Wszystko załatwiłam.

- Załatwiłaś? Ty?

Wiedziała, że to niezupełnie prawda, ale brzmiało to dobrze.

- Ten detektyw jest jednym z nas - wyjaśniła.

- Nacjonalista?

- Tak. Chce skorzystać z twojego radia.

- Skąd wie, że mam radio? - W głosie Wolffa zabrzmiała nuta groźby.

- Nie wie - odparła spokojnie. - Z tego, co usłyszał od Anglików, wywnioskował, że jesteś szpiegiem, no i zakłada, że szpieg musi jakimś sposobem kontaktować się z Niemcami. Nacjoniści chcą przesłać wiadomość Rommlowi.

Potrząsnął głową.

- Wolałbym się w to nie wplątywać.

Nie pozwoli mu zburzyć zawartego układu.

- Ale musisz! - rzuciła ostro.

- Chyba tak - stwierdził ze znużeniem.

Poczuła dziwny smak władzy. Zupełnie jakby to ona przejmowała kontrolę nad sytuacją. Nappełniło ją to radością.

- Oni zataczają coraz węższe kręgi. Nie chcę już więcej takich niespodzianek jak ta wczoraj wieczorem. Chciałbym stąd gdzieś pójść, ale nie wiem dokąd. Abdullah wie, że moje pieniądze są fałszywe, i chętnie odda mnie w ręce Anglików. Szlag by to trafił!

- Tu będziesz bezpieczny, pod warunkiem, że wejdiesz w układ z tym detektywem.

- Nie mam wyboru.

Przysiadła na brzegu wanny patrząc na jego nagie ciało. Zdawało się, że jest... no, może nie tyle pobity, ile przyparty do muru. Na jego twarzy napięcie rysowało bruzdy, a w głosie pobrzmiwały ledwo słyszalne tony paniki. Domyśliła się, że Wolff po raz pierwszy się zastanawia, czy wytrwa do nadejścia Rommla. I również po raz pierwszy jego los zależał

od niej. Potrzebował jej pieniędzy, jej domu. Ostatniej nocy wszystko zależało od jej milczenia w czasie przesłuchania. Teraz, jak sądził, uratował go jej pakt z Egipcjaninem-nacjonalistą. Wpadł w jej ręce. Ta myśl ją zaintrygowała. Czowała, że zaczyna ogarniać ją podniecenie.

- Zastanawiam się, czy pójść na spotkanie z tą Elene dzisiaj wieczorem - odezwał się Wolff.

- Dlaczego nie? Ona nie ma nic wspólnego z Anglikami. Poderwał ją przecież w sklepie.

- Może masz rację. Chociaż czuję, że lepiej byłoby teraz się przyciąć. Sam nie wiem.

- Nie - odparła stanowczo Sonia. - Chcę ją mieć.

Spojrzał na nią spod zmrużonych powiek. Ciekawiło ją, czy Wolff rozważa kwestię randki, czy może jej nowo odkrytą siłę woli.

- Dobrze - zdecydował wreszcie. - Będę się tylko musiał jakoś zabezpieczyć.

Poddał się. Sprawdziła, kto silniejszy, on czy ona, i wygrała. Podnieciło ją to w szczególny sposób. Zadrzała.

- Ciągle mi zimno - poskarżył się Wolff. - Puść gorącą wodę.

- Nie. - Nie zdejmując koszuli, weszła do wody. Kucnęła nad nim w rozkroku, twarzą do niego, przyciskając kolana do boków wąskiej wanny. Zadarła mokry kraj koszuli do wysokości pępka.

- Językiem - zażądała.

Usłuchał.

Vandam był w znakomitym humorze. Z Jakesem u boku siedział w restauracji "Oaza" i sączył zimne martini. Spał cały dzień i zbudził się cokolwiek sponiewierany, lecz gotów do odwetu. Zaszedł do szpitala, gdzie doktor Abuthnot oświadczyła mu, że jest głupcem, skoro się podniósł i biega po mieście, ale w swojej głupocie ma też sporo szczęścia, bo rana się goi. Zmieniła mu opatrunek na mniejszy, schludniejszy, taki, którego nie musiał przytrzymywać tasiemcowaty bandaż wijący się wokół głowy. Była siódma piętnaście i za parę minut schwyta Wolffa.

Vandam i Jakes zajęli pozycję w głębi restauracji, skąd mieli widok na całą salę. Stolik najbliżej wejścia zajmowali dwaj krzepcy sierżanci, którzy na koszt wywiadu objadali się smażonym kurczakiem. Na zewnątrz, w nie oznakowanym samochodzie po drugiej stronie ulicy, dwaj żandarmi w cywilu ściskali w kieszeniach marynarek rewolwery. Pułapka zastawiona - brakowało tylko przynęty, Elene powinna się zjawić lada moment.

Rano, przy śniadaniu, Billy przeżył szok na widok bandaża. Vandam najpierw nakazał mu bezwzględnie dochować tajemnicy, a potem powiedział prawdę: - Biłem się z niemieckim szpiegiem. Miał nóż. Wymknął mi się, ale sądzę, że złapię go dziś wieczorem. - Naruszał tym zasady bezpieczeństwa, ale do licha, chłopiec miał prawo wiedzieć, dlaczego ojciec jest ranny. Po wyjaśnieniach Billy nie był już zmartwiony, lecz wciąż podekscytowany. Gaafar wpadł w przerażenie - zaczął chodzić na palcach i mówić szeptem, zupełnie jakby ktoś w rodzinie umarł.

Jeśli idzie o Jakesa, to stwierdził, że ich wczorajsza spontaniczność zniknęła bez śladu. Znow łączyły ich czysto służbowe stosunki: Jakes odbierał rozkazy, zwracał się do niego per "panie majorze" i nie pytany nie wygłaszał swoich opinii. I bardzo dobrze, pomyślał Vandam. Tworzyli dotąd zgrany zespół, więc po co cokolwiek zmieniać?

Spojrzał na zegarek. Siódma trzydzieści. Zapalił kolejnego papierosa. Lada chwila tymi drzwiami wejdzie Alex Wolff. Vandam był pewien, że go rozpozna - wysoki Europejczyk o orlim nosie, brązowych włosach i oczach, silny, sprawny fizycznie - ale nie zrobi nic, póki nie przyjdzie Elene i nie siądzie przy Wolffie. Wtedy razem z Jakesem wkroczą do akcji. Gdyby Wolff zaczął uciekać, dwaj sierżanci zablokują drzwi, a gdyby - co wielce nieprawdopodobne - i im się wymknął, będą strzelać żandarmi z samochodu.

Siódma trzydzieści pięć. Major nie mógł się już doczekać przesłuchania szpiega. Cóż to będzie za pojedynek charakterów! Ale Vandam wygra, bo to on trzyma w ręku wszystkie atuty. Wyczuje Wolffa, znajdzie słabe punkty, aż wreszcie przycisnie i Wolff pęknie.

Siódma trzydzieści dziewięć. Spóźnił się. Oczywiście niewykluczone, że wcale nie przyjdzie. Nie daj Boże! Vandam wstrząsnął się wspominając, jak się przechwalał przed Bogge'em: - Aresztuję go jutro wieczorem. - Wokół wydziału majora zaczął się robić smród i tylko szybkie ujęcie Wolffa mogłoby sprawić, że Vandam i jego ludzie znow zaczną rozsiewać zapach róż. Przypuśćmy jednak, że po wczorajszej wpadce Wolff postanowił przyczaić się w swej norze, gdziekolwiek ona była. Co wtedy? Vandam czuł, że takie "czajenie się" nie jest w stylu Wolffa. W każdym razie taką miał nadzieję.

O siódmej czterdzieści drzwi restauracji otworzyły się i weszła Elene. Usłyszał, jak Jakes gwizdnął pod nosem. Wyglądała olśniewająco. Miała na sobie jedwabną sukienkę koloru zsiadłej śmietany. Prosty krój sukni przykuwał wzrok do smukłej sylwetki, a kolor i rodzaj materiału podkreślały urodę jej gładkiej, opalanej skóry. Major gwałtownie zapragnął ją pogłaskać.

Rozejrzała się po sali, najwyraźniej szukając Wolffa. Na próżno. Oczy Elene napotkały spojrzenie Vandama; bez chwili wahania jej wzrok prześlizgnął się dalej. Zbliżył

się do niej szef sali. Coś do niego mówiła. Posadził ją przy dwuosobowym stoliku, niedaleko drzwi.

Vandam pochwycił spojrzenie jednego z sierżantów i ruchem głowy wskazał mu Elene. Sierżant kiwnął głową na znak zrozumienia i rzucił okiem na zegarek.

Gdzie Wolff?

Major zapalił papierosa i zaczął się martwić. Zakładał, że Wolff, jako dżentelmen, zjawi się nieco przed czasem, zaś Elene, jako kobieta, nieco się spóźni. Zgodnie z tym scenariuszem doszłoby do aresztowania, jak tylko Elene by usiadła przy stoliku. Wszystko idzie nie tak, dumał. Cholernie nie tak.

Kelner przyniósł Elene drinka. Siódma czterdzieści pięć. Popatrzyła w stronę Vandama i delikatnie, ledwo dostrzegalnie wzruszyła drobnymi ramionami.

Drzwi restauracji otworzyły się. Major zamarł; papieros zatrzymał się w pół drogi do ust. Potem Vandam, rozczarowany, znów się rozluźnił - to tylko mały chłopiec. Chłopak tymczasem wręczył kelnerowi kartkę papieru i wyszedł.

Vandam postanowił zamówić jeszcze jednego drinka.

Zobaczył, jak kelner podchodzi do stolika Elene i daje jej tę kartkę.

Major zmarszczył czoło. Co to mogło być? Przeprosiny od Wolffa, że nie może przyjść na spotkanie? Na twarzy Elene odmalowało się lekkie zaskoczenie. Spojrzała na Vandama i znów lekko wzruszyła ramionami.

Zastanawiał się, czy nie podejść do niej i nie zapytać, co się dzieje, ale to zepsułoby całą pułapkę, no bo gdyby tak w czasie ich rozmowy wszedł Wolff? Odwróciłby się na pięcie w drzwiach i rzucił do ucieczki, a wówczas miałby przed sobą tylko dwóch żandarmów, dwóch ludzi zamiast sześciu.

- Czekamy - mruknął do Jakesa.

Elene wzięła z krzesła kopertową torebkę i wstała. Jeszcze raz spojrzała na Vandama i odwróciła się. Myślał, że idzie do toalety. Tymczasem dziewczyna podeszła do drzwi wyjściowych i otworzyła je.

Obydwaj z Jakesem zerwali się na nogi. Jeden z sierżantów podnosił się od stolika, ale major machnięciem ręki kazał mu siąść z powrotem - nie było sensu zatrzymywać Elene. Razem z Jakesem śpiesznie ruszyli do drzwi.

- Za mną - rzucił Vandam mijając sierżantów.

Wyszli na ulicę. Major rozejrzał się. Pod ścianą siedział ślepiec, wyciągając przed siebie pęknięty talerzyk z kilkoma piasrami. Trzej żołnierze w mundurach, już pijani, zataczali się na chodniku objęci ramionami i śpiewali wulgarną piosenkę. Tuż przed

restauracją spotkała się grupka Egipcjan; energicznie ściskali sobie ręce. Jakiś przekupień oferował Vandamowi komplet tanich żyłek. Kilka metrów dalej Elene wsiadała do taksówki.

Major rzucił się naprzód.

Drzwi taksówki się zatrzasnęły i samochód ruszył.

Parkujące po drugiej stronie ulicy auto żandarmerii ryknęło silnikiem, skoczyło do przodu i zderzyło się z autobusem.

Vandam dopadł taksówki, wskoczył na stopień, ale samochód gwałtownie skręcił i major nie zdołał się utrzymać. Zeskoczył w biegu i upadł.

Wstał. Twarz paliła go z bólu; rana znów krwawiła - czuł ciepłą lepkość pod opatrunkiem. Otoczyli go Jakes i dwaj sierżanci. Po drugiej stronie żandarmi wyklócili się z kierowcą autobusu.

Taksówka zniknęła.

Elene ogarnęło przerażenie. Wszystko poszło źle. Wolffa powinni byli zaarrestować w restauracji, tymczasem był tu, obok niej, w taksówce, i tak dziko się uśmiechał. Siedziała nieruchomo, w głowie miała pustkę.

- Kto to był? - zapytał Wolff, ciągle się uśmiechając.

Jej mózg nie pracował. Spojrzała na niego, potem odwróciła wzrok i spytała.

- Co?

- Ten człowiek, który biegł za nami. Wskoczył na stopień. Nie widziałem go za dobrze, ale to chyba Europejczyk. Kto to był?

Elene zwalczyła strach. Nazywa się William Vandam i miał cię aresztować. Musiała coś wymyślić. Dlaczego ktoś wyszedł za nią z restauracji i próbował wedrzeć się do taksówki?

- To... Nie wiem, nie znam go. Był w restauracji. - Nagle ją olśniło. - Naprzykrzał mi się. Siedziałam tam sama. To pana wina, pan się spóźnił.

- Bardzo przepraszam - powiedział śpiesznie.

Przełknął jej wyjaśnienia tak gładko; Elene poczuła się nieco pewniej.

- Ale dlaczego jedziemy taksówką? - dopytywała się. - Co to wszystko znaczy? Dlaczego nie jesteśmy na kolacji? - Usłyszała we własnym głosie coś na kształt jęku i bardzo miała to sobie za złe.

- Przyszedł mi do głowy cudowny pomysł. - Znów się uśmiechnął, a Elene powstrzymała dreszcz. - Urządzimy sobie piknik. Mam koszyk w bagażniku.

Nie wiedziała, czy mu wierzyć, czy nie. Po co ten numer z przysyłaniem chłopca ze świstkiem papieru: "Wyjdź na zewnątrz. A. W."? Wyczuł pułapkę? Co zrobi teraz? Wywiezie ją na pustynię i zakłuje nożem? Nagle gwałtownie zapragnęła wyskoczyć z pędzącego auta. Zamknęła oczy i zmusiła się do spokojnego myślenia. Jeżeli podejrzewał pułapkę, to po co w ogóle się zjawił? Nie, nie, tu na pewno chodzi o coś więcej. Chyba uwierzył w historyjkę o nieznanym, który ją napastował, ale nie miała żadnej pewności, co kryło się za tym jego uśmieszkiem.

- Dokąd jedziemy? - spytała.

- Kawalek za miasto, w pewne miejsce nad brzegiem rzeki, skąd będziemy mogli oglądać zachód słońca. Spędzimy wspaniałą wieczór.

- Nie chcę.

- Co się stało?

- Prawie pana nie znam.

- Daj spokój. Cały czas będzie z nami kierowca, a poza tym jestem przecież dżentelmenem.

- Chcę wysiąść.

- Proszę, nie. - Lekko dotknął jej ramienia. - Mam wędzonego łososia, kurczaka na zimno i butelkę szampana. Tak mnie nudzą restauracje...

Elene się zastanowiła. Mogła go teraz zostawić, być bezpieczna i nigdy więcej go nie zobaczyć. Tego właśnie chciała - na zawsze od niego uciec. Ale jestem jedyną szansą Vandama, pomyślała. Czy mi na Vandamie zależy? Będę szczęśliwa nie oglądając go więcej. Wrócę do dawnego, spokojnego życia.

Dawne życie...

Zdała sobie sprawę z tego, że właśnie tak, że zależy jej na Vandamie; na tyle w każdym bądź razie, by za nic nie chcieć go zawieść. Musiała zostać z Wolffem, urobić go, zachęcić do następnej randki, spróbować dowiedzieć się, gdzie mieszka.

- Jedźmy do ciebie - rzuciła impulsywnie.

Uniósł w górę brwi.

- A cóż to za nagła zmiana nastroju!

Zorientowała się, że zrobiła błąd.

- Nie wiem, co robić. Zaskoczyłeś mnie tą niespodzianką. Dlaczegoś najpierw mnie nie spytał?

- Wpadłem na ten pomysł dopiero przed godziną i nie przyszło mi do głowy, że cię wystraszę.

Uświadomiła sobie, że niechcący gra rolę oszołomionej panienki. Postanowiła nie przedobrzyć.

- W porządku - stwierdziła. Usiłowała się rozluźnić.

Przyglądał jej się.

- Nie jesteś aż tak bezbronna, na jaką wyglądasz, co?

- Nie wiem.

- Pamiętam, co powiedziałaś Aristopoulosovi tego dnia, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem w sklepie.

Przypomniała sobie. Zagroziła, że obetnie Mikisowi kutasa, jeśli jej jeszcze raz dotknie. Powinna się teraz zarumienić, ale nie umiała tego zrobić na zawołanie.

- Byłam wściekła - wyjaśniła.

Wolff zachichotał.

- Tak to właśnie brzmiało. Postaraj się nie zapomnieć, że ja nie jestem Aristopoulosem.

- Jasne. - Uśmiechnęła się blado.

Teraz skupił uwagę na kierowcy. Byli już za miastem i Wolff zaczął mu dawać wskazówki, jak jechać. Elene zastanawiała się, gdzie znalazł taką taksówkę - jak na egipskie warunki luksusową. Był to jakiś amerykański wóz z dużymi miękkimi siedzeniami i mnóstwem miejsca, a do tego wyglądał na prawie nowy.

Przejechali przez kilka wiosek, aż wreszcie zboczyli na ubitą drogę. Samochód wspinał się krętym traktem pod górę, by wyłonić się na niewielkiej równinie nad urwiskiem. Tuż przed sobą mieli rzekę, a na jej przeciwległym brzegu Elene dojrzała schludne łąki uprawnych pól, które rozciągały się daleko pod horyzont, gdzie napotykały ostrą, brązową linię krańca pustyni.

- Czy to nie cudowne miejsce? - spytał. Musiała się z tym zgodzić. Podrywające się z drugiego brzegu stado jerzyków skierowało jej wzrok w górę i spostrzegła, że krawędzie wieczornych chmur już zaczynają różowieć. Młoda dziewczyna wracała znad wody, z wielkim dzbanem na głowie. Samotna feluka płynęła w górę rzeki popychana lekkim wiatrem.

Kierowca wysiadł z samochodu i odszedł na jakieś pięćdziesiąt metrów. Usiadł, znacząco odwrócił się do nich plecami i rozłożył gazetę.

Wolff wyciągnął kosz z prowiantem z bagażnika i postawił na podłodze samochodu między sobą a Elene. Gdy zabrał się do rozpakowywania, zapytała:

- Jak odkryłeś to miejsce?

- Matka przyprowadzała mnie tutaj, kiedy byłem chłopcem. - Podał jej kieliszek wina. - Po śmierci mojego ojca matka wyszła za Egipcjanina. Od czasu do czasu życie w muzułmańskim domu dokuczało jej, więc przywoziła mnie tu gharri i opowiadała o... Europie i takich tam...

- Lubieś to?

Zawahał się.

- Matka umiała zepsuć tę przyjemność. Wiecznie wtrącała coś w najlepszym momencie. Mówiła na przykład: Jesteś takim egoistą, zupełnie jak twój ojciec. W owym czasie wolałem swoją arabską rodzinę. Moi przyrodni bracia swawolili co sił i nikt nie próbował ich okiełznać. Kradliśmy pomarańcze z ogrodów, rzucaliśmy kamieniami w konie, żeby stawały dęba, dziurawiliśmy dętki rowerowe... Tylko moja matka miała nam to

za złe, ale umiała jedynie ostrzegać, że pewnego dnia zostaniemy wreszcie ukarani. Zawsze mówiła: Któregoś dnia złapią cię, Alex.

I miała rację - pomyślała Elene. Któregoś dnia złapią Alexa.

Napięcie ją opuszczało. Zastanowiła się, czy Wolff ma przy sobie nóż, którego użył w Asjut i znów zeszywniała. Wszystko tu było takie normalne - czarujący mężczyzna zaprosił ją na piknik nad rzekę - że przez chwilę zapomniała o swojej misji.

- Gdzie pan teraz mieszka? - zapytała.

- Anglicy... zarekwirowali mój dom. Mieszkam u przyjaciół.

Wręczył jej plasterek wędzonego łososia na porcelanowym talerzu, a potem kuchennym nożem przekroił na pół cytrynę. Przyglądała się jego zręcznym dłoniom i myślała, czego też on od niej chce, że zadaje sobie tyle trudu, by ją zadowolić.

Vandam był w ponurym nastroju. Czuł poranioną twarz i zranioną dumę. Wielkie aresztowanie okazało się wielką klapą. Nie sprawdził się jako fachowiec, dał się wystrychnąć na dudka i jeszcze posłał Elene w paszczę lwa.

Siedział w domu z na nowo zabandażowanym policzkiem i popijał dzin, żeby złagodzić ból. Wolff wymknął im się z rąk z taką ogromną łatwością. Vandam miał absolutną pewność, że niemiecki szpieg nic nie wiedział o zasadzce - gdyby wiedział, w ogóle by się nie zjawiał. Nie, nie, on tylko przedsięwziął środki ostrożności, a te zagrały bezbłędnie.

Dysponowali dobrym opisem taksówki; samochód wyróżniał się spośród innych - był całkiem nowy i Jakes zauważył jeszcze numer rejestracyjny. Nie było w mieście policjanta ani żandarma, który by tego wozu nie szukał. Wydano rozkazy, żeby samochód natychmiast zatrzymać i aresztować siedzących w nim ludzi. Wcześniej czy później go znajdą, tyle że - w to Vandam nie wątpił - będzie już za późno. Mimo to czekał przy telefonie.

Co teraz robi Elene? Może siedzi w jakiejś restauracji przy świecach, sący wino i śmieje się z dowcipów Wolffa? Wyobraził ją sobie jak ubrana w kremową sukienkę trzyma kieliszek i uśmiecha się tym swoim szczególnym, figlarnym uśmieszkiem, uśmieszkiem, który obiecywał wszystko. Rzucił okiem na zegarek. Może są już po kolacji? I co zrobią teraz? Było tu w zwyczaju jeździć na przejażdżkę w świetle księżyca i oglądać piramidy - czarne niebo, gwiazdy, bezkresna płaska pustynia i czyste, trójkątne płaszczyzny grobowców faraonów. Zupełne odludzie, może tylko spotkają jakąś inną parę zakochanych. Wejdą może kilka poziomów w górę; on będzie szedł przodem, będzie się nachylał, żeby ją wciągnąć wyżej. Jednakże wkrótce ona powie, że jest zmęczona, będzie mieć nieco

potargane włosy i zmiętą sukienkę, i poskarży się, że jej buty nie są przeznaczone do takiej wspinaczki. Usiądą zatem na wielkich kamieniach, wciąż nagrzanym słońcem, i oglądając gwiazdy będą oddychać łagodnym, mocnym powietrzem. W drodze do taksówki ona będzie drżała z zimna w swojej sukience bez rękawów, a on otoczy ją ramieniem, by ją ogrzać. Czy pocałuje już w taksówce? Nie, na to jest za stary. Kiedy taki facet decyduje się uwieść kobietę, to z pewnością w jakiś wyszukany sposób. Czy zaproponuje powrót do siebie, czy może do niej? Sam nie wiedział, czego bardziej chce. Gdyby pojechali do Wolffa, Elene zgłosiłaby się rano i mógłby wtedy aresztować szpiega w jego własnym domu. Przechwyciłby radio, książkę kodów, a może nawet gotowy plik depesz zwrotnych. Z zawodowego punktu widzenia tak byłoby lepiej, ale znaczyłoby to również, że Elene spędzi noc z Wolffem. Ta myśl rozsierdziła Vandama o wiele bardziej, niż powinna. Druga możliwość: gdyby udali się do niej, gdzie czekał Jakes z dziesięćmioma ludźmi i trzema samochodami, Wolff zostałby pojmany, zanim miałby okazję...

Vandam wstał i zaczął krążyć po pokoju. Bezmyślnie wziął do ręki "Rebeke", książkę, którą uważał za podstawę kodu Wolffa. Przeczytał pierwszą linijkę: "Śniło mi się tej nocy, że znów jestem w Manderley.". Odłożył książkę, znów ją otworzył i czytał dalej. Chętnie zajął myśli opowieścią o bezbronnej, zastraszonej dziewczynie, bo to pozwalało mu zapomnieć o własnych zmartwieniach. Kiedy zorientował się, że bohaterka poślubi wspaniałego starszego wdowca, że na ich małżeństwie cieniem położy się ciągle obecny duch pierwszej żony, zamknął książkę. Jaka jest różnica wieku między nim a Elene? Jak długo Angela będzie do niego wracać? Ona też była chłodna i bez skazy; zaś Elene jest młoda, impulsywna i trzeba ją wyciągnąć z tego, w czym dotąd żyła. Zapalił papierosa. Dlaczego czas tak się wlecze? Dlaczego ten telefon nie dzwoni? Jak mógł dopuścić, żeby Wolff dwukrotnie w ciągu dwóch dni prześliznął mu się między palcami? Gdzie jest Elene?

Gdzie jest Elene?

Już raz wpakował kobietę w niebezpieczną sytuację. Zdarzyło się to po tamtej wielkiej kłesce, gdy Rashid Ali wymknął się z Turcji tuż pod jego nosem. Właśnie wtedy Vandam posłał agentkę, by poderwała niemieckiego szpiega, mężczyznę, który się zamienił z Rashid Alim na ubranie i tym samym umożliwił mu ucieczkę. Vandam miał nadzieję, że choć trochę pomniejszy fiasko, jeśli dowie się wszystkiego o Niemcu. Lecz następnego dnia dziewczynę znaleziono martwą w hotelowym łóżku. Identyfikacja sytuacji mroziła krew w żyłach.

Nie było sensu siedzieć w domu. I tak by nie zasnął, a nic innego nie mógł tu robić. Dołączy do Jakesa i innych, wbrew poleceniom doktor Abuthnot. Włożył płaszcz i wojskową czapkę, wyszedł na dwór i wyprowadził motocykl z garażu.

Elene i Wolff stali na brzegu urwiska wpatrzeni w odległe światła Kairu i w te bliższe migotliwe błyski chłopskich ognisk w ciemnych wioskach. Wyobraźnia Elene podsuwała jej obraz chłopca - ciężko harującego, przytłoczonego nędzą, przesądnego - jak układa na klepisku materac wypchany słomą i szuka pocieszenia w ramionach żony. Elene zostawiła biedę za sobą, miała nadzieję, że na zawsze, ale czasem zdawało jej się, że razem z nędzą porzuciła też coś innego, coś, bez czego nie umiała żyć. W Aleksandrii, kiedy była dzieckiem, ludzie odciskali na ścianach z czerwonego mułu niebieskie ślady rąk, wizerunki dłoni, które miały odstraszyć Złe. Nie wierzyła w skuteczność tych stempli, lecz pomijając szczury i nocne wrzaski obu bitych żon lichwiarza, pomijając kleszcze nękające wszystkich, pomijając wczesną śmierć wielu nowo narodzonych dzieci, wierzyła, że jednak istniało coś, co odpędzało zło. Szukała tego czegoś, gdy sprowadzała mężczyzn do domu, gdy brała ich do łóżka, gdy przyjmowała ich upominki, pieśczęty, pieniądze, i nigdy tego nie znalazła.

Nie chciała już dłużej tak żyć. Zbyt wiele lat upłynęło jej na szukaniu miłości w niewłaściwych miejscach. Zwłaszcza nie chciała tego robić z Alexem Wolffem. Raz po raz pytała samą siebie: Dlaczego by tego nie zrobić jeszcze ten jeden raz? Właśnie tak, trzeźwo, chłodno rozumował Vandam. Ale za każdym razem, kiedy wyobrażała sobie, że kocha się z Wolffem, przed oczami stawał jej obraz, który śniła na jawie, który prześladował ją przez ostatnich kilka tygodni, obraz, w którym uwodziła Vandama. Po prostu wiedziała, jak by to z nim było: patrzyłby na nią z niewinnym zaciekawieniem, dotykałby jej z rozszerzonymi zachwytem oczyma; na myśl o tym nagle obezwładniło ją pożądanie. Wiedziała też, jaki byłby Wolff: wszystkowiedzący, samolubny, wprawny; jego nic nie mogło zaskoczyć.

Odwróciła się bez słowa i ruszyła z powrotem do samochodu. Nadeszła pora, kiedy powinien się do niej dobierać. Zjedli, co mieli do zjedzenia, opróżnili butelkę szampana i termos z kawą, do czysta oskubali kurczaka i kiść winogron. Teraz oczekiwał sprawiedliwie zapracowanej nagrody. Przyglądała mu się z tylnego siedzenia taksówki. Jeszcze chwilę powstał nad urwiskiem i zawrócił do niej, wołając kierowcę. Poruszał się z pewnym siebie wdziękiem, którym jak się wydaje, tak często obdarzeni są wysocy mężczyźni. Był przystojny, o wiele atrakcyjniejszy niż którykolwiek z jej kochanków, ale bała się go. Strach nie brał się z tego, co o nim wiedziała - o jego przeszłości, o tajemnicach i nożu - ale płynął z jej intuicyjnego zrozumienia natury Wolffa. Jakimś sposobem wiedziała, że jego czar nie

jest spontaniczny, lecz obliczony na efekt i skoro Wolff jest dla niej miły, to znaczy, że chce ją wykorzystać.

Czuła się już dostatecznie wykorzystana.

Wolff wsiadł do auta i usadowił się przy niej.

- No i jak? Podobał się wieczór?

Postarała się wykrzesać z siebie nieco entuzjazmu.

- Tak, cudowny. Dziękuję.

Samochód ruszył. Teraz albo zabierze ją do siebie, albo odwiezie do domu i wprosi się na kieliszek. Musi obmyślić sobie jakąś odpowiedź - odmowną, ale zachęcającą na przyszłość. Uznała, że to wszystko jest absurdalne: zachowuje się jak przestraszona dziewczica. Pomyślała: Co ja wyrabiam? Oszczędzam się dla księcia z bajki?

Za długo milczała. Miała być przecież dowcipna i ujmująca. Powinna z nim rozmawiać.

- Słyszałeś wiadomości z frontu? - zapytała i od razu się zorientowała, że nie jest to najlżejszy temat do rozmowy.

- Niemcy wciąż wygrywają - odparł. - To jasne.

- Dlaczego "jasne"?

Uśmiechnął się do niej protekcjonalnie.

- Świat dzieli się na panów i na niewolników, Elene - objaśniał ją tak, jakby tłumaczył proste fakty jakiemuś uczniakowi. - Anglicy za długo już byli panami. Stracili lwi pazur; teraz kolej na innych.

- A Egipcjanie? Kim oni są? Panami czy niewolnikami? - Wiedziała, że nie powinna zabierać głosu, że wkracza na śliski teren, ale samozadowolenie Wolffa doprowadzało ją do szału.

- Beduini należą do rasy panów - odrzekł. - Ale przeciętny Egipcjanin jest urodzonym niewolnikiem.

On mówi to wszystko poważnie, pomyślała i wzdrygnęła się.

Dojeżdżali do przedmieść Kairu. Minęła już północ i obrzeża miasta były ciche, choć centrum pewnie wciąż tętniło życiem.

- Gdzie mieszkasz? - zapytał.

Podala mu adres. Zatem do niej.

- Musimy to powtórzyć - oznajmił.

- Bardzo bym chciała.

Kiedy dojechali do Sharia Abbas, kazał kierowcy zatrzymać wóz. Elene zastanawiała się, co będzie dalej. Odwrócił się do niej i rzekł:

- Dziękuję za wspaniały wieczór. Do zobaczenia niebawem. - Wysiadł z samochodu.

Wpatrywała się w niego zdumiona. Nachylił się przy oknie kierowcy, dał mu pieniądze i podał adres; taksówkarz kiwnął głową. Wolff stuknął pięścią w dach i ruszyli. Elene odwróciła się i zobaczyła, jak macha ręką. Kiedy samochód pokonywał zakręt, Wolff zaczął schodzić nad rzekę.

No i co to niby ma znaczyć? - myślała. Nie dobierał się do niej, nie zaprosił jej do siebie, żadnych kieliszków na dobranoc, ba, nawet jej nie pocałował. Kogo on gra? Trudnego do zdobycia?

Głowiła się nad tym, gdy taksówkarz wiózł ją do domu. Może Wolff chwycił się takich sposobów, żeby zaintrygować kobiety? A może jest po prostu ekscentryczny? Niezależnie od przyczyny, czuła do niego ogromną wdzięczność. Oparła się wygodnie i rozluźniła. Nie musiała już wybierać między opieraniem się, a pójściem z nim do łóżka. Chwała Bogu.

Taksówka podjechała pod jej dom. Nagle, znikąd, pojawiły się z łoskotem trzy samochody. Jeden zatrzymał się tuż przed taksówką, jeden z tyłu, a jeden z boku. Z ciemności wyłonili się mężczyźni. Otwarto z impetem wszystkie cztery drzwi taksówki i wymierzono do Elene z czterech pistoletów. Zaczęła krzyczeć.

Ktoś wsunął głowę do samochodu i Elene rozpoznała Vandama.

- Nie ma go? - spytał Vandam.

Elene zrozumiała, co się dzieje.

- Sądziłam, że mnie zastrzelicie - powiedziała.

- Gdzie wysiadł?

- Przy Sharia Abbas.

- Jak dawno?

- Przed pięcioma, dziesięcioma minutami. Mogę wysiąść z samochodu?

Podał jej dłoń, wyszła na chodnik.

- Przykro mi, że cię wystraszyliśmy.

- To się nazywa zamknąć drzwi klatki, gdy ptaszek już wyfrunął.

- Właśnie.

Sprawił wrażenie całkowicie pokonanego.

Poczuła dla niego przyływ czułości. Dotknęła jego ramienia.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę - powiedziała.

Spojrzał na nią dziwnie, jak gdyby nie był pewien, czy jej wierzyć.

- Może byś tak odesłał swoich ludzi do domu i wszedł porozmawiać - podsunęła.

Zawahał się. - No, dobrze. - Zwrócił się do jednego ze swych ludzi, kapitana. - Jakes, chciałbym, żebyś przesłuchał taksówkarza. Zobacz, co się da z niego wyciągnąć. Zwolnij ludzi. Zobaczmy się w Kwaterze Głównej za jakąś godzinę.

Elene wprowadziła go do środka. Co za rozkosz znaleźć się we własnym mieszkaniu, wyciągnąć się na sofie i zrzucić buty. Czas próby minął, Wolff zniknął, a Vandam był tutaj. Zapropnowała: - Nalej sobie coś do picia.

- Nie, dziękuję.

- Co się właściwie stało?

Vandam siadł naprzeciw niej i wyciągnął papierosa.

- Sądziliśmy, że nieświadomy niczego wpadnie w pułapkę, ale był podejrzliwy, a przynajmniej ostrożny i nam się wymknął. Co się zdarzyło potem?

Odchyliła głowę na oparcie sofy, przymknęła oczy i w kilku słowach opowiedziała mu o pikniku. Darowała sobie własne myśli o pójściu z Wolffem do łóżka, nie wspomniała też Vandamowi, że Wolff przez cały wieczór prawie jej nie dotknął. Mówiła lapidarnie - chciała zapomnieć, nie pamiętać. Kiedy opowiedziała mu całą historię, poprosiła:

- Nalej mi jednego, nawet jeśli ty sam nie masz ochoty.

Podszedł do kredensu. Elene widziała, że jest zły. Spojrzała na bandaż na jego twarzy. Zauważyła go w restauracji i po raz drugi przed kilkoma minutami już po przybyciu, ale teraz miała czas na zastanowienie. Spytała:

- Co się stało z twoją twarzą?

- Wczoraj wieczorem o mało co nie schwytaliśmy Wolffa.

- Och, nie.

A zatem doznał dwukrotnie porażki w ciągu dwudziestu czterech godzin - nic dziwnego, że sprawiał wrażenie pokonanego. Pragnęła go pocieszyć, otoczyć ramieniem, położyć jego głowę na swoich kolanach i głaskać go po włosach; tęsknota była jak ból. Postanowiła - impulsywnie, tak jak zwykle podejmowała decyzje - że dzisiejszej nocy weźmie go do łóżka.

Podał jej alkohol. W końcu i sobie nalał jednego. Kiedy nachylił się, żeby podać jej szklanekę, wyciągnęła rękę, koniuszkami palców dotknęła jego podbródka i obróciła mu głowę, by przyjrzeć się policzkowi. Przez sekundę pozwolił jej patrzeć, a potem cofnął głowę.

Nigdy dotąd nie widziała, żeby był tak napięty. Przeciął pokój i usiadł naprzeciw niej, wyprostowany na skraju krzesła. Przepelniała go tłumiona emocja, chyba wściekłość, ale kiedy spojrzała mu w oczy, dostrzegła nie gniew, lecz ból.

- Jakie wrażenie sprawił na tobie Wolff? - spytał.

Nie była pewna o co mu chodzi.

- Czarujący. Inteligentny. Groźny.

- Jego wygląd?

- Wypięłognowane dłonie, jedwabna koszula, wąsy, z którymi mu nie do twarzy. Co cię interesuje?

Potrząsnął z rozdrażnieniem głową.

- Nic. Wszystko.

Zapalił kolejnego papierosa.

Nie potrafiła do niego dotrzeć, kiedy był w tym nastroju. Chciała, żeby przy niej usiadł, powiedział jej, że jest piękna i odważna, że dobrze się sprawiła; ale wiedziała, że nie ma sensu o to prosić. Niemniej zapytała:

- Jak mi poszło?

- Nie wiem - odrzekł. - Co ci miało pójść?

- Przecież wiesz, co zrobiłam.

- Tak. Jestem ci bardzo wdzięczny.

Uśmiechnął się, chociaż wiedziała, że ten uśmiech jest nieszczerzy. Co się z nim działo? W jego gniewie było coś znajomego, coś, co by zrozumiała, gdyby tylko udało jej się dojść do sedna rzeczy. Nie chodziło tylko o to, że miał poczucie, iż odniósł porażkę. Chodziło o jego postawę wobec niej, o sposób, w jaki do niej mówił, o sposób, w jaki siedział naprzeciw niej, a szczególnie o to, jak na nią patrzył. Jego wyraz twarzy świadczył... świadczył niemal o wstręcie.

- Powiedział, że jeszcze się z tobą zobaczy? - spytał Vandam.

- Tak.

- Mam nadzieję. - Oparł brodę na dłoniach. Jego twarz zdradzała napięcie. Z papierosa unosili się smużki dymu. - Chryste, mam nadzieję, że się z tobą zobaczy.

- Powiedział jeszcze: musimy to powtórzyć, czy coś w tym rodzaju - dodała Elene.

- Rozumiem. Musimy to powtórzyć, co?

- Coś w tym rodzaju.

- Jak sądzisz, co dokładnie miał na myśli?

Wzruszyła ramionami.

- Kolejny piknik, kolejną randkę, do licha, co cię opętało. William?

- Jestem tylko ciekaw - odpowiedział. Miał na twarzy krzywy uśmieszek, jakiego nigdy u niego nie widziała. - Chciałbym wiedzieć, co robiliście we dwoje, poza jedzeniem i piciem, na tylnym siedzeniu tej ogromnej taksówki i tam, na brzegu rzeki; rozumiesz, tyle czasu razem, w ciemności, kobieta i mężczyzna...

- Przestań. - Zamknęła oczy. Dopiero teraz zrozumiała; teraz już wiedziała. Nie otwierając oczu rzuciła: - Idę do łóżka. Wyjdiesz sam.

W kilka sekund później trzasnęły frontowe drzwi.

Podeszła do okna i wyrzała na ulicę. Zobaczyła, jak Vandam wychodzi z domu i wsiada na motocykl. Uruchomił kopnięciem silnik i odjechał z łoskotem ulicą, pędząc na złamanie karku, biorąc zakręt, jak gdyby startował w wyścigach. Elene odczuła potworne zmęczenie i niejaki smutek, że ostatecznie spędzi noc sama, ale nie była nieszczęśliwa, gdyż rozumiała jego gniew, знаła jego przyczynę i to jej dawało nadzieję. Kiedy zniknął z pola widzenia, uśmiechnęła się lekko i powiedziała cicho: - Williamie Vandam, zakładam, że jesteś zazdrosny.

Do czasu, gdy major Smith złożył swoją trzecią południową wizytę na łodzi mieszkalnej, Wolff i Sonia wypracowali sprawną procedurę. Kiedy major się zbliżał, Wolff chował się w szafie. Sonia witała Smitha w salonie z przygotowanym drinkiem w rękę. Prosiła, by usiadł, upewniając się, że odłoży teczkę, zanim wejdą do sypialni. Po chwili zaczynała go całować. W tym czasie mogła z nim robić, co tylko chciała, albowiem paraliżowało go pożądanie. Nakłaniała go do zdjęcia szortów, a wkrótce potem prowadziła do sypialni.

Wolff dobrze wiedział, że nic takiego nie przydarzyło się dotąd majorowi: był niewolnikiem Soni, dopóki pozwalała mu się ze sobą kochać. Wolff odczuwał wdzięczność - wszystko nie byłoby takie proste z kimś, kto miałby silniejszy charakter.

Kiedy tylko Wolff słyszał skrzypienie łóżka, opuszczał szafę. Wyjmował kluczyk z kieszeni szortów i otwierał teczkę. Obok leżał przygotowany notatnik i ołówek.

Druga wizyta Smitha przyniosła rozczarowanie, Toteż Wolff zaczął się zastanawiać, czy aby Smith tylko przypadkiem nie miał wówczas dostępu do planów bitew. Jednakże tym razem znowu trafił na żyłę złota.

Generał Claude Auchinleck, głównodowodzący na Środkowym Wschodzie, przejął po generale Neilu Ritchiem bezpośrednie dowództwo Ósmej Armii. Już sam ten fakt, jako oznaka paniki aliantów, stanowiłby cenną wiadomość dla Rommla. Mógł również być pomocny Wolffowi, świadczył bowiem o tym, że bitwy planowano teraz w Kairze, a nie na pustyni, zatem Smith miał większą szansę uzyskania kopii planów.

Alianci wycofali się na nową linię obrony w Mersa Matruh, a najważniejszy dokument w teczce Smitha zawierał nowe rozkazy.

Nowa linia zaczynała się w nadbrzeżnej wiosce Matruh, i ciągnęła przez pustynię na południe, aż do stoku Sidi Hamza. Dziesiąty Korpus stał w Matruh; dalej znajdowało się gęsto zaminowane pole długości dwudziestu czterech kilometrów; potem mniej zaminowany pas długości szesnastu kilometrów; potem stok; następnie, na południe od stoku, Trzynasty Korpus.

Słuchając jednym uchem hałasów dochodzących z sypialni, Wolff zastanawiał się nad pozycjami wroga. obraz rysował się dosyć jasno - linia aliantów była silna na obu końcach, lecz słaba w środku.

Najbardziej prawdopodobne posunięcie Rommla, jak myśleli alianci, miało polegać na zaatakowaniu poniżej południowego końca linii - klasyczny manewr oskrzydający Rommla, tym bardziej prawdopodobny, że zagarnął on około pięciuset ton paliwa w

Tobruku. Taki atak zostałby odparty przez Trzynasty Korpus, składający się z silnej Pierwszej Dywizji Pancерnej i Drugiej Dywizji Nowozelandzkiej, przy czym ta druga - jak stwierdzono szczęśliwie w streszczeniu - właśnie przybyła z Syrii.

Uzbrojony jednak w informację Wolffa, Rommel mógł zamiast tego uderzyć w słaby środek linii i przeprowadzić swoje siły przez ten wylom, niczym strumień rozsadzający tamę w jej najsłabszym punkcie.

Wolff uśmiechnął się do siebie. Miał poczucie, że odgrywa ważną rolę w walce o niemiecką dominację w Afryce Północnej - sprawiało mu to olbrzymią satysfakcję.

W sypialni wyskoczył korek.

Smith zawsze zadziwiał Wolffa tempem, w jakim się kochał. Wyskakujący korek stanowił znak, że już po wszystkim, Wolff miał więc kilka minut, żeby wszystko ogarnąć, zanim Smith się zjawi w poszukiwaniu swoich szortów.

Włożył papiery do teczki, zamknął ją i schował klucz z powrotem do kieszeni szortów. Nie wracał już potem do szafy - wystarczył jeden raz. Wsunął buty do kieszeni własnych spodni i wyszedł na palcach, bezszelestnie, w skarpetkach, po schodkach, przez pokład i trap na ścieżkę wzdłuż nabrzeża. Potem włożył buty i poszedł na lunch.

Kemel grzecznie uściśnął dłoń Vandama i powiedział:

- Mam nadzieję, że pańska rana goi się szybko, panie majorze.

- Proszę usiąść - powiedział Vandam. - Bandaż jest gorszy od rany. Co ma pan nowego?

Kemel usiadł i założył nogę na nogę, poprawiając kant czarnych bawełnianych spodni.

- Uznałem, że sam przyniosę raport z inwigilacji, chociaż niestety nie ma w nim nic interesującego.

Vandam wziął i otworzył podaną kopertę. Zawierała jedną kartkę maszynopisu. Zaczął czytać.

Sonia wróciła do domu - prawdopodobnie z klubu "Cha-Cha" - poprzedniego dnia o jedenastej wieczorem. Była sama. Pojawiła się około dziesiątej następnego ranka. Widziano ją na pokładzie w szlafroku. O pierwszej przyszedł listonosz. Sonia wyszła o czwartej i wróciła o szóstej niosąc torbę z nadrukiem jednego z najdroższych sklepów odzieżowych w Kairze. O tej porze obserwatora zastąpił człowiek, który objął nocną zmianę.

Wczoraj przez posłańca Vandam otrzymał od Kemela podobny raport obejmujący pierwszych dwanaście godzin inwigilacji. Tak więc przez dwa dni zachowanie Soni było rutynowe i całkiem niewinne; ani Wolff, ani nikt inny nie odwiedzał jej na łodzi.

Vandam był gorzko rozczarowany.

Kemel powiedział:

- Ludzie, z których korzystam, są w pełni godni zaufania i mnie osobiście zdają raporty.

Vandam chrząknął, a potem zmusił się do grzeczności.

- Tak, jestem o tym przekonany - odrzekł. - Dziękuję, że pan przyszedł.

Kemel wstał.

- Nie ma za co - powiedział. - Do widzenia.

Wyszedł. Vandam siedział zamyślony. Jeszcze raz przeczytał raport Kemela, jak gdyby kryło się tam coś między wierszami. Jeśli Sonia była związana z Wolffem - a Vandam nadal poniekąd w to wierzył - najwyraźniej ich związek nie był bliski. Jeśli spotykała się z kimś, te spotkania musiały się odbywać poza łodzią.

Vandam podszedł do drzwi i krzyknął:

- Jakes!

- Tak jest!

Vandam znowu usiadł, wszedł Jakes. Vandam powiedział:

- Chcę, żebyś od dzisiaj spędzał wieczory w klubie "Cha-Cha". Obserwuj Sonię i patrz, z kim siedzi po występie. Przekup również kelnera, żeby cię informował, kto wchodzi do jej garderoby.

- Tak jest!

Vandam odprawił go kiwnięciem głowy i dodał z uśmiechem:

- Masz pozwolenie na to, żeby się zabawić.

Uśmiech był błędem - zabolalo. Przynajmniej nie żywił się już samą glukozą rozpuszczoną w wodzie - Gaafar przyrządzał mu tłuczone ziemniaki z sosem, które jadł łyżeczką i połykał bez gryzienia. Żył tym i dżinem. Doktor Abuthnot powiedziała mu również, że za dużo pije i pali, i obiecał to ograniczyć - po wojnie. Ale w głębi duszy pomyślał: jak schwytam Wolffa.

Jeśli Sonia nie doprowadzi go do Wolffa, może liczyć tylko na Elene. Vandam wstydził się swego wybuchu w mieszkaniu Elene. Był zły z powodu własnej porażki, a myśl o tej dziewczynie u boku Wolffa doprowadzała go do szału. Jego zachowanie można było

jedynie określić jako napad złego humoru. Elene była przemiłą dziewczyną, która narażała własną głowę, żeby mu pomóc, toteż winien był jej przynajmniej grzeczność.

Wolff powiedział, że spotka się ponownie z Elene. Vandam miał nadzieję, że tamten wkrótce się z nią skontaktuje. Nadal czuł irracjonalny gniew na myśl o nich obojgu razem; ale teraz, kiedy Łódź okazała się ślepą uliczką, Elene była jego jedyną nadzieją. Siedział przy biurku czekając, aż zadzwoni telefon, i obawiał się tego, czego pragnął najbardziej.

Późnym popołudniem Elene wyszła na zakupy. Mieszkanie przyprawiało ją o klaustrofobię po tym, jak spędziła niemal cały dzień chodząc w kółko, nie mogąc się na niczym skoncentrować, na przemian nieszczęśliwa i radosna; włożyła więc wesołą sukienkę w paski i wyszła na słońce.

Lubiła targ owocowo-warzywny. Było to miejsce pełne życia, szczególnie o tej porze, kiedy handlarze starali się pozbyć resztek towaru. Przystanąła, żeby kupić pomidory. Obsługujący ją mężczyzna wziął jednego z niewielkim zgnieceniem i odrzucił go dramatycznym gestem, zanim napełnił papierową torbę nie uszkodzonymi sztukami. Elene roześmiała się, wiedziała bowiem, że kiedy tylko odejdzie, sprzedawca sięgnie z powrotem po obtłuczonego pomidora i położy go na widoku, żeby móc odegrać tę samą pantomimę przed następnym klientem. Targowała się krótko o cenę, ale sprzedawca wiedział, że nie wkłada w to zbyt wiele serca, skończyło się więc tym, że zapłaciła prawie tyle, ile pierwotnie zażądał.

Kupiła również jajka, postanawiając zrobić na kolację omlet. Dobrze się czuła, niosąc cały koszt jedzenia, więcej niż mogła zjeść podczas jednego posiłku - dawało jej to poczucie bezpieczeństwa. Pamiętała dni, kiedy nie było żadnej kolacji.

Opuściła rynek i szła wzdłuż wystaw sklepowych oglądając stroje. Większość ubrań kupowała pod wpływem impulsu, miała ugruntowane wyobrażenia na temat tego, co jej się podoba, kiedy zatem planowała wypad, żeby kupić coś określonego, nigdy jej się nie udawało tego znaleźć. Liczyła na to, że pewnego dnia będzie mieć własną krawcową.

Pomyślała: ciekawe, czy Williama Vandama byłoby stać na taki luksus dla żony.

Była szczęśliwa myśląc o Vandamie, dopóki nie przyszedł jej na myśl Wolff.

Wiedziała, że jeśli zechce, może uciec, po prostu odmawiając spotkania z Wolffem, odmawiając umówienia się z nim na randkę, odmawiając odpowiedzi na wiadomość od niego. Nic jej nie zmuszało do tego, żeby odgrywać rolę przynęty w pułapce na nożownika i mordercę. Wracała do tej myśli, niepokojącej niczym obłuzowany ząb - wcale nie muszę.

Nagle straciła zainteresowanie strojami i ruszyła w stronę domu. Chętnie przyrządziłaby omlet dla dwojga, ale omlet w pojedynkę to też coś. Nie wolno zapominać o

bólu w brzuchu, który się pojawiał, kiedy kładła się spać bez kolacji, potem budziła rano i nie czekało na nią śniadanie. Dziesięcioletnia Elene zastanawiała się w skrytości ducha, ile trzeba czasu, żeby człowiek się zagłodził na śmierć. Była pewna, że dzieciństwo Vandama nie było obciążone takimi zmartwieniami.

Kiedy skierowała się ku wejściu do bloku, w którym mieszkała, usłyszała głos:

- Abigail!

Znieruchomiała pod wpływem szoku. Ten głos należał do ducha. Nie odważyła się spojrzeć. Głos zabrzmiał ponownie.

- Abigail.

Z trudem zdołała się odwrócić. Z mroku wyłoniła się postać - stary Żyd, nędznie ubrany, ze zmierzwioną brodą i żyłastymi stopami w gumowych sandałach...

Elene powiedziała:

- Tato.

Stał przed nią jakby bojąc się jej dotknąć, tylko patrzył. Odezwał się:

- Nadal tak samo piękna i w dodatku niebiedna...

Impulsywnie dała krok do przodu, pocałowała go w policzek, potem się znowu cofnęła. Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Umarł twój dziadek, a mój ojciec - usłyszała.

Wzięła go pod ramię, poprowadziła po schodach. Wszystko to było nierzeczywiste, irracjonalne, jak we śnie.

Już w mieszkaniu powiedziała: - Musisz coś zjeść - i zaprowadziła go do kuchni. Postawiła patelnię na ogniu i zaczęła rozbijać jajka. Odwrócona plecami do ojca spytała:

- Jak mnie znalazłeś?

- Zawsze wiedziałem, gdzie cię szukać - odrzekł. - Twoja przyjaciółka Esme pisze do swojego ojca, a ja czasem się z nim widuję.

Esme była bardziej znajomą niż przyjaciółką, ale Elene spotykała ją przypadkowo raz na dwa lub trzy miesiące. Nigdy nie zająknęła się ani słowem o tym, że pisuje do domu. Elene wyjaśniła:

- Nie chciałam, żebyś namawiał mnie do powrotu.

- A cóż miałbym ci powiedzieć? "Wracaj do domu, twoim obowiązkiem jest głodować razem z całą rodziną." Nie. Ale wiedziałem, gdzie mieszkasz.

Wkroiła pomidory do omletu.

- Powiedziałbyś, że lepiej głodować niż żyć niemoralnie.

- Tak, właśnie tak bym powiedział. Czyżbym się mylił?

Odwróciła się, by mu się przyjrzeć. Jaskra, która przed laty odebrała mu wzrok w lewym oku, zaatakowała teraz prawe. Obliczyła, że ma pięćdziesiąt lat. Wyglądał na siedemdziesiąt.

- Tak, myliłbyś się. Zawsze lepiej żyć.

- Być może.

Musiał dojrzeć zdziwienie na jej twarzy, bo wyjaśnił:

- Nie jestem już tego tak pewien jak dawniej. Starzeję się.

Elene podzieliła omlet na pół i nałożyła na dwa talerze. Postawiła na stole chleb. Ojciec umył ręce, a potem pobłogosławił chleb. "Błogosławiony jesteś o Panie, Boże nasz, Królu Wszechświata..." Elene zdziwiło, że modlitwa nie wprawiła jej we wściekłość. W najczarniejszych chwilach swojego samotnego życia przeklinała i wściekała się na ojca i jego religię za to, do czego ją doprowadzili. Starła się wyrobić w sobie postawę obojętności, najwyżej łagodnej pogardy; ale niezupełnie jej się to udało. Teraz patrząc, jak ojciec się modli, pomyślała: I co robię, kiedy ten człowiek, którego nienawidzę, pojawia się na progu? Całuję go w policzek, zapraszam do środka, częstuję kolacją.

Zaczęli jeść. Ojciec był bardzo głodny, z wilczym apetytem pochłaniał jedzenie. Elene zastanawiała się, po co przyszedł. Czy tylko po to, żeby ją powiadomić o śmierci dziadka? Nie. Być może chodziło również o to, ale to nie było wszystko.

Zapytała o siostry. Po śmierci matki wszystkie cztery, każda na swój sposób, zerwały z ojcem. Dwie wyjechały do Ameryki, jedna poślubiła syna największego wroga ojca, a najmłodsza, Naomi, wybrała najpewniejszą ucieczkę, i zmarła. Elene przyszło do głowy, że ojciec jest załamany.

Zapytał ją, co robi. Zdecydowała się powiedzieć mu prawdę.

- Anglicy starają się złapać pewnego człowieka, Niemca, którego uważają za szpiega. Moim zadaniem jest się z nim zaprzyjaźnić... jestem przynętą w pułapce. Ale... nie wiem, czy będę im nadal pomagać.

Przerwał jedzenie.

- Boisz się?

Kiwnęła głową.

- Jest bardzo groźny. Zabił nożem żołnierza. Wczorajszego wieczoru... miałam się z nim spotkać w restauracji, a Anglicy mieli go tam aresztować, ale coś poszło nie tak i spędziłam z nim cały wieczór, tak się bałam, a kiedy było już po wszystkim, Anglik... - Zamilkła i wzięła głęboki oddech. - W każdym razie nie wiem, czy będę im nadal pomagać.

Ojciec znów zaczął jeść.

- Kochasz tego Anglika?
- Nie jest Żydem - powiedziała wyzywająco.
- Przestałem kogokolwiek sądzić - odparł.

Elene nie potrafiła się z tym wszystkim pogodzić. Czy nie zostało w nim nic z dawnego człowieka?

Skończyli posiłek, Elene wstała, żeby podać mu szklankę herbaty. Powiedział:

- Nadchodzą Niemcy. Żydom będzie bardzo źle. Wyjeżdżam.

Zmarszczyła brwi.

- Dokąd jedziesz?

- Do Jerozolimy.

- Jak się tam dostaniesz? Pociągi są przepełnione, wyznaczyli pewien limit dla Żydów.

- Pójdę pieszo.

Patrzyła na niego, nie wierząc w to, że mówi poważnie, nie wierząc też, że mógłby stroić sobie z tego żarty.

- Pieszko?

Uśmiechnął się.

- Nie pierwszy to raz w dziejach.

Zrozumiała, że mówi poważnie, i ogarnęła ją złość.

- O ile pamiętam, Mojżesz nie dotarł do celu.

- Może ktoś mnie podwiezie.

- To szaleństwo!

- Czy zawsze nie byłem nieco szalony?

- Żebyś wiedział - wykrzyknęła. Nagle jej gniew ustąpił.

- Tak, zawsze byłeś nieco szalony. Powinnaś wiedzieć, że za nic w świecie cię nie przekonam.

- Będę się modlić do Boga, żeby cię ochronił. Masz tu pewną szansę... jesteś piękna i młoda, może się nie domyślą, że jesteś Żydówką. Ale ja, bezużyteczny starzec mamroczący hebrajskie modlitwy... wysłaliby mnie do obozu, gdzie na pewno bym zginął. Zawsze lepiej żyć. Sama tak powiedziałaś.

Próbowała go namówić, żeby został u niej, przynajmniej na tę noc, ale bezskutecznie. Dała mu sweter, szalik i całą gotówkę, jaką miała w domu; przekonywała, że gdyby zaczekał jeden dzień, mogłaby wyjąć więcej pieniędzy z banku i kupić mu solidny płaszcz. On jednak się spieszył. Popłakała się, wytarła oczy, i znów się popłakała. Kiedy

wyszedł, patrzyła przez okno i widziała, jak wędruje ulicą, stary człowiek uchodzący z Egiptu na pustkowie, idący w ślady dzieci Izraela. Zostało w nim jeszcze coś z dawnego człowieka - jego ortodoksja wprawdzie złagodniała, ale nadal miał żelazną wolę. Zniknął w tłumie, a ona odeszła od okna. Kiedy pomyślała o jego odwadze, zdecydowała, że nie może zerwać z Vandamem.

- To intrygująca dziewczyna - oświadczył Wolff - nie mogę jej do końca rozgryźć. - Siedział w łóżku przyglądając się, jak Sonia się ubiera. - Trochę nerwowa. Kiedy jej powiedziałem, że wybieramy się na piknik, miała przestraszona minę, stwierdziła, że prawie mnie nie zna, jakby potrzebowała przyzwoitki.

- Przy tobie potrzebowała - odrzekła Sonia.

- A przecież potrafi być konkretna i bezpośrednia.

- Przyrowadź ją tylko tu do mnie. Już ja ją rozgryzę.

- Jedno mnie niepokoi - Wolff zmarszczył brwi. Myślał głośno. - Ktoś próbował wskoczyć za nami do taksówki.

- Żebrak.

- Nie, to był Europejczyk.

- Europejski żebrak. - Sonia przestała czesać włosy, żeby przyjrzeć się w lustrze Wolffowi. - Wiesz, że w tym mieście roi się od wariatów. Posłuchaj, jeśli się wahasz, wyobraź sobie, że wije się na tym łóżku ze mną i z tobą po bokach.

Wolff się uśmiechnął. Był to kuszący, chociaż nie porywający obraz - fantazja Soni, a nie jego. Instynkt mu podpowiadał, żeby nie podejmować teraz żadnych kroków i z nikim się nie umawiać. Ale Sonia będzie nalegać - a przecież nadal jest mu potrzebna.

Sonia zagadnęła:

- Kiedy mam się skontaktować z Kemelem? Pewnie już wie, że tu mieszkasz.

Wolff westchnął. Kolejne spotkanie; kolejny obowiązek; kolejne ryzyko; ale też i kolejna osoba, której ochrony potrzebował.

- Zadzwoń do niego wieczorem z klubu. Nie palę się do tego spotkania, ale musimy go jakoś ugłaskać.

- Dobrze. - Była gotowa, taksówka już czekała. - Umów się z Elene.

Wyszła.

Wolff zdał sobie sprawę, że nie jest już tak zależna od niego jak dawniej. Mury, które budujesz dla własnej ochrony, stają się twoim więzieniem. Czy mógłby sobie pozwolić na sprzeciw? Tak, ale tylko w razie wyraźnego i bezpośredniego zagrożenia. Tymczasem był skazany na nieuchwytną nerwowość, intuicyjną potrzebę przyczajenia się. A Sonia, gdyby

naprawdę wpadła w złość, byłaby na tyle szalona, żeby go zdradzić. Musiał wybrać mniejsze niebezpieczeństwo.

Wstał z łóżka, znalazł papier i pióro, usiadł, żeby napisać liścik do Elene.

Wiadomość nadeszła w dzień po tym, jak ojciec Elene wyruszył do Jerozolimy. Przed drzwiami pojawił się mały chłopiec z kopertą. Elene dała mu napiwek i przeczytała list. Był krótki. "Droga Elene, proponuję spotkanie w restauracji "Oaza" w czwartek o ósmej. Z niecierpliwością czekam na to spotkanie. Ucałowania, Alex Wolff." Jego pismo, w przeciwieństwie do jego mowy, cechowała sztywność, mająca w sobie coś niemieckiego, ale może była to tylko jej wyobraźnia. Czwartek, czyli pojutrze. Nie wiedziała, czy się cieszyć, czy bać. Pierwszą myślą było zatelefonować do Vandama; potem zaczęła się wahać.

Vandam bardzo ją zaniepokoił. Wiedziała o nim tak niewiele. Co robił, kiedy nie tropił szpiegów? Czy słuchał muzyki, zbierał znaczki pocztowe, polował na kaczki? Interesował się poezją, architekturą albo starymi dywanami? Jaki był jego dom? Z kim mieszkał? Jakiego koloru była jego piżama?

Chciała załagodzić ich kłótnię, chciała zobaczyć, gdzie mieszka. Miała teraz pretekst, żeby się z nim skontaktować, zamiast więc telefonować, uda się do jego domu.

Postanowiła zmienić sukienkę, później postanowiła wziąć najpierw kąpiel, wreszcie zdecydowała się umyć jeszcze włosy. Siedząc w wannie rozważała, którą sukienkę włożyć. Przywołała w pamięci spotkania z Vandamem, próbując sobie przypomnieć, co wówczas miała na sobie. Nigdy nie widział blad różowej sukienki z bufiastymi rękawami i długim rzędem guzików z przodu - była naprawdę śliczna.

Skropiła się lekko perfumami, potem włożyła jedwabną bieliznę, prezent od Johnniego, w której zawsze czuła się bardzo kobieco. Krótkie włosy szybko wyschły, usiadła więc przed lustrem, żeby je uczesać. Ciemne, piękne loki błyszcząły po myciu. Wyglądam zachwycająco, pomyślała, i uśmiechnęła się do siebie uwodzicielsko.

Wyszła z domu, biorąc ze sobą liścik od Wolffa. Vandam będzie ciekaw jego pisma. Kiedy chodziło o Wolffa, interesował go każdy najdrobniejszy szczegół, być może dlatego iż nigdy nie spotkali się twarzą w twarz, chyba że w ciemności lub na odległość. Pismo było bardzo staranne, łatwo czytelne, niemal jak artystyczne liternictwo - Vandam wysnuje z tego jakiś wniosek.

Udała się do Garden City. Była siódma, ale Vandam pracował do późna, miała więc jeszcze czas. Słońce wciąż mocno grzało, idąc rozkoszowała się ciepłem na ramionach i nogach. Zagwizdała za nią garstka żołnierzy, a ponieważ miała pogodny nastrój, posłała im uśmiech, więc szli za nią kilka przecznic, zanim skręcili do baru.

Była wesoła i pełna animuszu. Co za wspaniały pomysł, żeby pójść do niego do domu - o ile lepszy niż samotne siedzenie w mieszkaniu. Zbyt długo była samotna. Dla

swoich mężczyzn istniała tylko wówczas, gdy znajdowali czas, by ją odwiedzić; przejmowała ich poglądy, toteż pod ich nieobecność ogarniało ją uczucie, że nie ma co robić, nie ma żadnej roli, jaką mogłaby odgrywać, że nie ma w kogo się wcielić. Teraz skończyła z tym wszystkim. Ta decyzja, to wybranie się do niego bez zaproszenia dawało jej poczucie, że jest sobą, a nie osobą we śnie kogoś innego. Przyprawiło ją to niemal o zawrót głowy.

Łatwo znalazła dom. Była to niewielka willa we francuskim stylu kolonialnym, z kolumnami i wysokimi oknami, której biały kamień odbijał z bolesną wyrazistością wieczorne słońce. Przeszła przez krótki podjazd, nacisnęła dzwonek i czekała w cieniu portyku.

Do drzwi podszedł starszy, łysy Egipcjanin.

- Dobry wieczór pani - przywitał ją niczym angielski lokaj.

- Chciałabym się zobaczyć z majorem Vandamem. Nazywam się Elene Fontana.

- Pan major nie wrócił jeszcze do domu, proszę pani.

Służący zawahał się.

- Czy mogłabym zaczekać? - spytała Elene.

- Oczywiście, proszę pani.

Odsunął się, by ją przepuścić.

Przekroczyła próg. Rozejrzała się wokoło z nerwową ciekawości.

Znalazła się w chłodnym, wyłożonym kafelkami holu z wysokim sufitem. Zanim zdołała to wszystko ogarnąć myślą, służący powiedział: - Tędy, proszę pani. - Wprowadził ją do salonu. - Jestem Gaafar. Proszę mnie wezwać, gdyby pani czegoś potrzebowała.

- Dziękuję, Gaafar.

Służący wyszedł. Elene była podniecona tym, że jest w domu Vandama i że może się w samotności rozejrzeć. W salonie zobaczyła duży marmurowy kominek i wiele bardzo angielskich mebli, przyszło jej do głowy, że to nie on sam go meblował. Wszystko było czyste, porządne i niezbyt zamieszkane. Co mówiło o jego charakterze? Być może nic.

Drzwi się otworzyły i wszedł mały chłopiec. Był bardzo ładny, miał kręcone ciemne włosy i gładką skórę kogoś, kto nie przeszedł jeszcze pokwitania. Wyglądał na dziesięć lat. Dziwnie znajoma twarz.

- Cześć, jestem Billy Vandam.

Elene patrzyła na niego z przerażeniem. Syn - Vandam miał syna! Wiedziała już, czemu wydał jej się znajomy - przypominał ojca. Dlaczego nie przyszło jej nigdy do głowy, że Vandam może być żonaty? Było nieprawdopodobne, by taki mężczyzna jak on - czarujący,

miły, przystojny, inteligentny, zbliżający się do czterdziestki - nie wpadł w czyjeś sidła., Jaką idiotką była sądząc, że będzie pierwszą, która go pożąda! Poczuli się tak głupio, aż się zarumieniła.

Podala Billy'emu rękę.

- Dzień dobry - powiedziała. - Nazywam się Elene Fontana.

- Nigdy nie wiemy, o której tatuś wróci do domu - rzekł Billy. - Mam nadzieję, że nie będzie pani musiała długo czekać.

Nie doszła jeszcze do siebie.

- Nie martw się, nic nie szkodzi...

- Może ma pani ochotę czegoś się napić? A może na coś innego?

Był bardzo grzeczny, jak jego ojciec, a w tym przestrzeganiu etykiety było coś rozbijającego. Elene powiedziała:

- Nie, dziękuję.

- Muszę już iść na kolację. Przykro mi, że panią zostawiam.

- Nic nie szkodzi...

- Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę wezwać Gaafara.

- Dziękuję.

Chłopiec wyszedł, Elene usiadła ciężko. Była zdezorientowana, jak gdyby we własnym domu odkryła drzwi do pokoju, o którego istnieniu nie wiedziała. Na marmurowym gzymsie nad kominkiem zauważyła fotografię, wstała żeby ją obejrzeć. Było to zdjęcie pięknej dwudziestokilkuletniej kobiety, chłodnej kobiety o arystokratycznym wyglądzie, z lekko wyniosłym uśmiechem na twarzy. Elene podziwiała jej suknię, jedwabistą i zwiewną, spływającą eleganckimi fałdami z wysmukłej figury. Fryzura i makijaż kobiety były bez skazy. Oczy miała dziwnie znajome, wyraziste, spostrzegawcze i jasne - Elene zdała sobie sprawę, że takie oczy ma Billy. A więc to matka Billy'ego - żona Vandama. Była, oczywiście, dokładnie taką kobietą, jaką powinien mieć za żonę, klasyczną angielską pięknoscia, nie pozbawioną aury wyniosłości.

Elene poczuła się naprawdę jak idiotka. Kobiety tej klasy tłoczyły się, żeby poślubić kogoś takiego jak Vandam. Miałyby odrzucić je wszystkie, po to, by polecieć na egipską kurtyzanę! Wylizwała rzeczy, które ich różniły: on był szacowny, a ona miała złą opinię; on był Anglikiem, a ona Egipcjanką; on był prawdopodobnie chrześcijaninem, a ona Żydówką; on pochodził z dobrego domu, a ona ze slumsów Aleksandrii; on zbliżał się do czterdziestki, a ona miała dwadzieścia trzy lata... Lista była długa.

Z tyłu za ramką fotografii zatknięto stronicę wydartą z czasopisma. Papier był stary i pożółkły. Na stronicy widniała ta sama fotografia. Elene stwierdziła, że pochodzi ona z czasopisma "The Tatler". Słyszała o nim - czytały go namiętnie żony pułkowników w Kairze, podawało bowiem informacje o wszystkich banalnych wydarzeniach z życia socjety londyńskiej - przyjęcia, bale, spotkania charytatywne, wernisaże i poczynania rodziny królewskiej. Zdjęcie pani Vandam wypełniało większą część stronicy, akapit zaś druku pod zdjęciem informował, że Angela, córka sir Petera i lady Beresford zaręczyła się z porucznikiem Williamem Vandamem, synem państwa Vandam z Gately, w hrabstwie Dorset. Elene złożyła wycinek i wetknęła go na miejsce.

Portret rodzinny był kompletny. Atrakcyjny oficer brytyjski, chłodna, pewna siebie żona Angielka, inteligentny, czarujący syn, piękny dom, pieniądze, klasa i szczęście. Cała reszta była snem.

Krażyła po pokoju zastanawiając się, czy kryje jeszcze jakieś szokujące sekrety. Pokój został, oczywiście, urządzony przez panią Vandam z doskonałym, pozbawionym życia smakiem. Gustowny wzór na zasłonach harmonizował ze stonowaną barwą obić i elegancko prążkowanej tapety. Elene zastanawiała się, jak też może wyglądać ich sypialnia. Zgadywała, że będzie również chłodna i w dobrym guście. Być może dominującym kolorem będzie błękitnozielony, odcień, który nazywano eau de Nil, chociaż w niczym nie przypominał błotnistych wód Nilu. Czy stoi tam podwójne łóżce? Miała taką nadzieję. Nigdy się nie dowie.

Pod jedną ze ścian stało pianino. Zastanawiała się, kto na nim grywa. Może pani Vandam siadywała tu czasami, wieczorem, wypełniając powietrze Chopinem, podczas gdy Vandam siedział w fotelu, o tam, przypatrując jej się z czułością. A może Vandam akompaniował sobie, gdy śpiewał jej silnym tenorem romantyczne ballady. Może Billy miał nauczyciela i ćwiczył niepewne gamy każdego popołudnia po powrocie ze szkoły. Przejrzała plik partytur w przegródce taboretu przy pianinie. Nie pomyliła się z Chopinem - w zbiorze mieli wszystkie jego walce.

Wzięła książkę z pianina i otworzyła. Przeczytała pierwszą linijkę: "Śniło mi się tej nocy, że znów jestem w Manderley." Zaintrygowały ją początkowe zdania; ciekawe, czy Vandam czyta tę książkę. Może mogłaby ją pożyczyć - byłoby miło mieć coś, co należało do niego. Z drugiej strony odnosiła wrażenie, że nie jest namiętym czytelnikiem powieści. Nie chciała pożyczyc tej książki od jego żony.

Wszedł Billy. Elene odłożyła gwałtownie książkę, doznając irracjonalnego poczucia winy, jak gdyby szpiegowała. Billy dostrzegł jej gest.

- Ta nie jest dobra - powiedział. - To o jakiejś głupiej dziewczynie, która boi się gospodyni swojego męża. Nie ma żadnej akcji.

Elene usiadła, Billy usiadł naprzeciw niej. Najwidoczniej miał ją zabawiać. Był miniaturową kopią swojego ojca, z wyjątkiem tych wyrazistych szarych oczu.

- A więc ją czytałeś?

- "Rebekę"? Tak. Ale nie bardzo mi się podobała. Mimo to zawsze doczytuję do końca.

- A co lubisz czytać?

- Najbardziej lubię detektywy.

- Detektywy?

- Powieści detektywistyczne. Przeczytałem całą Agathę Christie i Dorothy Sayers. Chociaż najbardziej lubię amerykańskie: S. S. Van Dine'a i Raymonda Chandlera.

- Naprawdę? - Elene uśmiechnęła się. - Ja też lubię powieści kryminalne, bez przerwy je czytam.

- Och! A kto jest pani ulubionym detektywem?

Elene zastanowiła się.

- Maigret.

- Nigdy o nim nie słyszałem. Jak się nazywa autor?

- George Simenon. Pisze po francusku, ale część książek przetłumaczono na angielski. Rozgrywają się najczęściej w Paryżu. Są bardzo... skomplikowane.

- Pożycz mi pani jedną? Tak trudno zdobyć nowe książki, przeczytałem już wszystkie w tym domu i w bibliotece szkolnej. Wymieniam się z kolegami, ale wie pani, oni lubią historie o dzieciach, które mają przygody podczas wakacji.

- Chętnie - powiedziała Elene. - Wymieńmy się. Co mi pożyczysz? Zdaje się, że nie czytałam żadnych amerykańskich.

- Pożyczę pani Chandlera. Amerykańskie są bliższe życiu. Mam dosyć tych historii o angielskich dworach i ludziach, którzy prawdopodobnie nie potrafiliby zabić nawet muchy.

Dziwne, pomyślała Elene, że chłopiec, dla którego angielski dworek mógłby stanowić część codziennego życia, uważa opowieści o amerykańskich detektywach za "bliższe życiu". Zawahała się, a potem spytała:

- Czy twoja mama czytuje powieści kryminalne?

Billy odpowiedział prędko:

- Moja matka zginęła w zeszłym roku na Krecie.

- Och!

Elene przykryła ręką usta; poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. A więc Vandam nie miał żony!

W chwilę później zawstydziła się, że to była jej pierwsza myśl, a dopiero potem współczuła dziecku.

- Billy, tak bardzo mi przykro.

Rzeczywista śmierć wkroczyła nagle w ich lekką rozmowę o kryminałach; Elene poczuła się zażenowana.

- W porządku - odparł Billy. - Wie pani, taka jest wojna.

Teraz był znowu jak ojciec. Przez chwilę, mówiąc o książkach, był pełen chłopięcego entuzjazmu, ale teraz włożył maskę, i była to pomniejszona wersja maski używanej przez ojca - uprzejmość, etykieta, postawa delikatnego gospodarza. Wie pani, taka jest wojna - usłyszał u kogoś te słowa i wykorzystał do własnej obrony. Zastanawiała się, czy jego przedkładanie "bliższych życiu" morderstw nad nieprawdopodobne zbrodnie w dworkach datowało się od śmierci matki. Teraz rozglądał się szukając czegoś, może natchnienia. Za chwilę zaproponuje jej papierosy, whisky, herbatę. Z trudem przychodziło jej powiedzieć coś pograżonemu w żałobie dorosłemu - w przypadku Billy'ego czuła się bezradna. Postanowiła mówić o czymś innym.

Nawiązała niezręcznie:

- Sądzę, że skoro twój tata pracuje w Kwaterze Głównej, masz więcej informacji o wojnie niż pozostali.

- Chyba tak, ale zwykle nie wszystko rozumiem. Kiedy tata przychodzi do domu w złym humorze, wiem, że przegraliśmy kolejną bitwę. - Zaczął gryźć paznokcie, potem włożył ręce do kieszeni spodni. - Wolałbym być starszy.

- Chciałbyś walczyć?

Popatrzył na nią ostro, jak gdyby sądził, że się z niego naśmiewa.

- Nie jestem jak te dzieciaki, co sądzą, że to wspaniała zabawa, jak na kowbojskim filmie.

- Jestem o tym przekonana - mruknęła.

- Tylko boję się, że Niemcy zwyciężą.

Elene pomyślała: Och, Billy, gdybyś był dziesięć lat starszy, zakochałabym się również w tobie.

- Może nie będzie tak źle - powiedziała. - To nie potwory.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem - nie powinna być wobec niego taka opiekuńcza.

- Tylko postąpiliby wobec nas tak samo, jak my postępujemy od pięćdziesięciu lat wobec Egipcjan.

Była przekonana, że to kolejna kwestia jego ojca.

- Ale wówczas wszystko byłoby na próżno - dodał Billy.

Zaczął znowu obgryzać paznokcie, tym razem jednak się nie pohamował, Elene zastanawiała się, co byłoby na próżno - śmierć jego matki? Jego osobista walka o odwagę? Dwuletnia wojenna huśtawka na pustyni? Cywilizacja europejska?

- No cóż, na razie do tego nie doszło - powiedziała bez przekonania.

Billy spojrział na zegar na kominku.

- O dziewiątej muszę iść do łóżka. - Nagle znów był dzieckiem.

- W takim razie lepiej już idź.

- Tak.

Wstał.

- Czy mogę przyjść za kilka minut i powiedzieć ci dobranoc?

- Jeśli ma pani ochotę. - Wyszedł.

Jakie życie prowadzili w tym domu, zastanawiała się Elene. Mężczyzna, chłopiec i stary służący żyli tu razem, każdy z własnymi troskami. Czy było tu miejsce na śmiech, dobroć i serdeczność? Czy mieli czas na różne gry, śpiewanie piosenek i pikniki? W porównaniu z jej własnym, dzieciństwo Billy'ego było o wiele szczęśliwsze, niemniej obawiała się, że chłopcu może być trudno dorastać w takim otoczeniu, tylko wśród starszych. Jego dziecięco-dorośla mądrość była czarująca, ale wyglądał na dziecko, które ma zbyt mało radości. Uczuła przypływ współczucia - pozbawione matki dziecko w obcym kraju okupowanym przez wrogie armie.

Opuściła salon i poszła na górę. Na drugim piętrze znajdowało się kilka sypialni, a wąskie schody prowadziły na trzecie piętro, gdzie prawdopodobnie sypiał Gaafar. Drzwi jednej z sypialni były otwarte, weszła więc do środka.

Nie wyglądało to na sypialnię małego chłopca. Elene nie wiedziała wiele o małych chłopcach - sama miała cztery siostry - ale spodziewała się zastać modele samolotów, układanki, kolejkę, sprzęt sportowy, może też starego, zapomnianego misia. Nie zdziwiłoby jej ubranie na podłodze, zestaw konstrukcyjny na łóżku i para brudnych butów do piłki nożnej na wypolerowanym blacie biurka. Ale pokój mógł niemal uchodzić za sypialnię dorosłego. Ubranie leżało porządnie na krześle, góra komody była pusta, podręczniki szkolne stały równo ustawione na biurku, a jedyną widoczną zabawką był tekturowy model

czołgu. Billy był w łóżku, w prążkowanej piżamie zapiętej pod szyję, przy nim na kocu leżała książka.

- Podoba mi się twój pokój - powiedziała nieszczercze Elene.

Billy stwierdził: - Jest fajny.

- Co czytasz?

- "Tajemnicę greckiej trumny".

Usiadła na krawędzi łóżka.

- Nie czytaj zbyt długo.

- Muszę gasić światło o wpół do dziesiątej.

Nagle pochyliła się i pocałowała go w policzek.

W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł Vandam.

Wstrząsnęła nim swojskość tej sceny - chłopiec w łóżku, z książką, światło lampki nocnej, kobieta pochylająca się, żeby pocałować chłopca na dobranoc. Vandam stał i patrzył, czując się jak ktoś, kto wie, że śni, a mimo to nie może się przebudzić.

Elene wstała i przywitała się:

- Cześć, William.

- Cześć, Elene.

- Dobranoc, Billy.

- Dobranoc, pani Fontana.

Minęła Vandama i wyszła z pokoju. Vandam usiadł na skraju łóżka w pozostawionym przez nią wgłębieniu w pościeli.

- Zabawiałeś naszego gościa?

- Tak.

- Zuch chłopak.

- Lubię ją, bo czyta powieści kryminalne. Będziemy wymieniać książki.

- To wspaniale. Odrobiłeś lekcje?

- Tak, słówka francuskie.

- Chcesz, żebym cię przepytał?

- Nie trzeba, Gaafar mnie przepytał. Bardzo piękna, prawda?

- Tak. Pracuje nad czymś dla mnie, ale sza, to tajemnica.

- Milczę jak grób.

Vandam uśmiechnął się.

- W porządku.

Billy ściszył głos.

- To ona jest, no wiesz, tajną agentką?

Vandam położył palec na ustach.

- Ściany mają uszy.

Chłopiec spojrzał podejrzliwie.

- Nabierasz mnie?

Vandam w milczeniu pokręcił głową.

Billy powiedział:

- O raju!

Vandam wstał.

- Gasisz światło o wpół do dziesiątej.

- Zgoda. Dobranoc.

- Dobranoc, Billy.

Vandam wyszedł. Kiedy zamknął drzwi, przemknęło mu przez głowę, że pocałunek Elene na dobranoc przyniósł Billy'emu więcej dobrego niż męska pogawędka z ojcem.

Zastał Elene w salonie, przyrządzała martini. Uznał, że powinien czuć się nieco bardziej urażony, bo tak się rozgościła w jego domu, ale był zbyt zmęczony, by stroić fochy. Osunął się z wdzięcznością na fotel i przyjął koktajl.

- Ciężki dzień? - spytała Elene.

Cały wydział Vandama pracował nad nową procedurą zabezpieczenia radiowego, którą wprowadzano po zdobyciu niemieckiej stacji nasłuchu na Wzgórzu Jezusa, ale Vandam nie chciał tego mówić Elene. Miał również poczucie, że Elene odgrywa rolę pani domu, do czego nie miała żadnego prawa.

- Dlaczego tu przyszedłeś? - spytał.

- Mam randkę z Wolffem.

- To wspaniale! - Vandam momentalnie zapomniał o mniej istotnych sprawach. - Kiedy?

- W czwartek. - Podała mu kartkę.

Było to utrzymane w stanowczym tonie wezwanie napisane wyraźnym, stylowym pismem. - W jaki sposób to dostałaś?

- Jakiś chłopak przyniósł do mojego mieszkania.

- Wypytałaś go? Gdzie i od kogo dostał tę kartkę i tak dalej?

Zwiesiła głowę. - Nie wpadło mi to do głowy.

- Nieważne. - I tak Wolff na pewno przedsięwziął środki ostrożności; chłopak nie mógł wiedzieć niczego istotnego.

- Co zrobimy? - zapytała Elene.

- To samo co ostatnim razem. Tylko lepiej. - Vandam starał się sprawiać wrażenie bardziej pewnego siebie, niż był w rzeczywistości. To powinno być proste. Mężczyzna umawia się z dziewczyną na randkę, a więc trzeba obstawić miejsce spotkania i aresztować go, kiedy tylko się pojawi. Ale Wolff był nieobliczalny. Nie uda mu się uciec za pomocą triku z taksówką: Vandam z dwudziestoma lub trzydziestoma ludźmi otoczy restaurację. Będzie kilka samochodów, zapory drogowe w pogotowiu i tak dalej. Wolff może jednak spróbować innej sztuczki. Vandam nie miał pojęcia jakiej - i na tym polegał problem.

- Nie chcę z nim spędzić jeszcze jednego wieczoru - powiedziała Elene, jakby czytając w jego myślach.

- Dlaczego?

- Boję się go.

Vandama ogarnęło poczucie winy - pamiętaj o Istambule - stłumił odruch współczucia. - Ostatnim razem nie zrobił ci nic złego.

- Nie próbował mnie uwieść, nie musiałam więc powiedzieć mu: nie. Ale teraz spróbuje i mojego "nie" na pewno nie przyjmie do wiadomości.

- Wyciągnęliśmy wnioski z poprzedniej wpadki - powiedział Vandam z fałszywą pewnością siebie. - Tym razem nie popełnimy pomyłki. - W głębi duszy się dziwił, że Elene była tak zdecydowana nie pójść do łóżka z Wolffem. Sądził, że takie sprawy niewiele dla niej znaczą. Najwidoczniej pomylił się w jej ocenie. Fakt, że zobaczył ją w nowym świetle, wprowadził go w bardziej pogodny nastrój. Zdecydował, że musi być z nią szczerzy. - Jeszcze raz powinienem przemyśleć całą akcję - powiedział. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby tym razem nie było pomyłek.

Do pokoju wszedł Gaafar i oznajmił: - Podano do stołu, panie majorze - Vandam uśmiechnął się: Gaafar odgrywał angielskiego kamerdynera, by uczcić obecność kobiety.

- Jadłaś już coś? - zwrócił się Vandam do Elene.

- Nie.

- Co dziś mamy, Gaafar?

- Dla pana, panie majorze, bulion, jajecznicę i jogurt. Jednak dla panny Fontana pozwoliłem sobie przygotować kotlet z polędwicy.

- Zawsze tak jadasz? - zapytała Vandama Elene.

- Nie, to przez ten policzek. Nie mogę żuć. - Podniósł się z miejsca.

Kiedy weszli do jadalni, Elene spytała: - Wciąż cię boli?

- Tylko kiedy się śmieję. Naprawdę. Nie mogę naciągać mięśni po tej stronie twarzy. Nauczyłem się uśmiechać jedną stroną.

Usiedli. Gaafar podał zupę.

- Bardzo lubię twojego syna - powiedziała Elene.

- Ja też.

- Jest dojrzały ponad swój wiek.

- Czy to źle?

Wzruszyła ramionami. - Któż to może wiedzieć?

- Ma za sobą takie przejścia, jakie powinny być zarezerwowane tylko dla dorosłych.

- Tak. - Elene zawahała się. - Kiedy umarła twoja żona?

- W czterdziestym pierwszym, dwudziestego ósmego maja wieczorem.

- Billy powiedział mi, że to się stało na Krecie.

- Tak. Pracowała w Siłach Powietrznych jako szyfrantka. W tym czasie, kiedy Niemcy dokonali inwazji na Kretę, była tam czasowo odkomenderowana. Właśnie dwudziestego ósmego maja Brytyjczycy doszli do wniosku, że bitwa jest przegrana, i zdecydowali się na ewakuację. Angelę trafił zabłąkany pocisk. Zginęła na miejscu. Oczywiście w pierwszym rzędzie próbowano wydostać stamtąd żywych, a nie ciała, tak że... Widzisz, nie ma grobu. Nie ma nagrobka. Nic nie zostało.

- Wciąż ją kochasz? - zapytała cicho Elene.

- Myślę, że zawsze będę ją kochał. Sądzę, że tak jest z tymi, których kochamy naprawdę. Odchodzą czy umierają... to nie ma znaczenia. Zawsze będę kochać Angelę, nawet jeżeli się kiedyś ożenię.

- Byliście bardzo szczęśliwi?

- My... - Zawahał się, nie chcąc odpowiedzieć. Po chwili się zorientował, że w jego wahanu była odpowiedź. - Nasze małżeństwo nie było idyllą. To ja byłem zaangażowany... Angela mnie lubiła.

- Ożenisz się jeszcze?

- Anglicy w Kairze bez przerwy podsuwają mi kolejne wersje Angeli. - Wzruszył ramionami. Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Elene chyba zrozumiała, bo umilkła i zaczęła jeść deser.

Po obiedzie Gaafar podał im kawę w salonie. Nadeszła pora, kiedy Vandam zazwyczaj na serio zabierał się do butelki. Jednakże tego wieczoru nie miał ochoty na alkohol. Wysłał Gaafara do łóżka. Pili kawę, a Vandam palił papierosa.

Nabrał chęci na posłuchanie muzyki. Niegdyś uwielbiał jej słuchać, ostatnio jednak zniknęła z jego życia. Teraz, w łagodnym nocnym powietrzu wpływającym przez otwarte okna i w dymie snującym się z papierosa, chciał usłyszeć czyste, cudowne dźwięki, słodkie harmonie i subtelne rytmy. Podszedł do fortepianu i przejrzał partytury. Elene obserwowała go w milczeniu. Zaczął grać "Dla Elizy". Popłynęło kilka pierwszych taktów z właściwą Beethovenowi zabójczą prostotą... moment wahania i płynny pasaż. Umiejętność gry powróciła momentalnie, tak jakby nawet na moment nie przestał ćwiczyć. Zawsze uważał za cud, że jego dłonie same wiedziały, co robić.

Muzyka ucichła. Wrócił do Elene, usiadł obok i pocałował ją w policzek. Miała twarz mokrą od łez.

- Williamie, nawet nie wiesz, jak cię kocham - powiedziała.

Szeptają.

- Podobają mi się twoje uszy - mówi ona.

- Nikt ich jeszcze nie lizał - odpowiada on.

Ona chichocze. - Lubisz to?

- Tak, tak. - Wzdycha. - Czy mogę...?

- Rozepnij guziki... tak... dobrze... aach....

- Zgaszę światło.

- Nie, chcę cię widzieć...

- Księżyc świeci. - Pstryknięcie. - Widzisz? Światło księżycy wystarczy.

- Wracaj tu szybko...

- Już jestem.

- Pocałuj mnie jeszcze, Williamie.

Przez chwilę milczą.

- Czy mogę to zdjąć? - pyta on.

- Pomogę ci... o, już.

- Och! Są takie piękne.

- Tak się cieszę, że ci się podobają... zrób to nieco mocniej... possij trochę... aaach,

Boże...

W chwilę potem ona mówi:

- Pozwól mi dotknąć twojej piersi. Przekłęte guziki... porwałam ci koszulę...

- Do diabła z nią.

- Ach, wiedziałam, że tak będzie... Spójrz.

- Na co?

- Nasze ciała, w świetle księżycy... jesteś taki blady, a ja prawie czarna...

- Tak.

- Dotykaj mnie. Głaszcz. Ściskaj, gnieć i odkrywaj, chcę wszędzie czuć twoje ręce...

- Tak...

- ...wszędzie, twoje dłonie, tam, tak, właśnie tam, och, wiesz, wiesz dokładnie gdzie, och!

- Jesteś taka miękka w środku.

- To chyba sen.

- Nie, to jawa.

- Chcę śnić bez końca.

- Jesteś taka miękka...

- A ty taki twardy... Czy mogę go pocałować?

- Tak, proszę... Ach... Jezu, jak cudownie... Jezu...

- Williamie?

- Tak?

- Teraz?

- Och, tak.

- ...zdejmij je.

- Pończochy.

- Tak. Pośpiesz się.

- Tak.

- Od tak dawna tego chciałam...

Gwałtownie wciąga powietrze, jakby szlochała, a potem przez wiele minut słyhać tylko ich oddechy, aż w końcu on zaczyna głośno krzyczeć. Ona tłumi jego krzyki pocałunkami. Wtedy też to czuje, odwraca twarz, otwiera usta i krzyczy z głową wciśniętą w poduszkę. Vandam, nie przyzwyczajony do takich sytuacji, myśli, że coś się stało, i zaczyna ją uspokajać:

- Już dobrze, dobrze, dobrze...

...aż wreszcie ona opada bezwładnie i leży przez chwilę z zamkniętymi oczyma czekając, aż uspokoi jej się oddech. Potem patrzy na niego i mówi:

- A więc to tak miało wyglądać!

On się śmieje. Elene patrzy na niego pytająco, więc wyjaśnia:

- Dokładnie tak to sobie wyobrażałem.

Śmieją się oboje.

- Robiłem wiele rzeczy potem... wiesz, potem, jak... ale nie sądzę, żebym się śmiał.
- Tak się cieszę. Och, Williamie, tak się cieszę.

Rommel czuł zapach morza. Upał, kurz i muchy były w Tobruku równie dokuczliwe jak na pustyni, ale dało się tu wytrzymać dzięki słabej bryzie, od czasu do czasu przynoszącej podmuch słonej wilgoci.

Do wozu sztabowego wszedł von Mellenthin z raportem wywiadu. - Dobry wieczór, panie feldmarszałku.

Rommel uśmiechnął się. Awans otrzymał po zdobyciu Tobruku i jeszcze się nie przyzwyczał do nowego tytułu. - Coś nowego?

- Wiadomość od szpiega w Kairze. Donosi, że centrum Linii Mersa Matruh jest słabe.

Rommel zaczął przeglądać raport. Uśmiechnął się przeczytawszy, że alianci przewidują jego próbę przedarcia się poniżej południowego skrzydła obrony: wygląda na to, że zaczynają pojmować jego sposób myślenia. - A więc w tym punkcie pole minowe jest słabsze... ale tu linii bronią dwie kolumny. Co to takiego kolumna?

- To ich nowy termin. Zgodnie z zeznaniami jednego z jeńców wojennych, kolumna to grupa w sile brygady, która dwukrotnie została rozbita przez wojska pancerne.

- Czyli że to słaba siła bojowa.

- Tak.

Rommel postukał palcem wskazującym w raport. - Jeżeli to prawda, to możemy rozerwać Linie Mersa Matruh, jak tylko tam dotrzemy.

- Oczywiście w ciągu najbliższych dwóch dni postaram się sprawdzić raport szpiega - powiedział von Mellenthin. - Ale ostatnim razem miał rację.

Drzwi wozu otworzyły się na oścież i do środka wszedł Kesselring.

Rommel był zaskoczony. - Pan feldmarszałek? - wykrzyknął. - Myślałem, że jest pan na Sycylii.

- Byłem - odparł Kesselring i kilkoma tupnięciami strząsnął kurz ze swoich ręcznie szytych wojskowych butów. - Przyleciałem, żeby się z panem zobaczyć. Do diabła, Rommel, tak dłużej być nie może. Ma pan wystarczająco jasne rozkazy: zająć Tobruk i ani kroku dalej.

Rommel odchylił się do tyłu na składanym płóciennym krześle. Miał nadzieję, że Kesselringa nie będzie przy tej rozmowie. - Okoliczności się zmieniły - zauważył.

- Ale pańskie rozkazy zostały potwierdzone przez Naczelne Dowództwo Włoskie - powiedział Kesselring. - A pan co zrobił? Podziękował za "rady" i zaprosił Bastica na obiad w Kairze!

Nic tak nie doprowadzało Rommla do szału jak rozkazy od Włochów. - Podczas tej wojny Włosi niczego nie dokonali - odparł gniewnie.

- To nie ma nic do rzeczy. Pańskie wsparcie powietrzne i morskie jest nam potrzebne do ataku na Malte. Kiedy ją zdobędziemy, będzie pan miał bezpieczne linie zaopatrzeniowe i ruszy pan na Egipt.

- Niczego się nie nauczyliście! - powiedział Rommel. Z trudem udało mu się nie podnosić głosu. - Kiedy my będziemy się okopywać, przeciwnik robi to samo. Gdybym bawił się w tę starą grę: atak, umocnienie i znów atak, to nigdy nie dotarłbym tak daleko. Kiedy oni atakują, ja odskakuję; kiedy oni bronią pozycji, omijam ją; a kiedy się cofają, gonię ich. Teraz uciekają i nadeszła chwila, żeby zdobyć Egipt.

Kesselring nie wyglądał na poruszonego. - Mam kopię pańskiej depeszy do Mussoliniego. - Wyjął z kieszeni kartkę i zaczął czytać: - Stan i morale oddziałów, aktualne zaopatrzenie wojsk dzięki zdobyciu magazynów frontowych wroga oraz słabość przeciwnika pozwalają nam na pościg w głąb terytorium Egiptu. - Złożył depeszę i zwrócił się do von Mellenthina: - Ile mamy niemieckich czołgów i ludzi?

Rommel z trudem opanował pokusę, by zabronić von Mellenthinowi odpowiedzi: wiedział, że był to jego słaby punkt.

- Sześćdziesiąt czołgów i dwa tysiące pięciuset ludzi, panie feldmarszałku.

- Jakie są siły Włochów?

- Sześć tysięcy i czternaście czołgów.

Kesselring odwrócił się do Rommla. - I pan chce zdobyć Egipt mając łącznie siedemdziesiąt cztery czołgi? Von Mellenthin, jakie są nasze szacunki odnośnie nieprzyjaciela?

- Siły aliantów są około trzykrotnie liczniejsze od naszych, ale...

- Oto chodzi...

- ...ale jesteśmy świetnie zaopatrzeni w żywność, osprzęt, ciężarówki, pojazdy opancerzone i paliwo, no i morale wojsk jest doskonałe.

- Von Mellenthin - powiedział Rommel - proszę iść do wozu radiowego i zobaczyć, co odebrali.

Von Mellenthin zmarszczył brwi, ale że Rommel nie udzielił wyjaśnień, wyszedł z wozu.

- Alianci przegrupowują się w Mersa Matruh - powiedział Rommel. - Spodziewają się, że obejdziemy południowe skrzydło ich linii obronnych. Zamiast tego uderzymy w środek, tam gdzie są najsłabsi...

- Skąd pan to wszystko wie? - przerwał Kesselring.

- Doniesienia wywiadu.

- Na czym oparte?

- Głównie na raportach szpiega...

- Na Boga! - Kesselring po raz pierwszy podniósł głos. - Brakuje panu czołgów, za to ma pan swojego szpiega!

- Ostatnim razem jego informacje się potwierdziły.

Do wozu wrócił von Mellenthin.

- To wszystko nie ma znaczenia - ciągnął Kesselring. - Jestem tu, żeby potwierdzić rozkazy Fuhrera: nie wolno panu iść dalej.

Rommel uśmiechnął się. - Wysłałem osobistego kuriera do Fuhrera.

- Pan...?

- Jestem teraz feldmarszałkiem; mam bezpośredni dostęp do Hitlera.

- Oczywiście.

- Myślę, że von Mellenthin otrzymał odpowiedź Fuhrera.

- Tak - potwierdził von Mellenthin i odczytał depezę: - Bogini Wojny uśmiecha się tylko raz w życiu. Idź na Kair. Adolf Hitler.

Zapadła cisza.

Kesselring wyszedł z wozu.

Po wejściu do swojego biura Vandam dowiedział się, że poprzedniego wieczoru Rommel zbliżył się do Aleksandrii na odległość dziewięćdziesięciu kilometrów.

Wyglądało na to, że nic nie jest w stanie go zatrzymać. Linia Mersa Matruh pękła w połowie niczym zapalka. Na południu Trzynasty Korpus wycofywał się w popłochu, a na północy skapitulowała twierdza Mersa Matruh. Alianci po raz kolejny ponieśli porażkę - ale teraz już po raz ostatni. Nowa linia obrony zamykała czterdziestopięciokilometrową lukę między morzem a nieprzebytą Depresją Katarską. Jeżeli i ta linia padnie, to już koniec. Egipt należeć będzie do Rommła.

Te wiadomości nie potrafiły jednak zepsuć radosnego nastroju Vandama. Upłynęły ponad dwadzieścia cztery godziny od chwili, kiedy przebudził się o świcie na sofie w swoim salonie, trzymając w ramionach Elene. Od tej pory przepelniała go jakaś młodzieńcza wesołość. Wciąż rozpamiętywał drobne szczegóły: małe brązowe sutki, smak skóry, ostre paznokcie wbijające się w jego uda. Miał świadomość, że w biurze zachowuje się inaczej niż zwykle. Zwrócił list maszynistce, mówiąc: - Tu jest siedem błędów, lepiej to przepisz - i uśmiechnął się do niej promiennie. O mało nie spadła z krzesła. Pomyślał o Elene i postawił sobie pytanie: - Dlaczego by nie? Do diabła, dlaczego by nie? - i nie mógł na nie znaleźć odpowiedzi.

Z rana odwiedził go oficer ze Specjalnej Jednostki Łączności. Każdy kto trzymał rękę na pulsie wydarzeń w Kwaterze Głównej, wiedział, że SJŁ posiada specjalne, supertajne źródło informacji. Panowały różne opinie co do jego jakości, a szacunki były utrudnione ze względu na fakt, że SJŁ nigdy nie ujawniała informatorów. Mimo że Brown był w randze kapitana, najwyraźniej nie był zawodowym wojskowym. Oparł się o krawędź stołu i trzymając w ustach cybuch fajki, zapytał: - Ewakuujesz się, Vandam?

Ludzie z tego środowiska żyli we własnym świecie i nie było sensu im tłumaczyć, że kapitan powinien zwracać się do majora per "panie majorze".

- Co? Ewakuacja? Dlaczego? - zapytał Vandam.

- Nasi ludzie wyjeżdżają do Jerozolimy. Również ci, którzy wiedzą za dużo. Lepiej trzymać ich z dala od łap wroga.

- A więc ci na górze stają się nerwowi. - To było logiczne: Rommel mógł przebyć dziewięćdziesiąt kilometrów w ciągu jednego dnia.

- Zobaczysz, że na stacji będą zamieszki. Połowa Kairu stara się stąd wydostać, a druga połowa się stroi na powitanie wolności. Ha!

- Chyba nie rozgłaszacie tego, że się wynosicie...

- Nie, nie, nie,. Ale do rzeczy. Mam dla ciebie drobną informację. Wszyscy wiemy, że Rommel ma szpiega w Kairze.

- Skąd o tym wiesz? - zapytał Vandam.

- Cynk przyszedł z Londynu, stary. Faceta zidentyfikowano jako, cytuję: "bohatera afery Rashid Alego". Coś ci to mówi?

Vandama zamurowało. - I to jeszcze jak!

- No dobra, to wszystko. - Brown zsunął się ze stołu.

- Chwileczkę - powstrzymał go Vandam. - Czy to wszystko?

- Obawiam się, że tak.

- Skąd pochodzi ta informacja? rozszyfrowana depesza czy raport agenta?

- Wystarczy, jak ci powiem, że pochodzi z wiarygodnego źródła.

- Zawsze tak mówicie.

- Tak. No cóż, przez jakiś czas chyba się nie zobaczymy. Powodzenia.

- Dzięki - wymamrotał nieobecny myślami Vandam.

- No to cześć! - Brown wyszedł z pokoju, pykając z fajki.

Bohater afery Rashid Alego. To niewiarygodne, że właśnie Wolff był tym człowiekiem, który przechytrzył go w Istambule. To jednak miało sens: Vandam przypomniał sobie dziwne uczucie, że styl Wolffa jest mu znajomy. Dziewczynie, którą Vandam wysłał na spotkanie tajemniczego mężczyzny, poderżnięto gardło.

A teraz wysła Elene przeciwko temu samemu człowiekowi.

Do pokoju wszedł kapral z rozkazem. Vandam czytał go z rosnącym niedowierzaniem. Wszystkie wydziały zobowiązywano do usunięcia i spalenia tych dokumentów z archiwum, które mogły stać się niebezpieczne w rękach wroga. W archiwum wywiadu właściwie wszystko mogło być niebezpieczne w rękach wroga. Równie dobrze Vandam mógłby spalić całe archiwum. Ale jak miał później funkcjonować wydział? Najwyraźniej tam, na górze, sądzono, że wydziały przez długi czas w ogóle nie będą działać. Oczywiście, był to środek ostrożności, ale bardzo drastyczny. Nie zdecydowano by się zniszczyć rezultatów wieloletniej pracy, gdyby nie bardzo realna szansa, że Niemcy zajmą Egipt.

Wszystko pęka, pomyślał. Rozpada się.

To było niewiarygodne. Vandam poświęcił trzy lata życia na obronę Egiptu. Tysiące ludzi zginęło na pustyni. Czy po tym wszystkim możliwa była klęska? Po prostu zrezygnujemy, zrobimy w tył zwrot i uciekniemy? To nie wchodziło nawet w zakres rozważań.

Zawołał Jakesa i obserwował go, gdy ten czytał rozkaz. Jakes po prostu kiwnął głową, tak jakby się tego spodziewał.

- Trochę drastyczne, nieprawdaż? - zapytał Vandam.

- To mi przypomina raczej rozwój wydarzeń na pustyni - odparł Jakes. - Olbrzymim kosztem stworzyliśmy system wielkich magazynów frontowych, a teraz kiedy się wycofujemy, wysadzamy je w powietrze, żeby nie dostały się w ręce wroga.

Vandam skinął głową. - W porządku, zajmij się tym. Ze względu na morale postaraj się, żeby wyglądało to naturalnie. Wiesz: "ci na górze niepotrzebnie panikują" lub coś w tym stylu.

- Tak jest, panie majorze. Ułożę stos na podwórku na zapleczu, dobrze?

- Zgoda. Znajdź jakiś stary kosz na śmieci i zrób dziury w dnie. Dopilnuj, żeby wszystko dobrze się spaliło.

- A co z naszym własnym archiwum?

- Zaraz je przejrzę.

- Dobrze, panie majorze - powiedział Jakes i wyszedł.

Vandam otworzył szufladę kartoteki i zaczął sortować swoje dokumenty. Nieskończenie wiele razy w ciągu ostatnich trzech lat powtarzał sobie: nie ma potrzeby tego zapamiętywać, zawsze możesz tu zajrzeć. Były tam nazwiska i adresy, informacje tajnych służb o znaczniejszych osobach, szczegóły kodów, system cyrkulacji rozkazów, raporty ze spraw i małe dossier Wolffa, pełne pośpiesznych notatek. Jakes wniósł wielki karton z wydrukowaną z boku nazwą "Herbata Liptona" i Vandam zaczął wrzucać do niego papiery, myśląc: tak czują się ci, którzy przegrywają.

Karton był już do połowy wypełniony, kiedy kapral otworzył drzwi i powiedział:

- Panie majorze, chciałby się z panem widzieć major Smith.

- Niech wejdzie. - Vandam nie znał majora Smitha.

Major okazał się małym chudzielcem około czterdziestki, o wylupiastych niebieskich oczach. Wyglądał na zadowolonego z siebie.

- Sandy Smith, M16 - powiedział.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Czym mogę służyć kontrwywiadowi? - zapytał Vandam.

- Jestem kimś w rodzaju łącznika pomiędzy M16 a Sztabem Generalnym - wyjaśnił Smith. - Przeprowadzał pan dochodzenie w związku z książką pod tytułem "Rebeka"...

- Tak.

- Odpowiedź nadeszła naszym kanałem. - Smith z dumą zaprezentował kawałek papieru.

Vandam zapoznał się z notatką. Szef sekcji kontrwywiadu Portugalii, kontynuując dochodzenie w sprawie "Rebeki", wysłał jednego ze swoich ludzi do wszystkich anglojęzycznych księgarni w kraju. W Estoril znalazł księgarza, który przypomniał sobie, że sprzedał cały zapas książki - sześć egzemplarzy - pewnej kobiecie. W wyniku dalszego śledztwa ustalono, że chodzi o żonę attache wojskowego Niemiec w Lizbonie.

- To potwierdza moje przypuszczenia - powiedział Vandam. - Dziękuję za to, że zadał pan sobie trud, by przekazać informację.

- To żaden kłopot - powiedział Smith. - I tak jestem tu każdego ranka. Cieszę się, że mogłem pomóc.

Wyszedł z pokoju.

Powróciwszy do przerwanej pracy, Vandam zastanawiał się nad otrzymanymi wiadomościami. Było tylko jedno, na pierwszy rzut oka logiczne wyjaśnienie faktu, że książka przywędrowała z Estoril na Saharę. Bez wątpienia służyła za podstawę szyfru - i o ile nie było w Kairze dwóch działających z powodzeniem agentów, szyfru używanego przez Alexa Wolffa.

Wcześniej czy później informacja się przyda. Szkoda, że klucz do szyfru nie został przechwycony wraz z książką i rozszyfrowaną depeszą. Ta myśl przypomniła mu o tym, jak ważne jest zniszczenie jego tajnych dokumentów. Postanowił, że będzie bardziej bezwzględny w selekcji materiałów przeznaczonych do spalania.

Na końcu zajął się listą płac i wykazem awansów swoich podwładnych. Postanowił też je zniszczyć: mogły pomóc nieprzyjacielskiemu zespołowi badawczemu ustalić ich priorytety. Karton był już pełny. Dźwignął go na ramię i wyszedł na zewnątrz.

Jakes urządził palenisko w zardzewiałym zbiorniku na wodę ustawionym na ceglach. Kapral wrzucał papiery do ognia. Vandam cisnął na ziemię swój karton i przez chwilę wpatrywał się w płomienie. Przypomniała mu się Noc Gya Fawkesa obchodzona w Anglii: sztuczne ognie, pieczone ziemniaki i płonące wizerunki siedemnastowiecznego zdrajcy. Zwęglone kawałki papieru frunęły w górę w strumieniu gorącego powietrza. Vandam odwrócił się.

Chciał się zastanowić; zdecydował się na spacer. Wyszedł z Kwatery Głównej i ruszył w stronę centrum. Bolał go policzek. Pomyślał, że powinien się z tego cieszyć, bo to znak, że rana się goi. Zapuszczał brodę, żeby wyglądać znośniej, kiedy zdejmie opatrunek. Każdego ranka cieszył się, że nie musi już się golić.

Pomyślał o Elene i przypomniał sobie jej wygięte plecy i błyszczące od potu nagie piersi. Był zaszokowany tym, co zaszło po pocałunku - zaszokowany, ale i podniecony. To była dla niego noc odkryć - po raz pierwszy kochał się poza łóżkiem, po raz pierwszy widział, jak kobieta przeżywa orgazm tak samo jak mężczyzna, po raz pierwszy seks był raczej sposobem zaspokajania wzajemnych pragnień niż narzucaniem przez mężczyznę swojej woli mniej lub bardziej odpornej kobiecie. Oczywiście fatalnie się składało, że on i Elene zakochali się w tak beztronski sposób. Jego rodzina, przyjaciele i armia popadną w osłupienie na wieść, że chce się ożenić z "gorszą". Jego matka oczywiście uzna za stosowne wygłosić kilka uwag na temat odrzucenia przez Żydów nauk Jezusa. Vandam doszedł jednak do wniosku, że nie ma teraz czym się przejmować. Przecież za kilka dni oboje mogą nie żyć. Trzeba się wygrzewać w słońcu, póki jeszcze świeci, i niech szlag trafi przyszłość.

Jego myśli wciąż powracały do dziewczyny, której Wolff poderzwał gardło w Istambule. Czuł, że ogarnia go przerażenie na myśl, że w czwartek coś może się nie udać i Elene znów zostanie sam na sam z Wolffem.

Uświadomił sobie, że wszędzie dookoła panuje nastrój radosnego święta. Minął zatłoczony salon fryzjerski z gromadą kobiet stojących w oczekiwaniu na swoją kolej. Wyglądało na to, że sklepy z odzieżą przeżywają rozkwit. Ze spożywczego wyszła kobieta z koszem wyładowanym puszkami. Na chodniku przed sklepem ustawiła się kolejka klientów. W witrynie następnego sklepu pośpiesznie wykonany napis głosił: "Przepraszamy, brak kosmetyków". Vandam uświadomił sobie, że Egipcjanie przygotowują się do wyzwolenia i nie mogą się go już doczekać.

Czuł, że ogarnia go przytłaczające poczucie coraz bliższej klęski. Nawet niebo jakby pociemniało. Spojrzał w górę: było ciemne. Nad miastem unosiła się wirująca szara mgła, upstrzona drobinkami. Zorientował się, że to dym zmieszany z popiołem ze spalonych papierów. W całym Kairze Brytyjczycy palili swoje dokumenty i smolisty dym przesłaniał słońce.

Nagle ogarnęła Vandama wściekłość na siebie i na flegmę, z jaką armie aliantów przygotowywały się do klęski. Gdzie się podział duch Bitwy o Anglię? Co się stało z tą sławną mieszanką uporów, pomysłowości i odwagi, która zdawała się charakteryzować naród? A co ty masz zamiar zrobić? - zapytał się w duchu Vandam.

Zawrócił i poszedł w stronę Garden City, gdzie w zarekwirowanych willach rozlokowała się Kwatera Główna. Przypomniał sobie plan Linii El Alamein - ostatniego punktu oporu aliantów. To była jedyna linia obrony, której Rommel nie mógł ominąć,

ponieważ na końcu jej południowego skrzydła rozpościerała się olbrzymia, nieprzebyta Depresja Katarska. A zatem Rommel musiał przełamać front.

W którym miejscu mógłby się przedrzeć? Jeżeli zaatakowałby na północy, musiałby wybierać pomiędzy atakiem wprost na Aleksandrię lub zawróceniem i natarciem na tyły aliantów. Jeżeli zaatakuje południowe skrzydło, musi ruszyć na Kair lub znów zatoczyć krąg i zniszczyć pozostałe siły alianckie.

Tuż za linią obrony leżała przełęcz Alam Halfa, o której Vandam wiedział, że jest dobrze ufortyfikowana. Bez wątpienia dla aliantów byłoby lepiej, gdyby Rommel zawrócił po przełamaniu frontu i zaatakował Alam Halfa. W ten sposób straciłby dużo sił.

Istniał jeszcze jeden czynnik. Podejście do Alam Halfa od południa prowadziło przez zdradzieckie lotne piaski. Rommel prawdopodobnie o nich nie wiedział: nigdy jeszcze nie zapuścił się tak daleko na wschód, a tylko alianci mieli dobre mapy pustyni.

Nie mogę dopuścić do tego, myślał Vandam, by Wolff poinformował Rommla, że atak na dobrze ufortyfikowaną Alam Halfa od południa jest niemożliwy.

Szansę na powodzenie tego planu były przygnębiająco pesymistyczne.

Vandam - wcale tego świadomie nie zamierzając - znalazł się przed Willa les Oliviers, domem Wolffa. Usiadł pod drzewem oliwnym w małym parku po drugiej stronie ulicy i wpatrywał się w budynek, tak jakby ten mógł mu powiedzieć, gdzie jest Wolff. Pomyślał leniwie: gdyby tylko Wolff popełnił pomyłkę i zachęcił Rommla do ataku na Alam Halfa od południa.

Nagle doznał olśnienia.

Przypuśćmy, że złapię Wolffa. Przypuśćmy, że razem z radiem. Przypuśćmy nawet, że wpadnie mi w ręce klucz do szyfru.

Mógłbym wtedy podszyć się pod Wolffa, skontaktować się przez radio z Rommlem i doradzić mu, by zaatakował Alam Halfa od południa.

Ten pomysł błyskawicznie rozkwitł mu w głowie i Vandam poczuł, jak humor mu się poprawia. Do tej pory Rommel był przekonany - i nie bez podstaw - że informacje Wolffa są wiarygodne. Przypuśćmy, że otrzyma od Wolffa depezę informującą o tym, że południowe skrzydło Linii El Alamein jest słabe, że południowe podejście do Alam Halfa jest utwardzone i że Alam Halfa jest źle ufortyfikowana.

Rommel nie oprze się takiej pokusie.

Przebiję się przez południowe skrzydło i skręci na północ oczekując, że z marszu weźmie Alam Halfa. Wtedy wpadnie w lotne piaski. Podczas kiedy będzie przez nie brnął, nasza artyleria zdziesiątkuje jego wojska. A po dotarciu do Alam Halfa okaże się, że

twierdza jest dobrze ufortyfikowana. W tym czasie ściągniemy z frontu więcej wojsk i zgnieciemy wroga niczym dziadek do orzechów.

Jeżeli pułapka się zatrzaśnie, to jego plan nie tylko może uratować Egipt, lecz także unicestwić Afrika Korps.

Musi przekazać swój pomysł wyżej.

To nie będzie takie proste. W tym momencie nie miał zbyt wysokich notowań - szczerze mówiąc, dzięki Alexowi Wolffowi jego zawodowa reputacja leżała w gruzach. Ale zalety planu z pewnością zostaną dostrzeżone.

Podniósł się z ławki i ruszył w stronę biura. Nagle przyszłość zaczęła wyglądać inaczej. Być może łoskot wojskowych butów nie będzie rozbrzmiewać na wykładanych kafelkami posadzkach meczetów. Być może skarby Muzeum Egipskiego nie odpłyną do Berlina. Być może Billy nie będzie musiał wstąpić do Hitlerjugend. Być może Elene nie zostanie wysłana do Dachau.

Wszyscy możemy się uratować.

Jeżeli złapię Wolffa.

Część trzecia

Alam Halfa

Któregoś dnia, pomyślał Vandam, strzelę Bogge'a w nos.

Dzisiaj podpułkownik Bogge przechodził sam siebie: był niezdecydowany, pełen sarkazmu i drażliwości. Miał zwyczaj nerwowo kasłać, kiedy był podenerwowany, i teraz właśnie bardzo kasłał. Kręcił się niespokojnie, porządkował sterty papierów na biurku, co chwila zakładał nogę na nogę i polerował tę swoją nieszczęsną piłkę do krykieta.

Vandam siedział nieruchomo i spokojnie czekał, aż Bogge zawiąże się w supeł.

- Proszę posłuchać, Vandam, strategię niech pan zostawi Auchinleckowi. Pańskie zadanie to bezpieczeństwo personelu, a nie wychodzi to panu za dobrze.

- Auchinleckowi też - zauważył Vandam.

Bogge udał, że nie słyszy. Wziął do ręki notatkę. Vandam naszkicował w niej swój podstępny plan i formalnie przedłożył go Bogge'owi, wysyłając równocześnie kopię do generała.

- Po pierwsze, tu jest pełno dziur - powiedział Bogge.

Vandam nic nie odpowiedział.

- Pełno dziur - zakasłał Bogge. - Przede wszystkim plan zakłada wpuszczenie starego Rommla przez linię obrony, nieprawdaż?

- Od tego zależy powodzenie akcji.

- Tak. Widzi pan? Sęk w tym, że jeśli pan przedstawi taki plan, pełen dziur... a pańska reputacja chwilowo nie jest najlepsza... to wyśmieją pana w Kairze. No dobrze - zakasłał. - Chce pan zachęcić Rommla do ataku na linię w jej najsłabszym punkcie. Przecież w ten sposób łatwiej będzie przełamać mu front! Widzi pan?

- Tak. Niektóre fragmenty linii obronnych są słabsze, a jako że Rommel dysponuje zwiadem powietrznym, jest szansa, że wie które.

- A pan chce zmienić tę szansę w pewność.

- Tylko po to, żeby wciągnąć go następnie w zasadzkę.

- A mnie się wydaje, że w naszym interesie leży, by Rommel zaatakował najsilniejszy odcinek obrony, tak żeby w ogóle nie mógł się przedostać.

- Jeżeli go odeprzemy, to po prostu się przegrupuje i zaatakuje znów. Ale jeśli uda nam się złapać go w potrzask, możemy go definitywnie zniszczyć.

- Nie, nie, nie. Za ryzykowne, za ryzykowne. To nasza ostatnia linia obrony, kolego. - Bogge roześmiał się. - Potem jest już tylko jeden mały kanał, który dzieli go od Kairu. Nie zdaje pan sobie sprawy...

- Doskonale zdaję sobie sprawę, panie pułkowniku. Ujmę to może w ten sposób. Po pierwsze: jeżeli Rommel przedrze się przez linię, musi skręcić na Alam Halfa, wiedziony złudną nadzieją łatwego zwycięstwa. Po drugie: najlepiej by było, żeby zaatakował Alam Halfa od południa, ze względu na lotne piaski. Po trzecie: albo pozostaje nam poczekać i dowiedzieć się, które skrzydło zaatakuje, albo sami go zachęcimy, żeby ruszył na południe, w ten sposób zwiększając jego szanse na przełamanie frontu.

- No tak - powiedział Bogge. - Teraz kiedy już to przeredagowaliśmy, plan zaczyna wyglądać nieco sensowniej. Zrobimy tak: na jakiś czas ta kartka zostanie u mnie. W wolnej chwili wezmę pański plan pod lupę i postaram się poskładać go do kupy. Wtedy może prześlemy go wyżej.

Rozumiem, pomyślał Vandam. Chodzi o to, żeby to był plan Bogge'a. A zresztą, co za różnica! Jeżeli w takiej chwili Bogge może jeszcze zajmować się polityką, to szczęść mu Boże. Chodzi o zwycięstwo, a nie o zaszczyty.

- Doskonale, panie pułkowniku - powiedział. - Jeżeli tylko mógłbym podkreślić wagę czasu... Jeśli plan ma zostać wcielony w życie, musi to szybko nastąpić.

- Czy nie sądzi pan, majorze, że to ja decyduję o tym, jak pilna jest sprawa?

- Tak, panie pułkowniku.

- A poza tym wszystko zależy od złapania tego cholernego szpiega, czyli od czegoś, co jak do tej pory nie do końca wam się udało. Czyż nie mam racji?

- Tak, panie pułkowniku.

- Dziś wieczorem obejmę osobiste dowództwo nad operacją. Muszę mieć pewność, że nie powtórzy się jakaś nedoróbka. Po południu proszę mi przedstawić plan akcji, razem nad nim popracujemy...

Rozległo się pukanie do drzwi i do środka wszedł generał. Vandam i Bogge wstali.

- Dzień dobry, panie generale - powiedział Bogge.

- Spocznij, panowie - polecił generał. - Szukałem pana, Vandam.

- Właśnie pracowaliśmy nad pewnym chytrym planem...

- Wiem, czytałem notatkę.

- Ach, Vandam przesłał panu kopię - powiedział Bogge. Vandam nie patrzył na Bogge'a, ale wiedział, że podpułkownik jest wściekły.

- Tak, oczywiście - odparł generał i zwrócił się do Vandama: - Pańskim zadaniem jest łapanie szpiegów, majorze, a nie udzielanie generałom rad co do strategii. Gdyby poświęcił pan nieco mniej czasu na tłumaczenie nam, jak wygrać wojnę, być może byłby z pana lepszy oficer kontrwywiadu.

Vandamowi zamarło serce.

- Właśnie mówiłem... - zaczął Bogge.

Generał przerwał mu. - Jeżeli jednak wymyślił pan tak doskonały plan, to chcę, żeby pan poszedł ze mną i sprzedał go Auchinleckowi. Mogę wam go porwać, Bogge?

- Oczywiście, panie generale - wycedził przez zaciśnięte zęby Bogge.

- W porządku, Vandam. Odprawa zaraz się zaczyna. Chodźmy.

Vandam wyszedł w ślad za generałem i bardzo cicho zamknął za sobą drzwi.

W dniu, w którym Wolff miał spotkać się ponownie z Elene, major Smith przyszedł w południe na łódź.

Przyniósł ze sobą informację olbrzymiej wagi.

Wolff i Sonia rozpoczęli swoją rutynową już działalność. Wolff czuł się jak aktor we francuskiej farsie, który co noc musi się ukrywać w tej samej szafie. Zgodnie ze scenariuszem. Sonia i Smith zaczęli na sofie, by przenieść się do sypialni. Kiedy Wolff wyslizgnął się z szafy, zasłony były już zaciągnięte, a na podłodze leżały: teczka Smitha, buty i szorty z pękiem kluczy wepchniętym do kieszeni.

Wolff otworzył teczkę i rozpoczął lekturę.

Po raz kolejny Smith przyszedł na łódź wprost z porannej odprawy w Kwaterze Głównej, podczas której Auchinleck i jego sztab omawiali strategię aliantów i podejmowali decyzje.

Po kilku minutach Wolff zorientował się, że trzyma w ręku kompletny opis ostatniej linii obrony - Linii El Alamein.

Na wzgórzach została rozlokowana artyleria, na równinie ustawiono czołgi, wzdłuż linii ciągnęły się pola minowe. Przełęcz Alam Halfa, siedem i pół kilometra za centrum linii, była dobrze ufortyfikowana. Wolff zauważył, że południowe skrzydło jest słabsze, zarówno jeżeli chodzi o wojska, jak i o pola minowe.

Teczka Smitha zawierała również oznaczenia pozycji nieprzyjaciela. Wywiad aliantów sądził, że Rommel prawdopodobnie będzie próbował przełamać południowe skrzydło, ale dodawał, że nie można także wykluczyć ataku na północy.

Poniżej widniała notatka, pisana ołówkiem najwidoczniej przez Smitha, która dla Wolffa była bardziej ekscytująca niż cała reszta dokumentów: "Major Vandam proponuje podstępny plan. Chodzi o zachęcenie Rommla do zaatakowania południowego skrzydła, zwabienie go w kierunku Alam Halfa, uwięzienie w lotnych piaskach i kompletne zniszczenie. Plan zaakceptowany przez Auk."

“Auk” to bez wątpienia Auchinleck. Cóż to za odkrycie! Wolff miał w ręku nie tylko szczegóły linii obronnych aliantów - wiedział również, czego spodziewają się po Rommlu, i znał ich chytry plan.

A autorem tego planu był Vandam!

To będzie największy sukces szpiegowski w historii. Wolff osobiście zapewni Rommlowi zwycięstwo w północnej Afryce.

Powinni mnie koronować na króla Egiptu, pomyślał i uśmiechnął się.

Podniósł głowę i zobaczył stojącego między zasłonami Smitha, który gapił się na niego z góry.

- Kto ty, u diabła, jesteś? - ryknął Smith.

Wściekły na siebie Wolff uświadomił sobie, że nie zwracał uwagi na odgłosy dobiegające z sypialni. Coś poszło nie tak: aktorzy nie trzymali się scenariusza i nie było słyhać ostrzegawczego strzału otwieranego szampana, podczas gdy Wolffa całkowicie pochłaniały zagadnienia strategii. Niezliczone nazwy dywizji i brygad, liczba ludzi i czołgów, zapasy paliwa i zaopatrzenie, grzbiety, depresje i lotne piaski przykuły jego uwagę do tego stopnia, że nie słyszał tego, co dzieje się w pokoju. Ogarnęło go nagłe przerażenie, że w chwili triumfu coś może pokrzyżować jego zamiary.

- To moja cholerna teczka! - warknął Smith.

Zrobił krok naprzód.

Wolff wyciągnął rękę, chwycił stopę Smitha i szarpnął go w bok.

Major z głuchym łoskotem runął na podłogę.

Sonia wrzasnęła.

Wolff i Smith zaczęli się gramolić na nogi.

Major był małym, chudym mężczyzną, dziesięć lat starszym od Wolffa i w słabej formie. Zrobił krok wstecz. Na twarzy malował mu się strach. Wpadł na półkę, zerknął w bok i dostrzegł paterę ze rżniętego szkła. Chwycił ją i cisnął w Wolffa.

Pocisk chybił celu, wpadł do kuchennego zlewu i roztrzaskał się z głośnym brzękiem.

Hałas. Wolff uświadomił sobie, że jeśli ten człowiek narobi więcej szumu, pojawią się tu ludzie, by sprawdzić, co się dzieje. Ruszył w stronę Smitha.

Major znalazł się w sytuacji bez wyjścia. - Na pomoc! - wrzasnął.

Wolff uderzył go tylko raz, w podbródek, i Smith straciwszy przytomność osunął się po ścianie na podłogę.

Sonia podeszła wpatrując się w niego.

Wolff masował kostki palców. - Po raz pierwszy zrobiłem coś takiego - powiedział.

- Co?

- Jednym ciosem w podbródek znokautowałem kogoś. Sądziłem, że udaje się to tylko bokserom.

- Nie zajmuj się teraz głupstwami. Co z nim zrobimy?

- Nie mam pojęcia. - Wolff rozważał możliwości. Zabicie Smitha mogło okazać się niebezpieczne, bo śmierć oficera - i zniknięcie jego teczki - rozpętałyby burzę w całym mieście. Poza tym co zrobić z ciałem? A w dodatku Smith nie dostarczy już więcej informacji.

Smith jęknął i poruszył się.

Wolff się zastanawiał, czy może puścić go wolno. W końcu jeżeli ujawni, co się działo na łodzi, sam wplącze się w aferę. Nie tylko złamałby sobie karierę, lecz także prawdopodobnie wyładowałby w więzieniu. Nie wyglądał na człowieka zdolnego do poświęceń dla wyższych celów.

Puścić go wolno? nie, to jednak zbyt wielkie ryzyko. Mieć świadomość, że w mieście jest brytyjski oficer, który zna wszystkie tajemnice Wolffa... Niemożliwe.

Smith otworzył oczy. - Ty... - powiedział. - Ty jesteś Slavenberg... - Spojrzał na Sonię, a potem znów na Wolffa. To ty przedstawiłeś... w "Cha-Cha"... to wszystko było ukartowane...

- Zamknij się - łagodnie poradził mu Wolff. Zabić go czy puścić, czy miał inne wyjście? Tylko jedno: trzymać go tutaj, związanego i zakneblowanego, do chwili zajęcia Kairu przez Rommla.

- Jesteście cholernymi szpiegami - powiedział Smith z pobladłą twarzą.

- Może myślałaś, że oszalałam na punkcie twojego nędznego ciała - prychnęła z obrzydzeniem Sonia.

- Racja. - Smith dochodził do siebie. - Powinienem mieć więcej rozsądku, a nie ufać brunatnej dziwce.

Sonia podeszła i kopnęła go w twarz gołą stopą.

- Dość tego! - powiedział Wolff. - Musimy pomyśleć, co z nim zrobimy. Masz jakiś sznur, żeby go związać?

Sonia zastanawiała się przez chwilę. - Na pokładzie, w składziku na dziobie.

Z kuchennej szuflady Wolff wyjął ciężki kawał żelaza, którego używał do ostrzenia noża. Podał go Soni. - Jeżeli się ruszy, uderz go tym - powiedział. Nie sądził, żeby Smith się ruszył.

Miał właśnie wejść na schodki prowadzące na pokład, kiedy usłyszał kroki na trapie.

- Listonosz - szepnęła Sonia.

Wolff uklęknął przed Smithem i wyciągnął nóż. - Otwórz usta.

Smith chciał coś powiedzieć i Wolff wsunął mu ostrze między zęby.

- A teraz, jeżeli się ruszysz lub piśniesz słówko, odetnę ci język.

Smith siedział nieruchomo, wpatrując się w Wolffa przerażonym wzrokiem.

Wolff zdał sobie sprawę, że Sonia jest kompletnie naga.

- Włóż coś na siebie, szybko!

Ściągnęła prześcieradło z łóżka i owinęła się nim idąc w kierunku schodków. Pokrywa luku otworzyła się. Wolff wiedział, że patrząc z góry można dostrzec jego i Smitha. Biorąc list z wyciągniętej ręki listonosza, Sonia pozwoliła, by prześcieradło zsunęło się trochę niżej.

- Dzień dobry - powiedział listonosz. Oczy miał przykute do na pół odsłoniętych piersi Soni.

Wspięła się na kolejny stopień, tak że tamten musiał się cofnąć, i pozwoliła prześcieradłu zsunąć się jeszcze niżej.

- Dziękuję - zatrzepotała rzęsami. Złapała za pokrywę luku i zamknęła ją z powrotem.

Wolff odetchnął z ulgą.

Słyszeli kroki listonosza przechodzącego przez pokład i schodzącego z trapu.

- Daj mi prześcieradło - powiedział Wolff.

Sonia odwinęła je z siebie i znowu stała naga.

Wolff wyjął nóż z ust Smitha i odciął nim kawałek prześcieradła, szeroki na jakieś pół metra. Zwinął go w kulę i wepchnął Smithowi do ust. Ten nie opierał się. Wolff schował nóż do pochwy umocowanej pod pachą. Wstał. Smith zamknął oczy. Wyglądał na pokonanego, jakby stracił siły.

Sonia wzięła do ręki żelazo do ostrzenia noży i stała gotowa użyć go przeciw Smithowi. Wolff wspiął się po schodkach i wyszedł na pokład. Składzik, o którym wspominała Sonia, znajdował się pod schodkiem prowadzącym na dziób. Otworzył go. W środku był zwój cienkiej liny. Prawdopodobnie używano jej do cumowania łodzi, zanim stała się domem na wodzie. Wolff wyjął linę. Była mocna, niezbyt gruba: idealna, żeby związać komuś ręce i nogi.

Usłyszał z dołu głos Soni, przechodzący w krzyk. Potem tupot stóp po schodkach.

Rzucił linę i obrócił się do tyłu.

Z luku wyłonił się uciekający Smith. Był w samych kalesonach.

Nie był taki bezsilny, na jakiego wyglądał - a Sonia widocznie nie trafiła go swoim żelazem.

Wolff rzucił się w kierunku trapu, żeby odciąć mu drogę.

Smith się odwrócił, przebiegł na drugą stronę łodzi i skoczył do wody.

- Cholera - zaklął Wolff.

Szybko rozejrzał się dookoła. Na pokładach innych łodzi mieszkalnych nie było nikogo - trwała właśnie sjesta. Ścieżka przy nabrzeżu była pusta, jeśli nie liczyć "żebraka" - będzie musiał zająć się nim Kemel - i jednego oddalającego się mężczyzny. Na rzece unosiło się kilka feluk, za nimi w odległości co najmniej czterystu metrów sunęła powoli barka parowa.

Wolff podbiegł do burty. Smith wynurzył się, żeby zaczerpnąć powietrza. Ocierał oczy z wody i rozglądał się, żeby się zorientować w położeniu. W wodzie nie szło mu dobrze, chlapał na wszystkie strony. Potem płynąc nieumiejętnie, zaczął się oddalać od łodzi.

Wolff cofnął się kilka kroków i rozpędził do skoku.

Wylądował nogami prosto na głowie Smitha.

Przez kilka sekund wszystko się pomieszało. W plątaninie rąk i nóg, swoich i Smitha, Wolff poszedł na dno. Teraz walczył o to, żeby jednocześnie wydostać się na powierzchnię i wepchnąć Smitha pod wodę. Kiedy nie mógł już dłużej utrzymać oddechu, uwolnił się od Smitha i wynurzył.

Zaczerpnął powietrza i przetarł oczy. Przed nim unosiła się na wodzie, kaszląc i parszając śliną, głowa Smitha. Wolff wyciągnął ręce, złapał ją i pociągnął w dół ku sobie. Smith wił się jak węgorz. Wolff chwycił go za szyję i pchnął w dół. Sam przy tym znalazł się pod wodą, potem, w chwilę później się wynurzył. Smith był wciąż pod spodem, wciąż walczył.

Ile człowiek potrzebuje czasu, żeby utonąć, myślał Wolff.

Major szarpnął się konwulsyjnie i uwolnił. Wynurzył głowę i zaczerpnął pełne płuca powietrza. Wolff próbował go uderzyć. Cios dosięgnął celu, ale nie miał żadnej siły. Smith kasłał i rzygał wodą starając się łapczywie łykać powietrze. Sam Wolff połknął sporo wody. Znowu sięgnął po Smitha. Tym razem złapał majora z tyłu, jedną ręką trzymając go za gardło, drugą starając się pchnąć jego głowę w dół.

Chryste, pomyślał, mam nadzieję, że nikt nie patrzy.

Smith poszedł pod wodę. Nie było teraz widać jego twarzy. Wolff klęczał mu na plecach trzymając głowę w mocnym uścisku. Smith nadal wił się w wodzie, kręcił się, szarpał, wymachiwał ramionami, kopał go w nogi i starał się obrócić do przodu. Wolff zacisnął chwyt i trzymał go pod sobą.

Utop się w końcu, ty draniu, utop się!

Poczuł, jak usta Smitha się otwierają, i wiedział, że major zaczyna wreszcie łykać wodę. Miotał się w coraz gwałtowniejszych konwulsjach. Wolff czuł, że będzie musiał go puścić. Walczący Smith wciągał się coraz głębiej. Zacisnął oczy i wstrzymał oddech. Wyglądało na to, że Smith słabnie. Jego płuca musiały być teraz na pół pełne wody, myślał Wolff. Za kilka sekund sam będzie musiał zaczerpnąć powietrza.

Ruchy majora osłabły. Zwalniając trochę uścisk, Wolff odepchnął się nogami i wynurzył na powierzchnię. Przez minutę tylko oddychał. Smith przestał się ruszać. Używając tylko nóg Wolff podpłynął do łodzi, ciągnąc Smitha za sobą. Głowa majora wynurzyła się z wody, ale nie dawał znaków życia.

Wolff dopłynął do burty. Na pokładzie stała ubrana w szlafrok Sonia, wytrzeszczając na niego oczy.

- Czy ktoś widział? - zapytał Wolff.

- Nie sędzę. Czy on jest martwy?

- Tak.

Co, u diabła, mam teraz począć, pomyślał Wolff.

Przytrzymał Smitha przy burcie. Jeżeli go puszcze, zaraz wypłynie, myślał. Ciało zostanie odnalezione w pobliżu i przeszukają dom po domu. Ale nie mogą przecież przemaszerować przez pół Kairu, żeby się go pozbyć.

Nagle Smith szarpnął się i wypluł wodę.

- Jezu Chryste, on żyje! - mruknął Wolff.

Ponownie wepchnął Smitha pod wodę. Ale to nie miało sensu, zabierało zbyt dużo czasu. Puścił go, wyciągnął nóż i dźgnął. Smith był pod wodą, poruszając się słabo. Wolff nie mógł dokładnie wymierzyć. Kłuł go wściekle, raz za razem. Woda osłabiała jego ruchy. Smith rzucał się na wszystkie strony. Spieniona woda zabarwiła się na różowo. W końcu Wolff zdołał chwycić Smitha za włosy, przytrzymać nieruchomo głowę i poderżnąć mu gardło.

Teraz był martwy.

Wolff puścił go i schował nóż do pochwy. Wokół niego rzeka przybrała błotnisty, czerwony kolor. Pływam we krwi, pomyślał, i to nappełniło go nagłym niesmakiem.

Ciało dryfowało w bok. Wolff przyciągnął je z powrotem. Zbyt późno zdał sobie sprawę z różnicy między majorem, który utonął, a majorem, który ma podejrzięte gardło. Ten pierwszy mógł zawsze przypadkiem wpaść do rzeki, o tym drugim z całą pewnością można było powiedzieć, że został zamordowany. Teraz musiał ukryć ciało.

Spojrzał do góry.

- Sonia!

- Niedobrze mi.

- Nie przejmuj się. Musimy coś zrobić, żeby zatopić ciało.

- Boże, woda jest cała we krwi.

- Słuchaj mnie! - Chciał na nią wrzasnąć, sprawić, żeby się otrząsnęła, ale nie mógł przecież podnieść głosu. - Daj mi... daj mi tę linę. Pośpiesz się!

Na moment znikła z pola widzenia, po czym wróciła trzymając linę. Zupełnie straciła głowę, stwierdził Wolff, będzie musiał mówić jej dokładnie, co ma robić.

- Teraz: weź teczkę Smitha i włóż do niej coś ciężkiego.

- Coś ciężkiego... ale co?

- Jezu Chryste... Co my mamy ciężkiego? Co może być ciężkie? Książki! Książki są ciężkie, ale może ich nie starczyć... Wiem, butelki, pełne butelki, butelki szampana. Włóż do teczki butelki szampana, pełne.

- Dlaczego?

- Na Boga, przestań się trząść, rób co mówię!

Znowu odeszła. Przez iluminator widział, jak schodzi po schodkach i wchodzi do saloniku. Poruszała się bardzo wolno, jak lunatyczka.

Pośpiesz się, ty tłusta dziwko, pośpiesz się!

Rozglądała się wokół półprzytomnie. Ciągle jak w zwolnionym tempie, podniosła teczkę z podłogi. Zabrała ją ze sobą do kuchni i otworzyła lodówkę. Zajrzała do środka, jakby zastanawiała się, co przyrzadzić na obiad.

Szybciej!

Wyciągnęła z lodówki butelkę szampana. Stojąc z butelką w jednej i z teczką w drugiej ręce zmarszczyła brwi, jakby nie mogła sobie przypomnieć, co miała z nim zrobić. W końcu twarz jej się rozjaśniła i włożyła butelkę do teczki, poziomo. Wyjęła następną.

Kładź je na przemian, szyjką albo dnem, idiotko, myślał Wolff, wtedy więcej wejdzie.

Włożyła drugą butelkę, przyjrzała jej się, wyjęła i włożyła na odwrót.

Wspaniale, pomyślał Wolff.

Udało jej się zmieścić cztery butelki. Zamknęła lodówkę i rozejrzała się za czymś, co mogłoby dodatkowo obciążyć teczkę. Wzięła żelazo do ostrzenia noży i szklany przycisk do papierów. Włożyła je do teczek, zapięła ją i wyszła na pokład.

- Co teraz? - zapytała.

- Zawiąż koniec liny na rączce teczek.

Powoli wracała do siebie. Palce poruszały jej się szybciej.

- Zaciśnij węzeł z całej siły - powiedział Wolff.

- W porządku.

- Czy nie ma kogoś w pobliżu?

Obejrzała się na lewo i prawo.

- Nie.

- Pośpiesz się.

Zacisnęła węzeł.

- Rzuć mi linę - rozkazał Wolff.

Rzuciła mu drugi koniec liny. Złapał go. Wysilek, jaki wkładał w utrzymanie się na wodzie i jednocześnie przytrzymywanie ciała, wyczerpał go. Musiał na chwilę puścić Smitha, bo potrzebował obu rąk do liny. To oznaczało, że musiał silnie młócić nogami, żeby pozostać w pozycji wyprostowanej. Przeciągnął linę pod pachami topielca. Dwukrotnie okręcił ją wokół torsu i zawiązał supeł. Kilka razy tonął podczas tej operacji, raz zaczerpnął nawet pełne usta ohydnej zmieszanej z krwią wody.

W końcu robota była skończona.

- Sprawdź swój węzeł - powiedział do Soni.

- Jest zaciśnięty.

- Rzuć teczkę do wody, najdalej, jak możesz.

Przerzuciła teczkę przez burtę. Wpadła z pluskiem do wody kilka metrów od łodzi - była dla Soni za ciężka, żeby polecieć dalej - i poszła na dno. Lina powoli podążyła w ślad za nią. Potem naprężyła się i ciało zniknęło. Wolff obserwował powierzchnię. Węzły trzymały. Poruszył pod wodą nogami w miejscu, gdzie zniknął topielec. Nie trafił na nic. Ciało było głębiej.

- Liebe Gott, co za jatka - mruknął.

Wdrapał się na pokład. Spoglądając za siebie zobaczył, jak różowa smuga szybko znika z powierzchni wody.

- Dzień dobry - powiedział ktoś.

Wolff i Sonia obrócili się w stronę nabrzeża.

- Dzień dobry - odpowiedziała Sonia. - Sąsiadka - mruknęła półgłosem do Wolffa.

Sąsiadka była mieszanej krwi kobietą w średnim wieku. W ręku trzymała koszyk na zakupy.

- Słyszałam straszne chlapanie. Czy stało się coś złego?

- O nie - odpowiedziała Sonia. - Mój piesek wpadł do wody i tu obecny pan Robinson musiał go ratować.

- Bardzo uprzejmie z jego strony - powiedziała kobieta. - Nie wiedziałam, że ma pani psa.

- To szczeniak, dostałam go w prezencie.

- Jakiej rasy?

Wolffowi chciało się wyć: Zjeżdżaj stąd, ty stara głupia babo!

- Pudel - odpowiedziała Sonia.

- Ach, muszę go zobaczyć.

- Może jutro, teraz zamknęłam go za karę.

- Biedaczek.

- Może jednak zmienię ubranie na suche - stwierdził Wolff.

- Do jutra - powiedziała Sonia do sąsiadki.

- Miło było pana poznać, panie Robinson - powiedziała sąsiadka.

Wolff i Sonia zeszli na dół.

Sonia rzuciła się na sofę i zamknęła oczy. Wolff zdjął z siebie mokre ubranie.

- To najgorsza rzecz, jaka mi się w życiu przydarzyła - oznajmiła Sonia.

- Przeżyjesz to - odparł Wolff.

- Jedno, co mnie pociesza, to to, że był Anglikiem.

- Tak. Powinnaś skakać do góry z radości.

- Będę, kiedy przestanie robić mi się niedobrze.

Wolff przeszedł do łazienki i odkręcił kurki przy wannie. Kiedy wrócił, Sonia spytała:

- Czy warto było?

- Tak - Wolff wskazał palcem na wojskowe dokumenty wciąż leżące na podłodze, tam gdzie rzucił je zaskoczony przez Smitha. - Te materiały mają kolosalną wagę... to najwartościowsze ze wszystkiego, co nam dostarczył. Mając to, Rommel może wygrać tę wojnę.

- Kiedy to prześlesz?

- Dziś o północy.

- Dziś w nocy masz przyprowadzić tu Elene.

Przyjrzał jej się uważnie.

- Jak możesz myśleć o tych rzeczach, zaraz potem jak zabiliśmy człowieka i zatopili jego ciało?

Spojrzała na niego wyzywająco.

- Nie wiem, wiem tylko, że to mnie bardzo podnieca.

- Mój Boże.

- Przyprowadzisz ją tutaj tej nocy. Jesteś mi to winien.

Wolff zawahał się.

- Będę musiał nawiązać łączność, podczas gdy ona będzie tutaj.

- Ja się nią zajmę, kiedy będziesz przy radiu.

- Nie wiem...

- Pieprzę to, Alex, jesteś mi to winien.

- W porządku.

- Dziękuję.

Wolff wszedł do łazienki. Sonia jest niewiarygodna, myślał. Doprowadza deprawację do szczytów wyrafinowania. Zanurzył się w gorącej wodzie.

Z sypialni doszedł go jej głos.

- Ale teraz Smith nie dostarczy ci już żadnych nowych tajemnic.

- Nie sądzę, żebym ich potrzebował, po bitwie, która nas czeka - odpowiedział Wolff.

- Jego przydatność się skończyła.

Wziął do ręki mydło i zaczął obmywać się z krwi.

Vandam zapukał do drzwi mieszkania Elene na godzinę przed jej umówionym spotkaniem z Alexem Wolffem.

Podeszła do drzwi ubrana w czarną koktajlową suknię, czarne buty na wysokich obcasach i jedwabne pończochy. Na szyi miała cienki złoty łańcuszek. Była umalowana, jej włosy błyszczały. Spodziewała się Vandama.

Uśmiechnął się widząc ją, taką znajomą, a jednocześnie tak niewiarygodnie piękną.

- Cześć - powiedział.

- Wejź. - Przeszła z nim do salonu. - Usiądź.

Chciał ją pocałować, ale nie dała mu okazji. Usiadł na kanapie.

- Chcę cię zapoznać ze szczegółami dzisiejszej nocy.

- Dobrze. - Siadła naprzeciwko niego na krześle. - Chcesz się czegoś napić?

- Oczywiście.

- Nalej sobie.

Spojrzał na nią.

- Czy coś jest nie w porządku?

- Skądże. Zrób sobie drinka, a potem mnie poinstruuuj.

Vandam zastygł w bezruchu.

- O co chodzi?

- O nic. Mamy coś do zrobienia, więc zabierajmy się do tego.

Wstał, przeszedł do niej i ukląkł przy jej krześle.

- Elene. Co ty wyprawiasz?

Wpatrywała się w niego ze złością. Była bliska łez.

- Gdzie byłeś przez te dwa dni? - powiedziała głośno.

Spojrzał w bok, zastanawiając się.

- W pracy.

- A jak myślisz, gdzie ja byłam?

- Przypuszczam, że tutaj.

- Dokładnie.

Nie wiedział, o co jej chodzi. Przeszło mu przez myśl, że zakochał się w kobiecie, której prawie nie zna.

- Ja byłem w pracy, a ty byłaś tutaj i właśnie dlatego jesteś na mnie wściekła?

- Tak! - krzyknęła.

- Uspokój się - powiedział Vandam. - Nie rozumiem, dlaczego jesteś taka zła, i chcę, żebyś mi to wyjaśniła.

- Nie!

- W takim razie nie wiem, co mam powiedzieć. - Vandam usiadł na podłodze tyłem do niej i zapalił papierosa. Naprawdę nie wiedział, co ją tak zdenerwowało, ale pełen był dobrych chęci: mógł znosić wymówki i prosić o wybaczenie za to, co zrobił i czego nie zrobił, gotów był wynagrodzić poniesione straty - jedyne, czego nie chciał, to bawić się w zagadki.

Przez minutę siedzieli w milczeniu, nie patrząc na siebie.

Elene pociągnęła nosem. Vandam nie widział jej, ale wiedział, że takie pociąganie nosem oznacza płacz.

- Mogłeś wysłać mi przynajmniej jakąś wiadomość albo głupi bukiet kwiatów - powiedziała.

- Wiadomość? O czym? Wiedziałaś, że mamy się spotkać dziś wieczorem.

- O Boże!

- Kwiaty? Jakie kwiaty? Co chcesz osiągnąć kwiatami? Nie musimy się już bawić w ten sposób.

- Czyżby?

- Co chcesz, żebym powiedział?

- Słuchaj. Przedwczoraj w nocy się kochaliśmy, jeśli jeszcze pamiętasz...

- Nie wygłupiaj się...

- Przyproceedziłeś mnie do domu, pocałowałaś na dobranoc. A potem... potem nic.

Zaciągnął się papierosem.

- Jeśli jeszcze pamiętasz, niejaki Erwin Rommel z gromadą nazistów u boku puka właśnie do drzwi, a ja jestem jednym z tych, którzy starają się nie wpuścić go do środka.

- Pięć minut, tyle by ci zajęło wysłanie do mnie wiadomości.

- Po co?

- No właśnie, po co? Jestem kobietą zgubioną, nieprawda? Oddaję się mężczyźnie, tak jakbym wypila szklanke wody. Po godzinie nie pamiętam o niczym... czy tak mnie sobie wyobrazasz? Bo ja widzę to właśnie w ten sposób! Niech cię diabli wezmą, Williamie Vandam, sprawiasz, że czuję się jak tania dziwka!

Nie miało to więcej sensu niż na początku, ale teraz przynajmniej słyszał w jej głosie ból. Obrócił się twarzą do niej.

- Jesteś najpiękniejszą rzeczą, jaka mi się przydarzyła od długiego czasu, może w całym moim życiu. Wybacz, że okazałem się głupcem.

Ujął jej dłoń w swoją.

Spoglądając w kierunku okna przygryzła wargi i powstrzymała łzy.

- Tak, jesteś głupcem - powiedziała. Spojrzała na niego i dotknęła jego włosów. - Starym, cholernym głupcem - wyszeptwała głaszcząc go po głowie. Z oczu pociekły jej łzy.

- Tyle jeszcze muszę się o tobie nauczyć - powiedział.

- I ja o tobie.

Spojrzał w bok i myślał na głos.

Ludzie nie mogą znieść tego, że jestem taki opanowany, nie mogli tego znieść nigdy. Nie ci, którzy dla mnie pracują, nie, tym się to podoba. Wiedzą, że kiedy wpadną w panikę, kiedy nie będą w stanie dalej stawiać czoła przeciwnościom, mogą zawsze przyjść do mnie i powiedzieć, o co chodzi. A kiedy zobaczą, że nie ma dobrego wyjścia z sytuacji, są tylko złe, powiem im przynajmniej, które z nich będzie mniejszym złem, i ponieważ powiem im to spokojnym głosem, ponieważ okaże się, że dostrzegam problem, a jednak nie wpadam w panikę, odejdą pokrzepieni i zrobią to, co muszą zrobić. Ja tylko jasno stawiam problem i nie daję się przestraszyć, okazuje się jednak, że oni potrzebują właśnie tego. Mimo to... ta sama postawa często wyprowadza innych ludzi z równowagi: moich zwierzchników, przyjaciół, Angelę, ciebie. Nigdy nie rozumiałem dlaczego.

- Bo czasem powinienes wpaść w panikę, głuptasie - powiedziała miękko. - Czasem powinienes pokazać po sobie, że się boisz, że masz na jakimś punkcie bzika. To jest ludzkie i świadczy o tym, że ci na czymś zależy. Kiedy bez przerwy zachowujesz spokój, możemy pomyśleć, że to dlatego, że masz wszystko w nosie.

- Cóż - powiedział Vandam - ludzie powinni jednak znać mnie lepiej. Przyjaciele, zwierzchnicy, ci, którzy mnie kochają... powinni znać mnie lepiej, jeżeli są coś warci. - Powiedział to szczerze, ale podświadomie przyznawał, że to jego słynne opanowanie w jakimś stopniu wynika z bezwzględności, z uczuciowego chłodu.

- A jeśli nie znają lepiej...? - Teraz przestała płakać.

- Powinienem być inny? Nie. - Chciał być z nią szczerzy. Mógł skłamać, żeby jej zrobić przyjemność: "Tak, masz rację, spróbuję być inny." Ale po co? Jeżeli nie może być sobą w jej obecności, to wszystko to nie ma sensu: będzie nią manipulował, tak jak manipulują nią wszyscy inni mężczyźni, tak jak on sam manipuluje ludźmi, których nie kocha. Dlatego powiedział jej prawdę.

- Widzisz... zachowując się w ten sposób, wygrywam. To znaczy, mam na myśli, że dzięki temu jestem górą w tej grze, jaką jest życie. - Uśmiechnął się krzywo. - Stoję z boku. Patrzę na wszystko z dystansu. Są sprawy, na których mi zależy, ale nie zrobię dla nich czegoś, co nie ma sensu, nie będę wykonywał symbolicznych gestów ani wpadał w pusty gniew. Albo się kochamy, albo nie, i nie zmienią tego kwiaty całego świata. To, nad czym dzisiaj pracowałem, ma wpływ na to, czy będziemy żyć, czy zginiemy. Myślałem o tobie cały dzień, ale za każdym razem, kiedy o tobie pomyślałem, zwracałem uwagę z powrotem na sprawy, które są pilniejsze. Pracuję skutecznie, ustalam, co jest w danej chwili najważniejsze, i nie zamartwiam się o ciebie, kiedy wiem, że nic ci nie grozi. Czy możesz sobie wyobrazić, że kiedyś do tego przywykniesz?

Uśmiechnęła się niewyraźnie.

- Spróbuję.

A on przez cały czas zadawał sobie w myśli pytanie: Jak długo? Czy pragnę być z tą kobietą na zawsze? A jeśli nie, to co?

Stłumił te myśli. W tej chwili nie to było najważniejsze.

- Po tym wszystkim chciałbym ci powiedzieć: zapomnij o dzisiejszym wieczorze, poradzimy sobie bez ciebie. Ale nie mogę tego powiedzieć, potrzebujemy ciebie i sprawa jest piekielnie ważna.

- W porządku, rozumiem.

- Ale przede wszystkim, czy mógłbym cię pocałować na dzień dobry?

- Proszę.

Kłęcząc przy jej krześle, ujął jej twarz swoją dużą dłonią i pocałował w usta. Wargi miała miękkie, uległe i lekko wilgotne. Delektował się ich smakiem. Nigdy nie zaznał podobnego uczucia, wydawało się, że mógłby ją całować, tak właśnie, przez całą noc i nie czuć zmęczenia.

W końcu ona cofnęła się, wzięła głęboki oddech i powiedziała:

- No, no, chcę wierzyć, że to było serio.

- Możesz być pewna.

Zaśmiała się.

- Kiedy to powiedziałaś, byłeś znowu przez moment starym majorem Vandamem, tym, którego znałam, zanim cię poznałam.

- A twoje "no, no" i ten prowokujący głos... to była stara Elene.

- Proszę mnie poinstruować, panie majorze.

- Żeby to zrobić, muszę się wycofać na bezpieczną odległość.

- Siądź po turecku tam dalej. A propos, nad czym dzisiaj pracowałeś?

Vandam podszedł do barku i wziął butelkę dżinu.

- Zaginął major z wywiadu, a razem z nim teczka z poufnymi materiałami.

- Wolff?

- Możliwe. Wyszło na jaw, że major parę razy w tygodniu znikał około południa i nikt nie wie, dokąd wychodził. Podejrzewam, że mógł się spotykać z Wolffem.

- Więc dlaczego zaginął?

Vandam wzruszył ramionami. - Coś poszło nie tak.

- Co było dziś w jego teczce?

Vandam zastanawiał się, ile jej powiedzieć. - Wykaz naszych pozycji obronnych, tak dokładny, że może odmienić rezultat bitwy, która nas czeka. - Smith miał także przy sobie proponowany przez Vandama plan wyprowadzenia Niemców w pole, tego jednak Vandam nie powiedział Elene. Ufał jej całkowicie, ale odezwał się w nim instynkt oficera wywiadu.

- Tak więc byłoby lepiej, żebyśmy go dzisiaj złapali - zakończył.

- Ale może być już za późno!

- Nie. Niedawno znaleźliśmy odczyt jednego z raportów Wolffa. Został sporządzony o północy. Szpiedzy mają wyznaczony czas na nawiązanie łączności, na ogół o tej samej godzinie każdego dnia. O innej porze ich mocodawcy nie będą prowadzić nasłuchu, w każdym razie nie na ustalonej długości fali, więc nawet jeśli nadają, to nikt ich nie odbiera. Dlatego myślę, że Wolff prześle informacje dziś o północy... o ile go wprawdzie nie złapiemy.

Zawahał się i zaraz potem, porzucając swoje obiekcje, postanowił, że powinna jednak w pełni zdawać sobie sprawę z wagi tego, co robi.

- Jest jeszcze coś. On używa kodu opartego na powieści pod tytułem "Rebeka". Mam jej egzemplarz. Gdybym miał klucz do tego kodu...

- Co to jest?

- Po prostu kawałek papieru z wyjaśnieniem, w jaki sposób ma się posługiwać książką, żeby zaszyfrować meldunek.

- Mów dalej.

- Gdybym dostał w swoje ręce klucz do "Rebeki", podszyłbym się pod Wolffa i przesłał przez radio fałszywe informacje dla Rommla. To może całkowicie odwrócić karty... może ocalić Egipt. Ale do tego muszę mieć klucz.

- W porządku. Jaki jest plan na dziś wieczór?

- Taki sam jak poprzednim razem, tylko jeszcze bardziej dopracowany. Ja będę w restauracji z Jakesem, obaj będziemy mieli pistolety.

Otworzyła szeroko oczy.

- Masz przy sobie broń?

- Nie teraz. Jakes przyniesie ją do restauracji. Poza tym w środku będzie jeszcze dwóch naszych ludzi, a na chodniku na zewnątrz sześciu. Postarają się nie rzucać w oczy. Będą także samochody na cywilnych numerach, gotowe zablokować na odgłos gwizdka wszystkie drogi prowadzące stamtąd. Niezależnie, jak Wolff się zachowa, jeśli chce się z tobą widzieć, złapiemy go.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- A to co? - zapytał Vandam.

- Drzwi...

- Tak, wiem. Czy spodziewasz się kogoś? Albo czegoś?

- Nie, oczywiście, że nie, za chwilę miałam już wychodzić.

Vandam zmarszczył brwi. W głowie brzęczały dzwonki alarmowe.

- To mi się nie podoba. Nie otwieraj.

- Dobrze - powiedziała Elene. Ale za chwilę zmieniła zdanie. - Muszę otworzyć. To może być mój ojciec. Albo jakaś wiadomość od niego.

- W porządku, otwórz.

Elene wyszła z salonu. Vandam siedział nadstawiając uszu. Pukanie rozległo się ponownie, potem Elene otworzyła drzwi.

Vandam usłyszał, jak mówi - Alex!

- Chryste! - wyszeptał.

Dobiegł go głos Wolffa. - Jesteś już gotowa. Wspaniale. - Głęboki, pewny siebie głos, cedzący angielskie słowa jedynie z leciutkim, trudnym do zidentyfikowania obcym akcentem.

- Oczywiście... - powiedziała Elene.

- Wiem. Czy mogę wejść?

Vandam przeskoczył przez oparcie kanapy i położył się za nią na podłodze.

- Oczywiście... - powiedziała Elene.

Głos Wolffa zbliżał się. - Kochanie, wyglądasz dziś ślicznie.

Przymiła się, drań, pomyślał Vandam.

Frontowe drzwi się zamknęły.

- Tędy? - zapytał Wolff.

- Hm... tak...

Vandam usłyszał, jak oboje wchodzi do pokoju.

- Urocze mieszkanie. Mikis Aristopoulos musi ci dobrze płacić - powiedział Wolff.

- Och, nie pracuję u niego regularnie. To daleki krewny, po prostu mu pomagam.

- Wujek. Musi być twoim wujem.

- Och, jest moim stryjecznym, dalekim kuzynem, kimś w tym rodzaju. Nazywa mnie siostrzenicą, żeby nie komplikować.

- No tak. To dla ciebie.

- Och, kwiaty. Dziękuję.

O kurwa, pomyślał Vandam.

- Czy mogę usiąść? - zapytał Wolff.

- Oczywiście.

Vandam poczuł, jak sofa się ugięła pod jego ciężarem. Wolff był dużym mężczyzną. Vandam pamiętał, jak walczył z nim w zaułku. Pamiętał również nóż tamtego. Ręka powędrowała mu do rany na policzku. Co mogę zrobić? - pomyślał.

Mógł skoczyć na Wolffa teraz. Szpieg był tutaj, miał go praktycznie w swoich rękach. Mniej więcej tyle samo wazyli, byli dla siebie równymi przeciwnikami - jeśli nie liczyć noża. Wolff miał przy sobie nóż tej nocy, kiedy jadł kolację z Sonią, tak więc prawdopodobnie zabiera go ze sobą wszędzie, ma go i teraz.

Jeżeli będą walczyć, a Wolff sięgnie po nóż, będzie miał przewagę. Wolff zwycięży. Tak było już wcześniej, w zaułku. Vandam znowu dotknął policzka.

Dlaczego nie przyszedłem tutaj uzbrojony? - pomyślał.

Jeżeli będą walczyć i Wolff zwycięży, co stanie się potem? Widząc Vandama w mieszkaniu Elene, Wolff zda sobie sprawę, że Elene próbowała złapać go w pułapkę. Co jej zrobi? W Istambule w podobnej sytuacji, poderznął dziewczynie gardło.

Vandam zamrugął oczyma, żeby odpędzić od siebie ten obraz.

- Widzę, że nalalaś sobie drinka przed moim przyjściem. Czy ja też mogę się napić? - zapytał Wolff.

- Oczywiście - kolejny raz powiedziała Elene. - Czego się napijesz?

- Co to jest? - Wolff pociągnął nosem. - O, dzin. Z przyjemnością trochę się napiję.

To była moja szklanka, pomyślał Vandam. Dzięki Bogu Elene nie piła w ogóle - dwie szklanki zdradziłyby, że coś jest nie tak. Usłyszał brzęk lodu.

- Zdrowie! - powiedział Wolff.

- Zdrowie.

- Nie wygląda na to, żeby ci smakowało.

- Lód się roztopił.

Vandam wiedział, dlaczego się skrzywiła łykając jego drinka - w szklance był czysty dżin. I tak dzielnie się spisuje w tej sytuacji, uznał. Co myśli o Vandamie, o tym, co ma zamiar zrobić? Musiała się już domyślić, gdzie się ukrył. Będzie teraz za wszelką cenę starała się nie patrzeć w tym kierunku. Biedna Elene! Znowu spotyka ją coś więcej niż to, na co się godziła.

Vandam miał nadzieję, że będzie pasywna, pójdzie po linii najmniejszego oporu i zaufa mu.

Czy Wolff wciąż ma zamiar pójść do restauracji "Oaza"? Może tak. Gdybym tylko mógł być tego pewny, myślał, pozostawiłbym całą sprawę Jakesowi.

- Wyglądasz na zdenerwowaną, Elene - powiedział Wolff. - Czy przychodząc tutaj pokrzyżowałem twoje plany? Jeżeli masz jeszcze coś do zrobienia przed wyjściem, chcesz dokończyć makijaż czy coś w tym rodzaju... choć uważam, że już teraz niczego ci nie brakuje do doskonałości... nie krępuj się i zostaw mnie tu z butelką dżinu.

- Nie, nie... Po prostu umówiliśmy się, że się spotkamy w restauracji...

- A ja zjawiam się tutaj, znowu zmieniając wszystko w ostatniej chwili. Prawdę mówiąc, restauracje mnie nudzą, poza tym to takie jakby to powiedzieć, konwencjonalne miejsce, żeby się spotkać; więc najpierw chciałem, żebyśmy zjedli kolację w towarzystwie, a potem, kiedy przyszła pora, straciłem na to ochotę i pomyślałem, żebyśmy spędzili czas inaczej.

A zatem nie wybierają się do "Oazy", pomyślał Vandam. Cholera.

- Co chcesz robić? - zapytała Elene.

- Czy może to być dla ciebie kolejną niespodzianką?

Każ mu powiedzieć, pomyślał Vandam.

- Dobrze - powiedziała Elene.

Vandam jęknął w duchu. Gdyby Wolff wyjawiał, dokąd się wybierają, Vandam mógłby zawiadomić Jakesa i spowodować, żeby zastawiono pułapkę w nowym miejscu. Elene nie rozumowała w sposób właściwy. To zrozumiałe - była przestraszona.

- Czy możemy już iść? - spytał Wolff.

- Dobrze.

Sofa zatrzeszczała, kiedy Wolff wstawał. Teraz powinienem na niego skoczyć, pomyślał Vandam.

Zbyt ryzykowne.

Słyszał, jak wyszli z pokoju. Przez chwilę pozostał tam, gdzie był. Doleciał go z korytarza głos Wolffa, mówiącego: - Proszę - kiedy przepuszczał Elene w drzwiach. Potem drzwi się zatrzasnęły.

Vandam wstał. Powinien iść za nimi i wykorzystać pierwszą nadarzającą się sposobność, żeby zadzwonić do Kwatery Głównej i skontaktować się z Jakesem. Elene nie miała w domu telefonu, w Kairze rzadko kto dysponował aparatem. Zresztą nawet gdyby miała, teraz nie było na to czasu. Podeszedł do drzwi frontowych i nasłuchiwał. Nie było nic słychać. Uchylił je lekko: Wolff i Elene odeszli. Wyszedł, zamknął drzwi i pobiegł korytarzem i schodami na dół.

Kiedy wychodził z budynku, zobaczył ich po drugiej stronie ulicy. Wolff otworzył drzwi samochodu, Elene wsiadła. To nie była taksówka: Wolff musiał wynająć, pożyczyć albo ukraść samochód na ten wieczór. Wolff zamknął drzwi za Elene i obszedł samochód dookoła. Elene wyjrzała przez szybę i spostrzegła Vandama. Patrzyła nań z natężeniem. Odwrócił od niej wzrok. Nie dawał jej żadnego znaku w obawie, że Wolff mógłby to zauważyć.

Vandam podeszedł do motocykla, wskoczył na siodełko i zapuścił motor.

Samochód Wolffa ruszył ostro, Vandam jechał w ślad za nim.

Na ulicach wciąż panował tłok. Vandam mógł trzymać się pięć albo sześć samochodów za Wolffem bez obawy, że go zgubi. Zapadał zmierzch, ale tylko nieliczne samochody miały zapalone reflektory.

Vandam zastanawiał się, dokąd zmierza Wolff. Z pewnością gdzieś się zatrzymają, o ile facet nie zamierza jeździć w kółko całą noc. Żeby tylko zatrzymali się w miejscu, gdzie jest telefon...

Wyjeżdżali z miasta, w kierunku na Gizę. Zapadła ciemność i Wolff zapalił światła samochodu. Vandam jechał z wyłączonym reflektorem, żeby Wolff nie dostrzegł, że jest śledzony.

To była koszmarowa jazda. Nawet przy świetle dziennym jazda na motocyklu w mieście wytrząsała duszę z człowieka: drogi pełne były dziur, garbów i zdradzieckich plam oleju. Vandam stwierdził, że musi obserwować nawierzchnię tak samo bacznie jak ruch uliczny. Droga na pustyni była jeszcze gorsza, a jednak musiał ją pokonywać bez świateł, starając się nie zgubić z oczu jadącego przed nim samochodu. Kilka razy o mało nie spadł z siodełka.

Było mu zimno. Nie przewidując nocnej jazdy, włożył tylko mundurową koszulę z krótkimi rękawami. Przy tej szybkości wiatr przewiewał ją na wylot. Jak daleko Wolff ma zamiar jechać?

Przed nimi zamajaczyły piramidy.

Nie ma tam telefonu, pomyślał Vandam.

Samochód Wolffa zwolnił i stanął. Mieli zamiar zrobić sobie piknik u stóp piramid. Vandam wyłączył silnik motocykla i zjechał na bok. Nie dając Wolffowi czasu na wyjście z samochodu, sprowadził motocykl z drogi na piasek. Widziana z bliska pustynia wcale nie była taka płaska. Vandam znalazł skaliste wzniesienie, za którym ułożył motocykl. Sam położył się na piasku obok wzniesienia i obserwował samochód.

Nic się nie działo.

Samochód stał nieruchomo, z wyłączonym silnikiem, wewnątrz było ciemno. Co oni tam robią? Vandam poczuł ukłucie zazdrości. Nie wygłupiaj się, powiedział sobie. Jedli, nic więcej. Elene opowiedziała mu o poprzednim pikniku: wędzony łosoś, kurczę na zimno, szampan. Nie całuje się dziewczyny mając usta pełne ryby. A jednak ich palce się zetkną, kiedy będzie jej podawał kieliszek wina...

Zamknij się.

Zdecydował, że zaryzykuje i zapali papierosa. Schował się za wzniesieniem, żeby go zapalić, potem wracając na swój posterunek ukrył go w dłoni na sposób wojskowy, zasłaniając ogień.

Po pięciu papierosach drzwi samochodu otworzyły się.

Chmury się rozwiały i na niebo wyszedł księżyc. Cały krajobraz skąpany był w srebrze i granacie, potężny cień piramid wznosił się nad błyszczącym piaskiem. Dwie ciemne postaci wysiadły z samochodu i szły w kierunku najbliższego ze starożytnych grobowców. Vandam dostrzegł, że Elene ręce trzyma skrzyżowane na piersiach, tak jakby było jej zimno albo jakby nie chciała, żeby Wolff wziął ją za rękę. Wolff lekko objął ją ramieniem, nie widać było, żeby się sprzeciwiała.

Zatrzymali się przed samą piramidą i rozmawiali. Wolff wskazywał w górę, Elene chyba, potrząsała głową przecząco: Vandam domyślił się, że nie chce się wspinać na wierzchołek. Poszli dalej wzdłuż podstawy piramidy i zniknęli z pola widzenia.

Vandam czekał, aż wynurzą się z drugiej strony. Zabierało im to bardzo dużo czasu. Co tam robią? Dosłownie nie mógł się oprzeć pragnieniu, by pójść i zobaczyć.

Mógł teraz się dostać do samochodu. Bawił się pomysłem zepsucia go, popędzenia z powrotem do miasta i sprowadzenia tu swojej ekipy. Ale kiedy Vandam powróci, Wolffa już tu nie będzie, w nocy nie da się przeszukać pustyni, a rano Wolff może być daleko stąd.

Prawie nie do zniesienia było obserwować, czekać i nic nie robić, ale Vandam wiedział, że to najlepszy sposób postępowania.

W końcu Wolff i Elene pokazali się z powrotem. Nadal ją obejmował. Wrócili do samochodu i stanęli przy drzwiach. Wolff wziął Elene w ramiona, powiedział coś i pochylił się, żeby ją pocałować.

Vandam stanął na nogi.

Elene nadstawiła Wolffowi policzek, potem obróciła się, wysliznęła z jego uścisku i wsiadła do samochodu.

Vandam znowu położył się na piasku.

Ciszę pustyni zakłócił łoskot zapuszczanego silnika. Vandam patrzył, jak samochód Wolffa zatacza szerokie koło i wjeżdża z powrotem na drogę. Reflektory zbliżały się i Vandam, mimo że dobrze ukryty, odruchowo wtulił głowę w ramiona. Samochód minął go zmierzając w stronę Kairu.

Vandam wyskoczył zza wzniesienia, wytoczył motocykl na drogę i kopnął rozrusznik. Silnik nie zaskoczył. Vandam zaklął: przeraził się, że do gaźnika mógł się dostać piasek. Spróbował jeszcze raz, tym razem udało się. Wskoczył na siodełko i ruszył w ślad za samochodem.

Światło księżyca pozwalało mu łatwiej omijać dziury i garby na drodze, ale również był bardziej widoczny. Jechał w dużej odległości za samochodem Wolffa wiedząc, że droga prowadzi tylko do Kairu. Zastanawiał się, co Wolff ma teraz zamiar zrobić. Czy odwiezie Elene do domu? Jeśli tak, to gdzie pojedzie potem? Może zaprowadzi Vandama do swojej kryjówki?

Chciałbym mieć ten pistolet, pomyślał Vandam.

A może Wolff zabierze Elene do swojego domu? Facet musi gdzieś mieszkać, musi mieć jakieś łóżko, w jakimś pokoju, w jakimś domu w tym mieście. Vandam był pewien, że Wolff ma zamiar uwieść Elene. Dotychczas był z nią dość cierpliwy i dżentelmeński, ale Vandam widział, że w rzeczywistości jest człowiekiem, który lubi zmierzać szybką drogą do celu. Uwiedzenie mogło być najmniejszym niebezpieczeństwem, które groziło Elene. Co ja bym dał za telefon, myślał Vandam.

Wjechali na przedmieścia i musiał zachowywać teraz mniejszą odległość. Na szczęście ruch był jeszcze duży. Zastanawiał się, czy się nie zatrzymać i nie przekazać

wiadomości jakiemuś policjantowi albo oficerowi, ale Wolff jechał szybko, a poza tym co miałby konkretnie przekazać? Wciąż nie wiedział przecież, dokąd tamten jedzie.

Zaczął domyślać się odpowiedzi, kiedy przejechali most prowadzący na Zamalek. Tam właśnie mieszkała na swojej łodzi tancerka Sonia. To z pewnością niemożliwe, żeby Wolff tam mieszkał, myślał Vandam, ponieważ od kilku dni miejsce było pod stałą obserwacją. Ale może nie chce zabrać Elene do swego prawdziwego domu i dlatego pożycza łódź.

Wolff zaparkował na ulicy i wysiadł. Vandam oparł motocykl o mur i pospiesznie opasał koło łańcuchem, żeby zabezpieczyć się przed kradzieżą - motocykl mógł mu jeszcze być potrzebny tej nocy.

Idąc za Wolffem i Elene przeszedł z ulicy na ścieżkę holowniczą. Obserwował ich zza krzaka. Zastanawiał się, co sobie myśli Elene. Czy spodziewa się, że zostanie uratowana, zanim to się stanie? Czy wierzy, że Vandam wciąż jest blisko i obserwuje ją? Czy może straciła nadzieję?

Zatrzymali się przed jedną z łodzi - Vandam zapamiętał dokładnie którą - i Wolff pomógł Elene wejść na trap. Czy nie przyszło mu do głowy, pomyślał Vandam, że łódź może być pod stałą obserwacją? Najwyraźniej nie. Wolff wszedł za Elene na pokład i otworzył pokrywę luku. Oboje zniknęli na dole.

Co teraz? - myślał Vandam. Miał teraz z pewnością najlepszą sposobność, żeby sprowadzić pomoc. Wolff na pewno zamierza spędzić trochę czasu na łodzi. Ale przypuśćmy, że tak się nie stanie. Przypuśćmy, że kiedy Vandam popędzi do telefonu, coś pójdzie nie tak - Elene będzie nalegać, żeby Wolff odwiózł ją do domu, ten zmieni swoje plany albo zdecydują się pójść razem do nocnego klubu?

Mogę wciąż jeszcze zgubić tego drania, pomyślał Vandam.

Gdzieś tutaj musi być policjant.

- Hej - wymówił scenicznym szeptem. - Czy jest tu ktoś? Policja? Jestem major Vandam. Hej, gdzie jest...

Zza drzewa wynurzyła się ciemna postać.

- Tak? - powiedział ktoś z arabskim akcentem.

- Czołem. Jestem major Vandam. Czy jesteś policjantem pilnującym łodzi?

- Tak, panie majorze.

- Dobra, słuchaj. Człowiek którego ścigamy, jest teraz na łodzi. Czy masz pistolet?

- Nie, panie majorze.

- Cholera. - Vandam rozważał, czy razem z Arabem dadzą radę we dwójkę wkroczyć i opanować łódź. Zdecydował, że nie. Od Araba nie można było oczekiwać, żeby walczył z entuzjazmem, a w zamkniętej przestrzeni nóż Wolffa będzie miał spustoszenie.

- Dobrze. Chcę, żebyś poszedł do najbliższego telefonu, zadzwonił do Kwatery Głównej i przekazał wiadomość dla kapitana Jakesa albo podpułkownika Bogge'a. To jest wiadomość absolutnie najwyższej rangi. Mają przybyć tutaj natychmiast w pełnym składzie i opanować łódź. Czy wszystko jasne?

- Kapitan Jakes albo podpułkownik Bogge, Kwatera Główna, mają natychmiast opanować łódź. Tak, panie majorze.

- W porządku. Pospiesz się.

Arab oddalił się kłusem.

Vandam znalazł miejsce, gdzie nie było go widać i skąd mimo to mógł obserwować łódź i nabrzeże. Kilka minut później na ścieżce pojawiła się kobieta. Vandam pomyślał, że wygląda znajomo. Weszła na łódź i wtedy się zorientował, że to Sonia.

Odetchnął z ulgą: kiedy na pokładzie jest inna kobieta, Wolff nie będzie przynajmniej napastował Elene.

Usiadł na ziemi i czekał.

Arab był w kłopotcie. "Idź do najbliższego telefonu", powiedział Anglik. Oczywiście, w domach niedaleko były telefony. Ale w domach z telefonami mieszkali Europejczycy, którzy nie odnoszą się mile do Egipcjanina - nawet jeśli ten jest oficerem policji - walącego o jedenastej w nocy do ich drzwi i domagającego się udostępnienia telefonu. Prawie na pewno odmówią mu, wśród przekleństw i wyzwisk. To będzie bardzo poniżające. Nie miał na sobie munduru, nie nosił nawet swego normalnego cywilnego ubrania składającego się z białej koszuli i czarnych spodni. Ubrany był jak fellach. Nie uwierzą nawet w to, że jest policjantem.

Nie było na Zamalek budek telefonicznych, o których by wiedział. To pozostawiało mu tylko jedną możliwość: zadzwonić z komisariatu. Skierował się w jego stronę, cały czas biegnąc kłusem.

Martwiło go również to, że miał zadzwonić do Kwatery Głównej. Wśród egipskich urzędników w Kairze obowiązywała niepisana zasada, że żaden z nich nigdy z własnej woli nie kontaktował się z Brytyjczykami. To zawsze oznaczało kłopoty. Telefonistka w Kwaterze Głównej mogła odmówić połączenia, mogli również odłożyć wiadomość do rana - a potem zaprzeczyć, że w ogóle ją otrzymali - albo kazać mu zadzwonić później. A jeśli cokolwiek pójdzie źle, trzeba będzie odpokutować tysiąc razy. Skąd zresztą wiedział, że człowiek na nabrzeżu był naprawdę majorem Vandamem? Nigdy przedtem go nie widział, a każdy przecież może włożyć na siebie mundur majora. A może to jakiś kawał? Niektórzy młodzi angielscy oficerowie uwielbiali wprost robić sobie żarty ze zbyt gorliwych Egipcjan.

Miał swój stary sposób na wyjście z sytuacji takich jak ta: podać dalej. Zresztą dostał instrukcje, aby w tej sprawie składać raport wyłącznie swemu zwierzchnikowi i nikomu więcej. Pójdzie na komisariat, zdecydował, i stamtąd zadzwoni do nadinspektora Kemela, do domu.

Kemel będzie wiedział, co zrobić.

Elene zeszła ze schodków i obróciła się niepewnie. Spodziewała się ujrzeć co najwyżej jakieś żeglarskie akcesoria, a tymczasem jej oczom ukazało się luksusowe, choć nieco pretensjonalne wnętrze mieszkalne. Puszyste dywany, niskie otomany, parę wykwintnych stolików oraz ciężkie aksamitne zasłony, za którymi przypuszczalnie mieściła się sypialnia. Po przeciwnej stronie, w zwężeniu będącym rufą znajdowała się kuchenka, wyposażona w niewielkie, przy tym nowoczesne sprzęty.

- To twoja własność? - spytała Wolffa.

- Należy do znajomej osoby - odrzekł. - Siadaj, proszę.

Poczuła, że znalazła się w potrzasku. Gdzie, u diabła, podział się William Vandam? Podczas jazdy samochodem kilkakrotnie miała wrażenie, że podąża za nimi motocykl, lecz starała się nie oglądać, żeby nie wzbudzać podejrzeń Wolffa. Oczekiwała, że lada chwila żołnierze otoczą samochód, Wolffa aresztują, ją zaś uwolnią; w miarę jednak jak z chwil robiły się godziny, zaczynała myśleć, że wszystko przedtem było snem, a William Vandam nigdy nie istniał.

Wolff podchodził właśnie do lodówki, sięgał po butelkę szampana, rozglądał się za dwoma kieliszkami, odwijał sreberko z szyjki, odkręcał drucik, wyciągał korek z głośnym hukiem, nalewał szampana do kieliszków. A gdzie, u diabła, podziewał się William?

Wolffa bała się panicznie. Miała wprawdzie za sobą niejedno, także przygodne, pójście z mężczyzną do łóżka, ale tamtym na ogół ufała, wiedziała, że będą dla niej czuli, a jeśli nie czuli, to przynajmniej dobrzy. Lękała się o swoje ciało: co też Wolff gotów wymyślić, jeśli mu na wszystko pozwoli? Skórę miała wrażliwą, w środku była delikatna i wyczulona na dotyk, leżąc na wznak z rozsuniętymi nogami czuła się zupełnie bezbronna... Z kimś kochającym ją, traktującym jej ciało z równym jak ona uważaniem, byłoby to przyjemnością - ale z Wolffem, który zamierzał tylko ją wykorzystać... Wzdrygnęła się.

- Zimno ci? - spytał, podając jej kieliszek.

- Nie, to nie dreszcze...

- Twoje zdrowie - powiedział, unosząc swój.

W ustach miała sucho. Upiła trochę chłodnego wina, po czym wzięła długi łyk. Poczuła się nieco lepiej.

Usiadł obok niej na otomanie i odwrócił się, by na nią patrzeć. - Wspaniały wieczór - stwierdził. - Bardzo mi dobrze w twoim towarzystwie. Jesteś czarodziejką.

Zaczyna się, pomyślała.

Położył dłoń na jej kolanie.

Zesztywniała.

- Jesteś tajemnicza - kontynuował - pociągająca, trochę chłodna, bardzo piękna, chwilami naiwna, chwilami chytruska... powiesz mi coś?

- Niewątpliwie. - Nie patrzyła na niego.

Końcem palca obrysował jej profil: czoło, nos, wargi, brodę. - Dlaczego się ze mną spotykasz?

O co mu chodzi? Może podejrzewa, czym ona się naprawdę zajmuje? A może to tylko kolejny ruch w jego grze?

Spojrzała na niego. - Jesteś bardzo atrakcyjnym mężczyzną - odparła.

- Cieszę się, że tak uważasz. - Znowu położył dłoń na jej kolanie i pochylił się, żeby ją pocałować. Nadstawiła policzek, jak poprzednio. Potarł go wargami. - Czemu się mnie boisz? - spytał szeptem.

Z pokładu dobiegł jakiś hałas - szybkie, lekkie stąpanie - i ktoś otworzył luk.

William! - pomyślała.

Na schodkach ukazała się damska stopa w pantoflu na wysokim obcasie, a po niej jej właścicielka, która zamknawszy za sobą pokrywę luku, zeszła na dół. Elene rozpoznała w niej Sonię, tancerkę brzucha.

Co to wszystko, na Boga Ojca, znaczy? - pomyślała.

W porządku, sierżancie - powiedział Kemel do słuchawki. - Słusznie postąpiliście, kontaktując się ze mną. Już ja się tym zajmę. Możecie iść do domu.

- Dziękuję, panie nadinspektorze - ucieszył się sierżant. - Dobranoc.

- Dobranoc. - Kemel odłożył słuchawkę. Katastrofa! Brytyjczycy śledzili Alexa Wolffa aż do łodzi i Vandam usiłuje zorganizować obławę. Czym to się skończy? Po pierwsze, wezmą w łeb plany Wolnych Oficerów, plany skorzystania z nadajnika tego Niemca, a przed wkroczeniem Rommla do Egiptu może już nie być innej sposobności podjęcia negocjacji z Rzeszą. Po drugie, skoro Brytyjczycy odkryli, że łódź jest gniazdem szpiegów, to niebawem domyślą się, że Kemel znał prawdę, lecz osłaniał agentów. Należało wymóc na Soni spotkanie w ciągu godzin, a nie dni; cóż, stało się. Co robić?

Wrócił do sypialni i ubrał się pośpiesznie. - O co chodzi? - spytała go żona z łóżka.

- Praca - odrzekł szeptem.

- Oj. - Odwróciła się tyłem.

Z zamykanej na klucz szuflady biurka wyjął pistolet i schował go do kieszeni marynarki, pocałował żonę, cicho wyszedł z domu. Wsiadł do samochodu i zapuścił motor. Zamyślił się. Najpierw powinien porozmawiać z Sadatem, zajęłoby to jednak zbyt dużo czasu. Tam, przy łodzi, Vandam mógłby się zniecierpliwic i zrobić coś pochopnego. Należało się z nim załatwić, a dopiero potem jechać do domu Sadata.

Ruszył kierując się na Zamalek. Potrzebował czasu, żeby przemyśleć to wszystko powoli i dokładnie, ale tego czasu właśnie nie miał. Czy powinien zabić Vandama? Nigdy nikogo nie zabił i nie miał pojęcia, czy byłby w stanie tego dokonać. Lata minęły, odkąd kogoś choćby uderzył. Jak potem zatuszuje swój udział w tej sprawie? Niemcy dotrą do Kairu nie wcześniej niż za kilka dobrych dni - niewykluczone zresztą, nawet jeśli nic się nie zmieni, że zostaną odparci. Zaczną się dochodzenia, co się zdarzyło na ścieżce holowniczej, i prędzej czy później zostanie obwiniony. Pewnie go rozstrzelają.

- Odwagi - powiedział głośno, mając przed oczyma samolot Imama eksplodujący przy przymusowym lądowaniu na pustyni.

Zaparkował w pobliżu ścieżki holowniczej. Z bagażnika wyciągnął długi kawałek liny. Wepchnął ją do kieszeni marynarki, a pistolet wziął w prawą rękę.

Ujął go za lufę, jak do ogłuszania. Kiedy to go ostatnio używał? Sześć lat temu, jeśli nie liczyć sporadycznych szkoleń na strzelnicy.

Podszedł do brzegu rzeki. Omiótł spojrzeniem srebrzysty Nil, czarne cienie łodzi mieszkalnych, szarą kreskę ścieżki i ciemne zarysy krzewów. Vandam był gdzieś w tych zaroślach. Kemel ruszył do przodu, stąpając cicho.

Vandam papierosem oświetlił cyferblat. Była jedenasta trzydzieści. Niewątpliwie coś się stało. Albo arabski policjant przekreślił jego polecenia, albo w Kwaterze Głównej nie zdołali odszukać Jakesa, albo też Bogge'owi udało się zaważyć sprawę. Nie mógł jednak pozwolić, by Wolff nadał zdobyte ostatnio informacje. Musiał postawić wszystko na jedną kartę i wejść na pokład.

Gasząc papierosa usłyszał nie opodal czyjeś kroki. - Kto tam? - syknął. - Jakes?

Ciemna postać, która teraz przed nim stanęła, odpowiedziała szeptem: - To ja.

Vandam nie poznał tego głosu, nie widział też w ciemności twarzy tamtego. - Kto?

Postać zbliżyła się i uniosła rękę. - Kto... - zaczął Vandam, uświadamiając sobie jednocześnie, że ręka opada, by zadać mu cios. Szarpnął się. Coś uderzyło go w głowę z boku i zsunęło się na bark. Wrzasnął, bo ból sparaliżował mu prawą rękę. Tamta ręka uniosła się znowu. Zrobił niepewnie krok do przodu, próbując złapać napastnika lewą ręką. Postać odchyliła się do tyłu i jeszcze raz zaatakowała. Tym razem cios ugodził Vandama dokładnie w środek czaszki. Przez chwilę odczuwał straszliwy ból, po czym stracił przytomność.

Kemel schował pistolet i ukląkł obok nieruchomego Vandama. Dotknąwszy jego klatki piersiowej, wyczuł z ulgą bicie serca. Nie tracąc czasu zdjął mu sandały, a potem skarpetki, które zwinąwszy w kłębek wsadził mu w usta. To powinno uniemożliwić Vandamowi wołanie o pomoc. Przewrócił go na brzuch i skrzyżowawszy mu ręce na plecach związał je liną. Drugi jej koniec okręcił wokół kostek u nóg, a resztę liny przywiązał do drzewa.

Nawet jeśli ocknie się za kilka minut, nie zdoła ani się ruszyć, ani krzyknąć. Zostanie tu, dopóki ktoś się o niego nie potknie. Kiedy może do tego dojść? Normalnie w tych krzakach kręcili się jacyś ludzie, to młodzi chłopcy ze swymi ukochanymi, to żołnierze z ciziami, lecz dziś panowało tu takie zamieszanie, że niewątpliwie wszystkich wypłoszyło.

Istniało jednak prawdopodobieństwo, że jakaś spóźniona para natknie się na Vandama lub usłyszy jego jęki... No, trudno, pomyślał Kemel, nie ma co tu stać i martwić się na zapas.

Postanowił rzucić okiem na łódź. Na palcach podkradł się do "Dżihan". W środku paliło się światło, lecz na iluminatorach były zasłonki. Kusiło go, żeby wejść na pokład, ale najpierw musiał udać się do Sadata, bo nie wiedział, jak postąpić dalej.

Odwrócił się więc i poszedł z powrotem do samochodu.

- Alex mówił mi o tobie, Elene - powiedziała Sonia obdarzając ją uśmiechem.

Elene też się do niej uśmiechnęła. Może ona była tą znajomą osobą Wolffa, właścicielką łodzi? Czyżby z nią mieszkał? Ciekawe, czy spodziewał jej się tak wcześnie? Żadne z nich nie wyglądało jednak na rozzłoszczone, zaskoczone bądź zakłopotane. Czując, że należy coś powiedzieć, Elene spytała: - Wracasz z klubu "Cha-Cha", prawda.

- Tak.

- A jak dziś poszło?

- Jak zwykle: dałam z siebie wszystko i rzuciłam ich na kolana.

Sonia do skromnych nie należała, to pewne.

Wolff podał Soni kieliszek szampana. Wzięła go nie patrząc na niego. - A ty pracujesz w sklepie Mikisa, czy tak? - zwróciła się do Elene.

- Nie, nie - odparła, myśląc jednocześnie: Co cię to może obchodzić? - Pomagałam mu przez parę dni, to wszystko. Jesteśmy spokrewnieni.

- To znaczy, że jesteś Greczynką?

- Właśnie. - Pogawędka z Sonią działała na Elene uspokajająco. Wszelkie jej obawy minęły. Cokolwiek miało się zdarzyć, to Wolff przecież nie zgwałci jej pod groźbą noża na oczach najslawniejszej kobiety w Egipcie. Dzięki Soni zaczęła oddychać. William zamierzał aresztować Wolffa przed północą... Północ!

Mało brakowało, a by zapomniała. O północy Wolff miał się skontaktować z wrogiem za pomocą krótkofalówki i przekazać szczegóły dotyczące linii obrony. Gdzie jest ten nadajnik? Czy tu, na łodzi? Bo jeśli gdzie indziej, to wkrótce Wolff będzie musiał wyjść. A jeżeli nadajnik znajduje się w łodzi, to czy zdecyduje się nadać komunikat w obecności jej i Soni? Do czego on zmierza?

Wolff usiadł obok Elene. Poczwała się trochę niepewnie, mając ich po obu stronach. - Ależ ze mnie szczęściarz - zażartował. - Tak sobie siedzieć z dwiema najpiękniejszymi kobietami w Kairze!

Elene patrzyła przed siebie nie wiedząc, co powiedzieć.

- Czy ona nie jest piękna, Soniu? - spytał.

- Bardzo - odparła Sonia i dotknęła twarzy Elene. Wziąwszy ją za podbródek, odwróciła jej głowę ku sobie. - Czy ja też jestem piękna, Elene?

- Oczywiście. - Elene zmarszczyła brwi. Działo się coś bardzo dziwnego. Zupełnie jakby...

- Cieszę się - odrzekła Sonia i położyła dłoń na jej kolanie.

I Elene wreszcie zrozumiała.

Wszystko zaczęło układać się w całość: opanowanie Wolffa, jego udawane dobre maniery, ta łódź, niespodziewane zjawienie się Soni... Elene pojęła, że wcale nie jest bezpieczna. Strach przed Wolffem wrócił, jeszcze silniejszy niż przedtem. Ta para zamierzała się nią posłużyć, a ona nie miała wyboru; będzie musiała leżeć, niema i bierna, oni tymczasem zrobią z nią, co zechcą, Wolff z nożem w ręce...

Uspokój się.

Nie wolno mi się bać. Muszę jakoś wytrzymać znęcanie się tych dwojga zdeprawowanych pomyleńców. Gra idzie o większą stawkę. Nie myśl o swym cennym ciałku, myśl o radiu i o tym, jak przeszkodzić Wolffowi w jego użyciu.

Ten trójkąt może mieć swoje atuty.

Spojrzała ukradkiem na zegarek. Za kwadrans północ. Zbyt późno, by liczyć na Williama. Ona, Elene, była teraz jedyną osobą zdolną powstrzymać Wolffa.

Chyba nawet wiedziała, jak się do tego zabrać.

Sonia i Wolff wymienili znaczące spojrzenia. Trzymając każde dłoń na udzie Elene, wychylili się ku sobie i zaczęli się całować tuż przed jej oczyma.

Patrzyła. To był długi, zmysłowy pocałunek. Co ja mam robić? - zastanawiała się.

Odsunęli się od siebie.

Teraz Wolff zaczął ją całować w ten sam sposób. Nie broniła się. Wtem na jej brodzie spoczęła dłoń Soni. Sonia odwróciła jej twarz ku sobie i pocałowała w usta.

Elene zamknęła oczy i powtarzała sobie w myśli: To nic nie boli, nic nie boli.

Bolec nie bolało, ale to takie dziwne uczucie być namiętnie całowaną przez inną kobietę.

Zaczęła się zastanawiać, co zrobić, żeby przejąć kontrolę nad sytuacją.

Sonia szarpnięciem rozpięła bluzkę. Miała duże brązowe piersi. Wolff skłonił głowę i wziął do ust jej sutek. Elene poczuła, że Sonia pcha jej głowę w dół. Pojęła, że ma go naśladować, co też zrobiła. Sonia jęknęła.

A więc to wszystko było dla niej: spełniali jej zachciankę, jej kaprys; to ona, nie Wolff, dyszała teraz, postękiwała. Elene przeraziła się, że Wolff gotów za chwilę odejść do

swego nadajnika. Pieszcząc mechanicznie Sonię, zastanawiała się gorączkowo, jak doprowadzić do tego, żeby i Wolffowi żądza odebrała rozum.

Cokolwiek jednak przychodziło jej do głowy, wydawało się śmieszne w kontekście tej idiotycznej, groteskowej sytuacji.

Ale przecież muszę przytrzymać Wolffa z dala od nadajnika.

Czy istnieje jakiś klucz do tego, co tu się dzieje? O co im naprawdę chodzi?

Oderwała się od Soni i pocałowała Wolffa. Podał jej usta. Odnalazła jego rękę i wsunęła między swoje uda. Oddychał głęboko. Ma jednak ochotę, pomyślała.

Sonia spróbowała ich rozdzielić.

Wolff popatrzył na nią z uwagą, po czym wymierzył jej siarczasty policzek.

Elene zatkało. Czy to jest tym kluczem? To bez wątpienia taka ich gra.

Wolff zajął się znowu Elene. Sonia drugi raz usiłowała się wcisnąć między nich.

Teraz Elene ją uderzyła.

Sonia wydała z siebie gardłowy krzyk.

Udało się. Zgadłam, w co grają. Panuję wreszcie nad sytuacją, cieszyła się Elene.

Dostrzegła, że Wolff zerka na zegarek.

Wstała. Spojrzeli na nią zaskoczeni. Uniosła ręce i powoli ściągnęła przez głowę suknię, rzuciła ją na bok, zostając w czarnej bieliźnie i pończochach. Włożyła ręce między uda, po czym przeciągnęła nimi zmysłowo po ciele, krzyżując je w końcu na piersiach. Na twarzy Wolffa zaszła zmiana: zniknęło dotychczasowe opanowanie. Patrzył na nią oczyma szeroko otwartymi z pożądania. Był napięty, zahipnotyzowany. Oblizywał wargi. Podniósłszy lewą nogę, Elene oparła stopę w pantoflu na obcasie między piersiami Soni, a następnie pchnęła ją do tyłu. Schwyciła głowę Wolffa i przyciągnęła ją do łona.

Sonia zaczęła całować jej stopę.

Wolff wydał z siebie dźwięk pomiędzy jękiem a westchnieniem i skrył twarz między udami Elene.

Elene spojrzała na zegarek.

Była północ.

Elene leżała w łóżku na wznak, naga. W zupełnym bezruchu, sztywna, z napiętymi mięśniami i wzrokiem utkwionym w pusty sufit. Z jej prawej strony leżała na brzuchu Sonia - ręce i nogi rozrzucone na pościeli - zdążyła już zasnąć, chrapała. Prawą ręką muskała jej biodro. Wolff znajdował się po lewej stronie Elene. Leżał na boku, twarzą do niej, i sennie gładził jej ciało.

Jakoś mnie to nie zabiło, pomyślała.

Gra zasadzała się na przyciąganiu i odpychaniu Soni. Im bardziej oboje ją odpychali i znieważali, tym bardziej ją to podniecało, aż do momentu kulminacyjnego, w którym Wolff odepchnął Elene i kochał się z Sonią. Ten scenariusz tamci oczywiście mieli opanowany; grywali według niego już wcześniej.

Elene sprawiło to małą przyjemność, ale nie odczuwała obrzydzenia, upokorzenia czy wstrętu. Czuła tylko, że została zdradzona, i to zdradzona przez samą siebie. Jak gdyby oddała do lombardu pierścionek od ukochanego, ścięła na sprzedaż swe długie włosy bądź wysłała dziecko do pracy w młynie. Obraziła samą siebie. Najgorsze, że sama, wiedząc takie, a nie inne życie, do tego doprowadziła: przez osiem lat od opuszczenia domu kroczyła po śliskim zboczku; ześlıżnięcie się z niego groziło prostytutką i tym się to skończyło.

Poczuła, że głaskanie ustało. Zerknęła na twarz Wolffa. Oczy miał zamknięte, zasypiał.

Zachodziła w głowę, co też się mogło stać z Vandamem.

Coś poszło nie tak. Niewykluczone, że w Kairze Vandam stracił z oczu samochód Wolffa. A może miał wypadek? Tak czy inaczej, Vandam już nad nią nie czuwał. Była zdana na siebie.

Zdołała doprowadzić do tego, że Wolff zapomniał o nadaniu nocnego meldunku do Rommla - co jednak przeszkodzi mu zrobić to następnej nocy? Powinna więc dotrzeć do Kwatery Głównej i poinformować Jakesa, gdzie znajduje się Wolff. Trzeba wyśliznąć się stąd czym prędzej, odszukać Jakesa - niech wyciągnie z łóżek swoich ludzi...

Trwałoby to zbyt długo. W tym czasie Wolff pewnie by się obudził, stwierdził, że jej nie ma, i znowu gdzieś przepadł.

Czy ten nadajnik jest tutaj, czy gdzie indziej? To zasadnicza sprawa.

Przypomniała sobie, co Vandam powiedział wieczorem (czy to faktycznie zaledwie kilka godzin temu?): "Gdybym dostał w swoje ręce klucz do "Rebeki", podszyłbym się pod Wolffa i przesłał przez radio fałszywe informacje... to może całkowicie odwrócić karty..."

A gdybym ja znalazła ten klucz? - pomyślała.

Vandam mówił, że jest to kawałek papieru, na którym zapisano, jak szyfrować meldunki za pomocą książki.

Elene pojęła, że ma okazję odnaleźć zarówno nadajnik, jak i klucz do szyfru.

Trzeba przeszukać łódź.

Lecz nie ruszyła się z miejsca. Znowu ogarnął ją strach. Bo jeśli Wolff ją przyłapie... Nie zapomniała jego teorii na temat ludzi, świat jest podzielony na panów i niewolników. Życie niewolnika nie ma żadnej wartości.

Nie, zdecydowała, wyjdę stąd rano, jak gdyby nigdy nic, a potem powiem Brytyjczykom, gdzie mogą znaleźć Wolffa, oni zrobią obławę i...

A jeśli Wolff zniknie do tego czasu? Jeżeli nie znajdą nadajnika?

Wszystko poszłoby na marne.

Wolff oddychał powoli i regularnie; prędko zasnął. Elene sięgnęła w dół, dotknęła bezwładnej ręki Soni i zsunęła ją ze swego biodra na prześcieradło. Sonia ani drgnęła.

Żadne z nich już jej nie dotykało. Co za ulga.

Pomalutku usiadła.

Zmiana obciążenia materaca nie uszła uwagi tamtych dwojga. Sonia mruknęła, uniosła głowę, odwróciła ją w drugą stronę i znowu zaczęła chrapać. Wolff przewrócił się na plecy, nie otwierając oczu.

Stopniowo drętwiejąc przy każdym ruchu materaca, Elene przekreśliła się tak, by się znaleźć na rękach i kolanach, twarzą do wezłowania łóżka. Zaczęła ostrożnie czułgać się tyłem: prawe kolano, lewa dłoń, lewe kolano, prawa dłoń. Ani na moment nie spuszczała wzroku z dwóch uśpionych twarzy. Koniec łóżka wydawał jej się odległy o wiele kilometrów. Cisza grzmiała w uszach jak burza. Wtem łódź zakołysała się na falach powstałych za przepływającą barką, więc Elene skorzystała z okazji i prędko wycofała się z łóżka. Po czym stała jak wrośnięta w podłogę i póki łódź nie przestała się chwiać, obserwowała ich bacznie. Nie obudzili się.

Od czego by tu zacząć poszukiwania? Postanowiła działać systematycznie: zacząć od dziobu, posuwać się w stronę rufy. W dziobie znajdowała się łazienka. Elene uświadomiła sobie, że tak czy inaczej musiała tam pójść. Przemknąwszy się przez sypialnię, weszła do maciupkiej łazienki.

Siedząc na sedesie rozejrzała się wokół siebie. Gdzie może być ukryty ten nadajnik? Nie miała właściwie pojęcia, jakiej jest on wielkości. Walizki? Teczki? Damskiej torebki? W łazience znajdowała się umywalka, niewielki brodzik i szafka ścienna. Elene wstała i zajrzała do niej. Znalazła przybory do golenia, pigułki i zwitek bandaża.

Nadajnika w łazience nie było.

Nie miała odwagi przeszukiwać sypialni, póki oni tam spali, przynajmniej jeszcze nie teraz. Minęła ją i przeszła za zasłonę, do salonu. Obrzuciła go szybkim spojrzeniem. Zdenerwowanie nagliło ją do pośpiechu, nakazała sobie jednak zachowanie spokoju i czujności. Zaczęła od prawej burty. Stała tam otomana. Elene popukała leciutko w jej podstawę: robiła wrażenie pustej. Dobre miejsce na nadajnik. Spróbowała więc unieść otomanę, lecz ta ani drgnęła. Przyjrzawszy się jej bokom, Elene stwierdziła, że jest przyśrubowana do podłogi. Śruby okazały się mocno dokręcone. Nadajnika nie mogło tam być. Tuż obok stała wysoka szafa. Elene otworzyła ją delikatnie. Rozległo się skrzypnięcie. Znieruchomiała. W sypialni ktoś chrząknął. Naszykowała się, że zaraz zza zasłony wypadnie Wolff i przyłapie ją na gorącym uczynku. Nic się jednak nie stało.

Zajrzała do szafy: szczotka do zmiatania, kilka ścierek, płyny i pasty oraz latarka. Ani śladu nadajnika. Zamknęła szafę, która znowu zaskrzypiała.

Elene przeszła do części kuchennej. Do sprawdzenia miała tu sześć szafek. Zawierały naczynia, konserwy, garnki, kieliszki, zapas kawy, ryżu, herbaty, a także ręczniki. Pod zlewem stało wiaderko na kuchenne odpadki. Elene zerknęła do lodówki, gdzie nie było nic poza butelką szampana. Pozostało jeszcze kilka szuflad. Czy nadajnik zmieściłby się w szufladzie? Wysunęła pierwszą z nich. Brzęk sztućców podrażnił jej nerwy. Żadnego nadajnika. W następnej bogaty wybór przypraw i zapachów - od curry do esencji waniliowej - ktoś tu lubił gotować. W kolejnej szufladzie noże kuchenne.

Obok kuchenki stał sekretarzyk ze składanym blatem. Pod spodem znajdowała się niewielka walizka. Elene uniosła ją. Ciężka. Otworzyła. Ujrzała nadajnik.

Serce jej zabiło.

Taka zwykła walizka z dwoma zamkami, skórzaną rączką i wzmocnieniami na rogach. Nadajnik całkowicie wypełniał jej wnętrze, jak gdyby go specjalnie do niej zaprojektowano. Między wypukłym wiekiem walizki a powierzchnią aparatu było trochę wolnego miejsca i tam włożono książkę, oberwawszy uprzednio tekturowe okładki, żeby się zmieściła. Elene wyjęła ją i zajrzała do środka "Śniło mi się tej nocy, że znów jestem w Manderley", przeczytała. To właśnie była "Rebeka".

Elene zaczęła przerzucać kartki. W środku coś było. Otworzyła książkę w tym miejscu i na podłogę wypadł kawałek papieru. Schyliła się i podniosła go. Widniały na nim liczby, daty oraz jakieś niemieckie słowa. To na pewno był klucz do szyfru.

Trzymała w dłoni coś, czego potrzebował Vandam, żeby zmienić losy wojny.

Nagle poczuła się przytłoczona spoczywającą na niej odpowiedzialnością.

Bez tego, myślała Wolff nie może przekazać informacji Rommlowi, a jeśli wyśle je nie zaszyfrowane, to Niemcy nie uwierzą w nie, zresztą będą podejrzewać, że alianci je przechwycili... Bez tego Wolff jest nieszkodliwy. Z tym Vandam może wygrać wojnę.

Musi więc natychmiast uciec zabierając szyfr ze sobą.

Dopiero teraz dotarło do niej, że jest całkiem naga. Podeszła do otomany, gdzie leżała jej suknia - niedbale rzucona i pognieciona. Odłożyła na bok książkę i kartkę z kluczem, sięgnęła po suknię, wciągnęła ją przez głowę.

Skrzypnęło łóżko.

Hałas za zasłonami nie budził wątpliwości - ktoś wstawał z łóżka, ktoś ciężki, więc mógł to być tylko on. Elene znieruchomiała. Stała jak sparaliżowana. Kroki Wolffa zbliżyły się do zasłon, po czym oddaliły. Trzasnęły drzwi łazienki.

Nie było czasu na wkładanie majtek. Chwyciła torebkę, pantofle, książkę z cenną kartką w środku. Usłyszała, że Wolff wyszedł z łazienki. Podbiegła do schodków i zaczęła się po nich wspinać, krzywiąc się, bo wąskie stopnie wrzynały się boleśnie w jej bose stopy. Spojrzała w dół: zza zasłony wyłonił się właśnie Wolff i patrzył na nią zdziwiony. Jego wzrok powędrował ku otwartej walizce na podłodze. Elene skupiła się na pokrywie luku. Unieruchomiły ją dwa rygle. Wyciągnęła je. Kątem oka dostrzegła Wolffa rzucającego się ku schodkom. Pchnęła do góry klapę i wdrapała się na pokład. Prostując się dojrzała Wolffa, wspinającego się po schodkach. Nie tracąc czasu schyliła się i uniosła ciężką drewnianą klapę. Gdy prawa dłoń Wolffa ukazała się na krawędzi otworu, z całej siły przytrzasnęła mu palce. Usłyszała jak zawył z bólu. Przebiegła przez pokład i trap.

O właśnie: trap prowadzący z łodzi na brzeg. Elene przystanęła, chwyciła za koniec i zepchnęła trap do rzeki.

Wolff wydostawał się już z luku, na jego twarzy malowały się ból i wściekłość.

Na widok Wolffa biegnącego po pokładzie wpadła w panikę. Przecież nie będzie gonił mnie nagi, próbowała się pocieszać. A Wolff już brał rozbieg, żeby przeskoczyć burtę łodzi.

Nie, to mu się nie może udać.

Wylądował na samej krawędzi lądu i zatoczył młynka ramionami, usiłując złapać równowagę. W nagłym przypływie odwagi Elene podbiegła do niego i zanim zdążył zapanować nad ruchami, pchnęła go do wody.

Po czym odwróciła się i zaczęła uciekać ścieżką wzdłuż nabrzeża.

Dotarłszy do końca ścieżki, na ulicę, przystanęła i spojrzała za siebie. Serce waliło jej jak szalone, z trudem łapała powietrze. Obraz Wolffa nagiego, ociekającego wodą,

gramolącego się na gliniasty brzeg sprawił jej satysfakcję. Dniało już, więc nie mógł w tym stanie gonić jej daleko. Odwróciła się ku ulicy, zaczęła biec i nagle się z kimś zderzyła.

Czyjeś silne ręce zacisnęły się wokół niej jak kleszcze. Szarpnęła się desperacko, wyrwała i znowu została schwyтана. Załamało ją to kompletnie: po tym wszystkim, myślała zrozpaczona, po tym wszystkim.

Tamte ręce odwróciły ją i poczęły prowadzić w kierunku łodzi. Widząc zbliżającego się Wolffa, szarpnęła się ponownie, na co jedna z trzymających ją dłoni znalazła się na jej szyi. Otworzyła usta, żeby zawołać o pomoc, zanim jednak wydała jakikolwiek dźwięk, napastnik wsadził jej palce do gardła i o mało nie z wymiotowała.

- Kim pan jest? - spytał Wolff, podchodząc blisko.

- Nazywam się Kemel. A pan to zapewne Wolff?

- Dzięki Bogu, że pan tu był.

- Znalazł się pan w opałach, Wolff - oznajmił ten o nazwisku Kemel.

- Wejdźmy lepiej na pokład... O, do diabła, zatopiła tę pieprzoną kładkę. - Popatrzył w dół, gdzie obok łodzi pływał trap. - Bardziej mokry już być nie mogę - mruknął, a następnie ześliznął się po zboczu do wody, chwycił obiema rękami trap, wyrzucił go na brzeg i wspiał się za nim. Uniósł go, przerzucił ponad rzeką na pokład.

- Tędy - powiedział.

Kemel zmusił Elene do wejścia na pokład i dalej w dół po schodkach.

- Niech ona tu siądzie - polecił Wolff wskazując na otomanę. Kemel pchnął Elene, niezbyt brutalnie, w jej stronę i zmusił, żeby usiadła.

Wolff zniknął za zasłoną, po czym wrócił z dużym ręcznikiem. Zaczął się wycierać. Nie robił wrażenia zawstydzonego swoją nagością.

Elene zdziwił niski wzrost Kemela. Kiedy ją prowadził, wyobrażała sobie, że jest postury Wolffa. Był przystojnym ciemnoskórym Arabem. Z zakłopotaniem odwracał wzrok od Wolffa.

Wolff owinął sobie ręcznik wokół bioder i usiadł. Przyjrzał się uważnie swojej dłoni.

- Mało brakowało, a połamałaby mi palce - powiedział. Przeniósł wzrok na Elene. Malowała się w nim złość i rozbawienie.

- A gdzie Sonia? - zainteresował się Kemel.

- W łóżku - odparł Wolff, robiąc ruch głową w stronę zasłon. - Nie obudzi jej nawet trzęsienie ziemi, a już szczególnie po nocnej orgii.

Elene dostrzegła, że słowa Wolffa wprawiają Kemela w zażenowanie. A może denerwował go brak powagi Wolffa. - Znalazł się pan w opałach - powtórzył z naciskiem.

- Tak - przyznał Wolff. - Domyślałam się, że ona pracuje dla Vandama.

- Tego akurat nie wiem. Zadzwoił do mnie w środku nocy człowiek, którego postawiłem na ścieżce holowniczej. Powiedział, że zjawił się Vandam i wysłał go po pomoc.

Jego słowa wywarły ogromne wrażenie na Wolffie. - Byliśmy tak blisko! - wykrzyknął. Minę miał niepewną. - A gdzie on jest teraz? - spytał.

- Tam, gdzie był. Dałem mu w łeb i związałem.

Elene ścisnęło się serce. Vandam leżał tam, w krzakach, pobity i skrepowany... tylko on wiedział, dokąd ona poszła. Wszystko na nic.

Wolff pokiwał głową. - Vandam przyszedł tu za nią. Tych dwoje zna to miejsce. Jeżeli mam tu zostać, muszę ich zabić.

Elene wstrząsnął dreszcz: jak beztrosko mówił o zabijaniu. Panowie i niewolnicy, przypomniała sobie.

- To nie byłoby najlepsze wyjście - odezwał się Kemel. - Jeśli zabije pan Vandama, to wyjdzie na to, że ja to zrobiłem. Pan sobie wyjedzie, a ja muszę żyć w tym mieście. - Przerwał, obserwując Wolffa zwężonymi oczyma. - Jeżeli natomiast przyjdzie panu do głowy i mnie załatwić, to zostaje jeszcze ten, który telefonował do mnie w nocy.

- A więc nie mam wyboru - rozżościł się Wolff. - Muszę się wynieść. Niech to diabli.

Kemel przytaknął. - Jeśli pan zniknie, ja już to jakoś zatuszuję. Ale coś za coś. Niech pan pomyśli, dlaczego panu pomagam.

- Chce pan rozmawiać z Rommlem.

- Właśnie.

- Jutro w nocy... to znaczy dziś w nocy... prawie nie spałem, cholera... wysłałam wiadomość. Jak mi pan powie, co chcecie przekazać, to ja...

- Nie, nie - przerwał mu Kemel. - Chcemy to zrobić sami. Potrzebujemy nadajnika.

Wolff zmarszczył brwi. Elene domyśliła się, że Kemel jest nacjonalistycznym rebeliantem współpracującym albo szukającym współpracy z Niemcami.

- Moglibyśmy przesłać też pański meldunek - dodał.

- Nie potrzeba - odparł Wolff. Po jego minie widać było, że wpadł na jakiś pomysł. - Mam drugi nadajnik.

- A więc dogadaliśmy się.

- To ten - Wolff wskazał na otwartą walizkę stojącą na podłodze, tam gdzie zostawiła ją Elene. - Jest już nastrojony na odpowiednią długość fali. Pozostaje wam tylko nadać wiadomość o północy, kiedy zechcecie.

Kemel podszedł do nadajnika i zaczął go oglądać. Elene była ciekawa, dlaczego Wolff nie powiedział nic o kodzie. Najwyraźniej nie dbał o to, czy Kemelowi uda się nawiązać kontakt z Rommlem, zaś zdradzenie mu szyfru groziło, że trafi on w niepowołane ręce. Wolffowi znowu udało się zabezpieczyć.

- Gdzie ten Vandam mieszka? - spytał Wolff.

Kemel podał mu adres.

Po co mu to? - zaniepokoiła się Elene.

- Ma żonę, co? - pytał dalej Wolff.

- Nie.

- Kawaler, psiakrew.

- Nie kawaler - powiedział Kemel nie odrywając oczu od nadajnika. - Wdowiec. Jego żona zginęła w zeszłym roku na Krecie.

- Ma dzieci?

- Ma - odrzekł Kemel. - Chłopca imieniem Billy, jak słyszałem. A bo co?

Wolff wzruszył ramionami. - Po prostu interesuje mnie, może przesadnie, facet, który o mało co by mnie złapał.

Elene nie miała wątpliwości, że kłamie.

Kemel zamknął walizkę z wyraźnie zadowoloną miną.

- Popilnuje pan jej jeszcze chwilę? - zwrócił się do niego Wolff.

- Oczywiście.

Wolff miał już odejść, kiedy o czymś sobie przypomniał. Elene wciąż ścisnęła w dłoni "Rebekę. Odwrócił się, odebrał jej książkę, po czym wszedł za zasłony.

Elene pomyślała: Gdybym powiedziała Kemelowi o kodzie, to może zmusiłby Wolffa, żeby mu go dał, dzięki czemu może w końcu szyfr trafiłby do rąk Vandama... ale co będzie ze mną?

- Co... - zaczął Kemel, lecz przerwał, bo wrócił Wolff z ubraniem i zaczął je wkładać.

- Jakie ma pan hasło? - zapytał go Kemel.

- Sfinks - padła krótka odpowiedź.

- A szyfr?

- Nie ma szyfru.

- Co było w tej książce?

Wolff obrzucił go wściekłym spojrzeniem. - Szyfr - odpowiedział - ale pan go nie dostanie.

- My go potrzebujemy.

- Nie mogę wam go dać - nie ustępował Wolff. - Spróbujcie nadać wiadomość nie szyfrowaną.

Kemel pokiwał głową.

Ni stąd, ni zowąd w dłoni Wolffa błysnął nóż. - Niech się pan nie upiera - powiedział. - Wiem, że ma pan w kieszeni pistolet, ale jeśli go pan użyje, będzie pan musiał wytłumaczyć to Brytyjczykom. Więc lepiej niech się pan stąd zabiera.

Kemel odwrócił się bez słowa, wspiał po schodkach, otworzył luk. Elene usłyszała jego kroki na pokładzie. Wolff podszedł do iluminatora i patrzył za nim, gdy oddalał się ścieżką.

Teraz Wolff schował nóż do pochwy, włożył na wierzch koszulę i zapiął ją. Włożył buty i starannie zasznurował. Przyniósł z sąsiedniego pomieszczenia książkę, wyjął z niej kartkę z kluczem do szyfru, zmiął ją, wrzucił do dużej szklanej popielniczki i wyjąwszy z kuchennej szuflady zapalniczki podpalił.

Na pewno ma kopię klucza z tym drugim nadajnikiem, pomyślała Elene.

Wolff obserwował płomień, póki papier nie spłonął. Zatrzymał wzrok na książce, jakby ważył w myślach, czy nie zrobić z nią tego samego, w końcu jednak otworzył iluminator i wrzucił książkę do wody.

Z szafy wyjął niewielką walizkę, zaczął wrzucać do niej rzeczy.

- Dokąd się wybierasz? - spytała Elene.

- Dowiesz się, bo jedziesz ze mną.

- Och. - Co on zamierzał z nią zrobić? Przyłapał ją na zdradzie... czyżby wymyślił, jak ją ukarać? Była wyczerpana i przerażona. Wszystko szło na opak. Przedtem obawiała się jedynie tego, że będzie zmuszona pójść z nim do łóżka. O ile więcej powodów do obaw miała teraz. Zaczęła rozmyślać, czyby znowu nie spróbować ucieczki - przecież prawie jej się to udało - nie znajdowała jednak w sobie dość odwagi.

Wolff pakował dalej. Spostrzegłszy na podłodze części swojej garderoby, Elene przypomniała sobie, że nie zdążyła się ubrać. Majtki, pończochy, biustonosz - trzeba je wreszcie włożyć. Wstała i przez głowę ściągnęła suknię. Schyliła się po bieliznę. Wyprostowawszy się, znalazła się w objęciach Wolffa. Wycisnął na jej wargach pocałunek, nie robiąc sobie nic z tego, że go nie odwzajemniała. Sięgnął między jej uda i zanurzył w nią palec. Wyjąwszy z pochwy, wsunął go w odbył. Zesztywniała. Wsunął go głębiej, aż syknęła z bólu.

Zajrzał jej w oczy. - Wiesz, zabiorę cię ze sobą, mimo że mi się nie przydasz.

Upokorzona, zacisnęła powieki. Odwrócił się od niej raptownie, wracając do pakowania.

Ubrała się.

Kiedy skończył, rozejrzał się pożegnalnie wokół i powiedział: - Idziemy.

Wyszła za Wolffem na pokład, zastanawiając się, jak on zamierza postąpić z Sonią.

Jakby czytając w jej myślach, powiedział: - Za nic w świecie nie przerwałbym Soni jej słodkiego snu. - I wyszczerzył zęby w uśmiechu. - No, ruszaj.

Czemu zostawiał Sonię? - pytała siebie Elene, gdy szli ścieżką wzdłuż nabrzeża. Nie znajdowała innej odpowiedzi oprócz tej, że jest podły. Wolff to człowiek pozbawiony wszelkich skrupułów, zawyrokowała i przypawiło ją to o dreszcz - była przecież w jego rękach.

Czy potrafiłaby go zabić?

W lewej ręce niósł walizkę, prawą ścisnął jej ramię. Skręcili, doszli do ulicy, gdzie stał jego samochód. Otworzył drzwiczki od strony kierowcy: żeby się dostać na miejsce dla pasażera, Elene musiała precyzyjnie się nad drążkiem zmiany biegów. Wolff wsiadł zaraz po niej i zapuścił motor.

To cud, że po całonocnym parkowaniu na ulicy samochód był jeszcze cały: zazwyczaj wszystko, co się dawało odczepić, nie wyłączając kół, padało łupem złodziei. Ale mu szczęście sprzyja, pomyślała Elene.

Ruszyli. Próbowwała się domyślić, dokąd jadą. Pewnie tam, gdzie jest ten drugi nadajnik z drugim egzemplarzem "Rebeki" i drugim kluczem do szyfru. Jak tylko dojedziemy, muszę znowu spróbować, myślała bez zapału. Wszystko było w jej rękach. Wolff wyniósł się z łodzi, więc Vandam, jak go ktoś w końcu rozwiąże, niewiele zdoła. Ona sama musi uniemożliwić Wolffowi skontaktowanie się z Rommlem, a także, o ile zdoła, ukraść klucz. To było porywaniem się z motyką na słońce. Marzyła tylko o tym, żeby uwolnić się wreszcie od tego podłego, niebezpiecznego człowieka, wrócić do domu, zapomnieć o szpiegach, szyfrach i wojnie, poczuć, że już jej nic nie grozi.

Pomyślała o ojcu, idącym piechotą do Jerozolimy, i od razu przestała mieć wątpliwości, czy powinna jeszcze raz spróbować.

Wolff zatrzymał samochód. Elene zorientowała się, dokąd przyjechali. - To dom Vandama! - wykrzyknęła.

- Zgadza się.

Spojrzała na niego, usiłując odczytać coś z wyrazu jego twarzy. - Ale przecież Vandama tu nie ma - powiedziała.

- Nie ma. - Uśmiechnął się krzywo. - Ale jest Billy.

Anwar es-Sadat był wprost zachwycony nadajnikiem.

- To Hallicrafter Skychallenger - objaśnił Kemelowi. - Amerykański. - Włączył, żeby sprawdzić, czy działa, i stwierdził, że jest bardzo silny.

Kemel wytłumaczył mu, że trzeba nadawać o północy na ustawionej długości fali i że hasłem wywoławczym jest "Sfinks". Powiedział też, że Wolff nie zgodził się udostępnić im szyfru, przez co muszą ryzykować nadanie wiadomości nie szyfrowanej.

Schowali nadajnik do pieca w kuchni małej willi.

Kemel opuścił dom Sadata i prosto z Kubri al-Qubbah pojechał na Zamalek. Po drodze zastanawiał się, jak zatuszować swój udział w nocnych wydarzeniach.

Jego wersja musiała być zgodna z wersją sierżanta, którego Vandam wysłał po pomoc, więc należało się przyznać, że rozmawiał z nim przez telefon. A może by powiedzieć w razie czego, że przed zawiadomieniem Brytyjczyków postanowił sprawdzić, co się dzieje na łodzi, a to na wypadek gdyby "major Vandam" okazał się oszustem. Co dalej? Szukał majora Vandama na ścieżce oraz w zaroślach, gdy otrzymał cios w głowę. No tak, ale przecież nie był nieprzytomny tyle godzin. Powie więc, że go związali. Tak, związali go, ale w końcu udało mu się uwolnić. Razem z Vandamem pójdą na łódź i nie zastaną tam nikogo.

Tak będzie dobrze.

Zatrzymał samochód i ostrożnie stawiając kroki, ruszył ku ścieżce holowniczej. Zaglądając w krzaki ustalił z grubsza, gdzie zostawił Vandama. Wszedł w zarośla jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt metrów od tego miejsca. Położył się na ziemi i przeturlał, by zabrudzić ubranie, następnie natarł twarz piaskiem i przecesał włosy palcami. Trąc nadgarstki, żeby wyglądały na obolałe, ruszył na poszukiwanie Vandama.

Znalazł go dokładnie tam, gdzie zostawił. Lina nie puściła, knebel był na swoim miejscu. Vandam wybałuszył na niego oczy.

- O Boże, pana też dostali! - wykrzyknął Kemel.

Ukląkł, wyjął Vandamowi knebel i zabrał się do rozwiązywania liny. - Sierżant skontaktował się ze mną - powiedział. - Szukałem pana, a jak się ocknąłem, byłem związany i zakneblowany, głowa mi pękała. To się zdarzyło ładne parę godzin temu. Dopiero przed chwilą udało mi się uwolnić.

Vandam milczał.

Kemel odrzucił linę. Vandam wstał sztywno.

- Jak się pan czuje? - spytał Kemel.

- W porządku.

- To chodźmy na łódź zobaczyć, co się tam dzieje - zaproponował Kemel i się odwrócił.

Gdy tylko Kemel się odwrócił Vandam postąpił krok do przodu i z całej siły uderzył go kantem dłoni w kark. Cios ten mógł zabić Kemela, ale Vandam się tym nie przejmował. Związany i zakneblowany, nie widział ścieżki, ale słyszał, jak inspektor mówi: "Nazywam się Kemel. A pan to zapewne Wolff". W ten sposób dowiedział się, że Kemel go zdradził. Egipcjanin najwidoczniej nie wziął pod uwagę takiej możliwości. Vandam natomiast kipiał z wściekłości, odkąd usłyszał te słowa, i cała dławiona dotąd furia dodała siły jego uderzeniu.

Kemel, ogłuszony, padł na ziemię. Vandam przekręcił go na wznak i obszukał; znalazł pistolet. Posługując się sznurem, którym sam był wcześniej skrepowany, związał inspektorowi z tyłu ręce, po czym zaczął go bić po twarzy, dopóki ten nie odzyskał przytomności.

- Wstawaj - rozkazał.

Przez moment Kemel nie wiedział, co się stało; potem w jego oczach pojawił się strach.

- Co pan robi?

Vandam kopnął go.

- Kopię cię - rzekł, wymierzając mu kopniaka. - Wstawaj!

Inspektor z trudem podniósł się na nogi.

- A teraz odwróć się.

Odwrócił się. Lewą ręką Vandam chwycił go za kołnierz; w prawej trzymał pistolet.

- Ruszaj!

Popychany przez Vandama, ruszył w stronę łodzi. Przeszli po trapie i znaleźli się na pokładzie.

- Otwórz luk!

Wsunął czubek buta w uchwyt klapy i uniósł ją do góry.

- Schodź!

Z rękami związanymi z tyłu, zaczął niezgrabnie schodzić po schodkach. Vandam schylił się i zerknął do środka. Nie dojrzał nikogo, więc sam też zszedł pospiesznie na dół. Odepchnął na bok Kemela i trzymając pistolet gotowy do strzału, odgarnął zasłonę.

Zobaczył śpiącą w łóżku Sonię.

- Idź tam - polecił Kemelowi.

Kemel postąpił naprzód i stanął obok łóżka.

- Obudź ją.

Dotknął nogą Soni. Nie otwierając oczu, przekręciła się na wznak i odsunęła na drugą stronę łóżka. Jak przez mgłę Vandam uświadomił sobie, że kobieta jest całkiem naga. Pochylił się i uszczypnął ją w nos. Wściekła, otworzyła oczy i natychmiast usiadła. Rozpoznała Kemela, a po chwili spostrzegła również Vandama z bronią w ręce.

- Co się dzieje? - zawołała.

Po czym i ona, i Vandam spytali równocześnie:

- Gdzie jest Wolff?

Vandam był pewien, że Sonia nie udaje. Stało się dla niego jasne, że Kemel ostrzegł Wolffa, a ten uciekł, nie budząc Soni. Prawdopodobnie zabrał ze sobą Elene - ale po co?

Przytknął lufę pistoletu do żeber Soni, tuż pod jej lewą piersią.

- Zadam ci jedno pytanie - rzekł do Kemela. - Jeśli skłamiesz, zastrzelę ją. Rozumiesz?

Kemel skinął nerwowo głową.

- Czy wczoraj o północy Wolff nadał komunikat?

- Nie! - krzyknęła Sonia. - Nie, nie, nie nadał!

- Więc co się tu działo? - spytał major, lękając się odpowiedzi.

- Poszliśmy do łóżka.

- My, to znaczy kto?

- Wolff, Elene i ja.

- Razem?

- Tak.

No proszę! A sądził, że Elene będzie bezpieczna, skoro na łodzi znajduje się jeszcze jedna kobieta! Teraz pojął, dlaczego Wolff tak bardzo interesował się Elene; chcieli jej użyć do swoich igraszek. Vandama ogarnęło obrzydzenie - nie na myśl o tym, co robili, lecz na myśl o tym, że to z jego winy Elene we wszystkim uczestniczyła.

Zmusił się, żeby myśleć o innych sprawach. Czy Sonia mówiła prawdę i Wolff rzeczywiście nie nadał w nocy komunikatu? Niestety, nie miał jak tego sprawdzić. Mógł jedynie liczyć na to, że tancerka nie kłamie.

- Ubieraj się - polecił Soni.

Wstała z łóżka i pospiesznie narzuciła sukienkę. Trzymając Sonię i Kemela na muszce, Vandam postąpił parę kroków w stronę dziobu i uchylił znajdujące się tam drzwi. Zobaczył niedużą łazienkę z dwoma małymi iluminatorami.

- Włażcie tu oboje.

Kiedy Kemel i Sonia weszli do łazienki, zamknął za nimi drzwi i zaczął przeszukiwać łódź. Pootwierał wszystkie szafy i komódki, wysypując na podłogę ich zawartość. Ściągnął z łóżka pościel i wzięwszy z kuchni ostry nóż, rozpruł leżący na łóżku materac, a potem obicie kanapy. Następnie przejrzał dokumenty schowane w sekretarzyku. Zainteresowała go duża szklana popielniczka wypełniona skrawkami zwęglonego papieru, ale nic nie mógł z nich odczytać. Wyrzucił wszystko z lodówki, po czym wyszedł na pokład i sprawdził zawartość składzików. Wreszcie obszedł łódź, upewniając się, czy nie zwisa z niej do wody żaden sznur.

Po upływie pół godziny był absolutnie przekonany, że na łodzi nie ma ani nadajnika, ani egzemplarza "Rebeki", ani klucza do szyfru.

Wypuścił więźniów z łazienki. W jednym ze składzików na pokładzie znalazł kawał liny; skrępował nią ręce Soni, a następnie przywiązał tancerkę do Kemela.

Sprowadził ich z łodzi na brzeg, po czym wspięli się ścieżką na ulicę. Doszli do mostu; tam Vandam zatrzymał taksówkę. Wciąż celując do nich z pistoletu, ulokował Sonię i Kemela na tylnym siedzeniu, sam zaś zajął miejsce obok kierowcy, który przypatrywał mu się okrągłymi z przerażenia oczami.

- Do Kwatery Głównej - polecił.

Oboje więźniów należało dokładnie przesłuchać, ale w tej chwili najistotniejsze były odpowiedzi na dwa pytania:

Gdzie jest Wolff?

Gdzie jest Elene?

Siedząc w samochodzie, Wolff ujął Elene za nadgarstek. Chciała uwolnić rękę, ale trzymał ją tak mocno, że nie dała rady. Wydobył nóż i pociągnął nim lekko po wierzchu jej dłoni. Nóż był bardzo ostry; Elene z przerażeniem patrzyła na własną dłoń. Najpierw pojawiła się na niej cienka kreska, jakby narysowana ołówkiem. Potem kreska nabrzmiała krwią i Elene poczuła ostry ból. Zaparło jej dech.

- Trzymaj się blisko mnie i nic nie mów - powiedział Wolff.

Elene spojrzała na niego z nienawiścią.

- Bo inaczej mnie porzujesz, co? - spytała tak pogardliwym tonem, na jaki tylko umiała się zdobyć.

- Nie ciebie - odparł. - Billy'ego.

Puścił jej rękę i wysiadł z samochodu. Elene tkwiła bez ruchu, świadoma własnej bezradności. Czy miała jakiegokolwiek szanse w walce z tym silnym i bezwzględny człowiekiem? Wyjęła z torebki chusteczkę i owinęła nią krwawiącą dłoń.

Wolff, zniecierpliwiony, obszedł samochód i otworzył drzwi od strony Elene. Następnie chwycił dziewczynę za ramię i zmusił, żeby wysiadła z wozu. Po czym, wciąż nie zwalniając uchwytu, pociągnął ją za sobą na drugą stronę ulicy, gdzie znajdował się dom Vandama.

Przeszli przez niewielki podjazd i zadzwonili do drzwi. Elene przypomniała sobie, jak poprzednim razem stała dokładnie w tym samym miejscu, czekając na otwarcie drzwi. Chociaż było to zaledwie kilka dni temu, miała wrażenie, że minęły całe lata. Od tego czasu dowiedziała się, że Vandam był żonaty, ale jego żona zmarła; potem się z nim kochała, a nazajutrz nie przysłał jej kwiatów - jak mogła zrobić mu z tego powodu taką awanturę? - później pojawił się Wolff i...

Drzwi się otworzyły. Elene rozpoznała Gaafara. Służący również ją rozpoznał.

- Dzień dobry, panno Fontana - powiedział.

- Cześć, Gaafar.

- Dzień dobry, Gaafar - rzekł Wolff. - Jestem kapitan Alexander. Major prosił nas, żebyśmy tu przyjechali. Czy możemy wejść?

- Oczywiście, panie kapitanie.

Służący cofnął się, żeby wpuścić ich do środka. Wolff i Elene, którą szpieg wciąż trzymał za ramię, weszli do hallu. Gaafar zamknął drzwi. Dziewczyna popatrzyła na znajome, wyłożone kaflami ściany.

- Mam nadzieję, że panu majorowi nic się nie... - zaczął Gaafar.

- Nie, nie, wszystko w porządku - uspokoił go Wolff. - Ale sam nie mógł przyjechać, więc prosił, żebym wpadł tu po drodze i odwiózł Billy'ego do szkoły.

Elene przeraziła się. Wolff zamierzał porwać Billy'ego! Powinna się była tego domyślić, kiedy wymienił imię chłopca, ale... to straszne! Musi mu przeszkodzić! Ale jak? Miała ochotę krzyknąć: "Nie, Gaafar, on kłamie, zabieraj Billy'ego i uciekaj, uciekaj czym prędzej!" Jednakże Wolff miał nóż, a Gaafar był stary; Wolff i tak zdołałby mu odebrać chłopca.

Służący jakby się wahał.

- No, Gaafar, ruszajcie się. Nie mamy czasu - powiedział Wolff.

- Dobrze, panie kapitanie - odparł posłusznie Gaafar, tak jak każdy egipski służący, kiedy Europejczyk przemawia do niego rozkazującym tonem. - Billy właśnie kończy śniadanie. Zechcą państwo chwilę tu na niego poczekać?

Otworzył drzwi do salonu. Wolff wciągnął Elene do środka i wreszcie puścił jej ramię. Dziewczyna stała spoglądając na meble, na tapetę, na marmurowy kominek oraz zdjęcie Angeli Vandam, które ukazało się w "The Tatler". Angela wiedziałaby, co robić, pomyślała zrozpaczona. Zawołałaby "Dość tego!", władczy gestem wskazałaby na drzwi i kazała się Wolffowi wynieść ze swojego domu. Elene potrząsnęła głową, usiłując rozwiać ten miraż; Angela byłaby równie bezradna jak ona.

Wolff usiadł przy biurku. Otworzył szufladę, wyjął z niej blok papieru i zaczął pisać.

Elene zastanawiała się, co zrobi Gaafar. Może zadzwoni do Kwatery Głównej, żeby spytać Vandama, czy rzeczywiście przysłał kogoś po syna? Wiedziała jednak, że Egipcjanie bardzo nie lubią dzwonić do brytyjskiego dowództwa, albowiem telefonistki i sekretarki niechętnie ich łączą. Rozglądając się po salonie przekonała się zresztą, że telefon znajduje się właśnie tutaj; gdyby Gaafar chciał zadzwonić do Vandama, Wolff i tak by mu przeszkodził.

- Dlaczego mnie tu przyprowadziłeś? - spytała głosem piskliwym ze strachu i bezsilnej złości.

Wolff uniósł głowę znad biurka.

- Żeby chłopak nie beczał. Czeką nas daleka droga.

- Nie zabieraj Billy'ego - poprosiła. - To jeszcze dziecko.

- Dziecko Vandama - oświadczył z uśmiechem Wolff.

- Przecież Billy na nic ci nie jest potrzebny.

- Vandam może się domyślić, dokąd się udaję. Chcę mieć pewność, że nie będzie mnie ścigał.

- Wyobrażasz sobie, że będzie siedział w domu, jeśli porwiesz mu syna?

Wolff przez moment milczał, jakby się nad tym zastanawiał.

- Mam nadzieję, że tak - stwierdził w końcu. - A zresztą, co mam do stracenia? Jeśli nie wezmę z sobą chłopca, na pewno ruszy w pościg.

Elene z trudem powstrzymywała łzy.

- Czy ty w ogóle nie znasz litości? - zapytała.

- Litość to dekadencjonalne uczucie - odparł Wolff; oczy zalśniły mu dziwnym blaskiem.

- W kwestiach moralnych najzdrowszym podejściem jest sceptycyzm. Czas położyć kres

interpretowaniu świata w kategoriach moralnych, których w obecnych czasach nic... - Brzmiało to tak, jakby cytował czyjeś słowa.

- Nie wierzę, że zabierasz Billy'ego tylko po to, żeby Vandam został w domu - przerwała mu Elene. - Po prostu chcesz mu sprawić ból. Cieszysz się na myśl o tym, że będzie cierpiał. Jesteś brutalnym, obrzydliwym człowiekiem.

- Może masz rację.

- Jesteś szalony!

- Dość! - krzyknął Wolff czerwieniąc się. Po chwili jednak się opanował. - Nie przeszkadzaj mi, kiedy piszę - dodał.

Wysiłkiem woli Elene skupiła się. A więc czeka ich daleka droga. Ponadto Wolff się obawia, że Vandam będzie go ścigał. Powiedział Kemelowi, że ma drugi nadajnik. I sądzi, że Vandam może odgadnąć, dokąd się wybierają. Zapewne u celu podróży znajduje się drugi nadajnik, drugi egzemplarz "Rebeki" oraz kopia klucza do szyfru. Ona, Elene, powinna zatem jakoś pomóc Vandamowi, zostawić mu wskazówkę, żeby mógł ruszyć za Wolffem, wyratować ją i Billy'ego oraz zdobyć klucz. Jeśli Wolff podejrzewa, że Vandam zdoła domyślić się celu podróży, to ja też chyba powinnam, przyszło jej do głowy. Gdzież on mógł ukryć zapasowy nadajnik? Powiedział, że czeka nas daleka droga. Pewnie schował nadajnik, zanim dotarł do Kairu. Może na pustyni albo gdzieś między Kairem a Asjut. Może...

Do salonu wszedł Billy.

- Dzień dobry pani - przywitał się z Elene. - Przyniosła mi pani tę książkę?

- Jaką książkę? - spytała zaskoczona.

Przyglądając mu się pomyślała o tym, jak dziecinnie wygląda, mimo dorosłego chwilami zachowania. Ubrany był w krótkie spodenki z szarej flaneli i białą koszulkę; na jego odsłoniętych przedramionach nie było jeszcze owłosienia. W ręce trzymał tornister, a pod szyją miał zawiązany szkolny krawat.

- Zapomniała pani? - spytał zawiedziony. - Obiecała mi pani pożyczyć kryminał Simenona.

- Tak, zapomniałam. Przepraszam.

- Przyniesie pani następnym razem?

- Oczywiście.

Przez cały ten czas Wolff patrzył na chłopca wzrokiem skąpca, który ogląda swoje skarby. Teraz wstał.

- Czołem, Billy - rzekł uśmiechając się. - Jestem kapitan Alexander.

- Miło mi pana poznać - oświadczył Billy, podając mu rękę.
- Twój ojciec prosił, żeby ci powiedzieć, że jest dziś bardzo zajęty.
- Zawsze przychodzi do domu na śniadanie - oznajmił Billy.
- Ale dziś nie może. Ma pełne ręce roboty walcząc ze starym Rommlem.
- Znów się z kimś bił?

Wolff zawahał się, po czym rzekł:

- Zgadłeś, synu. Ale nic mu nie jest. Ma na głowie guza, to wszystko.

Elene zauważyła, że na twarzy chłopca odmalowało się nie tyle przejęcie stanem zdrowia ojca, ile duma.

Do salonu wszedł Gaafar.

- Czy jest pan pewien, że major życzył sobie, aby zawiózł pan Billy'ego do szkoły? - zapytał Wolffa.

Jednak jest podejrzliwy, pomyślała Elene.

- Oczywiście - oświadczył Wolff. - A dlaczego pytacie?

- Bo jestem odpowiedzialny za Billy'ego, a ponieważ nigdy dotąd pana nie widziałem...

- Ale znacie pannę Fontana. Była obecna, kiedy rozmawiałem z majorem Vandamem. Prawda, Elene?

Wbił wzrok w dziewczynę i lekko dotknął swojego lewego boku, gdzie schował nóż.

- Tak - potwierdziła żałośnie Elene.

- Ale słusznie postępujecie, Gaafar. Należy być ostrożnym - kontynuował Wolff. - Najlepiej będzie, jeśli zadzwonicie do sztabu i sami spytacie majora. - Wskazał telefon.

Nie, Gaafar, nie! - pomyślała Elene. Wolff zabije cię, zanim wykręcisz numer!

Gaafar zawahał się.

- To byłaby przesada, panie kapitanie - rzekł po chwili. - Tak jak pan powiedział, znam przecież pannę Fontana.

Wszystko przeze mnie, pomyślała Elene.

Gaafar wyszedł z salonu.

- Zajmij czymś dzieciaka, żeby przez chwilę siedział cicho - powiedział szybko Wolff zwracając się do Elene po arabsku i znów się pochylił nad kartką papieru.

Elene popatrzyła na tornister Billy'ego i nagle w jej umyśle wyklął się pewien pomysł.

- Pokaż mi swoje podręczniki - poprosiła.

Billy spojrzał na nią tak, jakby zwariowała.

- No, pokaż. - Z otwartego tornistra sterczał atlas; wyciągnęła go. - Co przerabiacie na geografii?

- Norweskie fiordy.

Elene zobaczyła, że Wolff skończył pisać i właśnie wsuwał kartkę do koperty. Polizał brzeg koperty, zakleił ją i schował do kieszeni.

- Znajdziemy mapę Norwegii - powiedziała Elene i zaczęła wertować atlas.

Wolff podniósł słuchawkę i wykręcił jakiś numer. Zerknął na Elene, potem przesunął wzrok w stronę okna.

Elene odnalazła mapę Egiptu.

- Ale to przecież... - zaczął Billy.

Dziewczyna szybko przyłożyła palec do ust. Chłopiec, marszcząc brwi, zamilkł.

Tylko nic nie mów, chłopczyku, pozostaw to wszystko mnie! - poprosiła go w myślach, po czym oświadczyła:

- Skandynawia, tak, ale Norwegia to część Skandynawii; sam popatrz!

Odwinęła chusteczkę ze skaleczonej dłoni. Oczom Billy'ego ukazała się rana. Elene zdrapała paznokciem świeży strup i rana ponownie zaczęła krwawić. Billy zbladł. Chciał coś powiedzieć, ale Elene znów przyłożyła palec do ust i potrząsnęła głową, błagalnie spoglądając na malca.

Była pewna, że Wolff zamierza jechać do Asjut. Wiele za tym przemawiało; choćby to, że podejrzewał, iż Vandam może odgadnąć cel ich podróży. I wtem, kiedy się nad tym zastanawiała, dobiegł ją głos Wolffa:

- Hallo? Chciałbym się dowiedzieć, o której odjeżdża pociąg do Asjut.

Miałam rację! - ucieszyła się. Zamoczyła palec we krwi ciekącej z rany. Trzema szybkimi ruchami narysowała na mapie Egiptu strzałkę wskazującą Asjut, miasto położone czterysta kilometrów na południe od Kairu. Następnie zamknęła atlas, chusteczką rozmazała trochę krwi na jego okładce, po czym schowała go za siebie.

- Dziękuję... A o której dojeżdża na miejsce?

- Dlaczego fiordy są w Norwegii, a nie ma ich w Egipcie? - spytała Elene.

Billy jakby wpadł w osłupienie; niczym zahipnotyzowany wpatrywał się w jej dłoń. Dziewczyna wiedziała, że musi coś zrobić, żeby go z tego wyciągnąć, w przeciwnym razie wszystko się wyda.

- Słuchaj, znasz powieść Agathy Christie "Tajemnica zakrwawionego atlasu"?

- Nie, nie ma takiej po...

- Fabuła jest bardzo chytrze skonstruowana; detektyw znajduje rozwiązanie mając tylko tę jedną, jedyną wskazówkę.

Billy ponownie zmarszczył brwi, tym razem jednak wyraz jego twarzy nie oznaczał zdumienia; świadczył o tym, że chłopiec intensywnie próbuje zrozumieć czyny i słowa Elene.

Wolff odłożył słuchawkę i wstał.

- Ruszamy - rzekł. - Nie chcę, żebyś spóźnił się do szkoły, Billy.

Otworzył szeroko drzwi. Billy wziął tornister i pierwszy wyszedł z salonu. Elene podniosła się z fotela; bała się, że Wolff zauważy atlas.

- Szybciej - popędził ją niecierpliwie.

Wyszła do hallu; Wolff za nią. Billy był już przy drzwiach frontowych. Mijając stolik z blatem w kształcie nerki, na którym leżał niewielki stos listów, Wolff położył swój na wierzchu. Wyszli na zewnątrz.

- Umiesz prowadzić? - Wolff spytał Elene.

- Tak - odparła odruchowo i natychmiast pożałowała: powinna była powiedzieć "nie".

- Siadajcie z przodu - polecił Wolff, wsuwając się na tylne siedzenie.

Ruszając z miejsca Elene zauważyła, że Wolff pochyla się w ich stronę.

- Widzisz? - spytał Billy'ego.

Zobaczyła, że pokazuje małemu nóż.

- Tak - powiedział Billy drżącym głosem.

- Jeśli nie będziesz się słuchać, obetnę ci głowę - oznajmił Wolff.

Billy rozplakał się.

- Baczość! - wrzasnął Jakes niczym sierżant prowadzący musztrę.

Kemel przyjął postawę zasadniczą.

W pokoju, w którym odbywało się przesłuchanie, jedynym meblem był stół. Vandam wszedł do środka za Jakesem, w jednej ręce niosąc krzesło, a w drugiej filiżankę herbaty. Usiadł i zapytał:

- Gdzie jest Alex Wolff?

- Nie wiem - odparł Kemel, nieco się odprężając.

- Baczość - ryknął Jakes. - Stać prosto!

Kemel wyprostował się pospiesznie.

Vandam wziął niewielki łyk herbaty. To także należało do gry; miało uzmysłwić więźniowi, że tylko on jeden ma poważne kłopoty, natomiast Vandamowi nigdzie się nie spieszy i na niczym nie zależy. Było to, oczywiście, jak najodleglejsze od prawdy.

- Wczoraj wieczorem zatelefonował do was oficer, który obserwował łódź "Dżihan".

- Pan major oczekuje odpowiedzi! - krzyknął Jakes.

- Tak - przyznał Kemel.

- O czym was poinformował?

- Powiedział, że na brzegu zjawił się major Vandam i wysłał go, żeby sprowadzić pomoc.

- Pan major Vandam! - poprawił go Jakes. - Na brzegu zjawił się pan major Vandam!

- Na brzegu zjawił się pan major Vandam i wysłał go, żeby sprowadzić pomoc - powtórzył posłusznie Kemel.

- I coście zrobili? - spytał Vandam.

- Osobiście pojechałem sprawdzić, co się dzieje.

- No i?

- Zostałem uderzony w głowę i straciłem przytomność. Kiedy się ocknąłem, okazało się, że leżę na ziemi, mocno związany sznurem. Minęło kilka godzin, zanim zdołałem się wreszcie uwolnić. Wówczas rozwiązałem pana majora Vandama, a on rzucił się na mnie.

Jakes podszedł do więźnia.

- Łżesz, ty parszywa arabska gnido!

Kemel cofnął się o krok.

- Stój w miejscu! - ryknął Jakes. - Ty podły wszarzu, jak ci nie wstyd tak kłamać?!

Kemel milczał.

- Słuchajcie, Kemel. Jeśli nadal będziecie odmawiać współpracy, zostaniecie rozstrzelani za szpiegostwo - oświadczył Vandam. - Ale jeśli nam wszystko dokładnie opowiecie, czeka was tylko kara więzienia. Więc bądźcie rozsądni. Zacznijmy jeszcze raz. Kiedy przyjechaliście na brzeg, uderzyliście mnie w głowę, tak?

- Nie, panie majorze.

Vandam westchnął. Kemel zamierzał się trzymać swojej wersji. Nawet jeśli wiedział lub domyślał się, dokąd się udał Wolff, nic nie powie, tylko będzie upierał się, że jest niewinny.

- A w jakim stopniu wasza żona jest w to zamieszana?

Kemel nadal milczał, choć minę miał nietęgą.

- Jeśli będziecie odmawiać odpowiedzi, będę musiał ją przesłuchać - oznajmił major.

Kemel zacisnął mocno wargi.

Vandam wstał.

- A więc tak... Kapitanie Jakes, proszę aresztować jego żonę pod zarzutem szpiegostwa.

- Typowa brytyjska sprawiedliwość! - mruknął Kemel.

Vandam popatrzył na niego.

- Gdzie jest Wolff?

- Nie wiem.

Vandam wyszedł. Za drzwiami poczekał chwilę na Jakesa. Kiedy ten się zjawił, powiedział:

- Kemel sam jest policjantem, zna metody prowadzenia przesłuchań. Pęknie, ale nie dzisiaj.

A on jeszcze dzisiaj musiał odnaleźć Wolffa!

- Mam aresztować jego żonę? - zapytał Jakes.

- Nie, jeszcze nie. Może później - odparł.

I wciąż nie wiedział, gdzie się podziała Elene!

Przeszli kilka kroków i zatrzymali się przed następnymi drzwiami.

- Wszystko gotowe? - spytał Vandam.

- Tak.

- Znakomicie.

Pchnął drzwi i wszedł do środka. To pomieszczenie nie było tak puste jak poprzednie. W jednym rogu znajdowała się prycza, w innym blaszana miska. Pośrodku celi

stało kilka twardych krzeseł; na jednym z nich siedziała Sonia. Miała na sobie szary więzienny strój z szorstkiego materiału. Pilnowała jej umundurowana strażniczka - Vandam pomyślał, że gdyby trafił do więzienia, bałby się tej kobiety. Była niska, krępa, o twardej męskiej twarzy i krótkich stalowych włosach.

- Wstać! - wrzasnęła do Soni na widok wchodzącego majora.

- Siadaj, Sonia - powiedział Vandam, kiedy wraz z Jakesem zajęli miejsca naprzeciw tancerki.

Strażniczka szarpnęła Sonię za ramię, zmuszając ją, żeby usiadła.

Vandam przez chwilę przypatrywał się tancerce. Już raz ją przesłuchiwał i wówczas zwyciężyła. Teraz jednak sytuacja była zupełnie inna; w grę wchodziło bezpieczeństwo Elene. Wiedział, że nie będzie miał żadnych skrępułów.

- Gdzie jest Alex Wolff? - zapytał.

- Nie wiem.

- Gdzie jest Elene Fontana?

- Nie wiem.

- Wolff jest niemieckim szpiegiem, a ty mu pomagałaś.

- Bzdura!

- Twoja sytuacja jest bardzo poważna.

Nie odpowiedziała. Vandam obserwował jej twarz. Malowała się na niej duma i pewność siebie; nie widać było ani cienia lęku. Vandam zastanawiał się, co dokładnie zaszło dziś rano. Zapewne Wolff odszedł, nic nie mówiąc Soni. Czy nie czuła się zdradzona?

- Wolff zdradził cię - rzekł. - Kemel, inspektor policji, ostrzegł Wolffa, że grozi mu niebezpieczeństwo; wówczas Wolff opuścił łódź z inną kobietą, a ciebie nawet nie obudził. I mimo to zamierzasz go chronić?

Sonia nadal milczała.

- Trzymał na twojej łodzi swój nadajnik. O północy wysyłał komunikaty do Rommla. Wiedziałaś o tym, więc jesteś współwinna szpiegostwa. Zostaniesz rozstrzelana.

- W całym Kairze wybuchną zamieszki! Nie odważycie się!

- Tak sądzisz? Co nas teraz obchodzą zamieszki w Kairze? Niemcy już są pod bramą; niech oni uśmierzają tłum.

- Nie odważycie się mnie tknąć!

- Gdzie się podział Wolff?

- Nie wiem.

- Nie domyślasz się?

- Nie.

- Nie jesteś zbyt pomocna, Sonia. Tylko pogarszasz swoją sytuację.

- Nie możecie mi nic zrobić! Nawet włos nie może spaść mi z głowy!

- Chyba muszę ci udowodnić, że nie masz racji - oświadczył Vandam i skinął na strażniczkę.

Krępa kobieta otoczyła Sonię ramionami i trzymała mocno, podczas gdy Jakes przywiązywał ją do krzesła. Przez chwilę Sonia próbowała się wyrwać, ale jej wysiłki na niewiele się zdały. Spojrzała na Vandama i w jej oczach po raz pierwszy pojawił się błysk strachu.

- Co chcecie zrobić, skurwysyny! - zawołała.

Strażniczka wyjęła z torby duże krawieckie nożyce. Uniosła do góry pasmo gęstych, długich włosów Soni i obcięła je.

- Nie wolno wam! - zawołała Sonia.

Strażniczka szybko i sprawnie strzygła więźniarkę. Ciężkie pukle spadały na kolana siedzącej. Sonia zaczęła krzyczeć, wymyślając Vandamowi, Jakesowi i Anglikom tak ohydnyimi słowami, jakich major jeszcze nigdy nie słyszał z ust kobiety.

Strażniczka wyjęła mniejsze nożyczki i przycięła włosy Soni tuż przy samej czaszce. Krzyki tancerki przeszły w płacz. Kiedy ucichła na tyle, że jego słowa były już słyszalne, Vandam rzekł:

- Sama widzisz, niewiele nas już obchodzi praworządność i sprawiedliwość. I gwizdźmy sobie na egipską opinię publiczną. Zostaliśmy przyparci do muru. Wkrótce wszyscy możemy zginąć. Nie mamy nic do stracenia.

Strażniczka wydobyla z torby mydło i pędzel do golenia. Namydliła głowę Soni, po czym zaczęła ją golić.

- Wolff otrzymywał informacje od kogoś z Kwatery Głównej. Od kogo?

- Jesteście podli! - szepnęła Sonia.

W końcu strażniczka wyciągnęła z torby lusterko i podsunęła Soni pod nos. Z początku tancerka nie chciała w nie spojrzeć, ale po chwili poddała się. Na widok swojej łysej jak kolano głowy jęknęła głucho.

- Nie! - zawołała. - To nie ja!

I wybuchnęła płaczem. Nienawiść opuściła ją zupełnie; opór więźniarki złamano.

- Od kogo Wolff uzyskiwał informacje? - spytał cicho Vandam.

- Od majora Smitha - odpowiedziała.

Vandam westchnął z ulgą; dzięki Bogu, udało się.

- Imię Smitha?

- Sandy.

Vandam zerknął na Jakesa. Sandy Smith - tak się nazywał major z M 16, który znikł; tego się właśnie obawiali.

- W jaki sposób przekazywał Wolffowi informacje?

- Sandy przychodził do mnie na łódź podczas przerwy obiadowej. Kiedy byliśmy w łóżku, Alex przeszukiwał jego teczkę.

Jakie to proste, pomyślał Vandam, Boże, ale ja jestem zmęczony! Smith był łącznikiem pomiędzy M16, czyli kontrwywiadem, a Sztabem Generalnym; wtajemniczano go we wszystkie plany strategiczne, ponieważ M16 musiało znać zamiary wojska, żeby zlecać szpiegom zbieranie potrzebnych informacji. Smith udawał się na łódź prosto z porannych odpraw w Kwaterze Głównej, zabierając ze sobą teczkę, pełną wojskowych tajemnic najwyższej rangi. Ludziom z Kwatery Głównej mówił, że jada obiady w siedzibie M16, natomiast swoich przełożonych w M16 utrzymywał w przekonaniu, że stołuje się w Kwaterze Głównej; tym sposobem nikomu nie przychodziło do głowy, że w czasie przerwy major pieprzy tancerkę.

Do tej pory Vandam zakładał, że Wolff albo kogoś przekupuje, albo szantażuje; nie przeszło mu przez myśl, że uzyskuje od kogoś informacje bez wiedzy tej osoby.

- Gdzie jest teraz Smith? - spytał.

- Nakrył Alexa, kiedy ten grzebał w jego teczce. Alex go zabił.

- Gdzie jest ciało?

- W rzece, w pobliżu łodzi.

Vandam skinął na Jakesa; kapitan wyszedł.

- A teraz opowiedz mi o Kemelu - polecił.

Skoro już udało się złamać jej opór, tancerce całkiem rozwiązał się język; gotowa była mówić wszystko, byleby tylko zasłużyć sobie na lepsze traktowanie.

- Przyszedł do mnie i powiedział, że kazał mu pan wziąć moją łódź pod obserwację. Obiecał, że będzie pomijał pewne fakty w swoich meldunkach, jeśli zaaranżuję spotkanie z Alexem i Sadatem.

- Między Alexem a kim?

- Kapitanem Anwarem es-Sadatem.

- Po co mu spotkanie z Wolffem?

- Po to, żeby Wolni Oficerowie mogli przesłać wiadomość do Rommla.

Wchodzą tu w grę sprawy, jakie nawet nie przyszły mi do głowy, pomyślał Vandam.

A głośno spytał:

- Gdzie mieszka Sadat?
- Na ulicy Kubri al-Qubbah.
- Numer domu?
- Nie znam.

Vandam zwrócił się do strażniczki.

- Proszę sprawdzić dokładny adres kapitana Anwara es-Sadata - polecił.
- Tak jest, panie majorze - powiedziała strażniczka, posyłając mu zdumiewająco miły uśmiech.

Wyszła.

- Na twojej łodzi Wolff trzymał nadajnik - rzekł Vandam.
- Tak.
- Swoje komunikaty szyfrował.
- Tak, miał angielską powieść, którą się posługiwał w tym celu.
- "Rebekę".
- Tak.
- I miał klucz.
- Klucz?
- Kartkę papieru z informacją, z których stron powieści należy korzystać.

Sonia skinęła wolno głową.

- Tak, chyba tak.
- Nadajnik, książka i klucz zniknęły. Nie wiesz, co się z nimi stało?
- Nie - odparła i na jej twarzy pojawił się strach. - Naprawdę nie wiem, przysięgam...
- W porządku, wierzę ci. Wiesz, dokąd Wolff mógł się udać?
- Ma dom... Villa les Oliviers.
- Nieźle. A dokąd jeszcze?
- Do Abdullaha. Mógł pojechać do niego.
- Dobrze. I gdzie jeszcze?
- Na pustynię, do swoich kuzynów.
- Gdzie można ich znaleźć?
- Nie wiadomo. To nomadzi.
- Czy Wolff wie, gdzie aktualnie obozują?
- Chyba tak.

Vandam patrzył na nią przez chwilę. Była złą aktorką: nie potrafiłaby zagrać roli osoby, która się załamała. Sonia naprawdę się załamała: była nie tylko gotowa, ale wręcz chętna, żeby zdradzić swoich przyjaciół i wyjawić wszystkie tajemnice. Nie kłamała.

- Jeszcze się zobaczymy - powiedział i wyszedł na korytarz.

Strażniczka wręczyła mu kartkę z adresem Sadata, po czym wróciła do celi. Vandam ruszył pospiesznie do sali odpraw. Jakes już tam na niego czekał.

- Marynarka pożyczycy nam dwóch nurków - oznajmił. - Powinni tu być za kilka minut.

- Doskonale. - Vandam zapalił papierosa. - Chcę zrobić nalot na dom Abdullaha. I zamierzam aresztować tego Sadata. Na wszelki wypadek wyślemy też kilku ludzi do Villa les Oliviers, chociaż wątpię, czy cokolwiek znajdą. Czy wszyscy orientują się już, o co chodzi?

Jakes skinął głową.

- Wiedzą, że szukamy nadajnika, egzemplarza "Rebeki" i instrukcji szyfrowych.

Vandam rozejrzał się po sali i spostrzegł wśród obecnych policjantów egipskich.

- Kto do cholery, ściągnął tu tych zasranych Arabów? - spytał gniewnie.

- Względy protokolarne, panie majorze - oznajmił urzędowym tonem Jakes. - Pomysł pułkownika Bogge'a.

Vandam ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć, co myśli o swoim przełożonym.

- Przeszukajcie dom Abdullaha. Spotkamy się na łodzi.

- Tak jest, panie majorze.

Vandam zgasił niedopałek.

Wyszli na poranne słońce. Przed budynkiem stało kilkanaście jeepów z pracującymi silnikami. Jakes wydał rozkazy sierżantom z obu drużyn, po czym skinął głową Vandamowi. Kiedy wszyscy wsiedli do jeepów, ruszyli.

Dzielnica, w której mieszkał Sadat, była oddalona o ponad cztery kilometry od centrum Kairu, jechało się w stronę Heliopolis. Sam dom był typową kairską willą okoloną niewielkim ogrodem. Cztery jeepy z warkotem zajechały przed wejście; żandarmi błyskawicznie otoczyli dom i zaczęli przeczesywać ogród. Vandam zastukał do drzwi. Rozległo się głośne szczekanie psa. Vandam znów zastukał. Drzwi otworzyły się.

- Kapitan Anwar es-Sadat?

- Tak.

Sadat był szczupłym, poważnym młodzieńcem średniego wzrostu. Miał skręcone brązowe włosy, ale nad czołem zaczynał już łysieć. Odziany w kapitański mundur i z czerwonym fezem na głowie, najwyraźniej szykował się do wyjścia.

- Jest pan aresztowany - poinformował go Vandam i przepchnął się obok niego do środka.

W hallu ujrzał drugiego młodzieńca, który wyszedł z jednego z pokoi.

- Kto to? - spytał.

- Mój brat, Tal'at - wyjaśnił Sadat.

Vandam przyjrzał mu się uważnie. Młody Arab był opanowany i pełen godności, ale wyczuwało się w nim jakieś napięcie. Boi się, pomyślał Vandam. Ale nie mnie i nie więzienia; chodzi o coś całkiem innego. Ciekawe, jakiego targu Kemel dobił dziś rano z Wolffem? Buntownicy potrzebowali Wolffa, żeby nawiązać kontakt z Rommlem. Może go gdzieś ukryli?

- Który jest pański pokój? - spytał.

Sadat wskazał drzwi. Vandam wszedł do środka. Była to skromnie urządzone sypialnia: na podłodze leżał materac, na haczyku wisiała galabija. Vandam skinął na dwóch brytyjskich żandarmów i na egipskiego policjanta.

- Dobra, bierzcie się do roboty.

Zaczęli przeszukiwać pokój.

- Co to wszystko ma znaczyć? - spytał spokojnie Sadat.

- Zna pan Alexa Wolffa - stwierdził Vandam.

- Nie.

- Używa także imienia Achmed Rahmha, ale to Europejczyk.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

Sadat najwyraźniej był człowiekiem z charakterem, człowiekiem, który nie ma zamiaru się załamywać i wszystkiego wyznawać, tylko dlatego, że kilku rosyjskich żandarmów wywraca mu dom do góry nogami. Vandam wskazał drzwi po drugiej stronie hallu.

- A co się tam mieści?

- Mój gabinet...

Vandam podszedł do drzwi.

- W środku są kobiety z mojej rodziny, muszę je uprzedzić...

- Wiedzą, że tu jesteśmy. Proszę otworzyć drzwi.

Vandam puścił Sadata przodem. W pokoju nie było żadnych kobiet, ale drzwi do ogrodu stały otwarte na oścież, jakby ktoś właśnie przez nie wybiegł. Vandam nie przejął

się tym; wiedział, że w ogrodzie roi się od żandarmów i nikt się chyłkiem nie wydostanie. Na biurku spostrzegł pistolet wojskowy, pod którym leżało kilka kartek zapisanych arabskim pismem. Podeszedł do półki i obejrzał książki: "Rebeki" nie było. Nagle z innej części domu dobiegł go krzyk:

- Panie majorze!

Ruszył w stronę kuchni, skąd dochodził głos. Na miejscu, przy kuchennym piecu, zastał sierżanta oraz pieska, który ujadł u jego nóg. Z otwartych drzwiczek pieca sierżant wyjął nadajnik w walizce.

Vandam spojrzał na Sadata, który przydreptał za nim do kuchni. Na twarzy Araba pojawił się grymas goryczy i zawodu. A więc na tym polegał targ, jakiego dobił z Wolffem: w nagrodę, że go ostrzegł, dostali nadajnik. Czyżby to znaczyło, że Wolff ma gdzieś drugi? A może umówił się z Sadatem, że przyjdzie tu wieczorem, żeby nadać komunikat?

- Świetna robota - pochwalił Vandam sierżanta. - Proszę zabrać kapitana Sadata do Kwatery Głównej.

- Protestuję - oznajmił Sadat. - Zgodnie z prawem oficerowie egipscy mogą być przetrzymywani tylko w kantine oficerskiej i musi ich pilnować ktoś w randze oficera.

- To prawda - potwierdził stojący obok szef ekipy policjantów egipskich.

Vandam znów przeklął w duchu Bogge'a za to, że wmieszał do sprawy miejscowe władze.

- Zgodnie z prawem rozstrzeliwuje się szpiegów - rzekł do Sadata, po czym zwrócił się do sierżanta. - Przyślijcie mi mojego kierowcę, a potem skończcie przeszukiwać dom. A przeciwko Sadatowi wnieście oskarżenie o szpiegostwo.

Ponownie zerknął na Sadata. Wyraz goryczy i zawodu znikł z jego twarzy; pojawiło się wyrachowanie. Zastanawia się, jakie wyciągnąć korzyści z tej nowej sytuacji, pomyślał Vandam. Szykuje się do roli męczennika. To giętki chłopak; powinien zostać politykiem.

Wyszedł z willi i wszedł do jeepa. Po chwili z domu wybiegł kierowca, który jednym susem znalazł się obok majora.

- Na Zamalek - polecił Vandam.

- Tak jest, panie majorze.

Kierowca włączył silnik i ruszył w drogę.

Kiedy dotarli do łodzi, okazało się, że nurkowie skończyli już pracę: stali na ścieżce i zdejmowali z siebie sprzęt. Dwóch żandarmów wyciągało z Nilu coś wyjątkowo obrzydliwego. Nurkowie przywiązali sznury do ciała, które odkryli na dnie, po czym umyli ręce od całej sprawy.

Do Vandama podszedł Jakes.

- Niech pan spojrzy na to, panie majorze.

Podał mu nasiąkniętą wodą książkę, z której zdarto okładkę. Vandam przerzucił kilka stron: była to "Rebeka".

Nadajnik przypadł w udziale Sadatowi; książka służąca do szyfrowania wylądowała w rzece. Vandam przypomniał sobie popielniczkę ze zwęglonymi skrawkami papieru, którą widział na łodzi; czyżby Wolff spalił klucz do szyfru?

Dlaczego pozbył się nadajnika, książki i klucza, skoro chciał wysłać do Rommla ważny komunikat? Nasuwał się tylko jeden wniosek: musiał gdzieś ukryć zapasowy nadajnik, drugi egzemplarz książki i kopię klucza.

Żandarmi wyciągnęli ciało na brzeg i cofnęli się, jakby nie chcieli mieć z nim nic więcej do czynienia. Vandam zbliżył się. Zobaczył, że trupowi poderżnięto gardło i że głowa ledwo trzyma się tułowia. Do pasa przywiązana była teczka. Vandam schylił się i ostrożnie ją otworzył. W środku znajdowało się kilka butelek szampana.

- Boże! - szepnął Jakes.

- Potworne, nie? - mruknął Vandam. - Najpierw mu poderżnął gardło, a potem wrzucił ciało do rzeki, obciążając je butelkami szampana, żeby poszło na dno.

- Cwaniak zasrany!

- Ale umie sobie radzić z nożem - stwierdził Vandam, dotykając policzka; opatrunek miał zdjęty i kilkudniowy zarost zakrywał szramę. Żeby tylko nie skrzywdził Elene, nie pociął jej tym cholernym nożem, pomyślał. I zaraz zapytał:

- Rozumiem, że nie znaleźliście go?

- Niestety. Kazałem aresztować Abdullaha, tak dla zasady, ale dom był czysty. Po drodze zajrzałem do Villa les Olivers. Też nic.

- Podobnie jak u kapitana Sadata.

Nagle Vandama ogarnęło potworne znużenie. Wyglądało na to, że Wolff za każdym razem potrafi wywieść go w pole. Przyszło mu do głowy, że może jest po prostu zbyt tępy, aby kiedykolwiek złapać tego przebiegłego i nieuchwytnego szpiega.

- Chyba przegraliśmy - rzekł pocierając twarz.

Nie spał od dwudziestu czterech godzin. Sam nie wiedział, po co jeszcze tkwi na brzegu Nilu, nad szkaradnie zmasakrowanymi zwłokami majora Sandy'ego Smitha. Niczego więcej nie mógł się tu już dowiedzieć.

- Pojadę do domu i zdrzemnę się przez godzinę - oznajmił.

Na twarzy Jakesa odmalowało się zdziwienie.

- Może wtedy zacznę jaśniej myśleć - dodał Vandam. - Po południu znów przesłuchamy więźniów.

- Dobrze, panie majorze.

Vandam wrócił do jeepa. Jadąc mostem łączącym Zamalek z Garden City, przypomniał sobie, że Sonia podała jeszcze jedną możliwość: kuzynów Wolffa nomadów. Popatrzył na łodzie płynące szeroką, ospałą rzeką. Prąd Nilu znosił je w dół rzeki, w górę zaś popychał je wiatr, którego stały kierunek miał kolosalne znaczenie dla rozwoju Egiptu. Na każdej łodzi umieszczony był wielki trójkątny żagiel, takiego samego typu jak te stosowane... Jak dawno temu? Przed tysiącami lat. Ileż to rzeczy w tym kraju robiono w identyczny sposób jak przed wiekami. Vandam zamknął oczy i ujrzał Wolffa w feluce, płynącego w górę rzeki; jedną ręką manewrował trójkątnym żaglem, drugą wystukiwał przez nadajnik wiadomość dla Rommla. Nagle jeep zahamował i Vandam otworzył oczy; zdał sobie sprawę, że drzemał. Dlaczego Wolff miałby płynąć w górę rzeki? Żeby odnaleźć swoich kuzynów, nomadów. Ale skąd by wiedział, gdzie się akurat znajdują? Mógłby wiedzieć, gdyby w ciągu rocznej wędrówki pokonywali jakąś określoną trasę.

Łazik zatrzymał się przed domem Vandama i major wysiadł.

- Proszę na mnie poczekać - rzekł do kierowcy. - Lepiej chodźcie do środka.

Wszedł pierwszy; w hallu wskazał kierowcy drogę do kuchni.

- Jeśli nie potraktujecie go jak jednego z "gorszych", mój służący, Gaafar, da wam coś do jedzenia.

- Bardzo dziękuję, panie majorze - powiedział kierowca.

Na stoliku w hallu leżał niewielki stos listów. Koperta na samym wierzchu nie miała znaczka, a pismo, jakim była zaadresowana, wydało się majorowi dziwnie znajome. W górnym lewym rogu nadawca nakreślił słowo "Pilne". Vandam wziął kopertę do ręki.

Świadom był, że jest jeszcze wiele do zrobienia. Może Wolff podróżuje właśnie na południe. We wszystkich większych miastach leżących na trasie należy rozstawić posterunki, które będą kontrolowały drogi. Także na każdej stacji ktoś powinien wypatrywać Wolffa. I na rzece... Musi być jakiś sposób, żeby sprawdzić rzekę, na wypadek gdyby Wolff - tak jak w jego śnie - zdecydował się płynąć łodzią. Vandam z coraz większym trudem skupiał myśli. Skoro można kontrolować drogi, na tej samej zasadzie można zapewne kontrolować i rzeki. Czemu nie? Na nic to się oczywiście nie zda, jeśli Wolff po prostu ukrył się gdzieś w Kairze. Może schował się na cmentarzu? Wielu muzułmanów grzebało zmarłych w murowanych kaplicach; jedna ogromna dzielnica Kairu składała się z samych takich budowli. Potrzeba byłoby z tysiąc ludzi, żeby je wszystkie przeszukać. Może

jednak powinienem to zrobić, pomyślał Vandam. Ale Wolff równie dobrze mógł się udać na północ, w stronę Aleksandrii, albo na wschód czy na zachód, na pustynię...

Vandam wszedł do salonu po nóż do papieru. Należało w jakiś sposób zawęzić pole poszukiwań. Nie miał przecież do dyspozycji tysiąca ludzi; walczyli na pustyni. Musiał podjąć decyzję, na czym skoncentrować dalsze wysiłki. Przypomniał sobie, od czego się wszystko zaczęło: od wiadomości z Asjut. Może powinien zadzwonić do Asjut do kapitana Newmana? Wolff przybył od strony pustyni, może więc zamierza opuścić Egipt tą samą drogą? Może właśnie tam przebywają jego kuzyni? Spojrzał z wahaniem na telefon. Gdzie, do cholery, podział się ten nóż? Vandam podszedł do drzwi i zawołał:

- Gaafar!

Potem wrócił na środek pokoju i zauważył leżący na fotelu szkolny atlas Billy'ego. Był zabrudzony. Zapewne wpadł chłopcu do kałuży. Vandam podniósł atlas. Okładka kleiła się. Nagle zdał sobie sprawę, że jest na niej krew. Poczuł się tak, jakby tkwił w koszmarnym śnie. Co się z nim działo? Nie mógł znaleźć noża do papieru, widział krew na atlasie, nomadów w Asjut...

Pojawił się Gaafar.

- Dlaczego to takie brudne? - spytał Vandam.

Gaafar zerknął na atlas.

- Przykro mi, panie majorze, ale nie wiem. Oglądali książkę, kiedy kapitan Alexander...

- Kto oglądał? I co za kapitan Alexander?

- Ten oficer, którego pan przysłał, żeby odwiózł Billy'ego do szkoły. Powiedział, że nazywa się...

- Poczekaj! - Dławiący lęk sprawił, że Vandamowi natychmiast wróciła jasność umysłu. - Chcesz powiedzieć, że rano przyjechał tu jakiś brytyjski oficer i zabrał Billy'ego?

- Tak, panie majorze, miał go odwieźć do szkoły. Mówił, że pan major go przysłał...

- Gaafar, ja nikogo nie przysyłałem!

Brązowa twarz służącego stała się szara.

- Dlaczego nie upewniłeś się, czy jest tym, za kogo się podaje? - spytał Vandam.

- Była z nim panna Fontana, więc myślałem, że wszystko jest w porządku...

- O Boże!

Vandam spojrział na list, który trzymał w dłoni, i zrozumiał, dlaczego pismo na kopercie wydało mu się znajome; adresowała ją ta sama ręka, którą skreślony był liścik

przysłany przez Wolffa Elene. Rozerwał kopertę. Wewnątrz znalazł kartkę następującej treści.

Drogi majorze Vandam!

Billy jest ze mną. Elene się nim opiekuje. Nic mu nie grozi, dopóki i mnie nic nie grozi. Dlatego gorąco Pana namawiam, żeby pozostał Pan w domu i nie podejmował żadnych kroków. Nie wojujemy z dziećmi; proszę mi wierzyć, że nie chcę skrzywdzić Pańskiego syna. Jednakże czym jest życie jednego dziecka w porównaniu z przyszłością moich dwóch narodów, egipskiego i niemieckiego? Jeśli więc zajdzie konieczność, nie zawaham się przed zabiciem Billy'ego.

Pański unizony sługa,

Alex Wolff

Był to list szaleńca: uprzejmy ton, poprawny styl, właściwa interpunkcja, próba usprawiedliwienia porwania niewinnego dziecka... Vandam pojął, że gdzieś w głębi umysłu Wolffa czai się obłąd.

I to taki człowiek miał Billy'ego!

Vandam podał list Gaafarowi, który trzęsącymi się ze zdenerwowania rękami włożył okulary. Wolff najwidoczniej zabrał Elene ze sobą, kiedy opuszczał łódź Soni. Na pewno bez trudu zmusił ją do posłuchu: wystarczyło, że zagroził, iż wyrządzi krzywdę Billy'emu. Ale po co w ogóle porwał chłopca? I dokąd? Skąd się wzięła krew?

Gaafarowi łzy ciekły po policzkach.

- Kto został ranny? - spytał Vandam. - Kto krwawił?

- Wszystko odbyło się spokojnie - odparł Gaafar. - Chyba panna Fontana miała skaleczoną dłoń.

Zatem specjalnie rozmazała krew na atlasie Billy'ego i zostawiła książkę na krześle. Był to znak, sygnał. Vandam ujął książkę w obie ręce i pozwolił, żeby otworzyła się sama. Ujrzał mapę Egiptu i krzywą strzałkę z zakrzepłej krwi. Wskazywała Asjut.

Podniósł słuchawkę i wykreślił numer Kwatery Głównej. Ale kiedy usłyszał głos wojskowej telefonistki, rozłączył się. Co będzie, pomyślał, kiedy Bogge się o wszystkim dowie? Na pewno wyda rozkaz, żeby oddział piechoty zatrzymał Wolffa w Asjut. Nie obejdzie się bez strzelaniny. I co wtedy zrobi Wolff wiedząc, że wszystko stracone, że - nawet pomijając porwanie i morderstwa, jakich się dopuścił - sama działalność szpiegowska wystarczy, by dostał kulę w łeb? To szaleniec; zabije mojego syna.

Czuł, że paraliżuje go strach. Właśnie o to chodziło Wolffowi, właśnie dlatego porwał Billy'ego - chciał pozbawić jego ojca, umiejętności trzeźwego myślenia i działania. Taki był cel uprowadzenia chłopca.

Vandam podejrzewał, że jeśli zaangażuje w sprawę wojsko, dojdzie do strzelaniny. I wówczas Wolff, mściwy szaleniec, może zabić chłopca. Było tylko jedno wyjście.

Musiał samotnie ruszyć w pościg.

- Przynieś mi dwie butelki wody - polecił Gaafarowi.

Służący wybiegł do kuchni. Vandam udał się do hallu, włożył gogle, po czym cienkim szalem owinął sobie dolną połowę twarzy. Kiedy Gaafar przyniósł mu butelki z wodą, wyszedł na zewnątrz, schował je do bagażnika i wsiadł na motocykl. Silnik zaskoczył po pierwszym kopnięciu; Vandam zwiększył obroty. Bak był pełen. Gaafar stał obok, wciąż zanosząc się płaczem. Vandam poklepał staruszką po ramieniu.

- Znajdę ich - obiecał. Zakołysał motorem, żeby złożyć podpórkę, po czym wyjechał na ulicę, i skręcił na południe.

Cholera, ale był bajzel na stacji. Pewnie wszyscy chcą się wynieść z Kairu na wypadek bombardowania. W pociągach do Palestyny wykupiono wszystkie miejsca pierwszej klasy; wagony są tak zatłoczone, że nawet nie wepchnąłbyś szpilki. Żony i dzieciaki brytyjskich oficerów uciekają jak szczury. Całe szczęście, że w pociągach jadących na południe nie ma takiego ścisku. W kasie oczywiście mówili, że wszystkie miejscówki sprzedane, ale to zwykła śpiewka; wystarczy sypnąć garść piastrów, a miejsce zawsze się znajdzie. Trzy miejsca również. Bałem się, że na peronie mogę zgubić Elene i dzieciaka, taki tam był tłok: setki bosych wieśniaków w brudnych galabijach, dźwigających pudła przewiązane sznurkiem albo skrzynki z drobiem, niektórzy porozsiadali się na ziemi i zajadali śniadanie, gruba matrona w czerni rozdawała jajka na twardo, pszenne placki i ryżowe ciasteczka mężowi, synom, kuzynom, zięciom, córkom i synowym; dobrze, że postanowiłem trzymać dzieciaka za rękę, to był cwany pomysł - wiedziałem, że Elene nie będzie próbowała nawiać, dopóki mam malca - wszystkie moje pomysły są cwane, bo ze mnie cwany gość, Chryste, ten major Vandam to przy mnie zwykły jełop, możesz się skichać, Vandam, mam twojego syna. Ktoś prowadził na sznurku kozę. Ładny mi pomysł, zabierać do pociągu kozę. Szczęście, że nigdy nie musiałem gnieździć się w drugiej klasie razem z wieśniakami i ich kozami. To musi być parszywa robota, sprzętać po nich wagony, ciekawe, kto to robi, pewnie jakiś ubogi fellach, ale to inna rasa, inna krew, urodzeni niewolnicy, dobrze, że mamy miejsca w pierwszej klasie, zawsze jeżdżę pierwszą klasą. Nie cierpię brudu, a stacja była brudna, że pożał się Boże, na peronie roiło się od sprzedawców papierosów i innych handlarzy, jeden miał na głowie ogromny kosz placków. Podoba mi się, jak kobiety noszą kosze na głowach, trzymają się tak prosto, tak dumnie, aż człowieka nachodzi ochota, żeby podejść do takiej i ją wydymać na stojąco, lubię babki, które lubią się dymać, które z rozkoszy odchodzą od zmysłów i wrzeszczą, Gesundheit! Kiedy patrzę na Elene, gdy tak siedzi obok malca, wystraszona, ale jakże piękna, z radością bym się do niej znów dobrał, co mi tam Sonia, mam ochotę rzucić się na Elene, tu, w pociągu, poniżyć ją na oczach wszystkich, na oczach przerażonego synalka Vandama, ha, ha! Za oknami podmiejskie domki z suszonej cegły, oparte jeden o drugi, żeby nie runąć na ziemię, krowy i owce w wąskich, nie brukowanych, zapyłonych uliczkach, jak widzę te miejskie owce z tłustymi ogonami, zawsze się zastanawiam, czym się żywią, gdzie się pasą? Te małe mroczne domki wzdłuż torów nawet nie mają kanalizacji! Przy drzwiach kobiety obierają warzywa, siedząc po turecku na ziemi w żółtym pyłe. Obok koty. Pełne wdzięku. Europejskie koty są inne, powolniejsze i znacznie grubsze; nic dziwnego, że tutaj koty są

święte, są takie piękne, uważa się, że młody kot przynosi szczęście. Anglicy lubią psy. Psy to odrażające zwierzęta: brudne, bez godności, wечно się ślinią, łaszą, wszystko muszą obwąchać. Kot jest istotą wyższą i zdaje sobie z tego sprawę. Świadomość własnej wyższości jest ważna. Albo jest się panem, albo niewolnikiem. Ja też, jak kot, trzymam głowę w górze; obojętny na motłoch, chadzam własnymi ścieżkami i załatwiam swoje tajemnicze sprawy, korzystając z usług innych, tak jak kot korzysta z usług swojego właściciela, nigdy nie okazując wdzięczności i ignorując każdą oznakę uczucia, a wszystko, co otrzymuję, traktując nie jako dar, lecz jako rzecz mi należną. Jestem panem, niemieckim nazistą, egipskim Beduinem, urodzonym władcą. Za ile godzin będziemy w Asjut? Za osiem, dziesięć? Muszę działać szybko. Odszukać Ismaila. Powinien być przy studni albo gdzieś w pobliżu. Odebrać radio. Dziś o północy nadać komunikat. Dokładny plan obrony wojsk brytyjskich, ale zdobycz, na pewno obsypią mnie medalami. Niemcy zawładną Kairem. Dopiero zapanuje tu raj! Co za cudowna mieszanka, Niemcy i Egipcjanie, za dnia najwyższa wydajność, nocą najwyższa zmysłowość, germańska technologia i beduińska dzikość, Beethoven i haszysz. Jeśli tylko uda mi się dostać cało do Asjut i przesłać wiadomość do Rommla, wtedy on przejdzie przez ostatni most, zniszczy ostatnią linię obrony, migiem dotrze do Kairu i rozniesie w perzynę Brytyjczyków; to dopiero będzie zwycięstwo! Jeśli tylko mi się uda. A wtedy zwycięstwo! Zwycięstwo! Wspaniałe zwycięstwo!

Nie-po-rzy-gam-się, nie-po-rzy-gam-się, nie-po-rzy-gam-się. Tak mówi pociąg, turkot kół powtarza to razem ze mną. Jestem za duży, żeby wymiotować w pociągu, co innego, jak byłem młodszy, jak miałem osiem lat... Tata zabrał mnie ze sobą do Aleksandrii i na drogę kupił mi cukierki, pomarańcze, lemoniadę, tak się strasznie napchałem, że... nie, lepiej o tym nie myśleć, od razu robi mi się niedobrze, tata powiedział, że to nie była moja wina, tylko jego, ale w pociągu zawsze zbiera mi się na wymioty, nawet jeśli nic nie jadłem, Elene kupiła tabliczkę czekolady i chciała mnie poczęstować, podziękowałem, niech widzi, jaki jestem dorosły, tylko małe dzieci nie potrafią się oprzeć czekoladzie, o, piramidy, jedna, druga, i jeszcze ta mniejsza, widać wszystkie trzy, pewnie mijamy Gizę. Dokąd jedziemy? Miał mnie odstawić do szkoły. A potem wyciągnął nóż. Taki zakrzywiony. Bałem się, że odetnie mi głowę! Gdzie jest tata? Powinienem być w szkole, dziś pierwsza lekcja to geografia, miała być klasówka o norweskich fiordach, wkulem wszystko na blachę, niepotrzebnie, nie będę jej pisał, koledzy pewnie już skończyli, profesor Johnstone zbiera teraz kartki. - To ma być mapa, Higgins?! Wygląda, chłopcze, jakbyś narysował własne ucho! - Wszyscy wybuchają śmiechem. - Smythe nie umie napisać poprawnie

Moskenstraumen. Napiszesz pięćdziesiąt razy, chłopcze, to się nauczysz! - Każdy się cieszy, że to nie do niego mowa. Wreszcie stary Johnstone otwiera podręcznik. - Teraz zajmijmy się arktyczną tundrą. - Chciałbym być teraz w szkole. Chciałbym, żeby Elene przytuliła mnie do siebie. Chciałbym, żeby ten zbój przestał się na mnie gapić, przestał się tak wpatrywać, chyba jest szalony, gdzie tata? Jeśli nie będę myślał o nożu, to będzie tak, jakby nie istniał. Nie wolno mi myśleć o nożu. Ale jeśli będę powtarzał, żeby nie myśleć o nożu, to wciąż będę o nim myślał. Nie sposób świadomie o czymś nie myśleć. Więc jak przestaje się o czymś myśleć? Przypadkowo. Przypadkowe myśli. Wszystkie myśli są przypadkowe. No i na sekundę przestałem myśleć o nożu. Jeśli zobaczę policjanta, pobiegnę do niego wołając: "Ratunku! Ratunku?" Pognam tak szybko, że ten zbój mnie nie zatrzyma. Kiedy chcę, potrafię być szybki jak strzała, jak błyskawica. Może zobaczę oficera. Albo generała. Zawołam: "Dzień dobry, panie generale!" Popatrzy na mnie zdziwiony i powie: "No co tam, młodzieńcze? Wyglądasz mi na tęgiego zucha!" A ja na to: "Przepraszam, panie generale, jestem synem majora Vandama, a ten człowiek mnie porwał, mój ojciec nic o tym nie wie, więc przepraszam, że zawracam panu głowę, ale potrzebuję pomocy!" "Co?! - wrzaśnie generał. - Jak pan śmiał podnieść rękę na syna brytyjskiego oficera! Tak się nie robi, proszę pana! Niech pan natychmiast zjeżdża! za kogo się pan uważa? I proszę mi zaraz schować ten błyszczący scyzoryk; ja mam pistolet! Jesteś prawdziwym zuchem, Billy!" Jestem prawdziwym zuchem. Dzień po dniu ludzie giną na pustyni. U nas, w Anglii, spadają bomby. Na Atlantyku U-booty zatapiają nasze statki, marynarze wpadają do lodowatej wody i toną. A nad Francją szkopy zestrzeliwiają chłopców z RAF-u. Wszyscy są dzielni. Broda do góry! Przekłeta wojna! Właśnie tak powiadają: "Przekłeta wojna!" A potem wsiadają do myśliwców, zbiegają do schronu, atakują następną wydmę, wystrzeliwiają torpedy w stronę U-bootów, piszą listy do domu. Kiedyś myślałem, że to wspaniałe. Ale teraz wiem lepiej. Nie ma w tym nic wspaniałego. Rzygać się chce.

Billy jest taki blady. Potwornie blady. Stara się być dzielny. Niepotrzebnie. Powinien zachowywać się jak dziecko, krzyczeć, płakać, dostać ataku hysterii; wtedy Wolff nie umiałby sobie z nim poradzić. Ale Billy, oczywiście, nie rozplacze się, tak już jest wychowany, nauczono go, żeby udawał zucha, zaciskał zęby i połykał łzy, panował nad sobą. Wie, jak zachowywałby się jego ojciec w podobnej sytuacji, i postępując tak samo, każdy chłopiec naśladuje ojca. A za oknem ciągnie się prawdziwy Egipt. Kanał wzdłuż torów kolejowych. Gaj palm daktylowych. Na polu wieśniak, pochylony, z galabiją podciągniętą do góry nad białe kalesony, dłubie w ziemi; obok pasie się osioł, o ile zdrowiej wygląda niż jego nieszczęśni krewni, których widuje się w mieście zaprzęgniętych do

wózków; przy kanale siedzą trzy kobiety, piorą odzież, uderzając każdą sztukę o kamienie; dalej jeździec na koniu, galopuje, pewnie miejscowy efendi, tylko najbogatsi gospodarze mają konie; w oddali gęsta zielona roślinność urywa się nagle i przechodzi w pasmo pylistych brunatnych wzgórz. Tak, Egipt ma zaledwie czterdzieści kilometrów szerokości; reszta kraju to pustynia. Co robić? Ilekroć patrzę na Wolffa, głęboko w piersi czuję chłód. Jak uparcie wpatruje się w Billy'ego. I ten błysk w jego oku! Coś go roznosi, nie umie usiedzieć ani chwili spokojnie; zerka przez okno, przebiega wzrokiem wagon, spogląda na Billy'ego, potem na mnie, potem znów na Billy'ego, cały czas z tym błyskiem w oku, z błyskiem triumfu! Powinnam jakoś pocieszyć Billy'ego. Żałuję, że tak mało wiem o chłopcach. Miałam cztery siostry. Słaba byłaby ze mnie macocha. Chciałabym go dotknąć, objąć ramieniem, uścisnąć, może nawet przytulić, ale nie wiem, czy sobie tego życzy, czy to nie pogorszy sprawy. Może mogłabym z nim w coś zagrać, zająć jego myśli czymś innym. Co za kretyński pomysł. A może wcale nie taki głupi? Sięgam po jego tornister, wydaję zeszyt. Mały patrzy na mnie ze zdziwieniem. Co zaproponować? Kółko i krzyżyk. Cztery kreski i możemy grać; stawiam pośrodku krzyżyk. Biorąc ołówek spogląda na mnie tak, jakby godził się na tę bzdurną gierkę, tylko po to, żeby dodać mi otuchy! Stawia kółko w rogu. Wolff wyrywa nam zeszyt, patrzy, a potem oddaje ze wzruszeniem ramion. Ja krzyżyk. Billy kółko; będzie remis. Następnym razem powinnam dać mu wygrać. Mogę grać w tę grę zupełnie bezmyślnie; szkoda! Wolff ma w Asjut zapasowy nadajnik. Może powinnam trzymać się drania i nie pozwolić mu nadać komunikatu. Akurat! Najważniejsze to uciec z Billy'm, wyrwać go z rąk Wolffa, a potem powiadomić Vandama, gdzie jesteśmy. Mam nadzieję, że znalazł atlas. A może atlas odkrył służący i natychmiast zadzwonił do Kwatery Głównej? Równie możliwe, że książka będzie przez cały dzień leżeć na krześle i nikt jej nie zauważy. Zresztą Vandam może nocować poza domem. Muszę jakoś wyrwać Billy'ego z rąk Wolffa. Byle dalej od noża! Billy rozpoczyna następną grę: rysuje cztery linie i stawia na środku krzyżyk. Stawiam kółko, po czym bazgrzę szybko: "Musimy uciec. Bądź gotów." Billy stawia następny krzyżyk i dopisuje: "Zgoda." Kółko. Krzyżyk Billy'ego pytanie: "Kiedy?" Moje kółko i odpowiedź: "Najbliższa stacja." Billy stawia trzeci krzyżyk w jednym szeregu z poprzednimi. Przekreśla je i uśmiecha się do mnie radośnie. Wygrał. Pociąg zwalnia.

Vandam wiedział, że pociąg wciąż jest przed nim. Zatrzymał się na stacji w Gizie, blisko piramid, aby się dowiedzieć, jak dawno temu przejeżdżał; później zatrzymywał się i pytał o to samo na trzech kolejnych stacjach. Teraz, po godzinie jazdy, nie musiał już

więcej stawać i zasięgać informacji, bo tory kolejowe i szosa biegły równolegle do siebie, po przeciwnych stronach kanału; kiedy dogoni pociąg, po prostu go zobaczy.

Ilekoć się zatrzymywał, pociągał haust wody. Czapka, gogle i szal wokół ust i szyi nawet nieźle chroniły go od pyłu, ale słońce prażyło tak bezlitośnie, że ciągle chciało mu się pić. W końcu zdał sobie sprawę, że ma gorączkę. Prawdopodobnie przeziębził się wczorajszego wieczoru. Leżąc przez tyle godzin na ziemi na brzegu Nilu. Własny oddech palił go w gardło, mięśnie pleców bolały.

Całą uwagę skupił na szosie. Była to jedyna droga biegnąca przez cały Egipt, od Kairu do Asuanu, więc na wielu odcinkach miała dobrze utwardzoną nawierzchnię, a w dodatku brytyjskie wojska nieco ją wyreperowały w ciągu ostatnich miesięcy; mimo to musiał bacznie wypatrywać dziur i wyboi. Na szczęście droga biegła niemal idealnie prosto, więc już z daleka widział wszelkie przeszkody w postaci wozów, stad bydła i owiec, karawan wielbłądów. Pędził szybko, zwalniając tylko wówczas, kiedy przejeżdżał przez wsie i miasteczka, gdzie w każdej chwili ktoś mógł wybiec na drogę; nawet po to, żeby ratować własne dziecko, nie zamierzał zabić cudzego.

Do tej pory wyprzedził tylko dwa samochody: masywnego rolls-royce'a i poobijanego forda. Rolls-royce'a prowadził szofer w uniformie; z tyłu siedziała para starych Anglików. Natomiast w fordzie tłoczyło się przynajmniej dziesięciu Arabów. Vandam nie miał już właściwie żadnych wątpliwości, że Wolff jedzie pociągiem.

Nagle usłyszał odległy gwizd. Patrząc przed siebie, nieco na lewo, w odległości co najmniej kilometra ujrzał unoszącą się w niebo smugę białego dymu; najwyraźniej tam znajdował się parowóz. Billy! - pomyślał. Elene! Dodał gazu.

Paradoksalnie, widok dymu buchającego z komina parowozu skierował jego myśli ku Anglii - oczami wyobraźni widział łagodne stoki wzgórz, bezkresne zielone pola, prostokątną wieżę kościoła wzierającą ponad wierzchołkami dębów, biegnące przez dolinę tory kolejowe oraz znikającą w oddali lokomotywę, która wypuszcza szare kłęby. Przez moment znajdował się w tej angielskiej dolinie, czuł wilgotne powietrze poranka; potem jednak obraz rozplynął się i Vandam znów ujrzał stalowobłękitne afrykańskie niebo, poletka ryżu, palmy i brunatne wzgórza na horyzoncie.

Pociąg zbliżał się do miasteczka. Vandam nie miał pojęcia, jak się miejscowość nazywa; po pierwsze, jego znajomość geografii nie była aż tak dobra, a po drugie, nie orientował się, ile kilometrów przejechał od opuszczenia Kairu. Zapewne była to jakaś niewielka miejscina; parę murowanych domów i plac targowy.

Zdawał sobie sprawę, że pociąg dotrze na stację przed nim. Obmyślił plan działania i wiedział, co ma robić, ale potrzebował czasu; nie mógł wbiec na stację i wskoczyć do pociągu bez żadnego przygotowania. Wjeżdżając do miasteczka natychmiast zwolnił. Środkiem drogi wędrowało stadko owiec. Siedzący w bramie starzec popatrzył na niego bacznie, zaciągając się dymem nargili: Europejczyk na motorze był tu rzadkim, choć nie niespotykanym widokiem. Osioł przywiązany do drzewa zaryczał gniewnie, ale bawół złopiący wodę z kubła nawet nie podniósł łba. Dwoje brudnych dzieci w łachmanach biegło obok motoru, udając, że też zaciskają dłonie na kierownicach, i pokrzykując: "Brrrum, brrrum!" Wreszcie Vandam wjechał na plac rynkowy i ujrzał niski, podłużny budynek stacji. Zaslaniał on wprawdzie peron, ale za to wyjście ze stacji było dobrze widoczne i Vandam mógł obserwować każdego, kto przez nie przechodził. Postanowił zaczekać, dopóki pociąg nie odjedzie, żeby mieć pewność, iż Wolff z niego nie wysiadł. Potem i tak bez trudu zdoła przegonić pociąg i dotrzeć na następną stację z dużym wyprzedzeniem. Zatrzymał motor i zgasił silnik.

Pociąg przetaczał się wolno przez przejazd. Elene patrzyła na cierpliwe twarze ludzi czekających za szlabanem, aż będą mogli przejść przez tory. Widziała grubasa na ośle, małego chłopca trzymającego za uzdę wielbłąda, konną bryczkę, grupę milczących starych kobiet. Nagle wielbłąd przykucnął; chłopiec zaczął go okładać po pysku patykami, ale po chwili obraz za oknem przesunął się. Elene pojęła, że pociąg wjeżdża na stację. Natychmiast opuściła ją cała odwaga. Jeszcze nie teraz, pomyślała. Nie zdążyłam obmyśleć żadnego planu. Lepiej poczekać do następnej stacji. Tak, do następnej stacji. Ale napisała Billy'emu, że tutaj spróbują ucieczki. Jeśli nic nie zrobi, malec przestanie jej ufać. Musi działać.

Usiłowała szybko obmyśleć jakiś plan. Co było najważniejsze? Wyrwać Billy'ego z rąk Wolffa. Tylko to się liczyło. Stworzyć Billy'emu możliwość ucieczki, potem starać się przeszkodzić Wolffowi w pogoni. Nagle stanęła jej wyraźnie przed oczami bójka z dzieciństwa, która miała miejsce na jednej z brudnych uliczek w najnędzniejszej dzielnicy Aleksandrii: na Elene rzucił się jakiś chuligan, sporo od niej starszy, a wtedy inny, mniejszy chłopiec doskoczył do niego i zaczął się z nim szamotać, krzycząc do niej: - Uciekaj, uciekaj! - Stała jak wrośnięta w ziemię, przyglądając się bójce, przerażona, ale i zafascynowana. Teraz już nie pamięta, jak to się wszystko skończyło.

Rozejrzała się dookoła. Myśl, myśl! Wagon nie miał oddzielnych przedziałów, tylko rzędy miejsc przedzielonych przejściami. Ona i Billy siedzieli obok siebie, twarzą do kierunku jazdy. Wolff naprzeciw nich. Miejsce obok niego było puste. Drzwi wagonu

znajdowały się tuż za Wolffem. Resztę pasażerów stanowili Europejczycy i bogaci Egipcjanie ubrani po europejsku. Upał wszystkim dawał się we znaki; byli znużeni, oklapnięci. Parę osób spało. Na drugim końcu wagonu konduktor podawał herbatę kilku egipskim oficerom.

Za oknem zobaczyła nieduży meczet, potem wzniesiony we francuskim stylu gmach sądu, wreszcie budynek stacji. Na pasie pylistej ziemi za betonowym peronem rosło kilka drzew. Pod jednym z nich siedział w kucki jakiś starzec i palił papierosa. Sześciu młodziutko wyglądających egipskich żołnierzy tłoczyło się na jednej małej ławce. Obok przeszła ciężarna kobieta trzymająca w ramionach niemowlę. Pociąg stanął.

Jeszcze nie teraz, pomyślała Elene. Jeszcze nie teraz. Najbardziej odpowiedni moment to ten, kiedy pociąg będzie miał już odjeżdżać - wtedy Wolff nie zdąży ich zatrzymać. Rozgorączkowana, siedziała bez ruchu. Na peronie znajdował się zegar z rzymskimi cyframi na tarczy. Jego wskazówki już dawno temu zatrzymały się za pięć piąta. Do okna zbliżył się sprzedawca lemoniady, ale Wolff machnął na niego ręką, żeby odszedł.

Do wagonu wsiadł ksiądz w szatach duchownego koptyjskiego. Zajął miejsce obok Wolffa, najpierw pytając go grzecznie:

- Vous permettez, m'sieur?

- Je vous en prie - odparł Wolff, uśmiechając się czarująco.

Elene szepnęła do Billy'ego:

- Kiedy usłyszysz gwizd pociągu, biegnij do drzwi i wyskakuj na peron.

Serce zaczęło bić jej coraz szybciej; kości zostały rzucone. Billy nic nie odpowiedział, ale jej szept nie uszedł uwagi Wolffa.

- Co takiego? - spytał.

Elene odwróciła wzrok. Wtem rozległ się gwizd.

Billy spojrział niepewnie na Elene.

Wolff zmarszczył brwi.

Elene rzuciła się na Wolffa, wyciągając rozcapierzone palce ku jego twarzy. Ogarnęła ją furia; dopiero teraz pojęła, jaką czuje do niego nienawiść za swoje upokorzenie, za godziny lęku i ból, jaki jej sprawił. Podniósł ręce, żeby się zasłonić, ale nie mógł dziewczyny powstrzymać. Zdumiona własną siłą, rozorała mu paznokciami twarz; trysnęła krew.

Ksiądz krzyknął, zaskoczony.

Patrząc ponad oparciem siedzenia Wolffa widziała, że Billy mocuje się z drzwiami, próbując je otworzyć.

Całym ciężarem opadła na Wolffa, uderzając twarzą o jego czoło. Po czym podniosła się, usiłując wydrapać mu oczy.

Wolffowi początkowo odjęło mowę, ale teraz wrzasnął z wściekłością i poderwał się z miejsca, odpychając Elene na bok. Chcąc go zatrzymać, obiema rękami chwyciła za przód jego koszuli. Wtedy ją uderzył. Zwinięta w pięść ręka zamachem od dołu trafiła dziewczynę w szczękę. Elene nie spodziewała się, że uderzenie może być tak bolesne. Przez moment nic nie widziała. Puściła koszulę Wolffa i opadła na siedzenie. Kiedy odzyskała wzrok, zobaczyła, że Wolff jest już niemal przy drzwiach. Zerwała się.

Na szczęście Billy'emu udało się wreszcie pokonać oporny mechanizm. Otworzył drzwi na oścież i dał susa na peron. Wolff skoczył za nim. Elene również pognała ku drzwiom.

Billy biegł peronem, pędził jak strzała. Wolff sadził za nim. Stojący na stacji Egipcjanie spoglądali na nich z pewnym zdziwieniem, ale nie interweniowali. Elene wyskoczyła z wagonu i ruszyła za Wolffem. Parowóz szarpnął wagonami; pociąg wolniutko odjeżdżał. Wolff gwałtownie przyspieszył kroku.

- Uciekaj, Billy, uciekaj! - krzyknęła Elene.

Billy obejrzał się. Był niemal przy wyjściu. Stojący tam bileter, ubrany w nieprzemakalny płaszcz, z otwartymi ustami przyglądał się biegnącemu. Billy nie ma biletu, on go nie wypuści, pomyślała Elene. Ale zaraz uświadomiła sobie, że to już nieistotne, bo Wolff musi przecież wskoczyć z powrotem do pociągu, który właśnie, centymetr po centymetrze, toczył się do przodu. Wolff spojrzął na pociąg, lecz nie zwolnił tempa. Billy jednak miał już tak znaczną przewagę, że Wolff był bez szansy. Udało się! - pomyślała Elene. Wtem Billy upadł.

Poślizgnął się na czymś, może na jakimś liściu lub odrobinie piasku, i stracił równowagę; siłą rozpędu przez moment leciał jeszcze w powietrzu, po czym całym ciężarem huknął o ziemię. Wolff w okamgnieniu dopadł leżącego i schylił się, żeby go podnieść. Wtedy Elene skoczyła mu na plecy. Wolff potknął się, puszczając Billy'ego. Elene trzymała się kurczowo. Pociąg wolno, ale miarowo nabierał prędkości. Wolff chwycił dłonie Elene, rozerwał ich uchwyt, po czym potrząsnął szerokimi ramionami, strącając ją na ziemię.

Przez moment leżała ogłuszona. Kiedy podniosła głowę, ujrzała, że Wolff przerzucił sobie Billy'ego przez ramię. Chłopiec krzyczał i bił go po plecach kulakami, ale daremnie. Wolff przebiegł kilka kroków obok jadącego pociągu, po czym wskoczył do środka przez

otwarte drzwi. Elene miała wielką ochotę pozostać na peronie i nigdy więcej nie oglądać Wolffa; nie mogła jednak opuścić Billy'ego. Z trudem zerwała się na nogi.

Przez chwilę, potykając się, biegła wzdłuż wagonów. Ktoś wyciągnął do niej rękę. Chwyciła ją i skoczyła. Znow była w pociągu.

Próba ucieczki zakończyła się całkowitą klęską. Ponownie znaleźli się w punkcie wyjścia. Elene była załamana.

Szła za Wolffem przez wagony, dopóki nie dotarli na swoje dawne miejsca. Nie patrzyła na twarze mijanych pasażerów. Wolff wymierzył Billy'emu klapsa w pośladek, po czym cisnął go bezceremonialnie na siedzenie. Chłopiec płakał cicho.

Wolff odwrócił się do Elene.

- Ty głupia, szalona dziewczyno! - zawołał głośno, tak żeby słyszeli go ich współpasażerowie. Chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie. Uderzył ją w twarz otwartą dłonią, potem wierzchem dłoni, i bił tak na zmianę, raz po raz. Mimo bólu nie miała sił się opierać. Wreszcie ksiądz podniósł się z miejsca, dotknął ramienia Wolffa i coś mu powiedział.

Wolff puścił Elene i usiadł. Kiedy rozejrzała się po wagonie zobaczyła, że wszyscy się w nią wpatrują. Nikt jednak nie przyszedł jej z pomocą, bo była dla nich tylko miejscową kobietą, a kobiety, tak jak wielbłądy, należy bić od czasu do czasu. Gdy jej spojrzenie napotykało wzrok innych pasażerów, zmieszani spuszczaali głowy, wracali do przerwanej lektury lub wyglądali przez okno. Nikt się do niej nie odezwał.

Usiadła gniewnie na swoim miejscu, kipiąc daremną bezsilną furią. Prawie, prawie im się udało.

Otoczyła ramieniem Billy'ego i przytuliła do siebie. Potem zaczęła gładzić go po włosach. Po chwili usnął.

Vandama dobiegło wzmożone sapanie lokomotywy i zgrzyt ruszających z miejsca wagonów. Pociąg, nabierając szybkości, odjeżdżał ze stacji. Vandam jeszcze raz napił się wody, opróżniając butelkę, po czym schował ją do bagażnika. Następnie zaciągnął się papierosem i odrzucił niedopałek. Oprócz kilku wieśniaków nikt nie wysiadł z pociągu. Vandam uruchomił silnik i ruszył przed siebie.

Kilka chwil później był już poza miasteczkiem; znów jechał prostą, wąską szosą wzdłuż kanału. Wkrótce wyprzedził pociąg. Było południe, niemiłosierny upał wydawał się wręcz namacalny. Vandam miał wrażenie, że gdyby wyciągnął rękę, nagrzane powietrze przykleiłoby się do niej. Połyskująca w słońcu szosa ciągnęła się w nieskończoność. Jak przyjemnie, jak odświeżająco byłoby skrócić w bok i wjechać prosto w kanał, przemknęło mu nagle przez myśl.

W którymś momencie powziął decyzję. Opuszczając Kair myślał tylko o tym, żeby uwolnić Billy'ego, ale podczas drogi uświadomił sobie, że powinien zrobić coś więcej. Nie mógł przecież zapomnieć o toczącej się wojnie.

Podjeżdżał, że o północy Wolff był zbyt zajęty, żeby przesłać wiadomość. Dziś rano oddał nadajnik, książkę wrzucił do rzeki, a klucz do szyfru spalił. Najprawdopodobniej miał gdzieś ukryty drugi nadajnik, drugi egzemplarz "Rebeki" oraz drugi klucz do szyfru, może właśnie w Asjut. Vandam wiedział, że jeśli chce wprowadzić w czyn swój plan i oszukać Niemców, musi zdobyć nadajnik i klucz - a tym samym pozwolić na to, by Wolff dotarł do Asjut i wydobył z ukrycia zapasowy sprzęt.

Mimo że była to wyjątkowo bolesna decyzja, podjął ją z całym spokojem ducha. Tak, musi uwolnić Billy'ego i Elene; ale może to zrobić dopiero wówczas kiedy Wolff będzie miał w ręku zapasowy nadajnik. Zdawał sobie sprawę, że swoją decyzją przedłuży cierpienie synka, ale najgorsze - samo porwanie - już się wydarzyło, stało się faktem, a z kolei życie pod niemiecką okupacją, bez ojca, którego zamkną w obozie koncentracyjnym, będzie dla chłopca jeszcze bardziej nieznośne.

Podjąwszy decyzję i zdusiwszy w sobie uczucie ojcowskiej miłości, Vandam musiał się teraz przekonać, czy Wolff na pewno jest w pociągu. Zastanawiając się nad sposobem, wpadł na pomysł, jak przy okazji podnieść nieco na duchu Billy'ego i Elene.

Kiedy dotarł do następnego miasteczka, uznał, że ma przynajmniej kwadrans przewagi nad pociągiem. Była to miejscina identyczna z poprzednią; zwierzęta, pełne pyłu uliczki, wolno poruszający się ludzie, garść murowanych budynków - wszystko było takie samo. Posterunek policji mieścił się przy placu rynkowym, na wprost stacji, między

pokaźnym meczetem i niewielkim kościółkiem. Vandam zatrzymał się przed budynkiem i nacisnął kilkakrotnie klakson motocykla - głośne, ponaglące dźwięki rozdarły powietrze.

Dwóch arabskich policjantów wypadło na zewnątrz: siwy mężczyzna w białym mundurze, z pistoletem u boku, oraz nieuzbrojony młodzieniec, na oko osiemnasto-dwudziestoletni. Starszy policjant pospiesznie dopinał kurtkę munduru. Vandam zsiadł z motocykla i ryknął:

- Baczość!

Obaj policjanci natychmiast wyprostowali się i zasalutowali. Vandam też przyłożył palce do czapki, po czym uścisnął rękę starszemu.

- Ścigam groźnego przestępcę i potrzebuję waszej pomocy - obwieścił dramatycznym tonem.

Oczy policjanta zalśniły.

- Chodźmy do środka - powiedział Vandam i ruszył przodem.

Czuł, że nie wolno mu wypuścić z rąk inicjatywy. Nie miał żadnej pewności, czy jego władza rzeczywiście rozciąga się na małomiasteczkowych policjantów; jeśli odmówią pomocy, niewiele będzie mógł zdziałać. Kiedy znaleźli się w budynku, przez otwarte drzwi zobaczył stół z telefonem. Wszedł do pokoju, a policjanci za nim.

- Proszę natychmiast połączyć się z brytyjską Kwaterą Główną w Kairze - polecił starszemu policjantowi i podał mu numer.

Policjant podniósł słuchawkę. Wtedy Vandam zwrócił się do młodszego:

- Widziałeś mój motocykl?

- Tak, tak. - Młodzian pospiesznie skinął głową.

- Umiałbyś na nim jechać?

- Tak, tak, jeżdżę znakomicie! - zawołał z entuzjazmem chłopak.

- Przejedź się kawałek i sprawdź.

Chłopak spojrzał niepewnie na swojego zwierzchnika, który właśnie krzyczał coś do telefonu.

- No już, ruszaj - rozkazał Vandam.

Chłopak wyszedł.

- Kwatera Główna na linii - powiedział starszy policjant, przekazując słuchawkę Vandamowi.

- Proszę czym prędzej połączyć mnie z kapitanem Jakesem - polecił Vandam telefonistce.

Po kilku chwilach w słuchawce rozległ się głos Jakesa:

- Tak, słucham?

- Tu Vandam. Jestem na południu, sprawdzam pewien trop.

- Kiedy wyższe szarże dowiedziały się o tym, co się wydarzyło zeszłej nocy, dostały amoku. Generalowi piana cieknie z pyska, a Bogge miota się jak goły w pokrzywach. Gdzie, u licha, pan się podziewa, panie majorze?

- Mniejsza o to, i tak zaraz stąd ruszam, a co więcej, muszę pracować w pojedynkę, żeby jednak zapewnić mi maksymalną kooperację lokalnych przedstawicieli prawa i porządku... - starał się mówić tak, żeby egipski policjant nic nie rozumiał - ...odstaw wściekłego wujka. Gotów?

- Tak jest, panie majorze.

Vandam przekazał słuchawkę policjantowi, a sam cofnął się o krok. Patrząc na starszego mężczyznę, mógł się domyślić, co mówi Jakes. Policjant bowiem mimowolnie wyprostował plecy i w miarę jak słuchał poleceń Jakesa - że ma się całkowicie podporządkować rozkazom majora Vandama i wypełniać je co do joty, bo inaczej będzie z nim krucho - prężył się coraz bardziej. Kilkakrotnie w trakcie rozmowy zawołał: - Tak jest! Tak jest! - a wreszcie oświadczył:

- Zapewniam pana, panie oficerze i generale, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy...

Nagle urwał. Vandam domyślił się, że Jakes odłożył słuchawkę. Policjant zerknął na Vandama i choć na drugim końcu linii nie było nikogo, wymamrotał:

- Do widzenia.

Vandam podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Młody policjant jeździł na motocyklu dookoła placu, trąbiąc co rusz i niepotrzebnie zwiększając obroty. Zebrał się nawet niewielki tłumek gapiów, a gromadka dzieciarni biegała za motorem. Chłopak uśmiechał się od ucha do ucha. Poradzi sobie, uznał Vandam.

- Słuchajcie - rzekł do starszego policjanta. - Kiedy za kilka minut zatrzyma się tu pociąg jadący do Asjut, wsiądę do niego. Wsiądę na następnej stacji. Chcę, żeby wasz podwładny odstawił tam mój motocykl i zaczekał na mnie. Wszystko jasne?

- Tak jest - odpowiedział policjant. - Więc pociąg do Asjut stanie na naszej stacji, tak?

- A zwykle nie staje?

- Nie, zwykle nie staje.

- Więc leć pan do zawiadowcy i powiedz mu, żeby zatrzymał pociąg!

- Tak jest! - zawołał policjant, wybiegając pospiesznie.

Vandam obserwował go, jak biegnie przez plac. Jeszcze nie słyszał pociągu, miał więc czas na zamówienie drugiej rozmowy telefonicznej. Podniósł słuchawkę, a po zgłoszeniu się centrali poprosił o połączenie z bazą wojskową w Asjut. Cud, jeśli dwa razy z rzędu uda się uzyskać właściwe połączenie, pomyślał. Ale udało się. Kiedy odezwała się baza w Asjut, powiedział, że chce mówić z kapitanem Newmanem. Trwało dłuższą chwilę, zanim go znaleźli. Wreszcie podszedł do aparatu.

- Mówi Vandam. Chyba jestem na tropie pańskiego nożownika.

- Doskonale, majorze! - ucieszył się Newman. - W czym mogę pomóc?

- Niech pan słucha, musimy działać bardzo ostrożnie. Są ku temu powody, które wyjaśnię później. Dlatego pracuję w pojedynkę. Posłanie zbrojnego oddziału do schwytania Wolffa mogłoby mieć wręcz tragiczny skutek.

- Rozumiem. Czego oczekuje pan ode mnie?

- Za kilka godzin dotrę do Asjut. Muszę mieć taksówkę, obszerną galabiję i chłopca. Może mi pan wyjechać na spotkanie?

- Oczywiście, nie ma sprawy. Będzie pan jechał szosą?

- Tak. Spotkajmy się na granicy miasta, dobrze?

- W porządku.

Vandam usłyszał odległy gwizd lokomotywy. - Muszę kończyć.

- Będę czekał.

Vandam odłożył słuchawkę. Wyciągnął pięcioletni banknot i rzucił obok telefonu; drobny bakszysz nigdy nie zaszkodzi. Wyszedł na plac. Widział już dym pociągu zbliżającego się od północy. Podjechał młody policjant na motocyklu.

- Wsiadam do pociągu - poinformował go Vandam. - Ty pojedziesz na motocyklu do następnej stacji i tam się spotkamy, rozumiesz?

- Tak, tak! - ucieszył się młodzian.

Vandam wyjął banknot funtowy i przedarł na pół. Policjant wybałuszył oczy. Vandam dał mu jedną połówkę.

Drugą dostaniesz, kiedy się spotkamy.

- Dobrze!

Pociąg wjeżdżał już prawie na stację. Vandam ruszył biegiem przez plac. Po drodze natknął się na starszego policjanta.

- Zawiadowca zatrzyma pociąg.

- Dziękuję - powiedział Vandam, ściskając jego dłoń. - Jak się nazywacie?

- Sierżant Nesbah.

- Pochwalę was, komu trzeba, w Kairze. Do widzenia.

Wpadł na stację i pognał na południowy kraniec peronu, aby wsiąść do pociągu na początku składu, nie będąc widziany przez nikogo, kto by akurat wyglądał przez okno.

Dymiąca lokomotywa wtoczyła się na stację. Do Vandama podszedł zawiadowca. Kiedy pociąg już stanął, powiedział coś do maszynisty i palacza. Vandam wręczył każdemu z nich po bakszyszu i wsiadł do pociągu.

Znalazł się w wagonie drugiej klasy. Nie wątpił, że Wolff podróżował pierwszą. Ruszył przed siebie, omijając pasażerów siedzących na ziemi obok swoich pudeł, skrzyń i kóz. Zauważył, że na podłodze przeważnie siedzą kobiety i dzieci; wszystkie twarde drewniane ławki były zajęte przez mężczyzn. Popijali piwo i palili papierosy. W wagonach panował okropny smród i zaduch. Niektóre kobiety gotowały na przenośnych kuchenkach, co w każdej chwili mogło się skończyć katastrofą. Vandam o mało nie nadepnął na niemowlę raczkujące po brudnej podłodze. Przeleciało mu przez myśl, że gdyby w ostatniej chwili nie cofnął nogi, pozostali pasażerowie chybaby go zlinczowali.

Przeszedł przez trzy wagony drugiej klasy i wreszcie dotarł do pierwszej. Na pomoście przed wejściem do wagonu siedział na drewnianym stołku strażnik i popijał herbatę. Na widok Vandama poderwał się z miejsca.

- Herbatka dla pana generała?

- Nie, dziękuję! - odparł Vandam podnosząc głos, żeby przekrzyczeć turkot kół. - Muszę sprawdzić dokumenty pasażerów pierwszej klasy.

- Wszystko w porządku, wszystko bardzo dobrze - oznajmił strażnik, starając się być pomocny.

- Ile jest wagonów pierwszej klasy?

- Wszystko w po...

Vandam nachylił się i krzyknął mu prosto do ucha:

- Ile wagonów pierwszej klasy?

Strażnik pokazał dwa palce.

Vandam skinął głową i wyprostował się. Spojrzał na drzwi. Nagle naszyły go wątpliwości, czy zdoła wykonać to, co sobie obmyślił. Zakładał, że Wolff nie miał okazji dobrze mu się przyjrzeć - walczyli przecież w ciemności - ale nie był tego absolutnie pewien. Mogła go wydać szrama na policzku; na szczęście zarost skrywał ją niemal całkowicie. Musiał tylko pamiętać, żeby niepotrzebnie nie pokazywać jej Wolffowi. Natomiast prawdziwym problemem był Billy. Vandam wiedział, że powinien jakoś dać

chłopcu znać, aby milczał i udawał, że go nie poznaje. Niestety, nie miał jak tego zrobić. Jedyne co mu pozostało, to wejść do wagonu i liczyć, że wymyśli coś na poczekaniu.

Wzjął głęboki oddech i otworzył drzwi.

Wchodząc do środka rozejrzał się nerwowo po najbliższych rzędach, ale nie zobaczył żadnej znajomej twarzy. Zamykając drzwi, na moment odwrócił się tyłem do pasażerów. Potem znów rozejrzał się szybko po wagonie; Billy'ego nigdzie nie było.

- Panowie, poproszę wasze dokumenty - powiedział do najbliższej siedzących pasażerów.

- O co chodzi, majorze? zapytał egipski oficer w randze pułkownika.

- Zwyczajna kontrola, panie pułkowniku - odparł Vandam.

Powoli posuwał się wzdłuż przejścia, sprawdzając podawane dokumenty i przypatrując się pasażerom. Zanim dotarł do połowy wagonu, był już pewien, że nie ma w nim Wolffa, Elene i Billy'ego. Przed przejściem do następnego wagonu musiał jednak dokończyć pantomimę ze sprawdzaniem dokumentów. Zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem się nie omylił. Może Wolffa, Elene i Billy'ego nie było w pociągu? Może wcale nie jechali do Asjut? Może zakrwawiony atlas to podstęp, żeby go zmylić?

Dotarł na koniec wagonu i zamknąwszy drzwi za sobą znalazł się w przejściu między wagonami. Jeśli Wolff jedzie pociągiem, pomyślał, to teraz go zobaczę. A jeśli Billy tu jest... jeśli Billy tu jest...

Otworzył drzwi.

I natychmiast dojrzał Billy'ego. Poczł bolesny skurcz. Chłopiec spał, wyciągnięty na siedzeniu; jego stopy ledwo dotykały podłogi, a na czoło opadł mu kosmyk włosów. Usta miał otwarte i nieznacznie poruszał szczęką: Vandam poznał - bo widział to już przedtem - że syn zgrzyta przez sen zębami.

Billy trzymał głowę na piersi jakiejś kobiety, która go obejmowała; tak, to była Elene. Widok ten zdezorientował na moment Vandama, miał wrażenie deja vu - przypomniał mu się ów wieczór, kiedy wszedł do pokoju i zobaczył Elene całującą go na dobranoc...

Elene podniosła głowę.

Ich spojrzenia się spotkały. Vandam widział, jak zmienia się wyraz jej twarzy: oczy rozszerzyły się, usta zaczęły się rozchyłać, jakby miała wydać okrzyk zdumienia, ale ponieważ spodziewał się takiej reakcji, czym prędzej przytknął palec do ust, żeby ją powstrzymać. Zrozumiała od razu i opuściła wzrok; ale nagła odmiana, jaka dokonała się na jej twarzy, nie uszła uwagi Wolffa; zaczął rozglądać się wokoło.

Siedzieli na lewo od Vandama, a to właśnie na lewym policzku miał szramę od noża Wolffa. Odwrócił się więc do nich plecami, zrobił krok do tyłu i dopiero wtedy odezwał się do pasażerów siedzących po przeciwnej stronie przejścia:

- Poproszę państwa o dokumenty.

Nie przyszło mu do głowy, że Billy może akurat spać.

Zamierzał dać mu szybko jakiś znak, tak jak dał Elene, i liczyć na to, że Billy będzie na tyle przytomny, aby równie sprawnie jak Elene ukryć swoje zdumienie. Ale fakt, że syn spał zupełnie zmieniał sytuację. Jeśli nagle się obudzi i ujrzy stojącego nad sobą ojca, zareaguje spontanicznie i wszystko się wyda.

Vandam zwrócił się do Wolffa:

- Pańskie dokumenty, proszę.

Po raz pierwszy widział z bliska swojego wroga. Musiał przyznać, że skurwiel jest przystojny: szerokie czoło, orli nos, równe, białe zęby, wydatna szczeka. Jedynie wokół oczu i przy kącikach ust widać było ślady słabości, folgowania własnym zachciankom i moralnego zepsucia. Podał Vandamowi dokumenty i ze znudzoną miną wyjrzał przez okno. Wystawione były na Alexa Wolffa zamieszkałego w Villa les Oliviers, w Garden City. Ale facet ma tupet, pomyślał Vandam.

- Dokąd pan jedzie? - zapytał.

- Do Asjut.

- W interesach?

- W odwiedziny do krewnych - odparł Wolff.

Głos miał mocny, głęboki; gdyby Vandam nic o nim nie wiedział, nie zauważyłby lekkiego obcego akcentu.

- Podróżują państwo wspólnie? - spytał Vandam.

- Tak. To mój synek i jego niańka - oświadczył Wolff.

Vandam wziął do ręki dokumenty Elene i zerknął na nie. Miał ochotę chwycić Wolffa za gardło i trząść nim, aż mu wypadną wszystkie zęby. To mój synek i jego niańka. Ale skurwiel!

Oddał dokumenty Elene

- Nie ma potrzeby budzić dziecka - oznajmił.

Spojrzał na księdza siedzącego obok Wolffa i wziął jego papiery.

- Skąd ta kontrola, majorze? - zapytał Wolff.

Vandam ponownie spojrział na niego i zauważył, że Wolff ma na brodzie długą czerwoną krechę. Wyglądało to na świeże zadrapanie; prawdopodobnie Elene próbowała się bronić.

- Względy bezpieczeństwa - odparł.

- Też jadę do Asjut - powiedział ksiądz.

- Pewnie do klasztoru? - spytał Vandam.

- Właśnie. Słyszał pan o nim?

- Wzniesiono go w miejscu, gdzie zatrzymała się Święta Rodzina po powrocie z pustyni, tak?

- Zgadza się. Był pan już tam?

- Jeszcze nie. Może uda mi się go zwiedzić tym razem.

- Naprawdę warto - powiedział ksiądz.

Vandam oddał mu papiery, mówiąc:

- Dziękuję bardzo.

Posuwał się tyłem wzdłuż przejścia, sprawdzając dokumenty innych pasażerów. Kiedy spojrział na Wolffa, napotkał jego wzrok. Wolff przypatrywał mu się bez wyrazu. Vandam wystraszył się, że może czymś się zdradził. Ale kiedy znów zerknął na swojego wroga, ten spokojnie wyglądał przez okno.

Co teraz myśli Elene? - zadumał się. Pewnie usiłuje zrozumieć, co robię. Może nawet odgadła moje zamiary? Ale i tak musiała się poczuć podle, kiedy pojęła, że nic nie zamierzam zrobić, że na razie musi dalej siedzieć posłusznie obok tego zbira. Przynajmniej wie, że nie jest sama. A co czuje Wolff? Może się denerwuje, może cieszy sukcesem, może się boi, może niecierpliwi... Nie, doszedł wreszcie do wniosku. Nic z tych rzeczy. Skurwiel się po prostu nudzi!

Dotarł do końca wagonu i obejrzał dokumenty ostatniego pasażera. Właśnie je oddawał i zamierzał wrócić na początek wagonu, gdy nagle usłyszał krzyk, od którego o mało nie pękło mu serce:

- Tata!

Podniósł wzrok i ujrzał Billy'ego, który wąskim przejściem biegł ku niemu z wyciągniętymi przed siebie ramionami; zataczał się, obijał o siedzenia, potykał, ale pędził, gnał.

O mój Boże! - pomyślał Vandam.

Za Billym widział Wolffa i Elene, którzy podnieśli się z miejsc i obserwowali zajście: Wolff patrzył z napięciem, Elene z lękiem. Vandam otworzył drzwi wagonu i udając że nie

dostrzeża Billy'ego, wycofał się na pomost. Billy wybiegł z wagonu tuż za nim. Vandam zatrzasnął drzwi i porwał syna w ramiona.

- Już, już - szepnął. - Już, już.

Wiedział, że Wolff zaraz przyjdzie sprawdzić, co się dzieje.

- Porwali mnie! - zawołał Billy. - Nie byłem na geografii i bardzo się bałem!

- Już wszystko w porządku.

Vandam pojął, że nie może teraz zostawić Billy'ego; musi zabrać go ze sobą i zabić Wolffa, musi zrezygnować z pomysłu wprowadzenia w błąd Niemców, machnąć ręką na nadajnik i klucz do szyfru... Nie, nie może zrezygnować. Nie ma wyboru. Obowiązek musi wziąć górę nad uczuciami.

- Słuchaj - rzekł, opanowując się z trudem - jestem tutaj i będę nad tobą czuwał, ale chcę złapać tego łobuza. Nie może wiedzieć, kim jestem. To ten niemiecki szpieg, na którego od dawna poluję, rozumiesz?

- Tak, tak...

- Słuchaj, spróbuj udawać, że się pomyliłeś, dobrze? Wróc do niego, dobrze?

Billy popatrzył na ojca z niedowierzaniem, otwierając szeroko usta. Nic nie powiedział, ale z jego twarzy bił sprzeciw: nie, nie, nie!

- Billy, to, co się dzieje, to taki kryminał, w którym akurat my obaj występujemy. Musisz wrócić na swoje miejsce i udawać, że się pomyliłeś. Ale pamiętaj, będę tuż obok i razem złapiemy tego szpiega. Zgoda? Zgoda?

Billy milczał.

Nagle otworzyły się drzwi wagonu i na pomost wyszedł Wolff.

- Co się tu dzieje? - zapytał.

Vandam zmusił się do przyjaznego uśmiechu.

- Chłopiec musiał się chyba zbudzić zbyt nagle, bo wydawało mu się, że jestem jego tatą. Pan i ja jesteśmy tej samej budowy, więc to pewnie dlatego... Bo pan jest jego ojcem, tak?

Wolff spojrzał na Billy'ego.

- Co to za dziecinada! - ofuknął go. - Natychmiast wracaj na miejsce.

Billy ani drgnął.

Vandam położył mu rękę na ramieniu.

- No, ruszaj, zuchu - powiedział. - Chodźmy wygrać tę wojnę.

Znajome słowa odniosły pożądany skutek. Billy uśmiechnął się dzielnie.

- Przepraszam pana - rzekł. - Coś mi się musiało przyśnić.

Vandam poczuł, że serce mu się kraje.

Billy odwrócił się i wszedł do wagonu. Wolff, a następnie Vandam ruszyli za nim. Kiedy tak szli gęsiego, pociąg zaczął zwalniać. Vandam zorientował się, że zbliżają się do stacji, na którą młody policjant miał doprowadzić motocykl. Gdy dotarli na koniec wagonu, Billy usiadł na swoim dawnym miejscu, Elene, nie rozumiejąc, wbiła wzrok w Vandama. Billy dotknął jej ramienia.

- Pomyliłem się. Coś mi się przyśniło. Ale już wszystko w porządku - powiedział.

Elene spojrzała na niego, potem na Vandama; jej oczy zaszkliły się dziwnie, jakby miała się rozplakać.

Vandam czuł się okropnie wiedząc, że musi przejść obok nich obojętnie. Pragnął usiąść naprzeciwko, wdać się w rozmowę; zrobić cokolwiek, co pozwoliłoby mu odwlec rozstanie. Za oknami pociągu pojawiło się kolejne, szare od pyłu miasteczko. Ulegając drobnej pokusie, Vandam zatrzymał się przy drzwiach wagonu.

- Miłej podróży - powiedział do Billy'ego.

- Dziękuję panu.

Vandam wyszedł na pomost.

Pociąg wjechał na stację i stanął. Vandam wysiadł i ruszył peronem. Po pewnym czasie skrył się w cieniu markizy i zaczął obserwować podróżnych. Przekonał się, że oprócz niego nikt nie wysiadł, natomiast trzech nowych pasażerów wsiadło do wagonu drugiej klasy. Rozległ się gwizd i lokomotywa wolno potoczyła się do przodu. Vandam nie odrywał wzroku od okna, przy którym - jak wiedział - siedział Billy. Kiedy pociąg przejeżdżał obok, ujrzał twarz syna. Chłopiec podniósł rękę i pomachał ojcu. Vandam ledwo zdążył odpowiedzieć mu machnięciem, kiedy twarz Billy'ego przepłynęła obok i znikła.

Zdał sobie sprawę, że drży na całym ciele.

Patrzył za pociągiem malejącym w oddali. Kiedy prawie stracił go już z oczu, wyszedł przed stację. Zobaczył tam młodego policjanta z sąsiedniego miasteczka, który siedział na motocyklu, otoczony tłumem zachwyconych gapiów, i tłumaczył im zasady działania tajemniczej maszyny. Vandam wręczył mu drugą połówkę przerwane banknotu. Chłopak zsalutował.

Vandam wsiadł na motor i zapalił silnik. Nie wiedział, jak policjant wróci do domu, i wcale go to nie obchodziło. Wyjechał z miasteczka na szosę wiodącą na południe. Słońce minęło już zenit, ale nadal panował straszliwy upał.

Wkrótce zrównał się z ostatnimi wagonami. Obliczył, że dotrze do Asjut jakieś dwadzieścia, trzydzieści minut przed pociągiem. Kapitan Newman powinien na niego

czekać. Vandam wiedział, w ogólnych zarysach, co zamierza zrobić, ale zdawał sobie sprawę, że różne szczegóły będzie musiał dopracować w trakcie.

Wyprzedzając pociąg wiozący Billy'ego i Elene, jedyne osoby, które kochał, powtórzył sobie po raz kolejny, że postępuje słusznie, że plan, na jaki się zdecydował, jest najlepszy dla wszystkich, dla chłopca też. Ale równocześnie jakiś głos z tyłu głowy mówił mu: To, co robisz, jest okrutne, okrutne, okrutne...

Po ciąg wjechał na stację. Elene ujrzała tablicę z nazwą miejscowości, wypisaną najpierw alfabetem łacińskim, a potem arabskim: Asjut. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że dotarli do kresu podróży.

Kiedy w pociągu dostrzegła nagle Vandama, to mimo zdenerwowania malującego się na jego dobrej twarzy odczuła ogromną ulgę.

Ogarnęła ją euforia; była pewna, że Vandam wyratuje ją i Billy'ego z opresji. Obserwowała pantomimę ze sprawdzaniem dokumentów spodziewając się, że Vandam lada moment wyciągnie pistolet, wyjawi, kim jest, i rzuci się na Wolffa. Potem jednak się zorintowała, że rozwiązanie nie będzie takie proste. Zdumiała ją, wręcz przeraziła totalna nieczułość Vandama, kiedy własnemu synowi kazał wracać do Wolffa; opanowanie chłopca też wydało jej się po prostu niewiarygodne. Kolejnym ciosem był dla niej widok Vandama machającego do nich z peronu, kiedy pociąg ruszał ze stacji. Co on zamierzał?

Oczywiście wciąż mu chodziło o klucz do "Rebeki". Pewnie wpadł na pomysł, jak ich uratować, ją i Billy'ego, a jednocześnie zdobyć klucz do szyfru. Żałowała, że nie zna jego planu. Na szczęście Billy nie przeżywał podobnych rozterek: uwierzył, że ojciec panuje nad sytuacją, a myśl, że plany ojca mogą nie wypalić, w ogóle nie przychodziła mu do głowy. Ożywił się, zaczął się bardziej interesować widokami za oknem, a nawet spytał Wolffa, gdzie zdobył nóż. Elene pomyślała ze smutkiem, że sama niestety nie pokłada aż takiej ufności w Vandamie.

Wolff również wpadł w znakomity humor. Zajście z Billym wystraszyło go; przez jakiś czas patrzył na Vandama z lękiem i wrogością, ale fakt, że major wysiadł na następnej stacji, przywrócił mu dawną pewność siebie. Potem jego nastrój oscylował między nudą a nerwowym podnieceniem; ale kiedy wreszcie dotarli do Asjut, podniecenie wyraźnie wzięło górę. Zdaniem Elene, w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin w Wolffie zaszła olbrzymia zmiana. Kiedy go ujrzała po raz pierwszy, wydał jej się opanowanym, kulturalnym człowiekiem. Na jego twarzy - jeśli pominąć pewną arogancję - rzadko malowało się jakiegokolwiek uczucie; mimikę miał ograniczoną do minimum, ruchy zaś wręcz ociężałe. Teraz ociężałość zniknęła. Wiercił się, rozglądał niespokojnie, a kąciki ust co rusz drgały mu nieznacznie, jakby chciał się uśmiechnąć - albo skrzywić - na jakąś myśl, która nagle przyszła mu do głowy. Równowaga i opanowanie, które zdawały się wynikać z jego charakteru, okazały się tylko splekaną fasadą. Elene doszła do wniosku, że przyczyną owej zmiany była wzrastająca zażartość, z jaką toczył wojnę z Vandamem. To, co zaczęło się jako mordercza gra, przerodziło się w morderczą walkę. Najdziwniejsze w tym

wszystkim było to, że Wolff, taki zimny i bezwzględny, tracił panowanie, podczas gdy Vandam działał z coraz większym wyrachowaniem.

Żeby tylko nie przeholował, pomyślała.

Wolff wstał z miejsca i zdjął z półki walizkę. Elene i Billy wyszli za nim z wagonu na peron. Asjut było znacznie większym miastem od tych, które mijali po drodze, i na stacji panował ścisk, toteż musieli się przepychać przez tłum podróżnych usiłujących wysiąść z pociągu. Wolff, górujący o głowę nad tłumem, rozejrzał się dookoła szukając wyjścia ze stacji, po czym zaczął przedzierać się w tamtą stronę. Nagle jakiś brudny, bosy chłopaczek w pizamie w biało-zielone pasy chwycił walizkę Wolffa, krzyząc:

- Zaniosę do taksówki, do taksówki, do taksówki!

Wolff nie chciał puścić walizki, ale chłopak też nie zwalniał chwytu. Wreszcie mężczyzna z lekkim zażenowaniem wzruszył ramionami i pozwolił natrętowi ciągnąć się ku wyjściu.

Po okazaniu biletów wyszli na plac. Było już późne popołudnie, ale tu, w tej części kraju, słońce wciąż prażyło niemiłosiernie. Wokół placu wznosiły się wcale wysokie budynki, z których jeden miał napis Grand Hotel. Przed samą stacją stały w rzędzie dorożki. Elene rozejrzała się dookoła, niemal spodziewając się, że ujrzy oddział żołnierzy szykujących się do aresztowania Wolffa. Ale nigdzie nie widziała ani żołnierzy, ani Vandama.

- Chcę taksówkę - powiedział Wolff do chłopca. - Taksówkę! Nie dorożkę!

Przed stacją była tylko jedna: stary morris zaparkowany kilka metrów za rzędem dorożek. Chłopiec zaprowadził do niej przybyszów.

- Siadaj z przodu - Wolff polecił Elene.

Wręczył chłopcu monetę, po czym wraz z Billy'm wsunął się na tylne siedzenie. Kierowca miał na nosie okulary słoneczne, a na głowie kaffijeh - obszerną chustę, którą przytrzymywała obręcz pleciana z koziego włosia.

- Jedź na południe, w stronę klasztoru - powiedział po arabsku Wolff.

- Dobrze - odparł kierowca.

Serce Elene zabiło mocniej. Głos był znajomy! Spojrzała na kierowcę i rozpoznała Vandama.

Vandam ruszył ze stacji zadowolony, że wszystko poszło tak gładko. Był tylko jeden mały problem. Nie przewidział, że Wolff będzie się zwracał do taksówkarza po arabsku. Sam znał w tym języku podstawowe słowa; na szczęście nauczył się tłumaczyć egipskim kierowcom, którzy mają jechać, a tym samym rozumieć i cudze wskazówki. Pocięszył się,

że może odpowiadać Wolffowi chrząknięciami, pomrukiwaniem, a nawet używać słów angielskich, albowiem miejscowi, którzy potrafili choć trochę mówić po angielsku, chętnie popisywali się swoimi umiejętnościami przed każdym Europejczykiem, także przed tym, co zwracał się do nich po arabsku. O ile więc Wolff nie zechce dyskutować nagle o pogodzie czy płonach, wszystko powinno być w porządku.

Kapitan Newman dostarczył Vandamowi to, czego ten żądał, a co więcej, zachował pełną dyskrecję. Dał mu nawet swój rewolwer, sześcioprowadkowy enfield kaliber 380, który major miał teraz w kieszeni spodni pod pożyczoną galabiją. Czekając na pociąg, Vandam dokładnie przestudiował pożyczoną przez Newmana mapę Asjut i okolicy, toteż mniej więcej wiedział, którądy należy jechać przez miasto, żeby dotrzeć do szosy wiodącej dalej na południe. Przejechał przez suk, trąbiąc niemal bez przerwy tak jak to robili egipscy kierowcy, prawie ocierając się o ogromne, drewniane koła wozów z błotnikami spychając owce ze swojej drogi. Z budynków po obu stronach wylewały się na ulicę sklepiki, kafejki i warsztaty. Nad nie brukowaną jezdnią, pełną śmieci i łajna, wznosiły się tumany pyłu. Zerknąwszy w lusterko Vandam spostrzegł, że czworo czy pięcioro dzieci siedzi mu na błotniku.

Wolff powiedział coś, czego Vandam nie zrozumiał. Udał, że nie słyszy. Wolff powtórzył zdanie. Vandam wypalał arabskie słowo na "paliwo" i zauważył, że Wolff wskazuje w stronę mijanej stacji benzynowej. Stuknął palcem we wskaźnik paliwa na tablicy rozdzielczej; strzałka wskazywała pełny bak.

- Kifaja - rzekł, co znaczyło "dość".

Wolff przyjął odpowiedź bez sprzeciwu.

Udając, że poprawia lusterko, major na moment skierował je na Billy'ego - nie wiedział, czy synek go rozpoznał. Ale rozpoznał; wpatrywał się w tył głowy ojca z nie skrywaną radością. Na miłość boską, tylko się niczym nie zdradź! - poprosił go w myślach Vandam.

Opuścili już miasto i jechali na południe szosą, która w prostej linii wiodła na pustynię. Po lewej stronie ciągnęły się nawodnione pola i gaje; po prawej granitowe skały, brunatne od pyłu. Nastroje pasażerów stanowiły dziwną mieszankę. Vandam czuł zdenerwowanie Elene, euforię Billy'ego, niecierpliwość Wolffa. Sam też miał napięte nerwy. Ciekaw był, czy Wolff to dostrzega. Gdyby przyjrzał się dokładniej swojemu kierowcy, poznałby, że jest to ten sam człowiek, który sprawdzał w pociągu dokumenty. Vandam liczył jednak na to, że myśli o zapasowym nadajniku zaprzętąją całkowicie uwagę szpiega.

- Ruh aljaminak - rozkazał Wolff.

Vandam zrozumiał polecenie: "skręć w prawo". Ujrzał boczną drogę, która zdawała się prowadzić prosto na skały. Zwolnił nieco i dopiero gdy skręcił, przekonał się, że droga wiedzie przez przełęcz na drugą stronę skalistych wzgórz.

Zdumiał się. Z mapy Newmana wynikało, że na końcu szosy znajduje się sławny klasztor, a wcześniej nieliczne wioski; za wzgórzami natomiast nie było nic oprócz Pustyni Zachodniej. Jeśli Wolff zakopał nadajnik gdzieś w piasku, nigdy go nie odnajdzie. Ale chyba szpieg nie był tak głupi? Vandam bardzo na to liczył, wiedział bowiem, że jeśli plany Wolffa spała na panewce, z jego własnych też nic nie wyjdzie.

Droga zaczęła piąć się w górę; stary wóz z trudem pokonywał strome wzniesienie. Vandam dwukrotnie musiał redukować biegi. Wreszcie na dwójce udało mu się wjechać na szczyt. Ujrzał przed sobą bezkresną pustynię. Żałował, że nie siedzi za kierownicą jeepa. Nie wiedział, jak daleko Wolff chce jeszcze jechać. Byłoby lepiej, gdyby przed zmrokiem wrócili do Asjut. Jednakże nie mógł o nic pytać, nie zdradzając się brakiem znajomości arabskiego.

Droga przeszła w trakt. Vandam parł naprzód, jadąc na granicy bezpieczeństwa i czekając na dalsze polecenia szpiega. Dokładnie przed sobą mieli słońce, które stoczyło się już na sam skraj nieba. Po godzinie jazdy minęli stadko owiec pasących się pośród rzadkich kęp suchorośli; stada pilnowali mężczyzna i chłopiec. Wolff uniósł się nieco na siedzeniu i zaczął rozglądać na boki. Niedługo potem trakt przeciął wadi. Vandam ostrożnie zjechał w dół w koryto wyschniętej rzeki.

- Ruh aszszimalak - polecił Wolff.

Vandam skręcił w lewo. Koryto okazało się twarde. Major ze zdziwieniem zobaczył gromady ludzi, namioty i zwierzęta, jakby tajemniczą społeczność. Mniej więcej kilometr dalej poznał przyczynę ich obecności na dnie wadi; taksówka dotarła do studni.

Studnię okalał niski murek z suszonej cegły. Nad samym otworem wznosiła się konstrukcja z czterech nierównych bali podtrzymujących prymitywny kołowrót. Kilku mężczyzn nieustannie wybierało wodę, opróżniając wiadra do czterech promieniście ustawionych koryt, wokół których tłoczyły się wielbłądy i kobiety.

- Andak - powiedział Wolff, kiedy taksówka podjechała do studni.

Major zatrzymał wóz. Ludzie pustyni nie byli go ciekawi, choć przecież rzadko mieli okazję oglądać samochody; Vandam uznał, że ciągła walka o przetrwanie nie pozostawia im czasu na interesowanie się osobliwościami z innego świata. Wolff spytał o coś jednego z mężczyzn. Mówili szybko, po arabsku. Mężczyzna wskazał przed siebie.

- Doghri - polecił Vandamowi Wolff.

Major ruszył.

Po pewnym czasie dotarli do sporego obozowiska, przy którym Wolff kazał zatrzymać wóz. Zobaczyli skupisko namiotów, zagrodę dla owiec, kilka spętanych wielbłądów oraz otwarte paleniska, na których gotowano posiłki. Nagle Wolff sięgnął szybkim ruchem do stacyjki, zgasił silnik i wyciągnął kluczyk. Po czym wysiadł bez słowa.

Ismail siedział przy jednym z palenisk i przyrządzał herbatę.

- Pokój z tobą - powiedział bez zdziwienia na widok Wolffa, zupełnie jakby ten wyszedł z sąsiedniego namiotu.

- A z tobą zdrowie oraz łaska i błogosławieństwo Pana - odparł zgodnie ze zwyczajem Wolff.

- Jak się miewasz?

- Dziękuję, dobrze, Bogu stokrotne dzięki. - Wolff przykucnął na piasku.

- Trzymaj. - Ismail wręczył mu filiżankę.

- Oby Bóg zawsze patrzył na ciebie życzliwie.

- I na ciebie również.

Wolff wziął łyk herbaty. Była gorąca, słodka i bardzo mocna. Pamiętał, jak właśnie ten napój dodawał mu sił podczas marszu przez pustynię. Czy to możliwe, że minęły zaledwie dwa miesiące?

Kiedy Wolff opróżnił filiżankę, Ismail dotknął ręką czoła i rzekł:

- Oby poczęstunek ten przyniósł ci zdrowie.

- Oby i ciebie Bóg zdrowiem obdarzył.

Ceremoniał powitania został zakończony.

- A co z twoimi przyjaciółmi? - spytał Ismail, wskazując głową taksówkę zaparkowaną na środku wadi i wyglądającą dość dziwnie wśród namiotów i wielbłądów.

- To nie są moi przyjaciele - oświadczył Wolff.

Ismail skinął tylko głową. Nie był ciekaw szczegółów. Wolff pomyślał sobie, że nomadzi, choć tak grzecznie wypytyują gości o zdrowie, zupełnie nie interesują się sprawami ludzi z miasta; miejskie życie było tak odmienne od ich własnego, że nawet nie próbowali go pojąć.

- Masz jeszcze moje skórzane pudło?

- Tak - odparł Ismail.

Wolff jednak wiedział, że gdyby Ismail nie miał walizki, odpowiedź byłaby identyczna; taki tu już panował obyczaj. Beduin zresztą nie wykonał żadnego gestu świadczącego o tym, że zamierza ją przynieść. Ci ludzie nie potrafili się spieszyć. “Szybko” oznaczało “w ciągu kilku dni”; “natychmiast” oznaczało “jutro”.

- Muszę jeszcze dziś wrócić do miasta - oznajmił Wolff.

- Będziesz spał w moim namiocie.

- Niestety, nie mogę.

- Więc przynajmniej zjesz z nami posiłek.

- Niestety, też nie mogę. Słońce jest już nisko, a przed zmierzchem muszę być z powrotem w mieście.

Ismail pokiwał ze smutkiem głową, jak ktoś, kto wie, że ma do czynienia z beznadziejnym przypadkiem.

- Przyjechałeś po swoje pudło.

- Tak. Przynieś je, drogi kuzynie.

Ismail wydał polecenie stojącemu za nim mężczyźnie, który powtórzył je drugiemu, młodszemu od siebie, a ten z kolei jakiemuś chłopcu. Potem wyjął papierosy. Wolff poczęstował się z grzeczności. Ismail przypalił papierosy gałązką wyciągniętą z ogniska; Wolff zastanawiał się, skąd Beduin je w ogóle miał. Po chwili chłopiec przytargał walizkę i postawił przed Ismailem; ten skinął głową na Wolffa.

Wolff sięgnął po walizkę i kiedy ją otworzył, poczuł ogromną ulgę; nadajnik, książka i klucz do szyfru były na miejscu. W trakcie długiej i męczącej podróży pociągiem opuściła go euforia, ale teraz znów wróciła: ogarnęła go upajająca świadomość władzy i radość z bliskiego zwycięstwa. Ponownie nabrał pewności, że wygra wojnę. Zamknął walizkę. Ręce mu drżały.

Ismail zmrużył oczy i popatrzył na gościa.

- To pudełko jest dla ciebie bardzo ważne - zauważył.

- Jest ważne dla świata.

- Słońce wschodzi, słońce zachodzi. Czasem pada deszcz. Ludzie żyją i umierają - rzekł Ismail i wzruszył ramionami.

On tego nigdy nie zrozumie, pomyślał Wolff. Ale inni tak. Wstał.

- Dziękuję ci, kuzynie - powiedział.

- Niech Bóg cię prowadzi.

- I niech czuwa nad tobą. - Wolff odwrócił się i ruszył w stronę taksówki.

Elene zobaczyła, że Wolff bierze walizkę i odchodzi od ogniska.

- Idzie - oznajmiła. - Co teraz?

- Będzie chciał wrócić do Asjut - odparł Vandam nie oglądając się. - Jego nadajnik nie działa na baterie, musi być włączony do kontaktu, więc Wolff na pewno każe się zawieźć tam, gdzie jest elektryczność. Czyli do Asjut.

- Mogę usiąść z przodu? - spytał Billy.

- Nie - powiedział Vandam. - I bądź już cicho. Wkrótce będzie po wszystkim.

- Boję się go.

- Ja też.

Elene zadrżała. Wolff wszedł do taksówki.

- Do Asjut - rozkazał.

Vandam nastawił dłoń i Wolff rzucił na nią kluczyk. Major zapalił silnik.

Jechali przez wadi, mijając po drodze studnię, a potem skręcili na trakt. Elene rozmyślała o walizce, którą Wolff trzymał na kolanach. Mieścił się w niej nadajnik, egzemplarz "Rebeki" oraz klucz do szyfru; dziewczynie wydało się niepojęte, że tak wiele zależy od tego, w czyich rękach znajduje się walizka, że dla jej zdobycia ona sama musiała ryzykować życie, a Vandam rzucił na szalę nawet bezpieczeństwo swojego synka. Ogarnęło ją znużenie. Słońce świeciło teraz za ich plecami, zawieszony tak nisko, że nawet najmniejsze kamienie, krzaki i kępy rzucały długie cienie. Nad skalistymi wzgórzami gromadziły się wieczorne chmury.

- Szybciej - powiedział po arabsku Wolff. - Zaraz się ściemni.

Vandam, zupełnie jakby zrozumiał, o co chodzi, dodał gazu. Nierówna, wyboista droga sprawiła, że samochód zaczął podskakiwać i kołysać się na boki.

- Niedobrze mi - poskarżył się Billy po kilku minutach takiej jazdy.

Elene odwróciła się i spojrzała na chłopca. Twarz miał bladą, napiętą i siedział sztywno wyprostowany.

- Zwolnij - powiedziała do Vandama po angielsku, po czym powtórzyła to samo po arabsku, jakby nagle przypomniała sobie, że kierowca mówi tylko w tym języku.

Vandam zwolnił.

- Jedź szybciej - polecił mu Wolff. I zwracając się do Elene, rzekł: - Nie przejmuj się małym.

Vandam zwiększył prędkość.

Elene znów spojrzała na Billy'ego. Był biały jak ściana i miał taką minę, jakby zbierało mu się na płacz.

- Ty skurwielu! - powiedziała do Wolffa.

- Zatrzymaj wóz! - zawołał Billy.

Wolff zignorował go, a Vandam wciąż pędził naprzód udając, że nie rozumie angielskiego.

Środek drogi przecinało spore wybrzuszenie; wjeżdżając na nie z dużą prędkością, samochód uniósł się kilka centymetrów nad ziemię, po czym gwałtownie opadł.

- Tato, zatrzymaj wóz! Tato! - wrzasnął Billy.

Vandam z całej siły nacisnął hamulec.

Elene, zapierając się ręką o tablicę rozdzielczą, odwróciła głowę, żeby spojrzeć na Wolffa.

Przez krótki moment był zupełnie ogłupiały. Patrzył to na Vandama, to na Billy'ego, to znów na Vandama, i na jego obliczu malowały się kolejno osłupienie, zdziwienie, strach. Elene wiedziała, że myśli o zajściu w pociągu, o chłopaku na stacji, o nakryciu głowy taksówkarza, które zasłaniało mu twarz; nagle szpieg wszystko pojął.

Samochód już stawał z piskiem opon. Pasażerów rzuciło do przodu. Wolff szybko odzyskał równowagę, po czym w okamgnieniu objął ramieniem Billy'ego i przyciągnął do siebie. Drugą ręką sięgnął pod koszulę i wydobył nóż.

Samochód zatrzymał się.

Elene pośpiesznie przeniosła wzrok na Vandama, który obejrzał się, równocześnie wsuwając dłoń w rozcięcie galabii - i zamarł. Elene również się obejrzała.

Wolff trzymał nóż na gardle Billy'ego. Oczy chłopca rozszerzyły się ze strachu. Vandam też miał przerażoną minę. Kąciki ust Wolffa uniosły się w obląkańczym uśmiechu.

- Cholera, mało brakowało, a bym wpadł! - zawołał szpieg.

Patrzyli na niego w milczeniu.

- Zdejmij pan to idiotyczne nakrycie - powiedział do Vandama.

Vandam ściągnął kaffijeh.

- Pozwoli pan, że zgadnę. Major Vandam, prawda? - Wolff najwyraźniej rozkoszował się tą chwilą. - Na szczęście zabezpieczyłem się zabierając ze sobą pańskiego syna.

- Twoja gra skończona, Wolff - rzekł Vandam. - Połowa brytyjskiej armii jest na twoim tropie. Jeśli się nie poddasz, zabiją cię.

- Kłamiesz - stwierdził Wolff. - Nie ciągnąłbyś ze sobą armii, żeby ratować syna. Bałbyś się, że ci kowboje zastrzelą nie tego, kogo trzeba. Podejrzewam, że twoi zwierzchnicy w ogóle nie wiedzą, gdzie jesteś.

Elene była przekonana, że Wolff odgadł prawdę; straciła wszelką nadzieję. Nie wiedziała oczywiście, co Wolff zamierza teraz zrobić, ale zrozumiała, że Vandam przegrał bitwę. Spojrzała na niego i zobaczyła w jego oczach klęskę.

- Pod galabiją major Vandam ma wojskowe spodnie - powiedział Wolff. - Albo w jednej z kieszeni, albo za paskiem ukrył broń. Proszę ją wyjąć, Elene.

Wsunęła rękę pod galabiję i wymacała kolbę rewolweru. Skąd Wolff o tym wiedział? - zdumiała się. Po chwili uznała, że po prostu odgadł.

Wyjęła rewolwer i spojrzała na Wolffa. Nie mógł wziąć od niej broni nie puszczając Billy'ego, gdyby zaś puścił chłopca nawet na sekundę, Vandam rzuciłby się do ataku. Wolff jednak wpadł na rozwiązanie.

- Otwórz rewolwer tak, żeby lufa opadła do przodu. Tylko ostrożnie, nie naciśnij przypadkiem na cyngiel.

Zaczęła mocować się z rewolwerem.

- Zaczep powinien być obok bębena.

Znalazła zaczep i otworzyła rewolwer.

- Wyjmij z bębena naboje i wyrzuć przez okno.

Zrobiła, co jej kazał.

- Połóż rewolwer na podłodze.

Położyła.

Wolff odetchnął z ulgą. Teraz znów jedyną bronią w samochodzie był jego nóż.

- Wysiadaj - powiedział do Vandama.

Major nie zareagował.

- Wysiadaj - powtórzył Wolff. Szybkim, precyzyjnym ruchem przejechał lekko nożem po uchu Billy'ego. Z miejsca pojawiła się kropla krwi.

Vandam wysiadł z taksówki.

- Siądź za kierownicą - Wolff polecił Elene.

Przesunęła się przenosząc nogi nad drążkiem do zmiany biegów.

Vandam pozostawił drzwi otwarte.

- Zamknij drzwi - rozkazał Wolff Elene.

Zamknęła. Vandam stał obok wozu patrząc, co się dzieje w środku.

- A teraz ruszaj - powiedział Wolff.

Silnik zgasł, kiedy Vandam raptownie hamował. Elene wrzuciła bieg jałowy i przekręciła kluczyk w stacyjce. Silnik prychnął i zgasł. Miała nadzieję, że wóz nie zapali. Ponownie przekręciła kluczyk; znów nie nastąpił zapłon.

- Przekręcając kluczyk, naciśnij na gaz - poinstruował ją Wolff.

Zrobiła, jak mówił, i silnik zaskoczył; pracował głośno i miarowo.

- Jedź - powiedział Wolff.

Ruszyła.

- Szybciej.

Wrzuciła wyższy bieg.

Spoglądając w lustro zobaczyła, że Wolff puszcza Billy'ego i chowa nóż. Z pięćdziesiąt metrów za taksówką, pośrodku pustynnej drogi widziała Vandama; na tle zachodzącego słońca jego sylwetka była zupełnie czarna. Nie poruszał się.

- On nie ma wody - zawołała Elene.

- Co z tego? - mruknął Wolff.

I wówczas Billy dostał ataku szału.

- Nie możecie go tak zostawić! - wrzasnął.

Kiedy Elene odwróciła się i zobaczyła, co się dzieje, na moment zapomniała, że prowadzi samochód. Billy bowiem rzucił się na Wolffa niczym oszalały żbik, bijąc go pięściami, drapiąc, kopiąc; krzyczał coś niezrozumiale, z twarzą wykrzywioną w dziecięcej furii, i dygotał na całym ciele jak epileptyk. Wolff, który zdążył się odprężyć, pewien, że zagrożenie minęło, nie wiedział, jak się bronić przed nagłym atakiem chłopca. W ograniczonej przestrzeni samochodu było za ciasno, żeby mógł się porządnie na niego zamachnąć, więc tylko podniósł ręce, żeby się zasłonić, i próbował odepchnąć Billy'ego.

Elene spojrzała przed siebie. W tym czasie, kiedy obserwowała walczących, taksówka zjechała nieco z traktu; koła z lewej strony wozu toczyły się po sypkim piasku. Dziewczyna usiłowała skrócić kierownicą, ale brakowało jej sił. Nadepnęła więc na hamulec, a wówczas tył wozu zarzuciło w bok. Za późno dostrzegła głęboką dziurę, która nagle pojawiła się przed samą maską; pojazd, nie wychodząc z poślizgu, wpadł w nią bokiem; wstrząs był tak silny, że Elene odczuła szarpnięcie w każdym włóknie ciała. Wóz podskoczył, wyrzucając ją z fotela kiedy opadła na siedzenie, niechęć nacisnęła stopą pedał gazu. Samochód ruszył gwałtownie do przodu, po czym zaczął się ślizgać w przeciwną stronę. Kątem oka Elene widziała, że Wolff i Billy, ciskani bezwładnie to w prawo, to w lewo, nadal się szamoczą. Wóz zjechał z traktu w miękki piach i nagle wytracił szybkość; Elene uderzyła czołem w krawędź kierownicy. Pojazd, wciąż w ruchu, przechylił się. Dziewczyna zobaczyła, że pustynia podchodzi do okna, i zrozumiała, że wóz się przewraca. Bojąc się, że zacznie koziółkować, uchwyciła się kierownicy i drążka do zmiany biegu. Samochód jednak nie przekręcił się na dach; osiadł w piachu bokiem, niczym

rzucona z góry moneta. Drażek urwał się i został w dłoni Elene; dziewczyna opadła na drzwi i znów uderzyła się w głowę. Pojazd utkwiał nieruchomo w piasku.

Elene dźwignęła się na kolana i nie wypuszczając z ręki drażka spojrzała do tyłu. Wolff i Billy leżeli razem, Wolff u góry. Kiedy patrzyła na nich, poruszył się.

A już miała nadzieję, że nie żyje!

Pod jednym kolanem czuła drzwi, pod drugim szybę. Z prawej strony wznosił się dach wozu, z lewej siedzenie fotela. Spoglądała do tyłu przez podłużną szparę między dachem a oparciem.

Wolff zaczął się wolno podnosić.

Billy leżał bez ruchu, chyba nieprzytomny.

Elene klęczała, oszołomiona i bezradna.

Wolff stanął na tylnych lewych drzwiach i całym ciężarem rzucił się na podłogę wozu. Taksówka zakołysała się. Rzucił się po raz drugi. Taksówka ponownie się zakołysała. Przy trzeciej próbie samochód przekreślił się ze zgrzytem i opadł czterema kołami na ziemię. Elene wciąż kręciło się w głowie. Widziała, jak Wolff otwiera drzwi i wysiadła z wozu. Po chwili schylił się i wydobyl nóż. Wtedy dostrzegła zbliżającego się Vandama.

Uklękła na siedzeniu obserwując, co się dzieje. Dopóki kręciło jej się w głowie, nie była w stanie nic zrobić. Zauważyła, że Vandam również się pochylił i czeka gotów do skoku; podniósł ręce nieco do góry, żeby się zasłonić przed ciosem. Twarz miał czerwoną i dyszał po biegu. Mężczyźni zaczęli krążyć wokół siebie. Wolff lekko utykał. Za nimi, nisko na niebie, wisiała ogromna pomarańczowa kula.

Vandam zrobił taki ruch, jakby chciał się rzucić do przodu, i nagle przystanął. Wolff dźgnął nożem w jego stronę, zmylony jednak zatrzymaniem się przeciwnika, nie trafił go. Vandam tymczasem zamachnął się pięścią. Szpieg cofnął się, lecz zbyt późno; z nosa poląła mu się krew.

Znów stanęli naprzeciw siebie niczym bokserzy w ringu.

Vandam ponownie skoczył w przód. Tym razem Wolff cofnął się w porę. Vandam usiłował dosięgnąć wroga kopniakiem, a wtedy Wolff dźgnął go nożem w nogę; Elene ujrzała, jak ostrze przebija materiał i zagłębia się w ciało. Wolff jeszcze raz chciał trafić Vandama nożem, ale major odsunął się na bezpieczną odległość. Na jego spodniach pojawiła się ciemna plama krwi.

Elene zerknęła na Billy'ego. Wciąż leżał bez ruchu na podłodze taksówki; oczy miał zamknięte. Przedostała się nad oparciem na tył wozu i wciągnęła chłopca na siedzenie. Nie wiedziała, czy jest żywy, czy martwy. Dotknęła jego twarzy. Nawet nie drgnął.

- Billy! - zawołała. - Och, Billy!

Ponownie wyjrzała na zewnątrz. Vandam klęczał na jednym kolanie; lewe ramię zwisało mu bezwładnie, bark miał czerwony od krwi. Prawą ręką usiłował się zasłonić przed Wolffem, który szykował się do ataku.

Elene wyskoczyła z wozu, ściskając w ręce ułamany drążek. Ujrzała, jak Wolff podnosi nóż, żeby zadać Vandamowi kolejny cios. Potykając się wpiachu, zaszła Wolffa od tyłu, akurat gdy ten się zamachnął. Vandam odchylił się w bok, unikając ciosu. Elene podniosła wysoko drążek i z całej siły uderzyła nim Wolffa w głowę. Szpieg wciąż trzymał się na nogach.

- O Boże ! - zawołała Elene i ponownie go walnęła.

I jeszcze raz.

Wolff upadł.

I znowu go huknęła.

Wreszcie puściła drążek i uklękła obok Vandama.

- Świetna robota - pochwalił ją słabym głosem.

- Możesz wstać?

Wsparł się o jej ramię i z trudem podniósł na nogi.

- Rana nie jest tak groźna, na jaką wygląda.

- Pokaż.

- Za chwilę. Najpierw pomóż mi się z nim uporać.

Zdrową ręką złapał Wolffa za nogę i zaczął go wlec w stronę samochodu. Elene chwyciła nieprzytomnego za ramię i też zaczęła ciągnąć go po piasku. Kiedy leżał już obok taksówki, Vandam ujął jego bezwładną rękę i oparł na stopniu, wierzchem do góry. Następnie podniósł nogę i z całej siły nadepnął Wolffowi na łokieć. Kość pękła. Elene zbladła.

- Nie chcę mieć z nim kłopotów, kiedy oprzytomnieje - wyjaśnił Vandam.

Zajrzał na tylne siedzenie i położył dłoń na piersi Billy'ego.

- Żyje! - zawołał. - Dzięki Bogu!

Billy otworzył oczy.

- Już po wszystkim, synku.

Chłopiec znów przymknął powieki.

Vandam usiadł za kierownicą.

- Gdzie jest drążek do zmiany biegów?

- Ułamał się. Właśnie nim walnęłam Wolffa.

Vandam obrócił kluczyk w stacyjce. Wozem lekko szarpnęło.

- W porządku, wciąż jest na biegu.

Wcisnął sprzęgło i ponownie przekręcił kluczyk. Silnik zaskoczył. Vandam powoli zwolnił sprzęgło i wóz zaczął się toczyć. Major zgasił silnik.

- Działa - rzekł. - Mamy szczęście.

- A co z Wolffem.

- Wsadzimy go do bagażnika.

Skierował wzrok na Billy'ego. Chłopiec był już przytomny, oczy miał otwarte.

- Jak się czujesz, synu?

- Przepraszam, tato, ale naprawdę zrobiło mi się niedobrze.

Vandam spojrzał na Elene.

- Musisz prowadzić - oznajmił.

W oczach kręciły mu się łzy.

Nagle rozległo się przeraźliwe wycie samolotów. Rommel podniósł wzrok do góry i nisko na niebie ujrzał brytyjskie bombowce, lecące od strony pobliskich wzgórz; żołnierze nazywali je "paradnymi" bombowcami, bo latały w dokładnie takim samym równym szyku jak te, które brały udział w defiladach wojskowych odbywających się w Norymberdze przed wybuchem wojny.

- Kryć się! - krzyknął Rommel i sam dał nura do najbliższego okopu.

Hałas był tak głośny, że wręcz wydawał się ciszą. Rommel leżał w rowie, z zamkniętymi oczami. W brzuchu odczuwał dotkliwy ból. Wprawdzie przysłano mu z Niemiec lekarza, ale wiedział, że jedyny lek, jakiego potrzebuje, to zwycięstwo. Schudł; mundur na nim wisiał, kołnierzyki koszul były luźne, jakby o kilka numerów za duże. Włosy miejscami miał całkiem siwe, a łysina powiększała mu się coraz szybciej.

Był pierwszy września i wszystko potoczyło się zupełnie inaczej, niż oczekiwał. Najślabszy odcinek alianckiej linii obrony okazał się pułapką. Tam gdzie nie powinno być zbyt wiele min, leżały dosłownie jedna koło drugiej; tam gdzie żołnierze spodziewali się twardego gruntu, trafiali na lotne piaski, a przełęcz Alam Halfa, którą planowali łatwo zdobyć, broniły zaciekłe liczne wojska. Strategia Rommla okazała się błędna; zawiódł go wywiad, zawiódł go jego szpieg.

Bombowce poleciały dalej. Rommel wydostał się z okopu. Adiutanci i oficerowie również wyszli z ukrycia i zbrali się wokół niego. Podniósł do oczu lornetkę i popatrzył na pustynię. Dziesiątki czołgów stało nieruchomo w piachu; z niektórych buchały w górę płomienie. Jeśli tylko wróg zdecyduje się na natarcie, pomyślał Rommel, mamy szansę. Ale

wojska aliantów nie wyłaniały się zza wzgórz, natomiast ich artylerzyści strzelali do niemieckich czołgów jak do kaczek.

Sytuacja wyglądała nieciekawie. Czołówka niemieckich wojsk była zaledwie dwadzieścia kilometrów od Aleksandrii, jednakże utknęła w miejscu. Dwadzieścia kilometrów, pomyślał Rommel. Jeszcze dwadzieścia kilometrów i Egipt byłby mój. Spojrzał na otaczających go oficerów. Jak zawsze, wyraz ich twarzy odzwierciedlał wyraz jego własnej; patrząc na nich widział to samo, co oni patrząc na niego.

Kłękę.

Zdawał sobie sprawę, że to koszmar senny, ale nie mógł się obudzić.

Cela miała dwa metry na półtora połowę zajmowała prycza. Pod pryczą stał blaszany nocnik. Ściany z gładkiego szarego kamienia. Z sufitu zwisała na sznurze niewielka żarówka. W jednym końcu celi znajdowały się drzwi. W drugim, tuż nad linią wzroku, małe kwadratowe okno - widział przez nie jasny błękit nieba.

Pomyślał przez sen: Wkrótce się obudzę i wszystko będzie w porządku. Obudzę się i zobaczę piękną kobietę leżącą obok mnie w jedwabnej pościeli, zacznę dotykać jej piersi - na tę myśl poczuł wzbierające pożądanie - i ona również się obudzi, pocałuje mnie, a potem napijemy się szampana... Ale nie udało mu się zmienić biegu snu, nadal jawił mu się obraz celi. Gdzieś w pobliżu rozlegało się miarowe bicie bębna. W takt uderzeń maszerowali żołnierze. Hałas był przerażający, naprawdę przerażający: bum-bum, bum-bum, tup-tup, walenie bębna i tupot buciorów, a do tego ta ciasna szara cela z niewielkim, dręczącym kwadratem błękitu; ogarnął go lęk, tak straszny lęk, że zmusił się, by otworzyć oczy i się obudzić.

Rozejrzał się, nic nie rozumiejąc. Był przytomny, zupełnie obudzony, co do tego nie miał wątpliwości, wyrwał się ze snu, a jednak nadal znajdował się w celi więziennej. Miała dwa metry na półtora; połowę zajmowała prycza. Usiadł na posłaniu i zajrzał pod pryczę. Zobaczył blaszany nocnik.

Wstał. Po czym spokojnie, z rozmysłem zaczął walić głową w ścianę.

Jerozolima,

24 września, 1942

Kochana Elene!

Poszedłem dziś do Zachodniej Ściany, zwanej także Ścianą Płaczu. Stałem przy niej pośród wielu innych Żydów i modliłem się. Potem napisałem na kartce moją prośbę i wsunąłem świstek w szparę w ścianie. Mam nadzieję, że Pan Bóg spełni moje pragnienie.

Jerozolima to najpiękniejsze miejsce na świecie. Oczywiście warunki, w jakich żyję, nie są najlepsze. Śpię na materacu rozłożonym na podłodze w niewielkim pokoiku, który dzielę z pięcioma mężczyznami. Czasami pracuję: zamiatam warsztat stolarski, w którym jeden z moich współlokatorów, młody chłopak, nosi deski. Jak zawsze cierpię biedę, ale wolę być nędzarzem w Jerozolimie niż bogaczem w Egipcie.

Przejechałem przez pustynię w ciężarówce brytyjskiej. Kiedy jadący nią żołnierze spytali, co bym zrobił, gdyby mnie nie zabrali, a ja odpowiedziałem, że przeszedłbym całą drogę na piechotę, myśleli, że oszalałem. Ale to była najrozsądniejsza decyzja w moim życiu.

Muszę Ci wyjawić, że niedługo umrę. Moja choroba jest nieuleczalna; nawet gdyby mnie było stać na najlepszych lekarzy, pozostało mi już tylko kilka tygodni, najwyżej parę miesięcy życia. Nie smuć się tym. Nigdy nie byłem tak szczęśliwy jak teraz.

Zdradzę Ci, co napisałem na kartce, którą wetknąłem w Ścianę Płaczu. Poprosiłem Pana Boga, żeby dał szczęście mojej córce Elene. Wierzę, że tak uczyni.

Żegnaj.

Twój Ojciec.

Szynka wędzona była pokrojona w plastry nie grubsze od papieru i zwinięte w eleganckie rurczki. Bułki, świeżutkie, pochodziły z rannego wypieku. Sałatka ziemniaczana, z dodatkiem prawdziwego majonezu i chrupiącej, drobno posiekanej cebulki, czekała w słoiku. Obok stała butelka wina, butelka oranżady oraz torba pomarańczy. I jeszcze paczka papierosów - jego ulubiony gatunek.

Elene zaczęła pakować wszystko do koszyka; wybierali się na piknik.

Ledwo zamknęła pokrywkę koszyka, usłyszała stukanie do drzwi. Zrzuciwszy fartuch, pobiegła je otworzyć.

Vandam wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i pocałował dziewczynę. Objął ją tak mocno, że uścisk sprawił jej ból. Zawsze obejmował ją z całej siły, zawsze aż do bólu, ale nie narzekała - tak niewiele brakowało, żeby któreś z nich zginęło, że teraz cieszyli się z każdej chwili spędzonej razem.

Przeszli do kuchni.

- Co tu masz, insygnia królewskie? - spytał Vandam, z trudem unosząc ciężki koszyk.

- Są jakieś wieści?

Wiedział, że chodzi jej o los wojny, wciąż toczącej się na pustyni.

- Wojska Osi cofają się na całej linii. To cytat z najnowszego komunikatu.

Zauważyła, jak bardzo od pewnego czasu stał się odprężony. Nawet mówił inaczej. Na jego głowie pojawiło się trochę siwych włosów, ale śmiał się znacznie częściej.

- Należysz do tych mężczyzn, którzy przystojnieją z wiekiem - oświadczyła.

- Zobaczymy, co powiesz, jak wypadną mi zęby.

Wyszli na ulicę. Niebo było tak ciemne, że opuszczając budynek Elene aż krzyknęła ze zdumienia.

- Dziś nastąpi koniec świata - zażartował Vandam.

- Nigdy dotąd nie widziałam, żeby miało taki kolor!

Wsiadli na motocykl i ruszyli w stronę szkoły Billy'ego. Niebo jeszcze bardziej pociemniało. Kiedy mijali hotel Shepharda, spadły pierwsze krople deszczu. Elene ujrzała jakiegoś Egipcjanina, który chustą do nosa okrywał swój fez. Krople deszczu były ogromne: każda z nich natychmiast przesiąkała przez jej sukienkę. Vandam zjechał na bok i zatrzymał się przed hotelem. Akurat gdy zsiadali z motocykla, nastąpiło oderwanie chmury.

Czekając pod markizą, obserwowali burzę. Ilość wody lejącej się z nieba była wręcz niewiarygodna. W ciągu kilku minut przepełniły się rynsztoki i woda płynęła ulicami. Naprzeciwko hotelu sklepikarze brnęli po kostki w wodzie, spuszczać żaluzje. Samochody stawały na środku jezdni.

- W Kairze nie ma prawdziwych ścieków - powiedział Vandam. - Woda może spływać do Nilu. Spójrz!

Ulica przemieniła się w rzekę.

- Co z motorem?

- Cholera, jeszcze gótów odpłynąć! - zawołał Vandam. - Muszę go przetoczyć.

Zawahał się, po czym skoczył na jezdnię, chwycił motor za kierownicę i dopchał go do schodów przed hotelem. Kiedy znów się schronił pod markizą, był przemoknięty do suchej nitki, a włosy lepiły mu się do głowy niczym przytroczone do kija pakuły po wyjęciu z wody. Elene parsknęła śmiechem.

Deszcz padał i padał.

- Co z Billym? - spytała.

- Zatrzymają dzieciaki w szkole, dopóki nie przestanie lać.

Po pewnym czasie wstąpili do hotelu, żeby się czegoś napić. Vandam zamówił sherry; skończył z popijaniem dżinu i twierdził, że wcale mu nie brakuje mocnych trunków.

Wreszcie burza minęła i wyszli na ulicę; musieli jednak odczekać, aż woda trochę opadnie. Wkrótce jej poziom znacznie się obniżył, a w dodatku pojawiło się słońce. Kierowcy zaczęli uruchamiać wozy. Silnik motocykla na szczęście nie był przemoczony i zaskoczył za pierwszym razem.

Droga parowała w słońcu, kiedy jechali w stronę szkoły. Billy czekał już na zewnątrz.
- Ale ulewa! - zawołał podniecony.

Wdrapał się na motor, pomiędzy Elene a Vandama.

Ruszyli w kierunku pustyni. Elene, trzymając się mocno, jechała z przymkniętymi powiekami, toteż nie widziała cudownego widoku, dopóki się nie zatrzymali. Kiedy wszyscy troje zsiadli z motocykla, ze zdumieniem rozejrzeli się wokoło.

Pustynię pokrywał dywan kwiatów.

- To oczywiście na skutek deszczu - rzekł Vandam. - Ale i tak...

Nie wiadomo skąd pojawiły się również tysiące owadów; motyle i pszczoły uganiały się pospiesznie wśród kwiatów, zbierając niespodziewane plony.

- Nasiona musiały tkwić w piasku i czekać - powiedział Billy.

- Masz rację - poparł go Vandam. - Tkwiły w piasku od lat, czekając na deszcz.

Kwiaty były maleńkie, niczym miniatutki, lecz o niezwykle jaskrawych barwach. Billy zszedł z szosy i pochylił się nad jednym, przypatrując mu się z bliska. Vandam objął Elene i cmoknął ją lekko w policzek - cmoknięcie przerodziło się w długi, gorący pocałunek. Po pewnym czasie dziewczyna uwolniła się ze śmiechem.

- Billy się spieszy - powiedziała.

- Niech się przyzwyczaja - odparł Vandam.

Elene spoważniała.

- Naprawdę? Naprawdę, tak?

Vandam tylko się uśmiechnął i znów zaczął ją całować.